

Izabela Chojnacka

**Miłość na gruzach
Kosowa**

PODRÓŻ

Poznałam go w Niemczech, gdzie pracowałam w niewielkiej kawiarence. Pracę znalazła mi znajoma, która mieszkała tam od lat. Znam dobrze język niemiecki, lubię przebywać w towarzystwie ludzi i jestem z natury bardzo gadatliwa, więc szefowi nie przeszkadzał nawet brak mojego zezwolenia na pracę. Niełatwo przecież znaleźć kogoś, kto pracowałby bez ubezpieczenia za te marne 800 DM?! Szefostwo odstąpiło mi niewielki pokoik w swoim mieszkaniu, posiłki miałam darmowe, więc nie narzekałam. Kawiarenkę odwiedzała stała klientela, a atmosfera panowała niemal rodzinna. Szybko znalazłam sobie przyjaciół, wśród których była młodsza ode mnie o dwa lata Niemka, Jana. Z czasem stałyśmy się nierozłączne. To ona na początku namawiała mnie na kolejne spotkania z Rushitem. Po jakimś czasie równie gorąco zaczęła mi go odradzać.

Rushit często przychodził do kawiarenki. Na początku nie darzyliśmy się sympatią, a przynajmniej ja nie darzyłam sympatią jego. Uważałam go za aroganckiego, próżnego i pewnego siebie typa. Dowiedziałam się od znajomych, że nie pracował zawodowo, ale nie narzekał na brak pieniędzy. Później wyszło na jaw, że odbywał właśnie karę więzienia. Od Jany dowiedziałam się, za co Rushit dostał wyrok. Miał jugosłowiańskie prawo jazdy. Policja niemiecka uznała je za sfalszowane, zabrała i kazała wyrobić porządny niemiecki dokument, albo... chodzić na piechotę. To uraziło dumę Rushita, który chcąc zrobić trochę na złość władzy, nadal jeździł swoim nowiutkim, czerwonym Ford Probe, tyle, że teraz już bez papierów. Zaczęła się kolekcja ostrzeżeń i mandatów. Kiedy doszedł do pechowej trzynastki, sprawą zainteresował się prokurator. Za ignorowanie władzy i niepłacenie kar oraz za prowadzenie bez prawa jazdy dostał dwa lata do odsiadki. Wcześniej miał już jakieś konflikty z prawem, więc nie było żadnej szansy na zawieszenie wyroku. Więzienie pozostawiało jednak skazanym wiele swobód. We wtorki i środy Rushit miał trzygodzinne przepustki, które pozwalały mu na wyjście do miasta, zrobienie zakupów lub pospacerowanie z rodziną. W piątki w południe, aż do niedzielnego wieczoru trwał tzw. urlop. Bardziej przypominało to internat niż więzienie. Mogłam więc dopiero po dwóch miesiącach znajomości dowiedzieć się, że Rushit odsiaduje wyrok. Należę do osób, które starają się być dyskretne i nigdy o nic nie wypytyją. Wychodziłam z założenia, że Rushit sam mi o sobie opowie. Wówczas niewiele jednak mówił o sobie, wiedziałam tylko, że jest Albańczykiem z Kosowa, prowincji należącej do Serbii. Trwała tam akurat wojna pomiędzy Albańczykami a Serbami. Dopiero później w Kosowie poznałam historię ciemniejących Albańczyków, którym od wieków usiłowano odebrać ich ziemie. W 1389 roku Serbowie przegrali walkę z Turkami i pozostali pod ich niewolą przez ponad pięćset lat. Z czasem Albańczycy stanowili większość narodowościową na terenie Kosowa, ale Serbom pozostał sentyment do tamtego miejsca. Mimo to Josip Broz, zwany Ti to świetnie sobie radził, utrzymując wszystkie ludy Jugosławii w jedności. Nikt nie mówił, że jest Serbem, Albańczykiem, Turkiem czy Cyganem. Każdy był Jugosłowianinem. Jednak od kiedy do władzy doszedł dyktator Slobodan Miłoszewicz, który twierdził, że „Jugosławia to Serbia, a Serbia to Jugosławia!”, skończyły się spokojne czasy. Poszczególne państwa, chcąc zdobyć po śmierci Tita niepodległość, natrafiały na opór i nieprzychylną nową władzę serbską. Doprowadziło to do kolejnych krwawych konfliktów w 1991 roku w Słowenii i Chorwacji. W latach 1992-1995 trwała natomiast wojna w Bośni i Hercegowinie. Potem przyszedł czas i na Kosowo. Na początku były to tylko demonstracje, ale

kiedy w 1998 roku Miloszewicz wprowadził dodatkowe siły policji i wojska serbskiego do Kosowa, wybuchła wojna domowa między uciśnionym narodem a Serbią. Po długich miesiącach walk na pomoc mieszkańcom Kosowa przybyły międzynarodowe wojska NATO. Rushit również należał do prześladowanych przez policję serbską i to jeszcze na długo przed wojną. Wyemigrował więc do Niemiec, prosząc tam o azyl polityczny. Kiedy jednak niemieckie władze mu odmówiły i miał zostać wydany do swojej ojczyzny, by uniknąć deportacji, ożenił się z Niemką. Po niedługim czasie stracił z nią kontakt. Ona zakochana w nim po uszy, dała mu wolność, nie składając wniosku o rozwód. Przez osiem lat żyła nadzieją, że kiedyś do niej wróci, a jego uczucie do niej odżyje.

Tę skróconą historię swojego życia opowiedział mi Rushit pewnego wieczoru, kiedy sami siedzieliśmy w kawiarence. Od dwóch tygodni proponował mi randkę i od dwóch tygodni regularnie dostawał kosza. On był wytrwały, ale ja również byłam uparta. Nie miałam ochoty na żadne romanse. Tamtego dnia dałam się jednak przekonać. To była sobota. Prawie wszyscy znajomi, w tym Jana, pojechali do pobliskiego miasta na koncert, a ja musiałam pracować. Zaczęłam właśnie sprzątać, dając Rushitowi do zrozumienia, że ma sobie iść, bo chciałabym już zamknąć.

On siedział dalej, jakby nie rozumiejąc aluzji. Ponowił propozycję wspólnego spędzenia wieczoru, ale i tym razem odmówiłam mu stanowczo. Nalegał. Pomyślałam sobie, że właściwie perspektywa spędzenia sobotniego wieczoru w samotności nie była zachęcająca, więc w końcu zgodziłam się. Wtedy podszedł do mnie znienacka, wyjął mi z rąk szufelkę i miotłę, pocałował mocno w usta i... zaczął zamiatać. Chciał przez to przyspieszyć nasze wyjście. Zabrał mnie na dyskotekę. Żadne z nas nie lubiło tańczyć, mimo to fajnie spędziliśmy czas. Siedzieliśmy, piliśmy piwo i rozmawialiśmy.

Po tygodniu dostałam od niego list. Na dwa miesiące zawiesili mu przepustki, bo odkryli u niego w celi telefon komórkowy, którego posiadanie było zabronione. Co drugi dzień dostawałam od niego list. I wtedy właśnie rozkwitło nasze uczucie. Raz poszłam do więzienia odwiedzić Rushita, ale obydwójce czuliśmy się głupio, siedząc tak naprzeciwko siebie w zatłoczonej, więziennej świetlicy. Uznaliśmy więc, że na razie ograniczymy się tylko do telefonów i listów. Później było już inaczej, kiedy po kilku miesiącach, znowu wstrzymano mu wyjścia, odwiedzałam go w każdy weekend i za każdym razem biegłam tam jak na skrzydłach. Na początku jednak więzienie mnie krępowało, ale za to przez telefon czuliśmy się pewniej. Sześćdziesiąt dni minęło bardzo szybko i staliśmy się nierozłączni. Już wówczas miałam okazję przekonać się, że Rushit był chorobliwie zazdrosny. W połowie czerwca w moje urodziny po raz pierwszy podniósł na mnie rękę. Wypił za dużo piwa i ubzdurał sobie, że spotkałam się po kryjomu z jego kolegą w toalecie. Było to kompletną bzdurą. Wymyślił to, kiedy zobaczył, że wychodzę, a chwilę za mną wyszedł Thorsten, jego przyjaciel. Ten zarzut mocno mnie wtedy zranił. Nie przyszło mi jednak do głowy, że to były pierwszy atak paranoi. Przez tydzień nie chciałam go widzieć na oczy, rzucałam słuchawką, kiedy słyszałam jego głos, bez czytania darłam jego listy. Żadna siła nie była w stanie namówić mnie, żebym mu wybaczyła. O tamtym wydarzeniu przypominał mi krwiak z tyłu głowy, który pozostał po tym, jak Rushit rzucił mną o ścianę. Rushit zaczął do mnie wysyłać swoich kolegów, zadzwonił też jego brat Kastriot, który mieszkał w Niemczech i poprosił, żebym dała Rushitowi szansę, bo ten od dłuższego czasu bombarduje go telefonami. Zaimponowało mi to, jak bardzo Rushit się starał, żebym mu wybaczyła i tamten incydent puściłam w niepamięć. Wiem, może się wydać

nienormalne, żeby coś takiego wybaczyć. Teraz myślę tak samo. ale wówczas byłam strasznie zakochana. Sądzę, że to powinno w pewnym stopniu usprawiedliwić moją głupotę i naiwność. Rushit w sprytny sposób zaczął mnie coraz bardziej ograniczać, przekonując, że to dowód jego wielkiej miłości. Doprowadził też do tego, że szef wypowiedział mi pracę. Po dłuższym czasie przez przypadek dowiedziałam się, że zwolnił mnie na życzenie Rushita. W miasteczku wielu właścicieli małych firm liczyło się z Rushitem. Kiedy jeszcze pracowałam często miałam ochronę w postaci Albańczyków. Siedzieli przy stoliku i bacznie mnie obserwowali. Razem z pracą straciłam również mieszkanie, ale okazało się, że mój ukochany zadbał i o to. Wynajął od przyjaciela niewielką kawalerkę. Całe dni i noce spędzałam w czterech ścianach, oglądając telewizję i rozmyślając. Myślę, że nie będzie przesadą, jeśli powiem, że Rushit miał w więzieniu więcej swobody niż ja na wolności w tamtym czasie. Wiele razy zaczynałam pakować walizki, by je potem rozpakować i stwierdzić, że nie mam tyle siły, by go opuścić. Wszystkie moje wątpliwości znikwały, gdy go widziałam. Spędzaliśmy razem każdą wolną chwilę, chłoniliśmy wspólne godziny, nigdy nie mieliśmy siebie dość. Wielkie uczucie, którym się darzyliśmy, wzajemnie nas od siebie uzależniło. W głębi serca nie byłam szczęśliwa, chociaż sama przed sobą się do tego nie przyznawałam. Poza tym naiwnie sądziłam, że nasze życie wkrótce się zmieni, jak tylko Rushit przestanie odsiadywać wyrok. Zupełnie normalna wydawała mi się wówczas jego zazdrość. Tłumaczyłam go przed sobą, że jest mu ciężko tam, gdy ja jestem zawsze na wolności. Na wolności. Ja chyba przestałam rozumieć znaczenie słowa WOLNOŚĆ. Ktoś ze znajomych przemycił mu do celi nową komórkę. Zaczęły się kontrole. W więzieniu mógł dzwonić z automatu tylko do godziny dwudziestej drugiej, tamten telefon dawał mu panowanie nade mną o każdej porze dnia i nocy. Ja dostałam od niego drugi aparat, do którego sama nie znałam numeru, żebym czasem komuś nie podawała i wtedy zaczął się terror. Nigdy nie wierzył, że jestem w domu, oczyma chorej wyobraźni widział mnie na imprezach, randkach i Bóg wie, gdzie jeszcze. Zastanawiałam się, czy został kiedyś skrzywdzony przez jakąś dziewczynę, że był taki nieufny w stosunku do mnie. Musiałam go ciągle zapewniać, jak bardzo go kocham, że jestem mu wierna, że o nic nie musi się martwić. Dochodziło czasem do komicznych sytuacji, kiedy musiałam trzaskać drzwiami od mieszkania, żeby uwierzył, że jestem u siebie, a nie u jakiegoś faceta. Drzwi mojego mieszkania skrzypiały w charakterystyczny sposób i Rushit wierzył, że jestem u siebie. Mimo jego zagrywek, kochałam go bardzo i nawet najprzystojniejsi faceci nie robili na mnie wrażenia. Świata poza nim nie widziałam, ale on zachowywał się coraz gorzej i coraz częściej padały na mnie ciosy. A ja nie miałam siły odejść. Przez swoją idiotyczną zazdrość stracił wszystkich kolegów, każdego posądzał o jakieś niecne zamiary wobec mnie.

Któregoś dnia leżałam już w łóżku i oglądałam telewizję, kiedy ktoś zadzwonił do domofonu. Nikt mnie tam nigdy nie odwiedzał, nikt oprócz Rushita nie wiedział, że tam mieszkam. Ze wszystkimi przyjaciółmi straciłam kontakt, nawet z Jana. a więc ta późna wizyta trochę mnie przestraszyła. Wyłączyłam przezornie telewizor i wyjrzałam dyskretnie przez okno na ulicę. Na dole pod drzwiami klatki schodowej stało dwóch policjantów. Ze strachu wstrzymałam oddech, usiadłam na podłodze i czekałam. Po kilku minutach wyjrzałam jeszcze raz, ale już ich nie było. Następnego dnia z niecierpliwością czekałam na telefon od Rushita, żeby mu o tym powiedzieć. W końcu zadzwonił. Zdenerwowana opowiedziałam mu o wizycie policji, ale on się tym nie przejął. Stwierdził, że nie jestem żadnym przestępcą, więc nie mam się czego obawiać, za mieszkanie też płacimy, więc nie ma powodów do paniki. Pewnie się pomylili. Dziwna

wydawała mi się wtedy jego obojętność. Pocieszała mnie myśl, że policja chyba nie szukałaby faceta, który akurat jest w więzieniu, lecz jednak coś mnie niepokoiło. Rushit nigdy nie wyjaśnił mi, na czym polegają jego interesy, które prowadził z tymi wpływowymi ludźmi w miasteczku, a ja się domyślałam tylko, że nie są w pełni legalne. Prawie zawsze, kiedy szliśmy do któregoś z lokali, podchodził do niego właściciel, witał się z nim jak z najlepszym przyjacielem, czasami znikali obaj w biurze na kilka minut. Imponowało mi to, zwłaszcza, że nigdy nie brano od niego pieniędzy za wypite napoje. Z czasem stało się to jednak dla mnie jednoznaczne: Rushit robił z nimi jakieś interesy. Zawsze nosił też przy sobie sporą gotówkę. Nie miałam nigdy odwagi prosić, by wyjaśnił mi, jak zdobywa pieniądze, trochę ze strachu o siebie, trochę z obawy o to, że prawda okaże się nieprzyjemna.

Szybko skojarzyłam ciemne interesy Rushita z policjantami, którzy byli tamtego wieczoru. Po trzech dniach późnym popołudniem ponownie zadzwonili do drzwi, utwierdziłam się tylko w przekonaniu, że to po niego. Tym razem miał przepustkę. Mimo swoich zapewnień, że nie mamy nic do ukrycia przed władzą, nie otworzył im. Następnego dnia kazał mi zostać w domu i nikomu nie otwierać, a sam poszedł do miasta wyjaśnić tę sprawę. Wrócił po kilku godzinach i bez słowa wyjaśnienia usiadł na kanapie. Widziałam, że był czymś bardzo przejęty. Odczekałam chwilę. Wstał, zaczął przechadzać się po pokoju, aż w końcu się odezwał:

- Jadę do Kosowa.
- Wiem przecież - odparłam. - Kiedy skończysz za trzy miesiące odsiadywać wyrok, jedziemy tam razem.
- Ale ja wyjeżdżam już dziś.

Nic nie rozumiałam. W Kosowie od kilku miesięcy panował pokój, wojna została zakończona. Rushit dowiedział się, że cała jego rodzina przeżyła i chciał ich zobaczyć, ale przecież zostały mu jeszcze tylko trzy miesiące do odsiadki. Usiadłam naprzeciw niego i patrzyłam na niego wyczekująco. Był wyraźnie zażenowany, nie wiedział, co powiedzieć.

- Wyjaśnisz mi to? - ponaglałam go.
- Mam pewne problemy i przez te ostatnie miesiące mogę nie dostać więcej przepustek, a ja nie zniosę siedzenia tam bez przerwy. Oszaleję.
- Czy to ma związek z policją, która tu dziś była? Czy oni cię szukają?
- Nie - machnął ręką - szukają poprzedniego lokatora, ma jakieś problemy z bankiem, zadłużenie. Dzwoniłem do właściciela kamienicy. To nie o to chodzi.
- To o co? - nie wytrzymałam tego napięcia.
- Później ci opowiem.
- A co ze mną?
- Chcę, żebyśmy pojechali tam razem. Wieczorem dostanę samochód i pieniądze. Tylko musisz cię uprzedzić, że będzie to trochę ryzykowne.
- A co z papierami? Przecież wszystkie dokumenty masz w więzieniu.
- Nie szkodzi. Z Niemiec jedziemy przez Austrię i Włochy, granice są niestrzeżone. A potem statkiem do Albanii, tam jako mieszkaniec Kosowa nie powinienem mieć żadnych problemów. Muszę tylko we Włoszech zgłosić kradzież dokumentów. Dostanę jakiś świstek i bezpiecznie dotrzemy do Kosowa.
- Nie będą cię szukać? To jest przecież ucieczka.
- Będą, ale dopiero jutro późnym wieczorem. W tym czasie będziemy w porcie we Włoszech.

Muszę jeszcze coś załatwić. Spakuj się, za jakieś dwie godziny wyjeżdżamy.

Podszedł do mnie, pocałował i tuląc mocno, wyszeptał:

- Pamiętaj, kochanie, że należymy do siebie, nigdy nikomu ciebie nie oddam. Mam nadzieję, że mnie nie rozczarujesz i resztę życia spędzimy razem tak, jak planowaliśmy.

Po tych słowach wyszedł, a ja zostałam sama z tysiącem myśli. Nie mogłam sobie wyobrazić życia bez niego, za bardzo go kochałam. Jeśli pojechałby sam, może nigdy już byśmy się nie zobaczyli. A co jeśli okaże się, że jestem w ciąży? Przecież staraliśmy się o dziecko. Nie wiadomo, czy go nie złapią po drodze, czy podlegam wówczas jakiejś karze za towarzyszenie mu w ucieczce?! A co z moją rodziną, której nie widziałam od prawie roku?! Masa pytań i żadnej odpowiedzi. Po godzinie zdecydowałam: JADEĘ. Przecież zawsze mogę stamtąd wrócić, jak tylko będę chciała. Tak przynajmniej sądziłam.

Niedaleko granicy niemiecko-austriackiej zjechaliśmy na stację benzynową. Czekają na niego dwóch braci, wujek i kuzyn. Wszyscy mieszkali w Niemczech, w czasie wojny w Kosowie wielu Albańczyków wyemigrowało do Niemiec. Rushit kazał mi zostać w samochodzie, a sam wyszedł im naprzeciw. Widziałam, jak krzyczeli na niego, starszy brat podał mu zwinięte banknoty, ten rozwinął je, przeliczył i rzucił na ziemię czerwony ze złości. O co im chodziło? O co to zamieszanie? Wiedziałam tylko, że mieliśmy odebrać od nich upominki, które kupili dla rodziny w Kosowie. Ale ich zachowanie wydało mi się dziwne.

Aż do granicy Rushit milczał. Już świtało, kiedy zatrzymaliśmy się zatankować. Czekałam w aucie.

- Jesteśmy w Austrii - powiedział Rushit, podając mi rachunek z kasy z wybitą nazwą miasteczka. Sprawdził na mapie. Okazało się, że granicę przekroczyliśmy nieświadomie już jakieś dwie godziny temu. Trudno było się domyślić, bo większość trasy prowadziła przez góry.

- Zostały jeszcze Włochy, a tam są częste kontrole policyjne. Wiesz, co w razie czego masz mówić? - upewnił się. - Ty legitymujesz się swoimi dokumentami, a ja powiem, że moje ukradli. Oczywiście to potwierdzisz.

Jeszcze w Austrii zjechaliśmy na parking niedaleko autostrady i przespaliśmy się trzy godziny. Mieliśmy wyliczony czas na dotarcie do portu we włoskim Bari. Na miejscu przekonaliśmy się, że nie wszystko poszło tak, jak to zaplanowaliśmy. Rushit dostał wprowadzić bez problemu jakieś zastępcze papiery, ale okazało się, że Polakom potrzebna jest wiza na wjazd do Albanii. Skierowano nas do konsulatu albańskiego, na szczęście w Bari i to niedaleko portu. Złożyliśmy wniosek o wizę dla mnie i czekaliśmy. Wstępna wersja była taka, że okres oczekiwania miał trwać około tygodnia. W efekcie przyszło nam spędzić tam dwa tygodnie. Nawet mowy nie było o jakimkolwiek powrocie. Jedyne co nam pozostało, to spędzić ten czas na miejscu. Spaliśmy więc w samochodzie, myliśmy się w portowej łaźni, jadaliśmy suchy prowiant i... kłóciliśmy się. Rushit coraz częściej zaglądał do butelki. Twierdził, że chciał zapomnieć o problemach. Jaki banalny pretekst. Któregoś dnia uderzył mnie, bo rzekomo spojrzałam na jakiegoś faceta. Bzdura. Trzy razy kontrolowała nas policja. Jednego dnia rano, kiedy szliśmy na kawę do pobliskiej kawiarenki zatrzymało nas dwóch cywili, wylegitymowali się i niemal siłą wepchnęli do mercedesa. Na posterunku rozdzielili nas i poddali dokładnej rewizji. Nic nie znaleźli, bo przecież nic nielegalnego nie mieliśmy. Ale najbardziej zdziwiło mnie to, że w policyjnym komputerze nie było nic o Rushicie. Przecież Rushit był poszukiwany. Po tych wydarzeniach przez całą noc, kilka metrów od nas stało auto z trzema facetami, którzy nie spuszczaali z nas oka. Ze strachu nie spaliśmy całą noc.

11 lutego 2000 roku dostałam w końcu upragnioną wizę i z mieszanymi uczuciami weszłam na pokład statku płynącego do albańskiego Durres. Samochód zostawiliśmy w ładowni. Zaczęła się strefa bezprawia, w państwie, gdzie rządzi mafia, a policja jest jej całkowicie podporządkowana. Rushit najbardziej bał się włamania. Całą noc niemiłosiernie rzucało statkiem, bałam się zasnąć. Leżałam na kolanach Rushita i patrzyłam przerażona na spadające ze stolików popielniczki, butelki i inne rzeczy. Nad ranem trochę się uspokoilo. Dopłynęliśmy do Albanii.

- Chodź szybko - Rushit wrócił z toalety i pociągnął mnie za rękaw w stronę wyjścia.
- Dokąd? - przecież to potrwa zanim dobijemy do brzegu.
- Przedstawię cię komuś.

Na schodkach wśród oczekujących na odprawę stała i machała w naszą stronę para młodych ludzi. Spojrzałam pytająco na Rushita.

- To Albańczycy - wyjaśnił - Chcieli wyemigrować do Italii, ale ich złapali i odsyłają do kraju. Mieszkają tu, w Durres i zaprosili nas na noc. Możemy się u nich wykapać, wyspać i zjeść coś ciepłego. A jutro z samego rana czeka nas najgorsza przeprawa. Popatrz tam daleko. Widzisz?

Spojrzałam we wskazanym kierunku. Chodziło mu o te majaczące w tle góry, to za nimi jest jego ojczyzna?!

ALBAŃSKA RZECZYWISTOŚĆ

To, co zobaczyłam w Durres przechodzi ludzkie pojęcie. Rushit poszedł z tym Albańczykiem do odprawy celnej i zostawił mnie z jego dziewczyną. Kazał pozamykać drzwi i pod żadnym pozorem nie otwierać okien. Nasze auto zaczęły oblegać dzieci w wieku od kilku do kilkunastu lat. Przyklejały noski do szyb i wyciągały błagalnie rączki. Brudne, zaniedbane, poubierane najczęściej w jakieś szmaty, wychudzone i bose.

- Co to za kraj? - mruknełam pod nosem przerażona i otworzyłam szufladkę, wyciągając drobne. Opuściłam okno i zaczęłam rozdawać monety. Dzieci zrobiły się agresywne. Z niewinnych aniołków przerodziły się w diabelstwa, popychały się nawzajem, biły, wyrywały sobie pieniądze, szarpały mnie za rękę, prosząc, wręcz żądając więcej. Na ratunek przyszła mi Albanka. Przechyliła się z tylnego siedzenia, odepchnęła gromadę, wrzasnęła i zamknęła okno. Na migi zaczęła mi tłumaczyć, że nie wolno im dawać pieniędzy, bo z kilku dzieciaków robi się tu cała hołota, a w momencie, gdy otworzę okno nawet nie będę wiedziała, kiedy sięgną do środka i coś ukradną. Potem pokazała mi palcem stojącego obok, podejrzanego wyglądającego typa z saszetką w ręku. Rozejrzał się dookoła, jakby chciał się upewnić, czy nie ma w pobliżu niepowołanych świadków i zaczął nawoływać całą dzieciarnię. Dzieci posłusznie skierowały się ku niemu wyciągając szczipułki rączki i oddając wszystkie pieniądze. Mężczyzna przeliczał je, kiwając głową niezadowolony i wrzucał wszystko do saszetki, dając małym po monecie. W pewnym momencie zauważyłam, jak chwycił ze złością kilkunastoletniego chłopca za poły podartej kurtki i zaczął po kolei przetrząsać mu kieszenie. Chyba znalazł jakieś zatajone przed nim pieniądze, bo uderzył chłopca w twarz tak mocno, że ten aż upadł. Siedziałam jak sparaliżowana, nie wiedziałam, jak mam zareagować. Najchętniej wyszłabym z tego samochodu i albo zrobiła coś temu bydlakowi, albo zawołała policję. Albanka chyba domyśliła się, że chciałam zareagować, bo dała mi do zrozumienia, że to nie ma najmniejszego sensu. Po czym przejechała znacząco po

szyi pokazując, co mnie ewentualnie czeka.

Nagle dotarło do mnie, że żadne z tych dzieci nie zebrało dla siebie. Wszystko oddawali temu cwaniaczkowi. Czy tu nie ma żadnego prawa, a gdzie jest policja? Gdzie są rodzice tych nieletnich żebraków? Spojrzałam na dziewczynę siedzącą z tyłu i chyba musiałam mieć te wszystkie pytania wypisane na twarzy, bo zaczęła mi tłumaczyć, że tak jest w całej Albanii, dlatego ona i jej chłopak chcieli koniecznie wyjechać stąd do Włoch, a potem w miarę możliwości gdzieś dalej. Dotychczas wydawało mi się, że Polska to biedny kraj, a tu okazało się, że w porównaniu z Albanią jesteśmy krajem na wielkim poziomie.

To miała być pierwsza noc spędzona w łóżku po prawie trzech tygodniach koczowania w samochodzie. Nie było jednak mowy o śnie. Oczyma wyobraźni widziałam tych kryjących się w ciemnościach bandytów czekających na swe ofiary. Podobno w Albanii przestępczość sięga zenitu. Nawet policjanci nie kontrolują ulic po zmroku, za duże ryzyko. Leżałam więc koło pochrapującej i śpiącej w najlepsze „miłości mojego życia” i modliłam się o szybkie nadejście poranka. Dopiero kiedy świtało, zdrzemnęłam się trochę.

Okolo południa pożegnaliśmy się z naszymi albańskimi przyjaciółmi, wymieniliśmy numery telefonów i ruszyliśmy w kierunku Tirany, a stamtąd do graniczącego z Kosowem Bajram Curri położonego gdzieś w górach. Takie piękne krajobrazy widziałam wcześniej tylko w telewizyjnych programach przyrodniczych.

Był luty, pogoda była jednak odmienna niż w naszym klimacie. Widać jeszcze było plamy topniejącego śniegu, ale robiło się zdecydowanie wiosennie. Słońce świeciło mocno, jak u nas w maju, odbijało się promykami w górskich potoczkach, które z niezliczonej ilości maleńkich diamentowych kropelek tworzyły niewielkie jeziora w dolinach między górami. Przekonałam się, że Natura tworzy najpiękniejsze dzieła, że tylko jej należy oddawać hołd za osiągnięcia w sztuce. Ileż odcieni miała zieleń albańskich lasów, a jak regularne kształty miały korony tamtejszych drzew. Jak niesamowicie i wymyślnie rzeźbione były ściany górskie. Łakomie chłonęłam tamte widoki i nie mogłam wyjść z podziwu i zdumienia, że jeden z najbiedniejszych krajów w Europie, jest zarazem tak bogaty.

- Dlaczego oni nie wykorzystują tego i nie wybudują tu ośrodków dla turystów?- zagadnęłam Rushita. Przecież mają idealne ku temu warunki.

- Ten kraj dopiero zmartwychwstaje - wyjaśnił mi. - Tu potrzebny jest całkowity remont kraju: ulice, domy, drogi, a potem można pomyśleć o turystyce. Przez czterdzieści lat Albania była w łapach komunizmu, całkowicie odcięta od świata. Nie było szans ani tu wjechać, ani wyjechać. Dopiero od niedawna Albańczycy są wolni i dlatego zachowują się jak psy wypuszczone po długim czasie na wolność.

Mijaliśmy ludzi w ludowych strojach. Kobiety w chustkach na głowach, ubrane najczęściej w białe spódnice do kolan, przepasane czarnymi fartuchami, nogi miały obciążone rajstopami również w kolorze czarnym. Mężczyzn spotykaliśmy przeważnie odzianych w sfatygowane garnitury, ci starsi na głowach nosili jajowate białe lub szare czapki. Jednak im dalej kierowaliśmy się w góry, tym rzadziej spotykaliśmy kogokolwiek, a już w ogóle nie spotykaliśmy kobiet. Rushit wytłumaczył mi, że tam wysoko znajdują się tylko odcięte od świata pojedyncze domostwa. Kobiety są trzymane w domach, aby uchronić je od niepowołanych spojrzeń męskich. Domy stały oddalone od siebie o kilka kilometrów i istniało coraz większe prawdopodobieństwo, że spotkamy na swojej drodze „dzikich ludzi”. Nigdy wcześniej nie spotkałam się z takim określeniem. Kim mogli być ci „dzicy ludzie”?! Poprosiłam Rushita o wyjaśnienie i zaraz tego pożałowałam. W ten

sposób określano tamtejszych wieśniaków, którzy bezprawnie napadali na przejeżdżające samochody i nierzadko zabijali ludzi, by ich potem spokojnie obrabować. Tymczasem widoki wokół nas zaczęły się zmieniać, słońce coraz wstydliwiej wychodziło zza chmur, aż zdecydowało się schować całkowicie, ochłodziło się i wokół zapanowała ponura szarość. Drogi były ośnieżone, jak na zimę przystało, a pobocza gęsto porastały metalowe krzyże, informujące o każdym wraku leżącym w przepaściach. Za każdym zakrętem spodziewałam się jakiegoś zbira odzianego w łachy, z karabinem w ręku. Ostatni budynek mieszkalny minęliśmy jakąś godzinę temu, żywej duszy jak okiem sięgnąć, a Rushit nie chciał się przyznać, że zwyczajnie się zgubiliśmy. Zresztą zablądzić w tamtych terenach nie było sztuką, odkąd wyjechaliśmy z miasta nie widziałam ani jednej tablicy z informacją, ani jednego znaku drogowego. Już traciłam nadzieję, gdy droga rozwidliła się i po krótkim czasie spotkaliśmy przejeżdżający samochód. Zatrzymał się, a Rushit zapytał kierowcę o drogę. Ten zaczął krzyczeć, machał rękoma, składał je błagalnie, w końcu złapał się za głowę i lamentując odjechał.

- Co mu się stało? - chciałam natychmiast wiedzieć.

- Poradził, abyśmy zatrzymali się przy następnym domu i poprosili o nocleg, bo w nocy nie mamy szansy dojechać do granicy. Za dużo bandytów. Moglibyśmy wybrać prostszą drogę, ale tę kontroluje niemiecki KFOR (*siły międzynarodowe*), a boję się, że już mnie szukają. Musimy zaryzykować i jechać w nocy. Od Kosowa dzieli nas niecałe 50 km. W normalnych warunkach byłoby to niewiele, ale na tutejsze warunki to długa droga.

To było okropne przeżycie. Jeszcze nigdy w życiu nie bałam się tak, jak wtedy, gdy przemierzaliśmy te góry w ciemnościach. W pewnym momencie, kiedy droga prowadziła wokół głębokiego wąwozu, zauważyłam po przeciwnej stronie kilka sylwetek ludzkich zbiegających w dół po skarpie. Na początku ucieszyłam się, że w końcu spotkaliśmy kogoś, kto mógłby udzielić nam informacji, upewnić nas, że nie zblądziliśmy, ale zaraz rozpoznałam te podłużne przedmioty, które trzymali w ręku mężczyźni. Chwyciłam Rushita kurczowo za rękaw niezdolna do wyduszenia z siebie słowa ze strachu i gestem wskazałam zagrożenie.

- Dzicy - szepnął, zatrzymał samochód i zgasił światła - może nas nie zauważyli.

- Co ty robisz? - jęknęłam przerażona. - Czekasz aż nas zaatakują?

- Tu nie dotrą. Musieliby przejść przez cały wąwóz w dole, ale jeśli nas wypatrzyli, będą czekali po drugiej stronie wąwozu. Poczekamy. Jeśli nie widzieli auta, zjedą całkiem w dół i wtedy będziemy mieli dosyć czasu, żeby objechać ten wąwóz i zejść im z drogi.

Ze strachu wstrzymałam oddech, skuliłam się i modliłam ze wszystkich sił. Wtedy też uwierzyłam, że są chwile, kiedy człowiek naprawdę może zobaczyć całe swoje życie w krótkich odcinkach. Pomyślałam o swojej rodzinie, którą tak zaniedbałam pochłonięta całkowicie moją miłością. Po kilku minutach Rushit zwolnił ręczny hamulec i auto zaczęło toczyć się powoli, kiedy byliśmy w miejscu, skąd zbiegli w dół ci ludzie usłyszeliśmy krzyki.

- Jedź! - wrzasnęłam.

Włączył silnik i ruszyliśmy przed siebie. Ze względu na kręte i strome drogi nie było mowy o rozwinięciu dużej szybkości, ale i tak najgorsze mieliśmy za sobą. Odetchnęłam głęboko i w tym momencie jakiś dziwny odgłos przeszył powietrze i odbił się echem w górach. Odwróciłam się i... doznałam szoku. Bandyci zostali wprawdzie w bezpiecznej odległości, ale strzelali do nas. Popatrzyłam zdumiona na Rushita, zastanawiając się, czy nie zwariował, ponieważ on najzwyczajniej w świecie się śmiał,

- Spójrz na siebie w lusterku - polecił mi.

Tak też zrobiłam i ujrzałam moją, ale jakby obcą twarz, całkiem bielusięnką jak śnieg na szczytach gór. Powoli wracałam do normy.

- Z czego się śmiejesz, głupku?
- Też byś się śmiała, gdybyś widziała siebie w tamtej chwili, kochanie.
- No wiesz, u nas w Polsce nie latają z karabinami po ulicy - mruknęłam wściekła.

Po dwóch godzinach w oddali zamajaczyły światła. Tam w wiosce wynajęliśmy za 50 DM przewodnika. Okazał się nim mały, jedenastoletni chłopiec o imieniu Naim. Pokazał nam drogę do Kosowa na skróty. W pewnej chwili pojawił się za nami zielony mercedes. Rushit dodał gazu, a Naim wprowadzał go w coraz to inne zakręty, w końcu zgubiliśmy niechciane towarzystwo. Młody Albańczyk odezwał się do mnie łamanym niemieckim:

- To bandyci z mojej wioski. Pewnie chcieli was okraść.
- Skąd znasz niemiecki? - zapytałam.
- W czasie wojny i krótko po jej zakończeniu oprowadzałem wojska niemieckie po tych terenach.
- Co robili Niemcy w Albanii?
- To już prawie Kosowo. Tu ukrywała się przez dłuższy czas partyzantka, a oni ich szukali. Zresztą są tu jeszcze, ochraniają mieszkańców Kosowa wracających po wojnie do domu.

- Szkoda, że akurat dziś zrobili sobie przerwę - bąknęłam pod nosem.

Po niedługim czasie dotarliśmy do Kosowa. Sami pewnie błąkalibyśmy się kilka godzin po okolicy. Ale to nie był koniec naszych przygód, bo kiedy już się wydawało, że nic się nie wydarzy, samochód ugrzązł w błocie. Podczas, kiedy ci dwaj usiłovali wydostać jakoś auto, ja rozglądałam się uważnie. Puste tereny, ani jednego budynku w pobliżu, ciemno, żadnych latarni, nawet księżyc chwilowo skrył się gdzieś. Na horyzoncie czerniały lasy.

- Teraz zaatakują nas jakaś mafia, dzikie zwierzęta albo wilkołak - powiedziałam na głos sama do siebie, trzęsąc się chyba bardziej ze strachu niż z zimna.

Odwróciłam się i aż dech zapało mi w piersiach. Księżyc wyjrzał nieśmiało zza chmur i w jego poświacie ujrzałam stojącą nieopodal ruinę domu. Na ścianie widniał wielki, napisany na czerwono jakby ludzką krwią, a nie farbą, wielki napis: „Welcome to Serbia”. Dookoła wałały się worki z piaskiem, z których w czasie wojny układa się barykady. Oczyma wyobraźni widziałam porzucane wśród gruzów ciała zabitych żołnierzy i cywili. Chcąc wydostać się z tego potwornego miejsca jak najszybciej, pomogłam z całej siły pchać samochód. Nagle poczułam przeszywający ból w brzuchu. Nie zwróciłam na to uwagi, nie przyszło mi do głowy, że od miesiąca nosiłam w sobie dziecko.

MÓJ NOWY DOM

Takiego podekscytowania na twarzy Rushita, jak wtedy, kiedy wjeżdżaliśmy do jego wioski nie widziałam nigdy. Cieszył się jak małe dziecko. Radio nastawił na cały regulator i trąbił jak oszalały, jakby chciał powiadomić wszystkich, że wrócił. Nikt nie wiedział, że wróci tak nagle po czterech latach nieobecności, chciał zrobić niespodziankę.

- Gdzie jest mój dom? - rozglądał się dookoła. - Zobacz co te serbskie psy zrobiły z tym miejscem.

W tych egipskich ciemnościach nie widziałam zbyt wiele, o dziwo nie paliła się ani jedna latarnia, a w domach migały światełka lamp naftowych i świec. Większość budynków ocalała, o niedawno zakończonej wojnie świadczyły tylko ślady po kulach na ścianach budynków. Były też domy całkowicie zrujnowane a ich złowrogie szkielety straszyły przechodniów. W przydrożnych rowach leżały spalone wraki samochodów. Pół roku temu skończyła się wojna, a tu takie widoki. Zresztą jeszcze przez kilka kolejnych miesięcy znajdowano, przeważnie w lasach, zwłoki, odkrywano masowe groby, zdarzało się, że trafiano i na miny. W końcu dotarliśmy na miejsce. Zatrzymaliśmy się przed jakimś wjazdem, nie było żadnej bramy, więc bez problemu wjechaliśmy na podwórze. Stał tam jednopiętrowy dom z tarasem. Rushit zatrąbił raz i nic. Powtórzył sygnał i dopiero po dłuższej chwili z domu wybiegła tęga kobieta w chustce na głowie. Rzuciła się jemu na szyję i zaczęła głośno płakać. Po kilku minutach, kiedy już wyściskali się nawzajem, dali mi znak, żebym wysiadła. Weszłam za nimi do środka. W przedpokoju przywitały nas dwie młode dziewczyny i chłopak. Znałam ich ze zdjęć, więc od razu rozpoznałam w nich brata Rushita: Blerima, siostrę: Shyrete i bratową: Sarandę. Bardzo podobna do Rushita jego jedyna siostra miała kruczoczarne, błyszczące włosy związane skromnie w kucyk, ładną twarz o ciemnej karnacji i ...jasnoniebieskie oczy, co jest rzadkością przy tego typu urodzie. Grube, męskie brwi dodawały jej powagi, chociaż miała bardzo ciepły uśmiech. Żona jego najstarszego brata, który mieszkał w Niemczech, okazała się trzydziestoletnią bardzo zadbaną kobietą. Szczupłą, średniego wzrostu przywitała mnie serdecznie, pocałowała w policzki i mocno przytuliła. Wprowadzono nas do pokoju, gdzie od razu ogarnęło mnie przyjemne ciepło. Usiadłam na materacu koło rozpalonego pieca i rozejrzałam się. W rogu stała pralka, obok piec elektryczny. Jedynym meblem był maleńki kredens. Na nim stał telewizor i radiomagnetofon, na półeczkach poustawiane były filizanki i zdjęcia. Po przeciwnej stronie leżały na wpół oparte o ścianę materace. Akurat nie było światła, więc siedzieliśmy przy zapalanej lampie naftowej, której dusząca woń wypełniała całe pomieszczenie. Prąd odcinano wtedy w całym Kosowie bardzo często. Elektryczność włączano na jakieś dwie godziny i znowu wyłączano, tak co cztery godziny. Skuliłam się w kącie, cała brudna, zmęczona i głodna. Rushit rozmawiał z rodziną, o mnie całkiem zapomniano. Shyrete płakała, a Blerim patrzył na mnie spod byka. Poczułam się głupio i nieswojo, nie rozumiałam ani słowa. Saranda podała nam kawę w malutkich filizankach. Mocna i słodka przypominała espresso, jakie piłam we Włoszech, choć stwierdziłam, że tamta nie smakowała mi aż tak bardzo. Kiedy wypiliśmy, przyniosła miskę i dzbanek z wodą. Podchodziła do każdego, pochylała się i lała wolniutko wodę do mycia rąk. Przypominało to ożywiony, chodzący kran.

- To już przesada, żebyśmy nie mogli wstać i podejść do zlewu - pomyślałam zbulwersowana lenistwem domowników.

Żal mi się zrobiło tej kobiety, miała tu chyba dużo pracy. Rushit musiał dostrzec niesmak na mojej twarzy, bo wytłumaczył, że to normalne u muzułmanów. Ona okazuje w ten sposób swój szacunek dla gości i współmieszkańców tego domu. I gorszym pomysłem byłoby wstać i umyć sobie ręce samemu, bo mogłaby się nawet obrazić. Tymczasem Saranda postawiła przed nami na podłodze dużą tacę, a na niej małą okrągłą blaszkę z albańską potrawą „pite”. Jadłam to już kilka razy u wujka Rushita, kiedy byliśmy w Niemczech. Z wyrobionego ciasta formuje się kilkanaście kulek wielkości pięści, każdą trzeba rozwałkować, następnie nakłada się jedną na drugą smarując między warstwami samym olejem lub olejem rozrobionym ze śmietaną. Ponownie całość należy rozwałkować, to samo należy zrobić z drugą częścią ciasta, utworzą

się z tego dwa duże placki, które przekładać można dowolnie wybranym farszem: kapustą, twarogiem, mięsem mielonym, szpinakiem itd. Piecze się to w okrągłych blachach, w kamiennych piecach na opał. Tutaj jadano to rękoma. To samo robił teraz Rushit, nie był to apetyczny widok. I do tego się z czasem przyzwyczałam. Pamiętam, jak później po powrocie do Polski, miałam problemy, żeby zjeść cokolwiek, posługując się nożem i widelcem.



Powrót do domu po zakończeniu wojny. Do tego stopnia Serbowie zrujnowali dom rodzinny Rushita.

Mimo głodu, jaki towarzyszył mi od kilku godzin, nie potrafiłam prawie nic przełknąć. Poskubałam trochę pite i to było wszystko, co mogłam w siebie wcisnąć. Nasife, matka Rushita, powiedziała coś, wskazując mnie brodą.

- Pyta, czy ci nie smakuje - przetłumaczył.

Nie chciałam Sarandzie, którą już zdążyłam polubić, zrobić przykrości, więc wytłumaczyłam na migi, że po prostu jestem bardzo zmęczona. Rushit kazał mi iść z jego siostrą do drugiego pokoju.

Wstałam posłusznie. Ta zaprowadziła mnie do przedpokoju, pokazała jedne ze znajdujących się tam drzwi i dała do zrozumienia, że to toaleta. Weszłam, postawiłam świecę na umywalce i dokładnie zlustrowałam pomieszczenie. Było niewielkie i wąskie. Wiem, że muzułmanie nie uznają zwykłych sedesów. Do załatwiania potrzeb fizjologicznych służą im wycięte w podłodze dziury, nad którymi kucają. Zamiast papieru toaletowego używają wody. Uważają mycie się za bardziej higieniczny zabieg niż tylko „wytarcie się”. Na szczęście rodzina Rushita okazała się bardziej otwarta na postępy cywilizacji. W ich łazience znajdował się normalny sedes, wanna z prysznicem i umywalka, w kącie stało wiadro z wodą i małym plastikowym pojemniczkiem do jej czerpania. Widać tu było ślady niedawnej wojny: czarne, okopcone i popękane ściany, których widok kłócił się z nowiutkimi, białymi kafelkami. Odkręciłam kran, żeby się umyć, kilka kropli i nic więcej. No tak przecież uprzedzono mnie, że jeśli nie ma prądu, nie działała pompa, która doprowadza wodę do domu. Pozostaje tylko studnia. Elektryczność była tam jednak tak rzadko, że zwłaszcza zimą napełniało się wodą wszystkie pojemniki, na zapas. Z czasem dowiedziałam się, że była to jedyna rodzina, która doprowadziła wodę do domu, miała piec elektryczny i pralkę. Leżąc już w łóżku, usiłowałam wyobrazić sobie strach, który czuli ci ludzie każdej nocy, kiedy zaczęła się okupacja. Nigdy nie było wiadomo, o jakiej porze wpadną żołnierze, żeby wymordować całą rodzinę, a największe zagrożenie nastawało właśnie po zmroku.

PIERWSZY DZIEŃ

- Wstawaj. Rusz się w końcu - mamrotał Rushit potrząsając mną energicznie.
Z trudem otworzyłam oczy i spojrzałam na zegarek, dochodziła dziewiąta.
 - Bądź człowiekiem. Przecież ja przez dwa tygodnie nie spałam - mruknęłam i odwróciłam się na drugi bok. Bezskutecznie.
 - Kobietom nie wolno spać tu tak długo. Wstań w końcu.
Wiedziałam, że nie wygram, ale próbowałam oponować.
 - Chyba jednak ci ludzie mają trochę wyrozumienia i wiedzą, jaką podróż mamy za sobą - warknęłam, odrzuciłam pościel i usiadłam na łóżku.
 - W ten sposób okażesz im swój szacunek, kochanie - powiedział już trochę łagodniej.
Co wy tu macie za jakąś obsesję z tym szacunkiem? A co z tobą? Ty nie okażesz im szacunku?!
 - Ja jestem facetem i mogę spać jak długo chcę - mówiąc to zamkną! oczy, dając mi do zrozumienia, że dyskusja zakończona.
 - Jezus Maria - jęknęłam i wygramoliłam się z łóżka.
 - Na twoim miejscu wzywałbym Allacha, oni nie uznają Jezusa - usłyszałam spod kołdry.
- Postukałam się znacząco w czoło, wyszperałam w walizkach jakieś ciuchy, ubrałam się i wyszłam. Żeby dojść do przedpokoju, musiałam przejść przez salon. Nieśmiało i powoli otworzyłam drzwi. Od razu poczułam przyjemne ciepło i dotarło do mnie, w jakim chłodziu ja spałam. Chyba po tych mroźnych nocach spędzonych w aucie we Włoszech, uodporniłam się już na chłód. Weszłam do pokoju uśmiechając się głupawo i mruknęłam po albańsku „Dzień dobry”. Shyrete, która siedziała na materacu i haftowała coś, odłożyła robótkę i wstała, kiedy weszłam do

pomieszczenia. Saranda krzątała się przy piecu, a Nasife i Ramush siedzieli i palili papierosy. Dziwne wydało mi się, że Shyrete na mój widok wstała, a Nasife nieznacznie uniosła się z miejsca. Zaraz jednak przypomniałam sobie, że to oznaka szacunku, bo jestem tu gościem. Kobiety podnoszą się z miejsca, kiedy do pokoju wchodzi mężczyzna, a młodzi, gdy wejdzie ktoś starszy. No i domownicy, przeważnie płci żeńskiej, szanują w ten sposób gości. Nie obowiązuje to jednak w ścisłym kręgu rodzinnym. Dobrze, że podczas tych przymusowych wakacji we Włoszech Rushit zdążył przybliżyć mi chociaż trochę obyczaje jego kraju, chciał, żeby nie spotkały mnie jakieś nieprzyjemne niespodzianki. Shyrete zaprowadziła mnie do łazienki, żebym mogła się umyć. Kiedy wróciłam, Saranda podała mi napój w szklance i filiżankę kawy. Spytała, jak spałam. Niestety z języka albańskiego znałam tylko zwroty grzecznościowe, ale ojczym Rushita znał język serbski, który należy do grupy języków słowiańskich i ma wiele wspólnego z polskim, próbował tłumaczyć. Często pokazywano mi na migi, czego się ode mnie oczekuje. W końcu Ramush zaczął mi niektóre rzeczy rysować i nazywać je po albańsku, albo tłumaczył mi z serbskiego na albański. Przyniosłam sobie z pokoju zeszyt, długopis i notowałam wszystko, czego się nauczyłam. Mam zdolności językowe, wówczas wydawało mi się, że mogłabym opanować ten język trochę szybciej, ale i tak poszło mi to całkiem nieźle. Około dziesiątej Saranda wniosła do pokoju duży, okrągły stół na krótkich nóżkach i postawiła go na środku. W międzyczasie Shyrete podchodziła do każdego z miską do umycia rąk. Postarałam się zapamiętać kolejność, nigdy nie wiadomo, kiedy ta wiedza mogła się przydać. Miałam nadzieję, że w końcu kiedyś dadzą mi jakieś zajęcie, nie mogę przecież siedzieć cały czas i się nudzić. Zaczęła od Ramusha, głowy rodziny, potem Nasife, ja i Blerim. Wszyscy zakrzętnęli się koło stołu, na którym po chwili znalazło się śniadanie. Na jednym talerzu leżało kilka sporych kawałków smażonej kielbasy, na drugim jajecznica, potem lang i papryka pieczona na ogniu. Jadłam już w Niemczech lang, ale ten wyglądał trochę inaczej. Najpierw trzeba na ogniu podpiec paprykę, obrać ze skórki, usmażyć na patelni, do tego dolewa się śmietanę, wymieszaną z jogurtem lub maślanką i zagęszczoną mąką. Wszystko przyprawia się solą i po kilkuminutowym gotowaniu jest gotowe. Moczy się w tym kawałki pieczywa. Obok tych kilku talerzy na stole pojawił się dzbanek z wodą ze studni, jedna szklanka i gorące jeszcze bułki, upieczone przez Sarandę. Nawet nie łudziłam się, że dostanę jakieś sztuce. Wiedziałam, że oni prawie wszystko jadają rękoma. Łamią palcami pieczywo, moczą w którymś z talerzy i zjadają mlaszcząc ze smakiem. Tu muszę dodać, że młaskanie jest u nich czymś naturalnym, nie gorszy to tak, jak w innych krajach europejskich. Świadczy o tym, że komuś smakuje, co jest przez większość kobiet odbierane jako komplement dla ich zdolności kulinarnych. Na koniec posiłku każdy popija wodę z tej samej szklanki, co wydało mi się obrzydliwe. Podobnie jak poprzedniego dnia, nie dopisywał mi apetyt. Miałam okropne mdłości. Bułki nawet nie ruszyłam, już sam zapach pieczywa mnie drażnił. Zjadłam tylko kawałek kielbasy, poskubałam trochę jajecznicę i wstałam od stołu dziękując za śniadanie. Poszłam do pokoju, żeby obudzić Rushita. Wstał niechętnie, strasznie marudząc. Umył twarz w misce przy piecu i dosiadł się do stołu. Cała rodzina ożywiła się zaraz, rozmawiali jeden przez drugiego, pytali go o coś, śmiali się głośno. Nasife z dumą i nieukrywaną miłością patrzyła na swojego syna. A ja siedziałam w kącie i nagle zatęskniłam za swoją rodziną. Co oni teraz robią?! Czy myślą o mnie?! Czy się martwią?!

- Dlaczego nic nie zjadłaś? Nie smakowało ci? - Rushit przerwał moje rozmyślenia.

No tak, już podzielili się z nim nowiną. Powiedzieli mu, że niewiele zjadłam.

- Oczywiście, że mi smakowało, tylko nie mogę jeść. Niedobrze mi, czuję się jakoś dziwnie.

- To pewnie zmiana klimatu - uspokoił mnie.

Przetłumaczył to swojej matce, a ta spojrzała znacząco na mój brzuch. Fala gorąca uderzyła mi do głowy, poczułam nerwowy skurcz. Boże! Kiedy ja miałam okres?! Nagle olśniło mnie, że to było ponad dwa miesiące temu, przez te nasze przygody we Włoszech i Albanii nie zwracałam uwagi na to opóźnienie, poza tym tłumaczyłam sobie to również stresem, zmianą miejsca pobytu, a ciążę wykluczałam. Wprawdzie staraliśmy się o dziecko, a przynajmniej ja, ale przez ciągle niepowodzenia zaczynałam wierzyć, że pewnie coś ze mną nie tak. Najgorsze było to, że nie miałam z kim porozmawiać, poradzić się. Zabrałam się więc ostro za naukę języka. Późnym popołudniem Rushit przyniósł mi od jakiegoś kolegi słownik niemiecko-albański. Niestety tylko na jeden dzień. W ciągu mojego dalszego pobytu musiałam radzić sobie sama, bez słownika. Do północy uczyłam się przy zapalonej świeczce, układałam sobie rozmowę, którą miałam zamiar przeprowadzić z Sarandą.



Podczas posiłku z Nasife, Sarandą i Shyrete. Na stole widać blachę z pilą.

Na drugi dzień poprosiłam ją, żeby usiadła na chwilę ze mną i zaczęłam jej tłumaczyć, o co mi chodzi. Napisałam jej datę, kiedy ostatni raz miesiączkowałam i zapytałam, czy w moim przypadku wchodzi w rachubę ciąża. Wzruszyła ramionami na znak, że nie wie, po czym obok mojej daty zapisała inną i stwierdziła, że ona też ma dużą przerwę i dlatego w najbliższym czasie wybiera się do lekarza. zaproponowała, że możemy pojechać razem, jeśli Rushit mi pozwoli. Nie rozumiałam, co on ma wspólnego z tym, czy pojedę. Przecież to moja decyzja. Spojrzała na mnie zdziwiona.

- Ale ty nie możesz iść do lekarza bez zgody twojego mężczyzny.

Zabrzmiało ta jakby mówiła „bez zgody twojego pana”. Ta świadomość, że mężczyźni całkowicie dominują nad kobietami i decydują o ich życiu w każdej sprawie, wydawała mi się straszna, ale jeszcze wtedy sądziłam naiwnie, że to absolutnie mnie nie dotyczy. Wprawdzie Rushit ograniczał mi wolność w Niemczech, ale przecież tylko wtedy, gdy nie było go przy mnie,

bo był akurat w więzieniu. Tak to sobie tłumaczyłam.

Na wspólną wizytę do lekarza zgodziłam się od razu, twierdząc, że Rushit nie ma żadnego wpływu na moją decyzję. Sarandą powiedziała, że bardzo dużo mężczyzn nie wyraża wcale zgody na wizyty swoich żon u ginekologa. Chyba, że to jest kobieta, ale kobiety rzadko pracują. No i koło się zamyka. Teraz wiedziałam już na pewno, że to nie ma nic wspólnego z islamem, ale jedynie ze zwykłą męską zazdrością. Rushita postawiłam przed faktem dokonanym: jadę i koniec.

GOŚCIE

Po południu siedziałam sama w pokoju, kiedy wpadła Shyrete i od razu zaczęła szperać w mojej szafce z ciuchami. Patrzyłam na nią nieco zdziwiona, ale o nic nie pytałam, tylko czekałam cierpliwie na jakieś wyjaśnienia z jej strony. Byłam już przyzwyczajona do różnych dziwactw w tym domu, więc i to mnie specjalnie nie zaskoczyło. Pomyślałam zwyczajnie, że pewnie chce pożyczyć coś do ubrania. W końcu chyba przypomniała sobie o mnie, bo odwróciła się i krzyknęła:

- Ubieraj się!

Odruchowo spojrzałam na siebie z trwogą, że może zwariowałam i zapomniałam się ubrać rano. Ale wszystko było w porządku, więc o co jej chodziło?!

- Idziemy gdzieś, czy co?

- Nie, ale przychodzą do nas kobiety ze wsi - odparła nie przerywając grzebania w szafce.

- No i?- chciałam w końcu wiedzieć jaki to ma związek z moją osobą.

Shyrete usiadła obok.

- Iza, to nieważne czy ty przyjechałaś z innego kraju, czy z innej wioski, tu jesteś nusją. Musisz się przyzwyczaić, że teraz będą codziennie przychodziły kobiety z całej wioski, aby cię oglądać.

Już chciałam zaprotestować, że nie jestem żadną krową na sprzedaż, ale Shyrete nie dała mi dojść do słowa:

- Te kobiety, nie przychodzą, by cię upokorzyć, albo zdenerwować. Ci ludzie tobie w ten sposób oddają szacunek. Taki tu zwyczaj, że jeśli jakaś rodzina w sąsiedztwie ożeniła któregoś z mężczyzn, trzeba iść tam z gratulacjami i najlepszymi życzeniami. Wtedy panny młode malują się i przebierają w eleganckie sukienki lub dimi. Ty jesteś dla nich atrakcyjniejsza, bo nie jesteś stąd. Z pewnością już zdążyłaś zauważyć, że mamy taki zwyczaj podnoszenia się z miejsca, kiedy do pokoju wchodzi starsza osoba lub mężczyzna. Nusję obowiązuje to w przypadku każdego, nawet dzieci. Tak jest przez rok, a później wszystko wraca do normy.

- To jest takie upokarzające, żeby wstawać dla byle zasmarkanego dzieciaka! - krzyknęłam zdenerwowana. - Okazywać mu szacunek!

Cała ta sytuacja męczyła mnie strasznie, nie mogłam w tak krótkim czasie opanować wszystkiego, co powinnam wiedzieć o życiu tych ludzi. Byłam bardzo wściekła na Rushita, że przywiózł mnie tu i tak po prostu zostawił na łaskę losu. W domu był tylko gościem. Wstawał w południe, naburmuszony. Kiedy próbowałam z nim porozmawiać, zbywał mnie tylko, obiecywał, że porozmawiamy, kiedy wróci, bo on po przebudzeniu nie jest zdolny do podejmowania ważnych decyzji. Wypijał swoją kawę, przyrzekał, że niedługo przyjedzie i wracał w nocy, kiedy już spałam. Nie wiedziałam gdzie i z kim jest, ani co robi. Byłam w obcym kraju daleko od rodziny, przyjaciół,

wśród ludzi, którzy mnie nie akceptowali, których obyczajów nie rozumiałam. Czułam się okropnie samotna i zagubiona, a od popełnienia jakiegoś głupstwa powstrzymywała mnie myśl o tym maleństwie, które PRAWDOPODOBNIEM w sobie nosiłam.

Zupełnie nie zależało mi na tym, czy dobrze wypadnę przed jakimiś wiejskimi babami. Miałam wręcz ochotę specjalnie popełnić jakąś gafę, żebym już nigdy nie musiała się im pokazywać. Wiedziałam jednak, że jeśli skompromituję rodzinę Rushita, to on osobiście mnie zatłucze, więc wolałam nie ryzykować. Starłam się zapamiętać wszystko, co kładły mi do głowy Saranda i Shyrete. Obie zaproponowały mi też, żebym w razie czego patrzyła na nie, co w danym momencie robią. Chodziło oczywiście o wizyty gości, bo w obecności najbliższej rodziny miałam więcej swobody. Tak więc, żeby odreagować swoją złość i bezradność, klęłam przy każdej okazji jak szewc, a może i jeszcze gorzej. Czasem tylko zdarzały mi się niezręczne sytuacje, które według mnie byłyby normalne w innych cywilizowanych krajach.

Przebrałam się bez słowa w podane mi przez Shyrete spodnie i sweterek. Miałam cichą satysfakcję, że w swoim dobytku nie posiadałam ani jednej spódnicy, ani sukienki, czy choćby eleganckiej bluzeczki, przez co Shyrete wpadała w szal, próbując z tego co miałam, wybrać dla mnie coś najbardziej odpowiedniego. Któregoś dnia zaczęła się zwyczajnie wydierać na swojego braciszka, że nie ma mnie w co ubrać (ja byłam zadowolona z tego, co miałam) i on musi nas zabrać natychmiast do miasta na zakupy. Chyba nie miał tamtego dnia ochoty na żadne awantury, bo zawiózł nas posłusznie bez słowa protestu. Naturalnie to, co mi się podobało, nie podobało się Shyrete i na odwrót. Kiedy próbowałam obstawać przy swoim, Rushit karciał mnie wzrokiem. Moja szwagierka wybrała dla mnie spódnicę, o której już wtedy wiedziałam, że na pewno nie zabiorę jej ze sobą do Polski, bo nawet moja babcia jest zbyt modna, żeby coś takiego włożyć. Spódnica była czarna, długa do kostek w maleńkie gwiazdeczki. Kiedy wsiadałyśmy do samochodu, Shyrete szepnęła mi na ucho:

- Ta spódnica jest trochę wyzywająca. Mam nadzieję, że Rushit nie będzie się denerwował. Ona ma z tyłu rozporek.

Już w domu podczas przymiarki przekonałam się, że rozporek sięgał... połowy łydek. I to miało być wyzywające?! Pomyślałam sobie w tamtej chwili, że chyba bardzo łatwym zadaniem musi być dla tutejszych kobiet podniecić swoich mężów. Co oni by zrobili, gdyby przespacerowała się tu jakaś laska w mini?! Pewnie dlatego muzułmanie przebywający w innych krajach europejskich mają opinię niewyżytych zwierząt. Nie chciałabym tu obrazać nikogo, ale to jest ogólna opinia kobiet, które znałam w Niemczech i które były związane z Albańczykami z Kosowa, albo z Turkami. Bardzo szybko dowiedziałam się, że na szczęście takie zacofanie panuje głównie w wioskach. Ale „na szczęście” dla kogo? Na pewno nie dla mnie... Miałam więc swoją elegancką kreację, która stawała się niezastąpiona podczas wszelkich wizyt. Często rozważałam możliwość podpalenia tej kiecki, albo podarcia na strzępy, ale wówczas istniało ryzyko, że natychmiast zostanie zakupiona dla mnie jeszcze jedna i to o sto razy brzydsza, o ile takowa gdzieś istniała...

Do tego całego przygotowania na przyjęcie gości dochodził jeszcze makijaż. Gdybym nie wiedziała o wrodzonej skromności kobiet w Kosowie, widząc je w takim makijażu, zastanowiłabym się nad ich profesją. Mocno pomalowane na czerwono usta, powieki muśnięte cieniami we wszystkich możliwych kolorach tęczy, oczy obrysowane czarną konturówką. Włosy musiały być obowiązkowo długie i ciemne, upięte w tradycyjny, niemodny już kok. Dopiero po wojnie niektóre, odważniejsze niewiasty farbowały się na blond. Zdarzały się też krótsze fryzury.

To ostatnie zjawisko spowodowane było raczej chęcią utrzymania higieny w czasie wojny, kiedy to wśród uciekinierów, żyjących w lasach nieuniknione były wszy. Krótkie włosy były prostsze do pielęgnowania. Można sobie łatwo wyobrazić, jaką sensację wzbudziłam we wsi jako blondynka, obcięta króciutko, po chłopięcemu, w dodatku z różą wytatuowaną na ramieniu. Pamiętam, jakie walki toczyłam później, latem, żeby móc założyć koszulkę na ramiączkach. Mimo krzyków i awantur, postawiłam wówczas na swoim. W końcu Shyrete wprowadziła mnie do pokoju, gdzie siedziało pełno starszych kobiet. Powiedziałam ogólne „Dzień dobry” i usiadłam szybko w kącie. Czułam się jak skazaniec pod ostrzałem spojrzeń tych wszystkich bab. To było okropne uczucie. Tymczasem Shyrete zaczęła się witać w bardzo dziwny sposób. Podchodziła do każdej z siedzących kobiet, podawała jej rękę i pytała o zdrowie każdego członka jej rodziny. Była to długa i monotonna procedura. Mówiła stosunkowo cicho, usłyszałam za to sąsiadkę, która pytała ją:

- Jak czuje się Ramush?
- Dobrze - odpowiadała moja szwagierka.
- A jak czuje się Nasife?
- Dobrze.
- A jak czuje się Saranda? Dobrze.
- Jak czuje się nowa nusja?
- Dobrze.
- Gratulacje, że ożeniliście Rushita.
- Dziękuję.

Potem pytała się jeszcze o pozostałych członków rodziny. Uznałam to za strasznie męczące i bez końca. W tym czasie, kiedy Shyrete witała się z gośćmi, Saranda podała każdej z nich szklanekę napoju pomarańczowego. Jeśli nie ma w takich sytuacjach w domu napoju, można podać tylko kawę. Dla rodziny, która akurat niespodziewanie wpadnie z wizytą, zaparza się herbatę. Jej picie to rytuał. Przygotowuje się ją w specjalnym, dwuczęściowym, piętrowym czajniczku, na górze duży, a pod spodem mniejszy. Kiedy woda w tym dużym całym czasie gotuje na niewielkim ogniu, esencja herbaciana w małym imbryczku zaparza się dłużej, przez co napój jest smaczniejszy. Do picia herbaty cała rodzina zasiada bezpośrednio po każdym posiłku, czyli przeważnie dwa razy dziennie. Wyjątkiem są właśnie odwiedziny gości. Podaje się ją w malutkich, specjalnych szklaneczkach, które mają taki kształt, jak polskie kieliszki do wódki, ale są dwa razy większe. Do tego podaje się malutkie łyżeczki jak z zestawu dla lalek i szklane lub porcelanowe spodeczki.

Najczęściej herbatę piją słodką, słabą i kilka szklaneczek podczas jednej ceremonii. Starsi zdecydowanie wolą gorzką, mocniejszą i dolewa im się po kilkanaście razy. Doszłam do wniosku, że ci ludzie utrudniają sobie życie. O ile prościej byłoby zrobić sobie herbatę w porządnym kubku i nie męczyć tej biednej Sarandy, która zamiast odpocząć sobie po jedzeniu, musiała przez półtorej godziny wstawać i siadać, żeby nalać herbatę. Gdy podzieliłam się moją opinią z Rushitem wytłumaczył mi, że to nie chodzi tylko o napicie się herbaty, ale o delektowanie się nią, i o czas spędzony z rodziną, kiedy swobodnie można rozmawiać, słuchając muzyki lub oglądając telewizję.

HISTORIA NASIFE

Tego popołudnia wyjątkowo nikt nas nie odwiedził, a wszyscy mężczyźni gdzieś wyszli. Zostałam tylko z Nasife, Saranda i Shyrete. Wprawdzie opanowałam niewiele słów, ale mogłam się już swobodniej porozumiewać. Porozmawiałyśmy trochę o różnicy obyczajów w naszych krajach i wtedy dowiedziałam się, że Shyrete jest zaręczona. Wiedziałam, że przyszłych małżonków szuka się w pobliskich wsiach a to ze względów praktycznych, żeby nie było za daleko do rodziny. Swatają zaś ludzie, którzy znają dwie rodziny. W przypadku Shyrete było trochę inaczej. Siostra jej ojca zeswatała ją ze swoim szwagrem. Dziewczyna miała to szczęście, że widziała już swojego przyszłego narzeczonego na ślubie swojej ciotki, niestety było to ponad dziesięć lat temu. Mieli wówczas po kilkanaście lat. Liczyła jednak na gust swojej swatki i miała nadzieję, że jej przyszły mąż nie okaże się antypatyczny i odpychający. Dopiero przed kilkoma dniami Blerim przemycił w tajemnicy zdjęcie młodzieńca. Shyrete wymusiła na mnie przysięgę, że nikomu o tym nie powiem i pokazała mi fotkę. Uśmiechał się na niej wysoki, barczysty, ciemnowłosy i dość przystojny dwudziestokilkulatek. Słyszałam dużo o kojarzeniu par, w których dziewczyny dopiero w dniu ślubu widziały swojego partnera, z którym miały spędzić całe życie. Nie zawsze w takich przypadkach małżeństwo szło w parze z uczuciem, ale to było najmniej ważne. Kobieta miała wykonywać prace domowe, być posłuszną i rodzić dzieci, najlepiej chłopców. Rozwody nie wchodziły w rachubę. Tylko mężowie niezadowoleni ze swoich żon mieli prawo odesłać je do domu rodzinnego, zatrzymując dzieci, albo poszukać sobie innej małżonki, co praktykowało się głównie w przypadkach, kiedy żony nie mogły mieć dzieci lub rodziły same dziewczynki.

Zaręczyny Shyrete wywołały skandal w rodzinie. Jej ojczym, który był jednocześnie bratem ciotki - swatki, nie zezwolił na ślub. Stwierdził, że znajdzie lepszego, a przede wszystkim bogatszego kandydata na męża. Shyrete, której wybranek bardzo się podobał, obstawała przy nim i stwierdziła stanowczo, że ten, albo żaden. Do narzeczeństwa doszło, ale od tamtej pory Ramush zerwał wszelkie kontakty ze swoją siostrą i zabronił jej przychodzić do swojego domu, a ze swoją pasierbicą nie zamienił ani słowa. Baki, żeby pokazać, że nie należy do nieudaczników życiowych i jest wart swojej narzeczonej wyjechał jeszcze przed wybuchem wojny w Kosowie do pracy do Niemiec, pracował tam ciężko i wysyłał po kilkaset marek swojej rodzinie, która z kolei przynosiła to jako podarek dla lubej. Zdziwiłam się, że obowiązkiem każdego mężczyzny jest utrzymywanie ukochanej przed ślubem w okresie narzeczeństwa. Dawanie pieniędzy na osobiste wydatki i kupowanie ubrań, złotej biżuterii było normalne. Uznałam to za miły obyczaj. Jednak Saranda porównała to do kupowania krowy, a Nasife dodała, że tak jest przed, bo po ślubie na nic nie można liczyć. Oczywiście nie ma mowy o żadnym spotkaniu młodych, chociaż ostatnio zaczyna wchodzić to w modę i przestaje gorszyć otoczenie.

Narzeczeństwo może trwać od kilku tygodni do kilku lat. Zależy to od stanu majątkowego pana młodego. Im bogatszy, tym krótszy był okres narzeczeństwa. Stać go bowiem na kupno wszelkich podarunków od razu. Kobiety jako posag wnoszą w małżeństwo wyroby tworzone ręcznie kilka, a nawet kilkanaście lat: serwetki, obrusy, pościel. Zapytałam Shyrete, kiedy wychodzi za mąż, stwierdziła, że tego nie wie nikt, oprócz pana młodego. W każdej chwili mógł przyjść ktoś z rodziny Bakiego i zawiadomić, że jest on gotowy wziąć żonę do siebie. Na razie siedziała cały dzień z szydełkiem, albo drutami w ręku i marzyła o szybkim i szczęśliwym

zamażpójściu.

Zawsze miałam talent do nauki języków obcych, ale albański szedł mi dość opornie, głównym powodem był brak podręczników i innych pomocy, choćby słownika. Rushita prawie wcale nie było w domu i nie miał mi kto pomóc w ewentualnym tłumaczeniu. Dlatego nie uczestniczyłam prawie w życiu rodziny, miałam za to dużo wolnego czasu na obserwacje. I jak to przeważnie bywa, rzeczywistość okazała się całkiem inna niż to, co sobie wyobrażałam. Najmniej zrozumiałe w tej sytuacji było to, że te kobiety wydawały się całkowicie pogodzone ze swoim losem, a nawet były zadowolone. Przynajmniej takie wrażenie sprawiały, bo mimo trudu i ogromu codziennej pracy potrafiły być wesole, śmiać się i przyjmować gości tak, aby każdy z nich czuł się najważniejszą osobą w tym domu. Właśnie to wzajemne odwiedzanie się, witanie w szczególnie sposób i cała gościnność tworzy wyjątkowość tego narodu. Chociaż z tego, co mi później opowiadano wynikało, że po wojnie dużo się zmieniło. Końcowy posiłek dnia zwany drek nigdy nie był spożywany przed przyjazdem ostatniego autobusu do wioski. Tak na wszelki wypadek, gdyby ktoś jeszcze miał przyłączyć się do kolacji. Dużo jednak w życiu mieszkańców Kosowa było sprzeczności. Z jednej strony starali się być bardzo pedantyczni, czasem aż do przesady, z drugiej jednak strony to chyba najbardziej bałaganiarski naród jaki do tej pory miałam okazję bliżej poznać.

Najczęściej małżeństwa zawierane wśród muzułmanów na wsi były czymś w rodzaju kontraktów, w których „kupowano” sobie żony i „przełamywano” potencjalnych panów młodych. Oczywiście zdarzały się i tam małżeństwa z miłości (prawdziwej!). Zależało to już od rodziny, a ściślej mówiąc od jej głowy. W każdej bowiem szanującej się rodzinie muzułmańskiej to najstarszy mężczyzna decydował o losie wszystkich domowników. Do niego więc należało wybranie męża dla swojej córki bądź też żony dla syna. Bardzo rzadko jednak zajmował się swataniem osobiście, to należało do swata, albo swatki. Pary kojarzyli przeważnie ludzie starsi. Wyszukiwali wśród rodziny, albo znajomych młodych, jeszcze nikomu nie obiecanych, nadających się do zawierania związków i swatali ich ze sobą. Nie miała dla nich znaczenia ani uroda, ani różnica wieku między wybrankami. Następnie po upatrzeniu kandydata, a raczej ofiary, taki swat, wybierał się do rodziny innej ofiary. Rozmowa przebiegała za zamkniętymi drzwiami, tylko w obecności rodziców, ojciec mógł, choć nie musiał, zapytać o zdanie córkę lub syna. Młodzi dowiadywali się o swoim narzeczeństwie często dopiero po zawarciu takiej właśnie umowy. Nierzadko słyszało się o popełnianych samobójstwach, których przyczyną była nieszczęśliwa miłość. Przykładem takiego bezmyślnego swatania była Nasife, matka Rushita. Miała cztery lata, kiedy jej ojciec w jednym z wiejskich sklepików, dokąd chodził pograć w karty, wypić czaj i pogawędzić z innymi mężczyznami spotkał Ajetę. ojca dziesięcioletniego wówczas Islama. Znali swoich przodków, wiedzieli jeden o drugim, skąd pochodzą, jakie mają rodziny i zdecydowali się... zaręczyć swoje dzieci. Od tamtej pory Hasan Krasnią i Ajet Thaqi widywali się często choć do spotkania „narzeczonych” nie doszło. Teraz jedynym problemem Hasana było dbać o córkę. Kiedy Nasife ukończyła sześć lat Hasan zdecydował się nie posyłać córki do szkoły, uznał to za zbyt kosztowne, bo wychodził z założenia, że skoro już ma narzeczonego, to nie musi się kształcić. Żeby jednak uchodzić w oczach ludzi z wioski za postępowego człowieka, kazał jej do szkoły wychodzić, ale pod żadnym pozorem... nie wchodzić do środka. Sąsiedzi mówili o nim: jaki to dobry człowiek i jak bardzo się stara, żeby córkę wychować na ludzi, dba o to, żeby mała Nasife umiała czytać i pisać, a ona taka niewdzięczna i nie chce chodzić na zajęcia. Mało kto wiedział jednak, że pewnego dnia, kiedy

Nasife weszła do szkoły pchnięta czystą ciekawością, jej brat poskarżył ojcu i dostała tęgie łanie za nieposłuszeństwo.

Tak więc Nasife, choć analfabетка, mogła się pochwalić przynajmniej, że przekroczyła próg szkoły. W tamtym czasie analfabeci stanowili 80% Albańczyków mieszkających na wsi. Ule całe dnie przygotowywała się do zamążpójścia, czyli haftowała, szyła, robiła na drutach. Wszystko, co wytworzyła wchodziło w skład jej posagu. Już kilkuletnie dziewczynki uczą się robótek ręcznych, wymieniają się wzorami i kompletują sobie wszystko to, co będą musiały zabrać ze sobą do domu przyszłego męża: pościel ręcznie haftowaną, serwetki, obrusy, sweterki robione na drutach lub na szydełku. Piętnastoletnia młodzianka mieszkanka Kosowa jest już gotowa, pozostaje jej czekać na narzeczonego.

Wracając do historii Nasife: miała trzynaście lat, kiedy zaczęły się jej problemy ze zdrowiem. Bolały ją kolana i żaden lekarz nie wiedział, co było przyczyną jej dolegliwości. Ojciec woził ją po różnych specjalistach, ale powodem tego była nie tyle troska o jej stan, co strach, że rodzina Thaqi może zerwać zaręczyny, kiedy dowie się, że przyszła żona Islama to „wybrakowany towar”. I gdy tylko jej stan uległ znacznej poprawie, zdecydował, że to najwyższy czas, żeby Nasife wysłać do męża. Miała wówczas czternaście lat. Los jednak okazał się dla niej łaskawy, bo Islam był przystojnym, zdrowym i przede wszystkim dobrym człowiekiem. Nasife zakochała się w mężu i to ze wzajemnością. Do swojego nowego domu wkroczyła jako jedyna nusja, czyli w dosłownym tłumaczeniu „panna młoda”. Jej mąż był najstarszy z rodzeństwa, po nim byli kolejno Bajram, Sahit, Ramush, jedyna siostra Shoha i najmłodszy: Sadri i Sejdi. Miała więc dużo pracy, bo cały dom był na jej głowie. Do tego Bajram zniechęcił ją od pierwszego momentu i dawał jej dowody na każdym kroku. Wkrótce Islam wyjechał do Niemiec do pracy, przyjeżdżał bardzo rzadko, a każda jego wizyta okazywała się dosłownie brzemienne w skutkach. Pierwsza urodziła się dziewczynka, która zmarła wkrótce, rok później na świat przyszedł Kastriot, po dwóch latach Rushit, po nim następne dziecko, które przeżyło tylko dwa tygodnie, na końcu urodziła się Shyrete. W wieku 28 lat Islam zachorował na raka jelit. Nie uratowała go nawet przeprowadzona w Niemczech operacja. Po jego śmierci tak, jak nakazywała tradycja Nasife powinna zostawić dzieci w domu męża, a sama wrócić do swojej rodziny. Jednak od teściów dostała szansę. Pozwolono jej pozostać w domu męża razem z dziećmi, pod warunkiem, że będzie posłuszna, i zdecyduje dalsze życie prowadzić bez mężczyzny. Oczywiście młoda wdowa i matka ślepo zakochana w swoich dwóch synach i córce wolała nie zostawiać dzieci na pastwę szwagra Bajrama i wybrała samotne życie. Tu jednak wtrącił się jej najstarszy brat, Ramadan, który po śmierci ojca stał się automatycznie głową rodziny.

- Moja siostra nie będzie plamiła honoru naszej rodziny jakimiś pogańskimi obyczajami - brzmiały jego słowa - Jest muzułmanką, więc musi należeć do jakiegoś mężczyzny. Jednak wiedział o tym jak podły potrafił być Bajram dla dzieci swojego zmarłego brata, więc wspaniało-myślnie rozważył inną możliwość. Zdecydował, że Nasife może poślubić któregoś z braci Islama. Na szczęście jej prześladowca w międzyczasie zdążył ożenić się, więc nie wchodził w rachubę. Następnym w kolejce do ożenku był Ramush.

W tamtym czasie, a nawet później, już po wojnie często praktykowano zwyczaj dziedziczenia żony po zmarłym bracie. Nikt nigdy nie liczył się z opinią kobiety w tej sprawie. Jak trudne musiało być dla matki Rushita poślubienie mężczyzny, który był młodszy od niej o pięć lat, którego można powiedzieć, że wychowywała. Miał przecież jedenaście lat, kiedy pierwszy raz

przekroczyła próg swojego nowego domu. Był jeszcze dzieckiem. Sytuacja nie przedstawiała się dobrze także dla Ramusha. dopiero przed rokiem uzyskał pełnoletność, był przystojny, mógł przebierać w młodych, pięknych dziewczętach, a tu dostaje żonę w spadku po bracie, dojrzałą kobietę z trójką dzieci. To go przerosło i uciekł z domu. Przez dwa tygodnie ukrywał się, gdzie tylko mógł. W końcu musiał poddać się woli ojca i Ramadana. Długie lata nie mogli zrozumieć ani Ramush, ani Nasife, dlaczego muszą się tak męczyć. Z tej sytuacji było jednak lepszego żadne wyjścia, musieli pogodzić się z losem. Ramush niestety za wszystko winił swoją żonę i okazywał jej swoją złość, kiedy tylko mógł. Nasife otrzymała od rządu niemieckiego comiesięczną rentę, która pozwalałaby jej na całkiem dostatnie życie. Jednak zgodnie z tradycją pieniądze trzymali najstarsi mężczyźni w rodzinie. Ona sama nie miała nic do powiedzenia w tej sprawie, nie miała nawet szans na sprzeciw, naraziłaby się bowiem mężowi, który i tak używał wobec niej często przemocy. Za pieniądze Nasife i jej dzieci wkrótce ożeniono Sahita, potem Sadriego, a Sejdiego wysłano do Niemiec, do pracy. Po jakimś czasie ta sytuacja przestała podobać się również Ramushowi, bowiem i jemu ograniczono dostęp do gotówki. Po śmierci Ajeta jego synowie mieli prawo podzielić ziemię i wybudować własne domy.

W międzyczasie Nasife urodziła jeszcze dwóch synów: Afrima i Bleri-ma, więc niepodobna było pomieścić się w tyle osób w jednym pokoju, tym bardziej, że dawnym zwyczajem część pomieszczenia zamieszkiwała... krowa. W tamtych czasach nie kupowano dywanów, rzadko kiedy wylewano betonowe posadzki, najczęściej spano na materacach położonych bezpośrednio na ubitej ziemi. Jeśli w domu było mało pomieszczeń, a krów było dużo, w pokoju, gdzie sypiano wygospodarowywano część dla bydła. Jakoś nie mogłam sobie tego wyobrazić, ale wszystko wydawało mi się prawdopodobne.

Jak wygląda dzień wieśniaczki na Bałkanach? Jak żyją? Czy są naprawdę szczęśliwe, czy tylko pogodzone z losem? Staralam się odpowiedzieć sobie na te pytania. Po wojnie tradycja ginie w tle, blaknie, wielu Albańczyków zastanawia się, kim właściwie są, czy żyją pod opieką Allacha, czy może innego Boga. Tylko starsi są nadal wierni temu, co przekazywano im z dziada pradziada. Pamiętam słowa teściowej, kiedy biadoliła:

- Boże! Dokąd my pójdziemy po śmierci?

Staralam się zaproponować im swoje nowoczesne poglądy, ale z niewielkim skutkiem.

- Opowiedz mi, proszę więcej o waszych obyczajach - poprosiłam kiedyś Sarandę.

- Po prostu mnie obserwuj, to najwięcej zobaczysz - powiedziała, po czym oddaliła się do przerwanej pracy.

Z reguły nie wstawałam później niż o ósmej, ale widząc wysprzątany dom i już zmęczoną Sarandę, zdawałam sobie sprawę, że jej dzień zaczął się o wiele wcześniej. W końcu miałyśmy okazję do szczerzej rozmowy. Tamtego dnia cała rodzinka pojechała gdzieś z wizytą. Nie uszedł mojej uwadze również fakt, że Saranda rzadko wyjeżdżała, a jeśli już to tylko do rodzinnych Baic. Pomyślałam sobie, że to prawdziwy, współczesny Kopciuszek. Chciałam dowiedzieć się od niej, dlaczego jest jedyną osobą, która cokolwiek w tym domu robi.

- Takie są nasze prawa. Jestem nusja, a więc wykonuję to, co do mnie należy. Co nie znaczy, że nie mogliby mi pomóc - dodała ściszym głosem - Zwłaszcza Shyrete...

- No właśnie. Też zauważyłam, że ona siedzi cały dzień, albo chodzi do sąsiadki obok na plotki. Przecież jest młoda, zdrowa, nie ma żadnych zobowiązań, bo szkołę już skończyła. Dlaczego tobie nie pomoże?

- Strasznie głupio mi o tym mówić, ale ona się buntuje, bo... - tu Saranda przerwała i zakłopotana odwróciła głowę.

- No powiedz - poprosiłam ją ciekawa, czy ma to jakiś związek z moją osobą. Nie było to dla mnie żadną nowością, wyraźnie czułam niechęć mojej szwagierki do mnie.

- No... - ponaglałam. - Bo widzisz, ja ci to wytłumaczę od początku. W naszym kraju kobiety nie znaczą dużo. Mamy takie zwyczaje, które musimy szanować. Matka wybiera żonę dla swojego syna, żeby ta rodziła dzieci i ją samą wyręczała w pracy. Przez pierwszy rok trwania małżeństwa to do mnie należy sprzątanie domu, zmiatanie podwórka, przygotowywanie posłania wszystkim domownikom, pranie, robienie kawy, herbaty. Po roku dochodzi do tego również pieczenie chleba. Ale przez te dwanaście miesięcy, a jeśli jest dużo pracy to i dłużej, to teściowa piecze chleb, gotuje i doi krowę. Właściwie powinnam zmywać tylko szklanki, naczynia zmywam już sama od siebie, by tym samym okazać szacunek matce mojego męża.

- Tu chyba nie masz innego wyboru, prawda? - zapytałam wprost.

Jej nieśmiały uśmiech wystarczył mi jako odpowiedź. Wróciła do rozmowy:

- Jeśli w domu jest młodszy mężczyzna, co przeważnie się zdarza, bo jak wiesz kobiety u nas rodzą dużo dzieci, i on bierze sobie żonę, to zmieniają się nasze role. Teściowej pozostaje tylko krowa. Do mnie należy pieczenie chleba, pomywanie i przygotowywanie posiłków. Najmłodsza zaś przejmuję moje obowiązki. Jeśli w rodzinie są jakieś córki, które jeszcze nie wyszły za mąż mogą pomagać w pracy, ale nie muszą. To zależy od nich. Shyrete czasem coś pomogła, ale tylko dlatego, że nie zdołałam podołać wszystkiemu. Jak pewnie zauważyłaś nasza teściowa jest słabego zdrowia...

- Zwykła hipochondryczka - weszłam jej w zdanie.

- Może nie jest aż tak chora jak twierdzi, ale nie jest też zdrowa.

- Przecież widzę, że symuluje. Cały dzień potrafi przeleżeć, do tego ma apetyt za dwóch i pali paczkę dziennie. Przed pracą ciągle źle się czuje, ale niech nadarzy się okazja, żeby gdzieś wyjść, to rusza się jak nastolatka.

- Ma nadciśnienie - Saranda nadal próbowała ją bronić.

- Przecież ona waży ponad sto kilo, je dużo, do tego nie żałuje soli, uwielbia ostre przyprawy i pali super mocne fajki. Ona MUSI mieć nadciśnienie przy takim trybie życia.

Saranda zaśmiała się mimo woli, w jej oczach widziałam szczerą sympatię do mnie, ja też ją polubiłam.

- Mimo wszystko tutaj muszę teraz piec chleb i robić pite. Nie zawsze daję sobie z tym radę, więc Ramush kazał Shyrete pomagać mi w prowadzeniu domu. Kiedy przyjechałaś wprowadzić nie zaakceptowała ciebie, bo miała nadzieję, że Rushit ożeni się tu w Kosowie z prawdziwą muzułmanką, a nie z chrześcijanką, w dodatku z koczowniczym w nosie...

- zaśmiała się wesoło - Ale miała jednak nadzieję, że przejmiesz obowiązki w domu jako nusja.

To o to chodzi - doznałam olśnienia. - To dlatego jest na mnie taka cięta!

Moja rozmówczyni wyraźnie się przestraszyła i starała się teraz załagodzić jakoś sprawę:

- Ale nie mów o tym nikomu, dobrze? I w ogóle jest mi bardzo głupio. Ty nie musisz pracować, ja nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało. Chciałam tobie wytłumaczyć, dlaczego ona mi nie pomaga.

- Poczekaj - chwyciłam ją delikatnie za ramię, usiłując uspokoić. - Przecież ja się wcale

nie gniewam, że mi o tym powiedziałaś. Tyle razy prosiłam cię o jakieś zajęcie, tyle razy chciałam ci pomóc, a ty nie dopuszczałaś mnie do niczego, czemu? Ja tu jestem od prawie dwóch miesięcy, ty sobie nawet nie wyobrazasz, jak ja się tu nudzę. Byłabym wręcz szczęśliwa, gdybym mogła tu coś w końcu zrobić. Nie mogę już usiedzieć w miejscu, błagam cię: daj mi jakąś pracę.

Spojrzała na mnie jak na wariatkę.

- Ależ ja nie mogę tak zwyczajnie powiedzieć tobie, żebyś pozamiatała, albo przyniosła wodę. Kiedy mnie pytałaś, czy możesz mi pomóc, głupio mi było angażować ciebie do czegokolwiek.

- Ile razy chciałam zacząć coś robić, ale miałam trochę stracha, że powiesz mi, że to twój dom i nie mogę się tu do niczego wtrącać.

Tamtego wieczoru wiele zrozumiałam i ucieszyłam się nawet, że moje długie, nudne dni dobiegły końca. Gdybym wiedziała, że biorąc się za pracę, podpisuję na siebie wyrok. Może jako siedząca ciągle w kącie i nie przynosząca swojej obecności żadnych korzyści, miałabym w przyszłości większe szanse na opuszczenie Kosowa. Tymczasem z nudów i trochę dla zabicia czasu, zakasałam rękawy i całe dni spędzałam na pracy. Saranda coraz częściej kazała się wozić do lekarza. Była osiem lat po ślubie, dwa razy poroniła, raz urodziła słabiutkie dziecko, które zmarło wkrótce po porodzie. Tym razem musiała na siebie uważać. Podobno Kastriot brał pod uwagę drugie małżeństwo. Teściowa dmuchała na nią i chuchała, żeby ta w końcu urodziła jakieś dziecko i nie trzeba będzie brać nowej nusji, bo wiązą się z tym straszne koszty. Saranda trochę się wycwanila i zaczęła to wykorzystywać. Po kilku miesiącach wszystkie obowiązki oprócz pieczenia chleba i dojenia krowy spoczyły na moich barkach. Przecież byłam okazem zdrowia, nie jak ta biedna, schorowana Saranda, którą ciąża tak osłabiła. Nie miałam o to do niej pretensji, tym bardziej, że wiedziałam, ile w życiu przeszła, czasem tylko zastanawiałam się, czy pamiętała naszą rozmowę o hipochondrii.

Może to los i niełatwe życie sprawia, że kobiety mieszkające w Kosowie, mimo że tak ograniczone przez prawa ustalone wieki temu, potrafią być jednocześnie tak silne. Po kilku dniach znowu miałam okazję do wymiany poglądów z Saranda. Tym razem chodziło o sprawy damsko-męskie. Była to kolejna dyskusja, w której ja nie rozumiałam dlaczego tak ma być, a Saranda nie rozumiała, dlaczego ja nie rozumiem, że tak ma być:

- To dziwne, żeby kobieta nie mogła przytulić się do swojego męża publicznie. Co za barbarzyńskie obyczaje. Nie mogę sobie wyobrazić, że Kastriot przyjeżdża po kilku miesiącach do Kosowa, a wy na przywitanie podajecie sobie ręce - powiedziałam do Sarandy.

Ona na to, że owszem, może go objąć, ale dopiero w swoim pokoju, kiedy zostaną sami.

- Ale chyba idąc gdzieś razem, trzymacie się za ręce albo coś w tym stylu? - byłam ciekawa.

- Coś ty, to byłby skandal na całą wieś.

- Gdzie ty go w ogóle poznałaś? Kto was zeswatał?

Siedziałyśmy same w domu. Ramush i Blerim poszli w pole. a Nasilę z Shyrete do sąsiadki. Mogłam wykorzystać ich nieobecność i porozmawiać z nią szczerze. Bardzo ją lubiłam i naprawdę miałam nadzieję, że się zaprzyjaźnimy. Saranda zanim zaczęła opowiadać, uprzedziła mnie, że ich wioska i okolice są chyba najbardziej zacofane w całym Kosowie i nie jest to przesada. Ona pochodzi ze wsi, która leży oddalona stąd o jakieś trzydzieści kilometrów i należy do komuny Gillogovc. Chodziła razem z Kastriotem do gimnazjum, do jednej klasy. Dopiero po ponad roku znajomości dowiedziała się od koleżanki, że mu się podoba. Niestety bez wzajemności, bo

Kastriot nie był w guście Sarandy. Owszem przystojny, zdolny, ale za spokojny. Mimo to nadal przyjaźnili się i całą paczką chodzili na spacer, tak rozkwitło ich uczucie. Zaczęli się odwiedzać w domu. Saranda dodała też, że Rushit przyjeżdżał często po nią i przywoził do ich domu.

- Jak to możliwe, że udało ci się samej wybrać sobie męża i jeszcze spotykać się z nim przed ślubem - nie mogłam tego zrozumieć, zwłaszcza po usłyszeniu historii Nasife i Shyrete.

- To zależało też od rodziny. A mojej zależało na wykształceniu mnie. Tata przed śmiercią tak sobie zażyczył. Chodziłam do gimnazjum, potem studiowałam fizykę razem z Kastriotem, ale tylko kilka miesięcy. Oboje przerwaliśmy ze względu na problemy polityczne. Zaczęły się zamieszki, demonstracje, masowe aresztowania, zrobiło się niebezpiecznie. Krótco po tym jak zrezygnowałam ze studiów, wzięliśmy ślub. Moja mama nie wiedziała, że spotykaliśmy się sam na sam, bo tylko odwiedziny przy całej rodzinie nie są zbrodnią.

- Trzymaliście się za ręce?

Saranda zarumieniała się:

- Tak, ale tylko czasami i nikt o tym nie mógł wiedzieć. Bracia daliby mi popalić. To była jedyna zakazana rzecz, którą zrobiłam.

Głupio mi było zapytać, czy się całowali, chociaż byłam ciekawa. Ale skoro w jej domniemaniu trzymanie się za ręce to zbrodnia, to nawet zwykły buziak pewnie nie wchodził w rachubę.

Po godzinie kobiety wróciły do domu i zabrały się za przygotowywanie kolacji. Rushit tego dnia nie pokazał się więcej. Dopiero w nocy obudził mnie dotyk jego zimnych dłoni. Nasz związek zmienił się diametralnie.

Nazajutrz po herbacie, w południe przyszedł do nas ojciec i brat narzeczonego Shyrete. Na ich widok dziewczyna zamknęła się w pokoju i albo siedziała cała blada na materacu i obgryzała paznokcie, albo podchodziła do drzwi i zerknęła przez dziurkę od klucza. A ja utkwiałam razem z nią, jako „uspokajacz”. Spytałam ją, dlaczego nie wyjdzie po prostu i nie przywita się jak człowiek. Spojrzała na mnie, jakby zobaczyła ducha lub kogoś zupełnie pozbawionego rozumu.

- Przecież ja wyglądam tragicznie - wyjęczała.

No tak, ładnie się ubrać nie wypada, kosmetyki odpadają, a te jej sfatygowane spodnie od dresu z pewnością nie wyglądały reprezentacyjne.

- Co za naród. Ciężko im dogodzić. Tak źle i tak niedobrze. Sami sobie utrudniają życie - mruknęłam i wyjrzałam przez dziurkę od klucza.

Przyszedł też Shyrete siedział akurat naprzeciw drzwi. Zdziwiłam się, kiedy zamiast obdartego starca zobaczyłam siwiutkiego jak gołąbek mężczyznę, ale bardzo eleganckiego i zadbanego. Po godzinie, gdy nic nie zapowiadało, żeby ci panowie mieli zakończyć swoją wizytę moja szwagierka zaczęła biegać nerwowo po pokoju, ściskając znacząco nogi i sycząc. To była katastrofa, bo nie było mowy o żadnym wyjściu do łazienki. Wyszłaby na totalnego głupka i kłamczuchę. Myślałam, jakby uratować ją z tej niemiłej i męczącej sytuacji, wtedy przypomniałam sobie, że na zewnątrz pod oknem stoi drabina, po której wchodził Blerim, kiedy ustawiał antenę satelitarną. Wywiesiłam się do połowy z okna, przeciągnęłam drabinę pod sam parapet i kazałam Shyrete zejść po niej na dół. Spojrzała na mnie jak na wariatkę, postukała się palcem w czoło i stanowczo odmówiła. Nie nalegałam tylko czekałam cierpliwie, aż pęcherz dokuczy jej porządnie. Nie musiałam długo czekać. Nie minęło nawet pięć minut, kiedy zeszła po drabinie i popędziła do toalety, a ja śmiałam się sama do siebie, że całą rodzinę uda mi się

zamienić ze sztywniaków w normalnych ludzi.

Pod wieczór tego samego dnia Nasife ogłosiła, że Shyrete wychodzi niedługo za mąż. No i zaczęła się „miła” atmosfera. Nie wiem dokładnie o co chodziło, w każdym razie Ramush krzyczał, Nasife krzyczała, a „winowajczyni” płakała w sąsiednim pokoju. Wspólnie z Sarandą starałyśmy się ją jakoś pocieszyć, ale bez skutku. Następnego dnia dowiedziałyśmy się, że ślub jednak odbędzie się, ale bez błogosławieństwa pana domu.

PRISZTINA

Zaczęły się przygotowania, Shyrete całymi dniami nie wypuszczała robótek z rąk: haftowała, szyła, dziergała, robiła na drutach. Czasem przychodziły jej koleżanki, żeby pomóc, ale najczęściej robiła wszystko sama. Tydzień później wybrałyśmy się do stolicy Kosowa. Prisztiny. żeby Shyrete mogła skompletować całą wyprawkę. Ja miałam okazję zobaczyć to miasto, więc bez wahania pojechałam do towarzystwa, jako przyzwoitkę, bez której nie miałybyśmy szans pokazać się w miejscu publicznym, wzięłyśmy Blerima. Zawiózł nas tam Rushit. Bardzo żałowałam, że nie wzięłam ze sobą aparatu fotograficznego. Najciekawszy był kontrast pięknych, nowo wybudowanych z przepychem willi i szkieletów zniszczonych domów. Ludzie w drogich, zadbanych autach z zagranicznymi tablicami rejestracyjnymi i starcy w łachmanach, prowadzący poboczem bydło. Zastanawiałam się, ile czasu zajmie mieszkańcom Kosowa zatarcie różnic pomiędzy tymi dwoma światami: biedy i bierności, bogactwa i cwaniactwa. Przecież masę ludzi wojna dotknęła w okropny sposób, zostali bez dachu nad głową, bez środków do życia i na łasce organizacji humanitarnych. Inni w czasie wojny wyemigrowali do bogatszych krajów, dochodzili tam do czegoś i wracali z kieszeniami nabitymi gotówką, żeby urządzić się na nowo w wolnym od wojny Kosowie. Na szczęście solidarność ludzka w przypadkach takich nieszczęść jak wojna okazała się wielka. Coraz rzadziej spotykało się rodziny mieszkające w namiotach, albo połatanych domach. Dużo organizacji międzynarodowych pomagało najbiedniejszym i najbardziej poszkodowanym w czasie wojny rodzinom odbudowywać ich domy. albo przynajmniej zapewniali jakieś tymczasowe kwatery. Nie zawsze były to ciepłe, w miarę przytulne kontenery, czasem dawano zwykłe namioty, bo nie było nic innego. A pogoda w Kosowie potrafiła płać figle, bo i wiosna bywała często chłodna, więc życie w takich miejscach nie było łatwe. Mieszkańcy Kosowa pomagali sobie jednak, dopóki nie odbudowano domów, ludzie przygarniali nawet obcych. Niesamowita wydała mi się solidarność Albańczyków mieszkających lub przebywających za granicą, którzy robili zbiórki pieniędzy, żeby pomóc swoim rodakom, przekazywali do kraju niemałe sumy. Kiedy mieszkaliśmy jeszcze w Niemczech i pojechaliliśmy z wizytą do wujka Rushita. do jego mieszkania przyszło kilku znajomych z Kosowa. Rozmawiali bardzo długo w końcu jeden z nich położył na stole spory rulon z banknotami. Spytałam Rushita, co to za pieniądze, przeczuwałam jakieś nielegalne interesy. Wytłumaczył mi, że to darowizna dla Kosowa, którą zebrali Albańczycy, i to nie tylko ci mieszkający w Niemczech. Zaimponowała mi bardzo ta ich współpraca. Równie szybko jednak i niespodziewanie miałam się przekonać, że brat bratu potrafi wbić przysłowiowy nóż w plecy...

Po około półgodzinie jazdy zobaczyłam na horyzoncie duże miasto, dojeżdżaliśmy do

Prisztiny. Spodziewałam się zrujnowanego miasta, ale jednak wojna obeszła się ze stolicą Kosowa łagodnie. Jak zresztą z wieloma innymi dużymi miastami, o czym przekonałam się podczas mojego pobytu w Kosowie. Serbowie niszczyli głównie wsie, tam dokonywali masowych mordów i niszczyli domostwa. Przejechaliśmy koło tablicy obwieszczającej wjazd do Prisztiny. Nie miałam przedtem jakiegoś szczególnego wyobrażenia o miastach powojennej Jugosławii, ale na pewno nie spodziewałam się, że nie będą się prawie różniły od innych europejskich miast.

Osiedla pełne bloków mieszkalnych, butiki z wystawionymi na zewnątrz manekinami ubranymi w modne, eleganckie ciuchy, sklepy spożywcze z zapelnionymi towarami półkami. Na ulicach przewijała się masa ludzi, młodszych i starszych. Między nimi rzadko kiedy pojawiała się kobiecina w dimi i chustce na głowie. Dziewczyny poubierane odważnie, w przeciwieństwie do młodych wieśniaczek nie krępowały się i chodziły mimo chłodnej, wczesnowiosennej pogody w kusznych spódniczkach i obcisłych spodniach.

- Dlaczego panuje tu taka swoboda? - spytałam Shyrete - Przecież to też są muzułmanie, prawda? Zobacz jak te dziewczyny są ubrane, a te kobiety o wiele starsze od waszej matki nie mają chustek na głowie.

- W Prisztinie przed wojną prawie połowa mieszkańców to byli Serbowie, oni mieli duży wpływ na rozluźnienie obyczajów. Poza tym po demonstracjach w latach osiemdziesiątych zaczęły się masowe prześladowania, często zaczepiano na ulicach Albańczyków, których łatwo odróżnić od Serbów. Dlatego Albańczycy rezygnowali z tradycyjnego stroju.

- Nie mogę sobie nawet wyobrazić, jakie to musi być uczucie, czuć się obco w swoim kraju.

- Dlatego zaczęliśmy walczyć o wolność. Teraz rozumiałam dlaczego są wojny na świecie...

Im bliżej byliśmy bazaru, tym więcej straganów pojawiało się na ulicach. Mieliśmy duże problemy, żeby zaparkować gdzieś auto. Samochody stały, gdzie popadło. Do tej pory z takim bałaganem spotkałam się tylko we Włoszech, ale tam kierowcy są przynajmniej pełnoletni. W Kosowie, zwłaszcza po wojnie panowało bezprawie i całkowita swoboda jeśli chodzi o jazdę samochodem. Jeździł bowiem każdy, kto choć trochę umiał kręcić kółkiem, nieważne było, czy ma prawo jazdy, czy nie. Zawsze można było powiedzieć, że wszystkie dokumenty spłonęły w czasie wojny. Nierzadko zdarzało się też, że kierujący samochodem miał nie więcej niż piętnaście lat, a z niskim wzrostem radził sobie, kładąc na siedzeniu... poduszki. Policja była bezradna, a śmierć zbierała swoje żniwo coraz częściej na ulicach Kosowa, gdzie jeszcze tak niedawno walczone o bezpieczne i godne życie. Właściwie to całe targowisko nie różniło się wiele od naszych polskich, na które dwa razy w tygodniu można wybrać się po świeże warzywa, owoce i kwiaty. Tylko to w Prisztinie było tak wielkie, że trzeba było przeznaczyć cały dzień na robienie zakupów.

- Umawiamy się w tym miejscu za trzy godziny - powiedział Rushit - Zdążycie zrobić zakupy?

- A gdzie będziesz? - chciałam wiedzieć, bo wcale nie podobał mi się pomysł rozdzielenia. - Miałam nadzieję, że pójdziesz z nami.

- My przyjedziemy do Prisztiny na zakupy, jak dostanę kasę z Niemczech. Tylko my sami. Na razie Shyrete chce kupić wyprawkę dla siebie. Na pewno nie będzie jej zżęcznie, jeśli ja będę z wami. Poczekam na was tu, pójde do jakiejś kafejki na piwo.

Trzy godziny wydawały mi się masą czasu, byłam wręcz przekonana, że wyrobimy się

wcześniej, ale po dwóch godzinach miałyśmy za sobą dopiero jedną czwartą bazaru i puste siatki. Ja padałam z nóg, a Shyrete tak szybko uwijała się między stoiskami, że ledwie z Blerimem nadążaliśmy za nią. Podeszła, zerknęła, stwierdziła, że nie ma tam nic, co by ją interesowało i już była przy następnym.

- Muszę kupić jakieś serwetki, pościel i kilka drobiazgów do domu, a tu nic nie ma. - narzekała.

Spojrzałam na nią zastanawiając się, czy wszystko z nią w porządku. Jak to „nic nie ma”, przecież stragany wręcz uginały się pod jakimiś robótkami ręcznymi, takiego wyboru, to ja w życiu nie widziałam. Czego tam nie było: obrusy, serwety i serwetki robione na szydełku, pościel haftowana ręcznie, w kwiaty, z motywem patriotycznym czarnego orła na czerwonym tle. I ona twierdzi, że nie ma tam nic, co byłoby godne jej uwagi. Strasznie wybredna kobieta. Oprócz tego typu towaru było tam dużo stoisk z ubraniami, wśród których przeważały bardzo długie spódnice, kwieciste bluzki, eleganckie spodnie. Pomiędzy nimi stoły z obuwiami, przeważnie damskim w stylu szpilek, albo męskimi lakierkami. W końcu Shyrete zdecydowała się na komplet serwetek, wielki, ażurowy obrus, pościel w jakieś nudne, brzydkie kwiaty, parę spodni dresowych i dwa nieciekawe obrazki w ramach przedstawiające oklepany, górski krajobraz.

JESTEM W CIĄŻY

Następnego dnia zażądałam stanowczo, żeby zawieziono mnie w końcu do ginekologa, chciałam w końcu wiedzieć: jestem w ciąży, czy nie. Na początku Rushit miał jakieś obiekcje, ale chyba teściowej zrobiło się mnie żal, bo to ona wpłynęła ostatecznie na jego decyzję. Powiedziała, że jeśli jedynym powodem, dla którego nie chce mnie zawieźć do lekarza jest brak finansów, to ona za mnie zapłaci. Po długich namowach w końcu zgodził się. Wydało mi się śmieszne i głupie, że życie i zdrowie kobiety w Kosowie jest aż w takim stopniu zależne od mężczyzny. Była to jednak rzeczywistość, która miała i mnie dotyczyć na jakiś czas.

- Skoro tak bardzo chcecie pojechać sobie na wycieczkę do Maliszewa - odezwał się Rushit naburmuszony - to proszę bardzo, jedźcie, ale beze mnie. Ona ma moją zgodę, ale poszukajcie sobie innego kierowcy.

- Łaskawca - pomyślałam wściekła.

Nasife porozmawiała przez chwilę z Ramusem, po czym kazała mi się ubierać.

Przychodnia w Maliszewie była niewielka i bardzo zaniedbana. Przestraszyłam się, że jeśli w gabinetach jest tak samo brudno, to zrezygnuję wizyty. Na korytarzach przewijała się masa ludzi, głównie kobiety w średnim wieku, zmęczone życiem i pracą, zaniedbane, ubrane w długie, sięgające kostek spódnice, powłóczyły powoli nogami odzianymi w krótkie gumowce, albo plastikowe sandały. Było tam też kilka starych kobiet i kilku mężczyzn. Niektórzy leżeli na ławkach, było widać, że są bardzo chorzy. Już miałam zapytać Nasife, dlaczego nie zadzwonią po pogotowie, tylko przyjeżdżają w takim stanie do przychodni, ale w porę uświadomiłam sobie, że JESTEM W KOSOWIE. Raczej wątpiłam w istnienie czegoś takiego jak karetka pogotowia. Ginekolog znajdował się na pierwszym piętrze, Ramush zaprowadził nas na półpiętro, po czym wycofał się dyskretnie i zszedł na dół. Przed nami w kolejce były cztery kobiety, gdy weszłyśmy na poczekalnię wszystkie spojrzenia skierowały się w naszą stronę. Nie wiedziałam,

gdzie podziąć wzrok, czułam się jak oskarżony podczas procesu. Jedna z kobiet spytała Nasife wprost, kim jestem i skąd pochodzę. Nie musiałam się zastanawiać, jak wpadły na to, że jestem obcokrajowcem, byłam jedyną kobietą w całej przychodni w dzinsach, traperach i w króciutkich blond włosach. Na wiadomość, że jestem Polką zareagowały przychylnością i zaczęły wypytywać, gdzie mi się bardziej podoba i jak tam jest w Polsce. Na szczęście kolejka posuwała się sprawnie i nie musiałam im za dużo opowiadać, choć z jednej strony mogłabym je nieźle zaszokować, gdybym opowiedziała, że kobiety u nas chodzą same na zakupy i jeszcze pracują zawodowo. Poza tym mój albański pozostawiał wiele do życzenia, nie każdy mógł go zrozumieć. Po niecałym kwadransie nadeszła moja kolej, czułam się jak przed wizytą u dentysty, albo przed jakąś ważną operacją. Trzęsły mi się ręce i serce waliło jak opętane. Siedząca w niewielkim pomieszczeniu kobieta zapytała mnie o moje dane.

- Izabela Thaqi - wyrzuciła z siebie Nasife, zanim zdążyłam odpowiedzieć.

Spojrzałam na nią zdziwiona, ale ta dała mi do zrozumienia, że na razie mam nic nie mówić. Zapytała tylko o wiek, przecież mogła to też podać, skoro decydowała o mnie do tego stopnia, że zmieniła mi bezprawnie nazwisko. Nawet nie miałam pojęcia, że od tamtej pory figurowałam w przychodni w Maliszewie jako pani Thaqi. Byłam podekscytowana. Miałam przecież dowiedzieć się, czy spełniło się marzenie mojego życia, czy naprawdę będę miała dziecko. Pielęgniarka wprowadziła mnie do maleńkiej przebieralni i kazała przebrać się w jedną z wiszących tam na wieszakach spódnic. Sprawdziłam, czy zasłony są szczelnie zaciągnięte, rozebrałam się i założyłam pierwszą z brzegu kieckę.

- Nie ma tu czegoś na topie, co jest akurat modne? - zażartowałam, co spowodowało ogólny wybuch śmiech.

Lekarz okazał się całkiem sympatyczny, widząc moje skrępowanie starał się jakoś rozładować atmosferę i gadał bez przerwy, asystowała mu bardzo miła pielęgniarka, jak się dowiedziałam później była to nasza sąsiadka. Po przeprowadzonych badaniach dostałam mały pojemnik i kazano pójść do sąsiadującej z gabinetem toalety zrobić... siusiu. Byłam trochę zszokowana metodami sprawdzania ciąży w gabinecie lekarskim, bo test ciążowy mogłam kupić sobie sama w aptece, o ile takowe istniały w Kosowie. Poszło mi dość szybko. Potem nastąpiło oczekiwanie na wyniki.

- Już? - chciałam wiedzieć po minucie.

- Jeszcze chwilę - zapewnił lekarz. Minęła kolejna minuta.

- Już?

- Cierpliwości - powiedziała pielęgniarka rozbawiona moim podnieceniem.

Po moim czwartym „Już?” padła odpowiedź:

- Będziesz mamą!

Nie potrafiłam opanować swoich emocji. Ze szczęścia, chwyciłam dłoń lekarza i zaczęłam potrząsać nią dziękując, jakbym to dzięki niemu była w ciąży, a przecież on tę ciążę tylko potwierdził. W tamtej chwili byłam najszczęśliwszym człowiekiem na świecie. Całą drogę układałam sobie, w jaki sposób powiem o tym Rushitowi. Kiedy dotarliśmy na miejsce, czekała na mnie niemila niespodzianka.

- Gdzie Rushit? - wbiegłam do domu, chcąc jak najszybciej podzielić się z nim tą nowiną.

- Nie ma, wyszedł do sklepu - powiedziała Saranda.

- Jak to wyszedł? - opadłam na materac. - Przecież wiedział, że jechałam do lekarza, myślałam, że interesuje go, czy będzie ojcem.

Nie byłam w stanie ukryć rozczarowania, chciało mi się płakać. Postanowiłam, że nie zamienię z nim więcej ani słowa, powoli mój smutek przerodził się we wściekłość.

Rushit przyjechał dopiero późnym wieczorem, piliśmy akurat czaj. Tak, jak obiecałam sobie nie wdawałam się z nim w żadne rozmowy, jemu duma nie pozwalała też na okazywanie jakiegokolwiek skruchy. Dopiero po dłuższej chwili nie wytrzymał.

- I co powiedział lekarz?

- A jednak cię to interesuje? - napadłam na niego. - Gdzie byłeś, kiedy wróciłam do domu?

- Byłem w sklepie, chciałem zaraz wrócić, ale spotkałem kolegę, którego nie widziałem kilka lat i nawet nie zauważyłem, że czas tak szybko minął. No i co w końcu?

Wstałam, przyniosłam papiery od lekarza i podałam mu bez słowa. Zauważyłam, że czytając, uśmiechał się szczęśliwy, kamień spadł mi z serca, a jednak pragnął tego dziecka tak samo, jak ja. Przecież wspólnie zaplanowaliśmy tę ciążę i naprawdę czekaliśmy na to dziecko, ale od naszego przyjazdu do Kosowa wszystko się zmieniło. Cieszyłam się, że noszę w sobie małą istotkę, ale nagle ogarnął mnie strach. Kiedy będę w stanie pojechać do domu, do rodziny? Zapytałam o to Rushita następnego dnia. Odpowiedź była krótka i dokładnie taka, jakiej się obawiałam:

- Jak urodzisz, chyba nie chcesz narażać naszego dziecka na tak dalekie podróże.

O wiele później zrozumiałam, co naprawdę było przyczyną, dla której Rushit nie pozwolił mi wyjechać do domu. To był strach przed utratą twarzy przed całą wioską.

REJESTRACJA LUDNOŚCI

W Kosowie ogłoszono obowiązek zarejestrowania się w specjalnie do tego wyznaczonych punktach. Po wojnie zapanował straszny bałagan w urzędach, mało kto przyznawał się do posiadania dowodu osobistego, wielu ludzi było anonimowych, nie można było doliczyć się, ile ofiar pochłonęła wojna, ilu ludzi wyemigrowało i nie wróciło. Dlatego władze zdecydowały się na wprowadzić tymczasowe, zastępcze dowody osobiste okręgu autonomicznego będącego pod opieką UNMIK-u. Rushit chciał koniecznie, żebym zarejestrowała się jako jego oficjalna żona. z jego nazwiskiem.

- Przecież to nielegalne. Dowiedzą się i zamkną nas za oszustwo.

- Bzdura - machnął ręką. - Wszystkie akta naszego powiatu były w Klinie, Serbowie puścili je z dymem, nic nie ocalało.

Nie wiedziałam jeszcze, jakie konsekwencje mogła mieć ta sytuacja, ale na pewno nie wróżyła niczego dobrego dla mnie. Postanowiłam grać na zwłokę.

- To może weźmiemy naprawdę ślub - przy mi łałam się. - Tak bardzo chciałabym nosić na ręku obrączkę.

- Jeśli chcesz, mogę ci kupić obrączkę - odparł Rushit oschłe. - Nie fantazuj, bo i tak zrobisz to, co ja chcę. Nie zapominaj, gdzie jesteś i do kogo należysz.

Mówiąc to, wyszedł z pokoju. Po chwili usłyszałam motor odpalanego silnika. Pojechał do sklepu po wódkę raki. Zawsze tak robił, kiedy był zdenerwowany. Wybraliśmy się więc po śniadaniu do Drenovc całą rodziną. Miejsce rejestrowania się dla naszego powiatu mieściło się

w szkole podstawowej w tej wiosce. Po drodze widziałam prawdziwe Kosowo. Większość drogi prowadziła przez las. Między drzewami wbite w ziemię płaskie, duże kamienie mówiły o leżących w ziemi nieboszczykach.

- Czy to ofiary z wojny? - zapytałam Ramusha

- Nie tylko. Są tu też pochowani ludzie z pobliskich domów. Wyobraź sobie, że to tu walczyliśmy z Serbami.

- Opowiedz mi o tym - poprosiłam, ciekawość wzięła górę nad złością.

Tego wieczora, kiedy ostrzeżliśmy ludzi w Carralluk mieli oni bardzo mało czasu na ucieczkę do lasu. Niektórzy byli samochodami, ale większość uciekała pieszo, tylko kilometr dzielił ich od policji serbskiej. Więc, żeby wygrać dla nich trochę czasu, rozstawiliśmy na tej trasie kilku naszych ludzi z UCK. Wróg nie wiedział, ilu jest nas w lesie, Serbowie sądzili, że mamy przewagę liczebną, no i znaleźliśmy lepiej te okolice. Po trzech dniach wycofali się. Cywile zdążyli schować się w lasach, a my uratowaliśmy przy okazji przed zniszczeniem wiele domów, chociaż i tak większość została później zrujnowana.

- Ile ofiar ponieśliście?

- Dwóch, o ile pamiętam.

- Czy często było tak groźnie? Ile takich walk stoczyłeś?

- Sporo - Ramush uśmiechnął się szeroko pokazując zepsute, wręcz czarne zęby. - Byłem komendantem UCK.

-Wiedziałam o tym już w Niemczech. Rushit chwalił się tym na prawo i lewo - zaśmiałam się w odpowiedzi.

- A kiedy zjrzałeś śmierci w oczy i naprawdę czułeś, że to koniec?

- Podczas trwania pierwszej ofensywy Nasife razem z Shyrete. Sa-randą i Blerimem siedziała przez kilka tygodni w Drenovc u jej brata. Pojechałem tam raz zawieźć im ziemniaki i mąkę, którą zdobyłem dla nich i mojej żonie przypomniało się, że zostawiła krowę i kilka kosztownych rzeczy. Musieli uciekać w popłochu, nie było czasu na pakowanie. Wzięliśmy traktor od Ramadana i pojechaliśmy do Carralluk.

- Nie było Serbów po drodze? - zapytałam.

- Po drodze?! Oni byli w samym Carralluk. Zajęli całą wioskę, a swoich wywiadowców umieścili w domu starego Azema.

- Ojca Drity?

- Zgadza się.

- To nie wypatrzyli was? Boże, jakie mieliście szczęście, zagraliście im na nosie.

-Najgorsze było, że ryzykowaliśmy na darmo, bo nie było tam już nic do uratowania. Krowę i kury albo zabili, albo zabrali ze sobą, wszystkie te urządzenia, które przywieźli nam chłopcy z Niemiec do kuchni, telewizor i inne cenne rzeczy wynieśli przed dom i przejechali po tym czołgiem.

Wyobraziłam sobie, w jakiej desperacji byli, że zdecydowali się wejść dobrowolnie w „paszczę lwa”. Co zrobiliby z nimi Serbowie, gdyby ich złapali. A jeszcze Ramush w mundurze komendanta Armii Wyzwoleńczej Kosowa. Zostaliby zjedzeni żywcem... Miałam jeszcze tyle pytań, ale dojeżdżaliśmy właśnie na miejsce. Chyba wymodliłam jednak ten cud, bo Rushit spotkał znajomego, który powiedział, że nie ma szans, żeby mnie zarejestrować, bo oni skądś mają dane, a kiedy UNMIK dowie się, że został oszukany to wyciągnie konsekwencje. A jeśli

Rushit chciałby starać się o paszport a w przyszłości o wizę lepiej, żeby nie ryzykował. I tak w świetle prawa muzułmańskiego byłam jego żoną. Według Koranu kobieta i mężczyzna, którzy dzielą ze sobą łóżko i jedzą przy wspólnym stole stanowią przed Allahem małżeństwo. Czekając na naszą kolej do rejestracji spytałam Sarandę, dlaczego rzadko kto zawiera tu w Kosowie małżeństwo w Urzędzie, większość ludzi żyje na kocią łapę.

-To się wiąże jeszcze z czasami okupacji serbskiej. Serbowie nie uznawali w urzędach innych imion oprócz serbskich, a przecież każdy porządny muzułmanin nazwie swoje dziecko tak, aby nie było to grzechem wobec Allacha. Więc mało kto rejestrował swoje potomstwo, bo nie chciał, żeby przekształcono mu potem w papierach imię. Ponadto wiele kobiet rodziło w domach, nie było więc potrzeby zameldowania i zgłoszenia narodzin. A jeśli nie figurujesz w żadnych dokumentach, to nie można przedstawić metryki urodzin, żeby wziąć ślub.

- Kto w naszej wiosce wziął „normalny” ślub?

- Z tego, co ja wiem, nikt. To praktykuje się przeważnie w miastach. Nie mogłam zrozumieć, jak taka zacofana prowincja Kosowo uchowała się w Jugosławii, która swego czasu była jednym z najpotężniejszych państw w Europie. Czyżby Ti to zapomniał o tej małej części swego mocarstwa?! Wiem, że to właśnie on postawił całą Jugosławię na nogi i trzymał przez wiele lat żelazną ręką, dzięki czemu nie dochodziło do żadnych zamieszek, ani problemów na tle różnic narodowościowych. Wszyscy Albańczycy, gdziekolwiek byli czuli się bezpiecznie i jak u siebie w domu, a jest to naród zamieszkujący wiele miejsc, bo są mniejszością narodową w Czarnogórze, Macedonii, a nawet w Bośni. Można powiedzieć, że w całej Jugosławii jest ich pełno. Dopiero rok po śmierci Tita Albańczycy ocknęli się z wieloletniego snu i zaczęli walczyć o uzyskanie całkowitej niepodległości. Takie same plany miała Chorwacja, Bośnia i Hercegowina. To był temat, który koniecznie chciałam rozwinąć i zaspokoić swoją ciekawość. W szkole nie było raczej szans na prowadzenie jakichkolwiek dyskusji. Zresztą jedyną osobą, która mogłaby mi na ten temat coś więcej powiedzieć był Ramush. on rozmawiał akurat z mężczyznami z wioski, a ja jako kobieta nie miałam prawa podejść do nich, jeśli nikt mnie tam nie przywołał. Nie wiem, czy Rushit umiał czytać w moich myślach i bał się kompromitacji, czy starał się być tylko przezorny, w każdym razie obserwując mnie przez chwilę, uznał, że lepiej zaprowadzić mnie do auta. Wsiadł razem ze mną, zapalił papierosa i spojrzał na mnie tym swoim oskarżającym wzrokiem, którego tak nienawidziłam i zarazem bardzo się bałam. Kiedy patrzył na mnie w ten sposób, zaczynały trząść mi się ręce. Zauważył to. Strach miałam wypisany na twarzy.

- Boisz się? - spytał pogardliwie - Wiesz, że nabroiłaś, a teraz się boisz. Najgorsze, że robisz to wszystko świadomie. Dlaczego?

Mówił powoli, uśmiechając się przy tym zwycięsko, miał przewagę nade mną, mógł w każdej chwili zrobić, co tylko chciał. Mógł mnie pobić tu, przed szkołą, na oczach wszystkich i nikt by nic nie zrobił, nikt nie miał prawa wtrącać się, nikt nie miał prawa mi pomóc.

- Wiesz, co zrobiłaś i dlaczego jestem zły?

- Nie - powiedziałam zgodnie z prawdą, nie miałam pojęcia, o co mu chodzi. Starłam się przypomnieć sobie, co takiego zrobiłam, ale nic nie przychodziło mi do głowy. Nie mogłam opanować drżenia głosu:

- Rushit, o co ci chodzi?

- Nie wiesz? - zaśmiał się szyderczo i nagle złapał mnie za brodę i podniósł do góry, kazał spojrzeć sobie w oczy. Miał w nich opętanie, takie samo, jak za każdym razem, kiedy mnie bił. -

A pamiętasz na przykład, że gapiałaś się cały czas na tych facetów stojących pod oknem. Pamiętasz, czy mam ci przypomnieć?!

- Zwariowałaś? - powiedziałam i zasyczałam z bólu, kiedy jego palce wbiły mi się w krtań.

- Nie zwariowałam, widziałem wszystko. Zwariowałam, że zdecydowałam się przywieźć tu taką dziwkę.

Ciągle nie mogłam zrozumieć co ja takiego zrobiłam. Może zauważył, jak patrzyłam w stronę Ramusha, zastanawiając się, czy podejść i zapytać o historię Kosowa. Ale chyba Rushit nie był aż takim fanatykiem, żeby czepiać się tak banalnych rzeczy. A jednak był...

- Wybierzemy się na małą przejażdżkę. Będę ci musiał pokazać, gdzie jest twoje miejsce, zresztą zbiera ci się już od dłuższego czasu.

Zrobiło mi się słabo. A co z moją ciążą, co z naszym dzieckiem, łyż strachu stanęły mi w oczach. Właśnie, kiedy Rushit odpałał auto podbiegł do nas Blerim krzycząc z daleka do Rushita, że Rasim go szuka.

- Cholera - zaklął, ale wyłączył silnik i wysiadł z samochodu - Zostań tu i nie rób żadnych głupstw, bo ja mam oczy wszędzie. Porozmawiamy w domu.

Zostałam sama opętana przez strach, ale z ulgą i nadzieją, że do popołudnia mu przejdzie. W szkole zadzwoniono chyba na przerwę, bo całe boisko zapełniło się dziećmi. Ciekawscy podeszli do auta i zaczęli je oglądać z wszystkich stron. Małe, fioletowe zrobiło na nich wrażenie. Odważniejsi zaczęli pukać w szybę i zadawać pytania.

Nie miałam nastroju na żadne rozmowy, nawet z dziećmi, więc otworzyłam okno i zbyłam je mówiąc po niemiecku, że nie znam albańskiego.

- Ja znam niemiecki - powiedział jeden chłopiec, mniej więcej dziesięcioletni - nazywam się Bujar.

- A skąd? - zapytałam.

- Byłem w Niemczech z rodzicami w czasie trwania wojny w Kosowie.

Rzeczywiście mówił całkiem niezle po niemiecku. Mimo mojej mało-mówności dzieci nie ubywało, a wręcz było ich przy samochodzie coraz więcej.

- Chodźcie! - wołał jakiś malec- Tu jest Niemka!

„Nie Niemka, ale Polka”, pomyślałam sobie, ale nie widziałam sensu, żeby tłumaczyć im teraz, gdzie leży Polska i co to jest za kraj. Podczas wojny przyjęliśmy nie więcej niż 500 azylantów, więc mało kto wiedział o nas cokolwiek, a zwłaszcza małe dzieci.

- Spytaj się jej po niemiecku, jak długo tu jest? - namawiały dzieci swojego kolegę. I czy jej się tu podoba?

- Spytaj, czy zostanie w Kosowie?

- Ma dzieci? A jakiego ma męża?

Dziesiątki pytań padały dookoła. W końcu nie wytrzymałam i roześmiałam się:

- Mówcie do mnie po albańsku, znam trochę wasz język.

Dopiero teraz dopadła mnie lawina pytań. Nie nadążałam na nie odpowiadać. Zaczęłam się całkiem dobrze bawić, przez moment zapomniałam o tej nieprzyjemnej scysji z Rushitem.

Nagle w oddali zauważyłam małą, drobną dziewczynkę. Stała sama, nie skakała, nie bawiła się jak większość dzieci. Co chwilę zerknęła nieśmiało w moją stronę. Miała bardzo smutną twarz, na której co jakiś czas pojawiał się grymas bólu. Ubrana skromnie, czyściutko. Widać było, że coś ją gnębiło, cierpiała wewnątrz.

- Kto to jest?- zapytałam po niemiecku Bujara

Drita, mieszka tu w Drenovc z matką. Serbowie zabili jej ojca i dwóch braci, ten mniejszy miał roczek. Zmasakrowali ich. Wszystko widziała. Od tej pory mało mówi, prawie wcale.

Przecież dzieci w tym wieku powinny być radosne, żywe, szczęśliwe, marzyć o nowej zabawce i wakacjach pełnych słońca. Powinny oglądać bajki w telewizji, a nie morderstwa. To dorośli ponoszą winę, za to, że nie potrafią dojść ze sobą do ładu, dlatego muszą cierpieć przy tym dzieci?! Czemu winna jest taka mała istotka, że światem kierują najczęściej żądni krwi i władzy fanatycy, których chora ambicja doprowadza ludzkość do samozagłady?! Patrzyła na maleńkiego braciszka, z którym bawiła się wcześniej, czekała aż urośnie, zacznie gaworzyć, chodzić. Nie dane mu było, bo pojawili się ludzie, dla których bardzo prostą rzeczą okazało się zaszlachtowanie maleńkiego, bezbronnego dziecka. Pamiętałam jak Saranda opowiadała mi jednego wieczoru o bestialskim czynie dokonany przez Serbów podczas drugiej ofensywy. W sąsiedniej wiosce do domu albańskiej rodziny wpadli żołnierze. Po rewizji całego gospodarstwa zauważyli stojący na piecu garnek. Spytała jedną z kobiet co gotuje.

- Grochówkę - padła odpowiedź.

- Z mięsem czy bez - padło kolejne pytanie zamaskowanego mężczyzny.

Na wiadomość, że bez mięsa dwóch oprawców chwyciło leżące w kołysce trzymiesięczne niemowlę, wielkim nożem kuchennym odcięli mu żywcem rączki, nóżki i wrzucili do garnka śmiejąc się, że mają przynajmniej syty posiłek. Kazali jeść to matce maleństwa. Ta zaczęła błagać, żeby i ją zabili, ale widocznie nie sprawiłoby to katom serbskim wystarczającej satysfakcji, bo zadowolili się gwałtem na niej i odeszli. Kiedy Saranda skończyła opowiadać poczułam, że robi mi się niedobrze, wybiegłam do łazienki i zwymiotowałam. Nie mogłam zrozumieć, skąd tyle okrucieństwa w człowieku. Wtedy to właśnie, gdzieś tam wewnątrz mnie, zakorzeniła się nienawiść do całego narodu serbskiego. Miałam przed oczami to niemowlę, będąc sama w ciąży, nie byłam w stanie logicznie myśleć, nie dopuszczałam do siebie myśli, że przecież nie wszyscy Serbowie tacy są. Dopiero po dłuższym czasie, kiedy otrząsnęłam się z tego, wróciły ludzkie uczucia, które ukryły się we mnie głęboko. I kiedy patrzyłam na tę smutną dziewczynkę poczułam nagle ten sam smak goryczy w ustach i ukłucie w sercu. Złość, nienawiść i bezradność walczyły o pierwsze miejsce na podium w moim umyśle. Wzięłam leżącą z tyłu, na siedzeniu maskotkę - pieska, którą Rushit kupił kiedyś na szczęście, wysiadłam z auta i skierowałam się w stronę dziewczynki. Patrzyła na mnie przerażona, ale nie ruszyła się z miejsca, nie uciekła, była tak dziwnie pogodzona ze swoim losem... Bez słowa podałam jej maskotkę, spojrzała na mnie swoimi wielkimi, czarnymi oczami, w których dopatrzyłam się przez małą chwilkę ufności i wzięła pieska.

- Boże - pomyślałam -przecież ona mimo tego, co przeżyła jeszcze daje ludziom szansę...

Poczułam jak coś rośnie mi w gardle, nie mogłam powstrzymać łez napływających do oczu. Wzięłam głęboki wdech i wróciłam do samochodu. Dziewczynka odeszła, tuląc do siebie podarunek, szła coraz szybszym krokiem, minęła bramę szkolną i pobiegła w stronę pól otulających w oddali tę kosowską wioskę.

- Ona teraz zanieś to na grób swojego brata, zakopie to w ziemi, zawsze tak robi, jak dostanie, albo znajdzie coś fajnego - powiedział Bujar, widząc moje zdumienie spowodowane jej odejściem. - Kiedyś przyjechali do nas zagraniczni, dali każdemu jakąś zabawkę. Ona swoją zaniósła zaraz na grób małego brata. Dużemu też raz coś zaniósła.

- Ile dzieci z waszej szkoły nie wróciło po wojnie na lekcje? - spytałam wprost po albańsku.

Najpierw zaległa wśród moich małych rozmówców cisza. Pierwszy odezwał się największy i

chyba najstarszy z wszystkich chłopiec:

- Dużo, w naszej klasie przed wojną było piętnaście osób, teraz jest osiem. Nie każdego zabili, dużo wyjechało z rodzicami za granicę, sporo porwały „psy” serbskie i wywiozły do siebie. Dyrektor szkoły załatwił skądś róże, kazał położyć je na ławkach, na pustych miejscach, gdzie ktoś przed wojną siedział, ale zabrakło kwiatów i poszliśmy w pole nazrywać takich polnych. Za trzy lata będę mógł wstąpić do UCK, zabiję wtedy Miloszewicza, a potem wszystkie mendy z Serbii, cały ich naród wysadzę w powietrze.

Chciałam mu powiedzieć, że tam są też takie małe dzieci jak brat Drity. Są też dzieci w ich wieku i nie ponoszą one za nic winy, ale nie miałam prawa, bo to nie ja widziałam tę wojnę. W ich wieku biegałam po podwórku z koleżankami, ubierałam lalki, bawiłam się w chowanego; nie ukrywałam się w lesie, jadłam słodycze, nie wiedziałam co znaczy nie jeść przez kilka dni, albo żywić się resztkami. Ja karmiłam bezdomne psy chlebem z pasztetową, bo mi nie smakował, a one zabierały psom ich zdobycze i żywiły się tym same.

- He masz lat? - zapytałam tylko.

- Trzydzieści.

Dzwonek na lekcje zebrał wszystkie dzieci i troskliwie wprowadził do środka szkoły, wróciła też Drita. Rzeczywiście nie miała już pluszaka w ręku, ale niosła pęk kwiatów polnych. Zdziwiona zauważyłam, że kieruje się w moją stronę. Nie mówiąc nic, podała mi i wróciła do szkoły.

MAGIA

- Nie wiem, co dzieje się z Rushitem - zaczęła narzekać teściowa przy obiedzie jednego dnia. Chyba trzeba będzie pojechać do duchownego. Może zawiezie nas dziś. Chcesz jechać ze mną?

Zaskoczyła mnie tym pytaniem, rzadko zabierała mnie ze sobą gdziekolwiek. Czułam w tym jakiś podstęp, ale zawsze była to okazja do wyrwania się z domu chociaż na małą przejażdżkę.

- Może będziesz potrzebna.

Aha, to dlatego miałam jechać z nią. Ale niech jej będzie...

- Po co mamy tam jechać? Przecież jeśli on sam sobie nie pomoże, to kto ma to zrobić?

On nie pije raki, bo chce, ale ktoś rzucił na niego jakiś urok.

- Urok? - wytrzeszczyłam oczy za zdumienia. Miałam nadzieję, że ona nie mówi tego na poważnie. Chyba nie wierzą w żadną magię?! A jednak...

- Jeszcze przed wojną Ziza, matka Rasima i Boda, matka Elmiego zajmowały się czarami. Któraś z nich rzuciła urok na Rushita.

- To są czarownice?

- Tak jakby...

- Nasife! - wtrąciła Shyrete - przestań ją straszyć.

Aleja nie miałam nic przeciwko takiemu straszeniu. Ta cała historia z magią fascynowała mnie. Podjęłam temat:

- W jaki sposób rzuca się tu urok? I dlaczego sądzicie, że ktoś zczarował Rushita?

Nasife i Shyrete spojrzały znacząco na siebie, Saranda odłożyła materiał, który właśnie

haftowała.

- Myślę, że możemy jej opowiedzieć - stwierdziła po dłuższej chwili Shyrete. - W Kosowie dużo kobiet zajmuje się magią. Przechodzi to przeważnie z pokolenia na pokolenie. Nauczyły się tego od Cyganów, którzy mieszkali przed wojną w Kosowie.

- Jak to „mieszkali”? Wymordowali ich wszystkich? - czułam, że ogłupię od tych masakr, czystek etnicznych i całej tej wojny.

- Nie, nie - pospieszyła z wyjaśnieniem Saranda. widząc moją niewyraźną minę. -Oni współpracowali z Serbami, więc, kiedy szala zwycięstwa przechyliła się na stronę Kosowa prawie wszyscy Cyganie uciekli stąd ze strachu przed zemstą.

Miałam na końcu języka, że na tej szali „usiadły” też międzynarodowe jednostki wojskowe, dlatego przechyliła się na stronę Albańczyków, ale chciałam teraz dowiedzieć się w końcu czegoś więcej na temat magii. Trudno mi było uwierzyć, że tacy „religijni” muzułmanie pałają się czarami. Saranda zrobiła dla nas kawę, usiadłyśmy obok siebie na materacu i Nasife zaczęła opowiadać:

- Rushit miał trzynaście lat, kiedy ktoś go z czarował. To było z dnia na dzień, pojechał raz traktorem w pole i zatrzymał go jakiś stary mężczyzna, kazał mu wysiąść i nigdy więcej nie jeździć traktorem. Rushit przestraszył się, wrócił szybko do domu i powiedział o tym Ramushowi. Ten powiedział mu, żeby nie słuchał żadnych ludzi, których nie zna. Kilka dni później piekłam akurat w domu chleb, gdy usłyszałam, jak mój syn zaczął krzyczeć na kogoś na podwórku, wybiegłam szybko, ale nikogo tam nie było. Spytałam Rushita, z kim się tak kłóci, a on pokazuje mi palcem i mówi: „Z nim.”, ale ja nikogo nie widziałam. A on dalej krzyczy, że to ten sam starzec, który kazał mu zostawić wtedy traktor.

- Był tam ktoś, czy nie? - przerwałam jej.

- Właśnie to było dziwne, że ja nie widziałam tam żywej duszy, a on wyraźnie na kogoś wskazywał. Od tej pory zrobił się inny. Bał się panicznie wejść do domu. Miał koszmary senne, nie mogłam go zostawić ani na chwilę samego, bo szalał ze strachu. Po kilku dniach takiego zachowania wyciągnął mnie na dwór i powiedział, że teraz tam będziemy spać. I faktycznie, przez prawie trzy miesiące spałam z nim pod gołym niebem.

- Nie było wam zimno?

- Na szczęście to było lato, zabierałam ze sobą materac, koc i tak spędzaliśmy noce. Byłam bezradna.

- A rodzina?

- Nikt się tym nie przejął, bo nikt mu nie uwierzył. Sądziło, że to jakiś żart, ale ja znałam przecież moje dziecko i wierzyłam mu.

Rzeczywiście taka historia mogłaby wydać się nieprawdopodobna, ale równie dziwne było, żeby nastoletni chłopiec wyglądał się w ten sposób i jeszcze ciągnął to przez tyle czasu. Czułam, jak ciarki przechodzą mi po plecach. Przy tej historii nawet „Archiwum X” wydało mi się bajką.

- Dopiero Kastriot zawiózł go do takiej kobiety, która odczynia czary - ciągnęła dalej Shyrete - chciała nam powiedzieć nawet, jak nazywa się ten ktoś, kto rzucił urok na Rushita. ale w końcu nie dowiedzieliśmy się tego. Pozostały tylko domysły...

- I o kim myślałyście?

- Przed tą całą historią z moim synem widziałam jednego dnia przez okno, jak nasza sąsiadka Ziza przyszła do nas na podwórze i rozmawiała z nim, potem wyciągnęła nożyczki i obcięła mu

kosmyk włosów. Zanim zdążyłam wybiec, ona już odeszła. Poszłam do niej do domu, ale wyparła się wszystkiego. Rzekomo pytała tylko Rushita, czy nie wyprowadziłby jej krów na pastwisko. Od tamtej pory przestał pracować, miał lęki w nocy, zamknął się w sobie. I taki jest do dziś.

Wpatrzyłam się w twarz Nasife, gdzieś wewnątrz miałam nadzieję, że to tylko żart z ich strony, że chcą mnie nastraszyć, ale jej oczy mówiły co innego, były smutne, nieszczęśliwe, jakby przeżywała to wszystko od początku. Chyba jednak nie był to kiepski dowcip, to wydarzyło się naprawdę, poczułam się jak w innym świecie, powiało grozą. Jeśli są ludzie, którzy mają taką moc, to na co narażona jestem ja i moje dziecko tu, w Kosowie?!

Duchowny, który był najbliżej, mieszkał w małej wiosce, kilka kilometrów za Carralluk. Rushitowi powiedziałyśmy, że Nasife chce zapisać cały nasz dom i domowników na jakieś modły. Gdyby wiedział, że to o niego chodziło, wściekłby się. Po drodze mijaliśmy domy, które od strony ulicy nie miały okien, większość miało ogromne bramy wjazdowe z namalowanym na nich motywem czarnego, dwugłowego orła. Taki sam łopotał dumnie na czerwonych flagach wbitych na dachach.

- Po co te flagi? - zwróciłam się do Rushita - Czy to jakieś święto narodowe?

Zaśmiał się:

- Tak, wyzwolenie Kosowa spod tyranii Serbów. Kiedyś za posiadanie takiego orła w domu groziła kara więzienia, a może nawet śmierci, jeśli podstawiony prokurator na takim „niby - sądzie”, gdzie nie było nawet adwokata, udowodnił człowiekowi rzekomą przynależność do Armii Wyzwoleńczej.

Zdarzały się również budynki, które miały małe wejścia, w formie łuku o wysokości mniej więcej półtora metra. Ogrodzenia były z cegieł, drutów pokrytych płachtami plastikowej, kolorowej folii lub z splecionych gałęzi, tak, by nie było widać żadnego podwórka. Wszystkie domostwa żyjące swoim własnym życiem, stawały się odrębnym światem, odciętym od zewnątrz. Przecież ukrywały kobiety, których nie mógł oglądać byle kto.

W końcu dojechaliśmy na miejsce. No, no, niezłe powodzi się temu duchownemu, kilka miesięcy temu skończyła się wojna, a jego dom stoi pięknie wyremontowany i wyglądał jak mały pałacyk.

- Ale ten ma kasy - mruknęłam sama do siebie, ale usłyszał to Rushit. - Ludzie mieszkają w namiotach, ledwo wiążą koniec z końcem, martwią się jak tu zdobyć pieniądze na odbudowanie ruin, a tu prawdziwa willa.

- Miał pewnie jakieś oszczędności, które gdzieś ukrył podczas trwania okupacji. Dwóch synów ma w Szwajcarii, a jeden jest w Niemczech. Pewnie przesłali jemu pieniądze na odbudowę.

- To nie powinien oddać wszystkiego biednym? - zaczęłam dalej, miałam uprzedzenie do bogatych księży i wychodziłam z założenia, że i muzułmański duchowny nie jest lepszy, skoro zamożny.

Czekaliśmy na Nasife w samochodzie, zaczęłam się już niecierpliwić. Byłam głodna i chciałam w końcu wracać do domu.

- Powiedz mi, dlaczego mówicie do swojej matki po imieniu? - przypomniałam sobie nagle.

- To się ciągnie od zawsze. Każdy w domu zwracał się do niej w ten sposób, więc my jako dzieci szybko załapałyśmy to. Nikt nam nie zwracał uwagi i tak pozostało.

- A Ile nie miała nic przeciwko temu? Powinna zabronić wam mówić w ten sposób.

- Ona rozpieszczała nas na każdym kroku, nigdy nie podniosła głosu, na wszystko pozwalała. Bardzo nas kocha.

- Ale i miłość matczyzna powinna wyznaczać jakieś granice.

Zauważyłam już dawno, że w Kosowie strasznie rozpieszczą się dzieci, zwłaszcza chłopców. Nic dziwnego, że potem wyrastają na takich rozwydrzonych typów, którym się wydaje, że są pępkiem świata i wszystko kręci się wokół nich.

Po piętnastu minutach przyszedł Nasife w towarzystwie jakiegoś mężczyzny w średnim wieku, ubranego w długą, czarną suknię, na głowie miał białą, ażurową, zrobioną na szydelku czapkę. Podeszli do auta, duchowny otworzył tylne drzwi, wetknął głowę do środka i szczerząc zęby podał mi rękę.

- Dobry wieczór - przywitał się.

- Dobry wieczór- odpowiedziałam.

- To bardzo dobra kobieta - zwrócił się do Rushita - Przed Allahem jesteście już mężem i żoną, dbajcie o siebie nawzajem.

Spojrzałam na Rushita, dając mu do zrozumienia, że żądam wyjaśnienia. Mrugnął oczami na znak, że później mi to wytłumaczy. Mężczyzna chwilę porozmawiał ścisłym głosem z Nasife, potem z Rushitem, jeszcze raz uściślił moją dłoń i odszedł. Przez połowę drogi powrotnej milczałam, zastanawiając się co miały znaczyć te „zaślubiny”. Wolałam porozmawiać o tym w domu, bez świadków, chociaż Nasife też się dostanie, jeśli okaże się, że to był podstęp, żeby zaciągnąć mnie do tego ich duchownego. Dopiero po kolacji nadarzyła się okazja, żeby zacząć rozmowę. Ramush wypił dwie herbaty i powiedział, że idzie do swojego brata, Bajrama z wizytą, Afrim i Blerim poszli do kuzyna.

- No to słucham ciebie- usiadłam blisko Rushita. – Chciałabym wiedzieć, czy my naprawdę jesteśmy teraz małżeństwem?

Mój luby nie bardzo wiedział, czy odsunąć się na bezpieczną odległość, czy pozostać tam, gdzie jest. Siedzieliśmy za blisko siebie, a to przecież „nie wypadało”. Szczerze bawiła mnie ta cała sytuacja, ale starałam się zachować powagę.

- Już raz ci to tłumaczyłem, że jesteś moją żoną od chwili, kiedy przekroczyłaś próg tego domu. Przecież wszyscy traktują cię w ten sposób, czy nie?

- No tak, ale ja chciałabym wiedzieć, co mówił ten człowiek?!

- On mi tylko przypomniał, że jesteśmy małżeństwem wobec prawa muzułmańskiego.

- A ja chcę normalnego ślubu, w Urzędzie Stanu Cywilnego - chlapięłam bez zastanowienia, nagle dotarło do mnie samej, że ja właściwie nie wiem czego chcę. Zachowywałam się jak kobieta... w ciąży.

Widocznie nie tylko ja to zauważyłam, bo Rushit spojrzał na mnie oburzony:

- Jeszcze niedawno krzyczałaś, że nie chcesz żadnego ślubu. Możesz mi powiedzieć, co wpłynęło na to, że zmieniłaś zdanie?

Sama nie bardzo wiedziałam, dlaczego tak nagle stało się to dla mnie tak ważne, tym bardziej, że jeszcze niedawno bałam się zalegalizowania naszego związku.

- Kocham cię i chcę zostać twoją żoną, co w tym dziwnego?! - stwierdziłam, robiąc przy tym obrażoną minę pod hasłem „jak on może w to wątpić”.

Wstał i kazał mi iść za sobą do drugiego pokoju. Tam zamknął drzwi i niespodziewanie chwycił mnie mocno w objęcia mówiąc, że jestem dla niego wszystkim i żyć beze mnie nie może. Naraz stało się dla mnie jasne, że ja nadal kochałam go na swój sposób. Nie było to wprawdzie tak intensywne uczucie, jak wtedy, gdy byliśmy razem w Niemczech, ale była to miłość...

DZIEŃ KOBIET

Następnego dnia było Święto Kobiet. Zupełnie straciłam poczucie czasu, więc nie bardzo orientowałam się, jaki mieliśmy miesiąc, a co dopiero dzień. Rushit jak zwykle wyszedł rano nie mówiąc mi, ani dokąd, ani po co idzie. Wrócił w południe. Trzymał w ręku kilka sztucznych goździków. Siedziałyśmy same z Shyrete w pokoju. Ona haftowała, a ja czytałam „Pana Tadeusza”. Podeszedł do swojej siostry, podał jej kwiaty, wymamrotał coś w stylu „Wszystkiego naj” i powiedział, żeby dała po jednym goździku dla mnie, Sarandy, Nasife i jeden miała wziąć sobie. Patrzyłam na niego, jakby dał mi właśnie w twarz. Wyszedł, a ja wybiegłam za nim.

- Co to było? - chciałam wiedzieć, co miało znaczyć to jego zachowanie, ta obojętność.
- Jest przecież Dzień Kobiet, czy nie?!
- Ale ty mi nic nie dałeś, nie złożyłeś mi życzeń. - miałam łzy w oczach.
- Przecież przyniosłem i dla ciebie kwiat. Co jeszcze byś chciała. Złoto, diamenty?
- Ty naprawdę nic nie rozumiesz?! - krzyknęłam i poczułam jak dwa strumyki spłynęły mi po policzkach, przestałam się kontrolować. - Ja chciałam, żebyś sam złożył mi te życzenia, a nie przez pośredników.

- Doskonale wiesz, że nie mogę podejść do ciebie, rzucić się na szyję i pocałować. Złożyłbym tobie te życzenia później jeszcze raz w pokoju. Człowiek się stara, a ty ciągle niezadowolona, ciężko ci dogodzić! - mówiąc to odwrócił się i wybiegł wściekły trzaskając drzwiami.

Nagle zrobiło mi się słabo, nogi miałam jak z waty, osunęłam się na ziemię. Doczołgałam się do schodów prowadzących na piętro i oparłam się o stopień. Miałam drgawki, trzęsłam się, oblałam zimny pot. Leżałam tak kilka minut, w końcu Shyrete wyszła na korytarz i zauważyła mnie. Podbiegła i kucnęła przy mnie przerażona.

- Co się stało?! Co ja teraz zrobię?! - chwyciła się oburącz za głowę i zaczęła zawodzić.

Chciała pomóc mi wstać, aleja nie byłam w stanie. Poprosiłam, żeby zostawiła mnie na chwilę w spokoju, na pewno za chwilę mi to przejdzie. Przez cały czas siedziała koło mnie i ciągle pytała, czy jestem pewna, że nie ma posłać kogoś po Rushita. Byłam przekonana, że był on ostatnią osobą, którą chciałam tu oglądać. Po dłuższej chwili z pomocą Shyrete doszłam jakoś do pokoju i położyłam się, nagle ogarnęła mnie fala mdłości. Zerwałam się z łóżka, żeby pójść do toalety, ale nie miałam siły. Shyrete przyniosła mi miskę, a kiedy wymiotowałam, zaczęła płakać. Mdłości nie przechodziły, a ja nie miałam już czym zwracać. Opadałam bezwładnie na poduszkę. W międzyczasie Nasife wróciła od sąsiadki, przestraszona, że coś może się stać z dzieckiem, kazała Shyrete posłać jakieś dzieciaki z sąsiedztwa aby poszukały Rushita. Byłam taka zmęczona, a nie mogłam zasnąć, fala mdłości ciągle wracała, dusiłam się, nie mogłam złapać powietrza. Rushit zjawił się po dwóch godzinach. Chciał obrócić to wszystko w żart:

- Jak ty wyglądasz? Chcesz być jeszcze chudsza, niż jesteś?

Nie wychodziły mu te dowcipy, spojrzałam na niego w taki sposób, że już zupełnie poważnie kazał mi się ubrać.

- Po co? - zapytałam.
- Zawiozę cię do lekarza, przecież musimy coś z tym zrobić. To chyba nie jest normalne.
- Każda ciężarna kobieta ma takie dni.

- Ale nie stara się wypluć płuc - Rushit był wyraźnie zniecierpliwiony. - Ubieraj się, jedziemy!

Kiedy weszliśmy, lekarz spojrzał na nas obojętnie, dopiero, gdy dowiedział się, że nie jestem z Kosowa, zaczął żartować i był bardzo miły. Zbadał mnie dokładnie i spytał, czy jestem w ciąży.

- Tak - powiedział Rushit dumny, co zdziwiło mnie bardzo, bo do tamtej pory sądziłam, że ta ciąża nie jest mu na rękę.

Dostałam receptę z przepisanyimi witaminami, wapniem oraz kroplówką.

- Czy w tym kraju nie ma czegoś takiego, jak karetka pogotowia? Jak można chorego, ledwo żywego człowieka narażać na takie podróżowanie, a te zarazki w przychodni... Przecież, jeśli ktoś ma zakaźną chorobę, to trzeba go odizolować, a nie przywozić do miejsca publicznego.

Tak narzekałabym pewnie, aż do Carralluk, gdybym nie poczuła, że wszystko podchodzi mi do góry, kazałam natychmiast zatrzymać samochód. Powtórzyło się to jeszcze dwa razy, w końcu dotarliśmy do domu. Rushit przyprowadził jednego z swoich przyjaciół, pielęgniarza, który założył mi kroplówkę i obaj zniknęli. Wrócił dopiero późno w nocy. obudził mnie, spytał jak się czuję, odwrócił się na drugi bok i zasnął. On chrapał, a ja połykałam po cichu łyżę...

Obudziłam się ze strasznym bólem głowy. Spojrzałam na zegarek, dochodziła ósma. Dźwignęłam się z łóżka, narzuciłam na siebie sweter, wciągnęłam spodnie i poszłam do łazienki. Shyrete na mój widok zerwała się z miejsca i zapytała z troską, czy wszystko jest już w porządku. Powiedziałam, że tak i nie skłamałam, bo rzeczywiście oprócz bólu głowy, czułam się świetnie.

- Dziś zrobię dla ciebie tort, bo wiem, że lubisz słodkie. Zobaczysz jak dzidzia się ucieszy.

Po południu wrócił temat dziecka. Podczas dyskusji na temat dzieci i pokoleń usłyszałam jak Shyrete powiedziała do swojej matki:

- Oby to dziecko Rushita okazało się chłopcem. Dostanie nasze nazwisko i wreszcie Rushit będzie miał spadkobiercę jego części ziemi.

Wstrząsnęło mną ze złości.

- Jak to Rushita dziecko?! Ono jest przede wszystkim moje i to ja zdecyduję, czyje nazwisko będzie miało.

- Ale nie w Kosowie - Shyrete podniosła głos - tu potomek Rushita należy do rodziny. Nawet, jeśli pojedziesz kiedyś do Polski na urlop, to sama.

Myślałam, że mnie szlag trafi. Co oni sobie myśleli... A ta moja szwagierka, do tej pory taka kochana i nagle diabeł w nią wstąpił.

- Jak chcecie dziecko, to sobie zróbcie i urodźcie!

Cały wieczór spędziłam w pokoju. Odmówiłam pójścia na kolację, Saranda przyniosła mi kawałek pity na tacy i odchodząc szepnęła, że Shyrete powiedziała jej to samo, ale ona nie ma odwagi, ani prawa sprzeciwić się jej. Miałam wielką ochotę porozmawiać z nią dłużej, tak bardzo brakowało mi kogoś, z kim mogłabym podzielić się tym, co leżało mi na sercu, wyżalić się. Saranda potrząsnęła tylko głową na znak, że nie może i wyszła pospiesznie. Panicznie bała się siostry i matki swojego męża, „Biedna”, pomyślałam i obiecałam sobie jednocześnie, że przynajmniej ja się im postawię i nie dam się podporządkować. Nie wiedziałam, że czekała mnie długa i zmudna walka, którą miałam wygrać tylko po części, ale jakim kosztem...

BAJRAM

Krótko po Nowym Roku zaczyna się ramadan, miesięczny okres postu muzułmanów. Przez ten czas po zachodzie słońca można spożyć kolację, a przed wschodem słońca śniadanie. Odmawia się dodatkowe modlitwy, nie powinno się palić papierosów, a już w ogóle pić alkoholu, zabrania się przeklinania, kłótni i należy unikać stosunków seksualnych. Poszczą wszyscy wyznający islam, wyjątek stanowią chorzy, starcy, dzieci i osoby będące akurat w podróży. Tak opowiedział mi Ramush, choć sam przyznał, że w Kosowie tylko niewielu można nazwać prawdziwymi muzułmanami. Zapytałam, dlaczego w takim razie nie poszukają innej drogi do Boga. Odpowiedź była dokładnie taka, jakiej się spodziewałam:

- Mój ojciec był muzułmaninem, dziad i pradziad, więc i ja wierzę w Allacha.
- Czyli nie masz do tego przekonania...

Na ten zarzut nic nie usłyszałam. Wstawano więc w nocy, przed drugą, żeby zjeść coś i ewentualnie wypić herbatę.

- Macie dużo silnej woli, jeśli potraficie wstać specjalnie w nocy - zagadałam Sarandę.

To nie jest kwestia silnej woli, tylko świadomość, że pierwszy posiłek można zjeść dopiero po południu - zaśmiała się. Miałam wrażenie, że nikt mnie tam nie traktował poważnie, a już na pewno komiczna wydawała im się moja niewiedza dotycząca ich religii.

Zastanowiłam się jednocześnie, czy wolałabym zrywać się w środku nocy, czy może głodować i wytrzymać do czasu, kiedy zajdzie słońce. Doszłam jednak do wniosku, że zdecydowanie przesadzają, bo wiele razy, jeszcze w Polsce nie jadłam przez kilka godzin, kiedy pochłaniały mnie inne sprawy. Najmniej zrozumiałe było dla mnie, jak taki Ramush, który normalnie palił dwie, trzy paczki papierosów dziennie, potrafił w okresie postu nie palić w ogóle.

- Allah mi pomaga - stwierdził, a dla mnie zabrzmiało to jak regułka wyuczona na pamięć, w której rację nie wierzy się tak do końca.

Ostatniego dnia ramadan u Saranda i Nasife przygotowywały potrawy na Bajram, miał być tort i ciasteczka. Oprócz tego robiły tradycyjnie bakławę. Nie wiedziałam jeszcze wtedy, jak to smakuje, ale wydało mi się strasznie pracobłonne. Mężczyzn jak zwykle nie było, Shyrete haftowała, a ja patrzyłam, jak pracują kobiety. Saranda siedziała przy stole i z wyrobionego przez Nasife ciasta wałkowała okrągłe, cienkie jak papier placki prawie metrowej średnicy. Przerzucała je przez długi drążek, który służył jej jako wałek i podawała je na nim teściowej. Ta z kolei kładła je na uprzednio dokładnie wyczyszczonej powierzchni pieca i suszyła przez chwilę. Trzeba było wiedzieć, kiedy zdjąć, żeby ciasto się nie przypaliło, ale też nie zbyt było miękkie. Brała to w ręce delikatnie, bo łatwo można ten „pergamin” połamać. Takich warstw zrobiły wspólnie około dwudziestu. Teściowa pochwaliła się, że jako młoda i zdrowa kobieta potrafiła przygotować bakławę o czterdziestu warstwach. Jej synowa chyba nie bardzo w to wierzyła, bo dała mi spojrzeniem do zrozumienia, że nie wszystko, czym ona się chwali, trzeba brać serio. W międzyczasie w garnku gotował się bardzo słodki syrop z wody i dużej ilości cukru. Następnie kładziono te placki jeden na drugi i polewano każdą warstwę niewielką ilością słodkiego syropu. Całość później trzeba pokroić na niewielkie kawałki i piec długo w piecu, aż będzie złote i twarde. Na koniec wylewa się na to syrop, tak, że wszystko pływa i zostawia do następnego dnia, żeby „wypilo” ten syrop i zmiękło. Tort, który upiekła Saranda sama, niczym

się nie różnił od naszego czekoladowego murzynka. Nie mogłam się doczekać tej uczy. Nasife dała mi wieczorem kawałek bakławy do posmakowania, wprawdzie niesamowicie słodka, ale syta i naprawdę pyszna. Zastanowiłam się, czy potrafiłabym zrobić to sama i musiałam przyznać, że byłoby to dla mnie zdecydowanie zbyt skomplikowane.

Kolejnego poranka obudziło mnie wycie radia, ten hałas to czytane wersety z Koranu. Zastanawiałam się komu odbiło. Zegarek wskazywał szóstą, a Rushita nie było, więc natychmiast przyszło mi do głowy, że nie wrócił po prostu na noc. Wściekła wygramoliłam się z łóżka i wyszłam z pokoju. O dziwo, siedziała tam cała rodzina, oprócz Blerima. Nie odzywając się wcale, dając im poznać moją złość tylko spojrzeniem, udałam się do łazienki. Kiedy wychodziłam z niej, na korytarzu czekała Saranda. Przerażona chwyciła mnie za rękaw i potrząsnęła silnie:

- Czy ty zwariowałaś?

Nawet nie musiałam udawać zdziwienia. O co jej chodziło?

- Przecież ty jesteś w samej piżamie...

Popatrzyłam na siebie, miałam ubrane przykrótkie, szare kałesony z grubej wełny, które świetnie mogłyby spełniać rolę spodni dresowych i górę od kompletu. Rzeczywiście spałam w tym, ale przecież nie była to jakaś koronkowa, półprzezroczysta haleczka. Zupełnie nie docierało do mnie o co to całe „halo”.

- Nie przesadzaj, nie jestem nago.

- Rushit cię zabije, jak cię zobaczy.

- Spokojnie - machnęłam ręką - Nie ma go, nie wrócił na noc.

- Ależ on poszedł do meczetu. Idź się ubierz, proszę... Zrobiłam to bez żadnego sprzeciwu. Zaskoczyła mnie wiadomością, że mój mąż poszedł do meczetu. Nigdy nie widziałam go, żeby się modlił. Mężczyźni wrócili po dwóch godzinach. Podchodzili do każdego i podając rękę mówili:

- *Per hajr baj rami.*

- Hajr paq- odpowiadano.

Domyśliłam się, że składają sobie w ten sposób życzenia związane z świętem Bajramu. Nie ominięto także mnie, nawet Shyrete, z którą byłam na ścieżce wojennej, podeszła do mnie z uśmiechem.

- *Per hajr bajrami* - Rushit uściskał mi dłoń.

Nagle poczułam, jak w gardle staje mi wielka kluska, wzruszyłam się i kiedy oczy zasły mi łzami, postanowiłam dłużej nie czekać, tylko usunąć się dyskretnie na bok. Bo jak miałam im wytłumaczyć, dlaczego płaczę, skoro sama nie wiedziałam... Akurat wychodziłam, gdy usłyszałam za sobą głos Nasife:

- *Per hajr bajrami.* córko moja.

Odwrociłam się, łzy spływały jej po policzkach. Pierwszy raz słyszałam, jak mówiła do mnie „moja córko”. Nie wiedziałam, czy to emocje kobiety ciężarnej, czy zwyczajnie coś we mnie pękło, w każdym razie wybiegłam do łazienki, gdzie przez ponad dziesięć minut nie mogłam opanować płaczu. Teraz z perspektywy czasu wiem, że już wtedy zaczęłam się do tych ludzi przyzwyczajać, zaczęło mi brakować rodziny, kogoś bliskiego.

Miałam nadzieję, że po tych życzeniach zasiądziemy w końcu do śniadania, byłam już głodna. Ale okazało się, że to jeszcze nie koniec ceremonii. Pod domem zbierały się dzieci. Całe

mnóstwo, w różnym wieku. Część z nich znałam, ale większość widziałam po raz pierwszy. Saranda wyszła przed dom z paczką gum do żucia. Rozdawała wszystkim po jednej. Te dziękowały i biegly do sąsiednich domów. Za chwilę pojawiały się inne maluchy. I tak przybiegło do nas kilka grup. Stałam na balkonie zafascynowana obyczajami w tym kraju. Byłam ciekawa jakie niespodzianki jeszcze kryło święto kończące muzułmański post.

W międzyczasie wszyscy mężczyźni również udali się na obchód po domach. W domu zostaje tylko głowa rodziny, żeby przyjąć gości. Były to z reguły krótkie wizyty, wypijało się szybko po szklaneczce soku lub innego zimnego napoju i szło się z życzeniami do innych rodzin. Młodzi mężczyźni zbierali się w kilkunastoosobowych grupach, ci starsi chodzili we dwóch, trzech bądź też sami. Kobiety w tym czasie siedziały w innym pomieszczeniu, skąd nie mogły wychodzić, do czasu, kiedy skończą się odwiedziny. Trwało to wszystko mniej więcej do południa. Kiedy Rushit i Blerim wrócili do domu, zasiedliśmy do pierwszego tego dnia posiłku. Umierałam wręcz z głodu. Jak zdążyła poinformować mnie teściowa, na takie świąteczne śniadania podaje się przeważnie pieczone pałki kurczaka w sosie z ryżem lub ziemniakami. Proste i smaczne danie przygotowuje się w miarę szybko. W jednym garnku gotuje się mięso, w drugim np. ryż, kiedy potrawy zmiękną, rosół zagęszcza się mąką, przyprawia sporą ilością czerwonej, ostrej papryki w proszku i wylewa na blachę, na wierzchu układa kawałki mięsa. To wszystko wkłada się do pieca na kilkanaście minut, aż na powierzchni pojawi się „skorupka”. Jada się wspólnie, bezpośrednio łyżką z blaszki, albo macza w tym chleb. W ogóle w Kosowie prawie wszystko je się z chlebem, nawet ziemniaki i makaron. Trochę to dla nas, Polaków dziwne, ale do różnych rzeczy i sytuacji można się przyzwyczaić.

Wracając do Bajramu, święta kończącego post, to trwa on dwa dni. Przez ten okres odwiedza się rodzinę i przyjmuje gości. Nas także czekała jakaś niespodziewana wizyta, więc trzeba było starać się utrzymywać porządek. Rzeczywiście po wypitym czaj u w domu zostały same kobiety i zaczęły schodzić się do nas sąsiadki. W sumie dzień spędziłam wspaniale, gdyby nie moja szwagierka i jej chęć dokuczenia mi. Wieczorem wzięłam sobie kawałek bakławy i poszłam do swojego pokoju, żeby poczytać. Nie było akurat prądu, więc z telewizji nici, a cała rodzinka leżała w milczeniu na materacach. Nudziło mi się. Rushit po tym, jak wrócił ze sklepu, gdzie świętował przy alkoholu Bajram, spał przy piecu. Po niecałej godzinie wpadł do pokoju krzycząc od progu, że mnie zabije. Zdezorientowana odłożyłam książkę i patrzyłam na niego jak na wariata. Zastanawiałam się, czy nie miał jakieś koszmaru, bo o co mogło mu chodzić. Zaraz za nim wbiegła Shyrete, zaczęła prosić go, żeby przestał, bo przecież nic złego się nie stało.

- Co się stało? - odważyłam się w końcu zapytać.

- Ty dziwko! - ryknął Rushit, dopiero wówczas przekonałam się, że był pod wpływem alkoholu. - Nie będę tu trzymał szmaty, która biega nago po całym domu.

Spojrzałam pytająco na Shyrete, ale ta wyraźnie unikała mojego spojrzenia. W głowie zapaliła mi się lampka: ona była sprawczynią agresywnego zachowania Rushita. Poskładałam sobie te zarzuty w całość i nagle dotarło do mnie, że chodzi mu na pewno o to, że chodziłam rano w piżamie. Nagle Rushit wyrwał się swojej siostrze i podbiegł do mnie. Uderzył mnie w twarz otwartą dłonią, poczułam w ustach metaliczny smak. Odruchowo zasłoniłam brzuch i zaczęłam histerycznie krzyczeć. To rozwścieczyło go jeszcze bardziej, zdążyłam podkurczyć nogi, kiedy rzucił się na mnie odepchnęłam go z całej siły i uciekłam z pokoju. Słyszałam krzyki Nasife i

głośny szloch Shyrete.

Schowałam się w łazience i zamknęłam drzwi na klucz. Zaczął uderzać w drzwi i głośno krzyczeć. Po kilku minutach dał sobie spokój i wyszedł z domu głośno trzaskając. Odetchnęłam z ulgą. Pogłaskałam moje maleństwo w brzuchu i zaniósłam się płaczem. Płakałam długo i głośno, nie mogłam się uspokoić. Kiedy mi ulżyło, usłyszałam głos Sarandy, prosiła mnie, żebym wyszła. Zapewniała, że nic mi już nie grozi, bo on pojechał gdzieś, z pewnością szybko nie wróci, a przez ten czas mu przejdzie. Od razu wróciłam do swojego pokoju, nie miałam ochoty rozmawiać z nikim.

- Iza - zawołała Shyrete, ale w odpowiedzi trzasnęłam drzwiami. Weszła za mną.

- To nie tak, jak myślisz. Ja nie powiedziałam tego, żeby on ciebie bił. Śmiałyśmy się z tej twojej gafy. Potem on wpadł w szal - tłumaczyła ocierając rękawem łzy. - On się bardzo zmienił, nikt go tu nie poznaje. Kiedyś nie był taki, nie sądziłam, że byłby zdolny ciebie uderzyć. On jest inny odkąd...

To był kolejny policzek tego dnia.

- Odkąd jest ze mną? - krzyknęłam, czułam, że tracę panowanie nad sobą. - Wiem, że pozbylibyście się mnie stąd, ale ja nie jestem tu z własnej woli, chcę wrócić do rodziny, do normalnego świata, do cywilizacji! Więc zrobicie mi przysługę, jeśli powiecie Rushitowi, że mnie tu nie chcecie.

- Ale my nie mamy nic przeciwko tobie, chcemy, żebyś tu mieszkała.

- Ja proszę o to! - złożyłam błagalnie ręce i zaczęłam płakać. - Błagam, powiedzcie mu, to może pozwoli mi wyjechać.

- A co z jego dzieckiem?

Szlag mnie trafił. Zaczęłam wrzeszczeć, że to moje dziecko, a on jego i tak nie chce, bo gdyby tak było, nie podniósłby na mnie ręki. Shyrete uznała, że w takim stanie nie ma sensu rozmawiać i zostawiła mnie samą. Przeplakałam pół nocy, a gdy udało mi się w końcu zasnąć obudził mnie Rushit. Czułam jak usiłuje ściągnąć ze mnie piżamę, czuć było od niego silny odór alkoholu, słyszałam jego obłe sapanie. Przytrzymałam spodnie, ale tylko warknął na znak, że nie chce żadnego sprzeciwu. Leżałam bezwładnie podczas, kiedy on zrobił to, co chciał i odwrócił się na drugi bok. Trudno opisać uczucia, które miały mną wówczas; było to obrzydzenie, nienawiść i bezradność. Życzyłam mu najgorszego, w mojej wyobraźni zabijałam go na wszystkie sposoby. Może nie było to ludzkie, ale rozumiem to tylko kobiety, które przeszły przez to samo piekło.

NIE BIJ!

Któregoś dnia Rushit obwieścił, że za dwa dni przyjadą do nas żołnierze niemieccy, mają odwiedzić wszystkie rodziny w całym Carralluk i ocenić, w jakich warunkach mieszkają. Tym najbardziej potrzebującym wybudują nowe domy. Mają też rozdawać materiały budowlane. Zaczęto się naradzać i w końcu Ramush doszedł do wniosku, że to na moich barkach leży odpowiedzialność, mam porozmawiać z nimi, ponarzekać na tragiczne warunki, pomarudzić. Rushitowi nie spodobała się ta myśl, powiedział otwarcie, że nie jest za tym, żebym wdawała się w jakieg dyskusje z żołnierzami KFOR-u. Miałam wrażenie, że teściowa spojrzała na mnie w tym momencie ze współczuciem. Może i do niej zaczęło docierać wtedy, że jej ukochany synek

był zwykłym paranoikiem, fanatycznie zazdrosnym. Tej nocy Rushit o trzeciej godzinie zawiózł ją na pogotowie, podobno poczuła się bardzo źle. Nie wiem, co miało wpływ na jej stan zdrowia, mogłam się tylko domyślać...

- Już są na dole, u Rasima - Ramush od rana stał na ulicy, czekając wraz z innymi mężczyznami na żołnierzy niemieckich.

- To co ja mam robić? - upewniłam się jeszcze raz.

- Może lepiej nie rozmawiaj z nimi - poradziła mi Saranda - Zwłaszcza, jak będzie przy tym Rushit. On znowu może się zdenerwować.

Boże, jego bała się cała rodzina, prawdziwy Bin Laden. Gdyby zależało to ode mnie, nie odezwałabym się wcale, ale jeden z żołnierzy widocznie doszedł do wniosku, że nie jestem Albanką, bo zapytał po niemiecku, skąd jestem. Spojrzałam spanikowana na Rushita, ten skinął mi nieznacznie głową, że mam mu odpowiedzieć. Miałam ochotę wykrzyknąć temu Niemcowi, że chcę stąd wyjechać, żeby mi pomógł, bo trzymano mnie tam wbrew mojej woli. ale nie mogłam ryzykować.

- Jak tu dotarłaś? - pytał dalej.

- Przyjechała ze mną - Rushit podszedł do nas i chwycił mnie silnie za łokieć.

Wiedziałam, co to miało oznaczać. Odeszłam na bok i usiadłam na materacu koło Nasife. Tymczasem mężczyźni dwoili się i troili, żeby przekonać Niemców, w jakich to tragicznych warunkach żyjemy, po kilka osób w jednym pokoju.

- Ci młodzi - teściowa wskazała na mnie i mojego męża - mieszkają w tamtym pokoiku, tu, w kuchni przy piecu śpi mój mąż, a ja, druga synowa, córka i najmłodszy syn w drugim pomieszczeniu- A co robić, kiedy przyjeżdża drugi syn z Niemiec? Będzie chciał spać sam z żoną, a nie z połową rodziny.

- Nam potrzeba nowego domu.

Żołnierze wytłumaczyli, że są ludzie, którzy śpią po kilkanaście osób w pokoju, a bywają też tacy, którzy mieszkają razem z krowami pod jednym dachem, bo Serbowie spalili, albo zburzyli całkowicie ich domy. Przydzielono nam jakieś materiały na odbudowę, kilka okien i drzwi. Rzeczą oczywistą było, że zostawili nas w nieciekawych nastrojach. Siedzieliśmy w milczeniu, kiedy Rushit zaczął cmokać z niezadowolaniem.

- No, no. Masz tupecik, w mojej obecności flirtujesz sobie w najlepsze z innym facetem. Nie masz żadnych zahamowań.

Znałam to spojrzenie, nie wróżyło nic dobrego. Patrzył na mnie spod czapki, oczy miał tak samo opętane wściekłością, jak ostatnio, gdy doszło do rękoczynów. Poczułam znajomy skurcz w brzuchu. Kiedy wstał z miejsca, przysunęłam się bliżej do jego matki.

- Nie będę cię bił - uspokoił mnie - Ale od teraz będziesz siedziała sama w pokoju. Nie nadajesz się do ludzi. Jedzenie będą ci przynosili, a do toalety będziesz szła z obstawą. I to tak długo, aż zobaczą poprawę. Won, do pokoju!

- Rushit, przestań - wtrąciła się Nasife - ona nic złego nie zrobiła. Odpowiadała tylko na pytania.

- Wy jeszcze nie wiecie, kim ona jest!

Kim byłam, do cholery jasnej?! Zwykłą dziewczyną, która zakochała się w niewłaściwym człowieku, która stała się ofiarą psychopaty... Oto kim byłam. W obawie, że mógłby podnieść na mnie rękę, wstałam i udałam się do drugiego pokoju. Po drodze myślałam, co bym zrobiła,

gdybym nie była w ciąży. Zamknęłam za sobą drzwi z nadzieją, że na tym się skończyło, ale on widocznie miał mało, bo wszedł za mną. Zaczął mi ubliżać, z jego ust padały najgorsze słowa, starałam się nie zwracać na to uwagi, ale kiedy obraził moją matkę nie wytrzymałam:

- Zamknij się w końcu! - stanęłam przed nim. - Za kogo ty się uważasz, żeby mówić tak o mojej matce?!

Po dłuższym czasie przekonałam się, że leżało to w naturze tych ludzi, kiedy chcieli komuś powiedzieć coś bardzo przykrego, rzucali obelgi na matkę tego kogoś, rzadko na niego samego. Był to czuły punkt Albańczyków.

Rushit zaśmiał się na głos, odwrócił się na pięcie i opuścił pokój, byłam wściekła na cały świat, musiałam jakoś wyładować swoją złość i w pierwszym odruchu chwyciłam kaptur i cisnęłam z całej siły w ścianę krzycząc, że nie będzie mnie trzymał w więzieniu, bo nie jestem przestępcą. Nie był to chyba najlepszy moment na to, bo drzwi otworzyły się gwałtownie i stanął w nich Rushit.

- Ty suko! - wrzasnęła na cały głos.

Podbiegł do mnie i uderzył z całej siły w twarz. Upadłam na łóżko, nie zdążyłam się podnieść, bo usiadł na mnie i zaczął bić raz po raz. Były to ciosy nad którymi nie panował, uderzał, gdzie popadło, a ja nie byłam w stanie nic zrobić. W pewnym momencie udało mi się wydostać spod niego, ale nie dobiegłam do drzwi, kiedy przewrócił mnie na podłogę. Chwycił oburącz za szyję i zacisnął mocno. Na początku broniłam się na oślep, ale po chwili siły zaczęły mnie opuszczać, zrobiło mi się ciemno przed oczami, było mi wszystko jedno. Zamknęłam oczy i już miałam poddać się woli Boskiej, gdy oprawca mnie puścił. Nie miałam zamiaru zastanawiać się, dlaczego, po prostu uciekłam z pokoju. Przez moment widziałam tylko Blerima, który trzymał się za twarz. Wybiegłam na dwór. Nie mogłam złapać powietrza, upadłam na ziemię, jak we śnie usłyszałam czyjś głos uparcie pytający, co się stało. Odetchnęłam głęboko i po kilku minutach doszłam do siebie. Otworzyłam oczy i zobaczyłam Sarandę. Klęczała nade mną i patrzyła z przerażoną miną. Nadal nie docierało do mnie, co Rushit ze mną zrobił, nerwy mi puściły, nagle przypomniałam sobie o dziecku. W panice złapałam się za brzuch i czekałam na jakieś chociaż delikatne kopnięcie, cokolwiek, żebym tylko wiedziała, że wszystko jest w porządku. Nic. Zerwałam się na równe nogi i zanosząc się płaczem pobiegłam do łazienki. Słyszałam dobiegające z pokoju krzyki Nasife i Rushita. Po cichu zamknęłam drzwi na klucz, odwróciłam się i... zamurowało mnie. Jak ja wyglądałam! Miałam podbite, spuchnięte oko, rozciętą wargę, z której ciekła krew, nabrzmiały policzki, a na szyi sine odciski po dłoniach Rushita. Prawe ucho było nienaturalnie grube i niemal bordowe, energicznym ruchem ściągnęłam bluzkę, na całym ciele miałam siniaki. Przez moment czułam jakąś nienaturalną siłę, która rosła we mnie błyskawicznie. W końcu otworzyłam usta, żeby pozbyć się tego uczucia i z mojej obolałej piersi wydobył się nieludzki krzyk. Nie poznawałam siebie w tej chwili, ale to było coś, nad czym ja nie mogłam zapanować, miały mną strach o dziecko, nienawiść, złość, że nie mogę nic zrobić, miałam ochotę zabić kogoś, czułam, że tylko wtedy mi ulży, że wówczas poczuję się lepiej. Krzyczałam dobre kilka minut, aż poczułam, że nie mogę wydobyć z wnętrza żadnego głosu. Czułam, że muszę się jakoś wyładować, bo oszaleję, zaczęłam bić pięściami w ścianę tak długo, aż poczułam ulgę. W tym amoku nie słyszałam nic, nie docierały do mnie nawet nawoływania i prośby Nasife i Shyrete, żeby otworzyć. W końcu odważyłam się spojrzeć jeszcze raz w lustro, widok nie był przyjemny. Łzy goniły się po mojej twarzy, splunęłam na swoje odbicie i wyszłam. Prawie natychmiast dopadły do mnie Saranda i Shyrete. Zaczęły prosić, żebym nie denerwowała

Rushita, bo nie wychodzi mi to na dobre.

- My nie możemy nic zrobić. Należysz do niego - tłumaczyła mi Saranda. - Nie mamy prawa się wtrącać.

- Kto mi pomógł? - zmieniałam temat.

- Blerim. Myśleliśmy, że się tylko kłócicie, ale kiedy zaczęłaś krzyczeć, a potem nagle zamilkłaś baliśmy się, że zrobił ci coś złego. Blerim pierwszy zerwał się i pobiegł do pokoju, żeby sprawdzić. Rushit wściekł się na niego, że umożliwił ci ucieczkę i uderzył go mocno w twarz.

Dziwne, po nim spodziewałabym się raczej, że pomógłby Rushitowi mnie dobić. A jednak miał w sobie coś z człowieka.

- Gdzie jest Nasife?

Rozmawia z synem. Idź do swojego pokoju i nie odzywaj się do niego, proszę. Choćby nie wiem jak ciebie prowokował. Saranda pójdzie z tobą.

Chcąc wrócić do siebie musiałam, przejść przez salon. Rushit siedział tam razem z Nasife i Blerimem. Ten ostatni miał rzeczywiście ślad po uderzeniu na prawym policzku. Na mój widok poderwano się z miejsca, ten cholerny sadysta chciał doskoczyć do mnie z pięściami, ale matka zagroziła mu przejście, zaklinając go na wszystkie świętości, żeby się opamiętał.

- Zabiję cię! - wrzasnął, ale usiadł posłusznie - Możesz się pakować. Jedziesz do domu, nie będę trzymał takiej szmaty w tym porządnym domu.

Byłam taka szczęśliwa słysząc to, że miałam ochotę uściskać go. JADĘ DO DOMU! Wbiegłam do pokoju jak na skrzydłach. Nagle przestało być ważne jak wyglądam, jak bardzo bolało mnie ciało, twarz i zraniona dusza. Przecież miałam wracać do Polski, do rodziny. Wyrzuciłam na podłogę ciuchy z szafki i zaczęłam upychać je byle jak do walizki. Miałam ochotę śmiać się na głos i tańczyć. Perspektywa powrotu do kraju i urodzenia tam mojego dziecka przyćmiła całą tragedię, jaka wydarzyła się tamtego dnia, nic nie było w tamtej chwili ważne...

- Iza - przerwała mi cicho Saranda - nie pakuj się jeszcze. Poczekaj chociaż, aż powie ci, czy to jego ostateczna decyzja.

- Oczywiście, że ostateczna - nie rozumiałam dlaczego miałby zmienić zdanie - przecież powiedział, że jadę.

Ale mina Sarandy nie wróżyła nic dobrego. Co ona chciała mi powiedzieć, dlaczego swoim grobowym nastrojem psuła mi całą radość?!

- On cię nie wypuści. Nie może bez ciebie żyć, bardzo cię kocha.

- Dlaczego tak mówisz? Dlaczego wszyscy mi tak źle życzyli? - oczy zaszklily mi się znowu.

- Ależ to nieprawda - zawołała Saranda z przejęciem - Ty nawet nie wiesz, jak bardzo jest nam ciebie żal. Gdyby to od nas zależało...

- A co z Ramusem? - nagle olśniło mnie, że przecież Rushit nigdy nie podniósł na mnie ręki, kiedy on był w domu, czyżby jednak bał się go. Zapytałam o to Sarandę, ale zaprzeczyła, podobno była to kwestia szacunku, jaki miał dla swojego ojczyma.

Mimo pesymizmu Sarandy nadal miałam nadzieję, że będę mogła wyjechać. Walizka stała w kącie, gotowa. Teraz przyszło mi czekać tylko na wiadomość, jak i kiedy. Było mi wszystko jedno. Pomyślałam sobie, że nie miałabym nic przeciwko temu, gdyby wyrzucono mnie na ulicę. Dałabym sobie radę. Położyłam się w oczekiwaniu na „wyrok” i wyobrażałam sobie, jaką niespodziankę zrobię rodzicom moim niezapowiedzianym przyjazdem. Nie mam pojęcia, ile

czasu tak leżałam, wstałam dopiero, gdy zawołano mnie na kolację. Rushita nie było, wyszedł krótko po naszym starciu. Nie chciało mi się w ogóle jeść, ale byłam ciekawa, co miała mi do powiedzenia jego rodzina. Przy posiłku wszyscy milczeli, zwróciłam uwagę, że Nasife nie odezwała się do mnie ani razu. Kiedy zapytałam ją, czy jest coś, co ją gryzie odpowiedziała:

- Kobieta nie ma prawa podnieść ręki na mężczyznę. Nikt nigdy nie uderzył mojego syna, nawet ja nie miałam odwagi. Nie powinnaś tego robić.

Nie wierzyłam własnym uszom. Ona obraziła się, że kopnęłam jej syna w obronie własnej! To wszystko wydawało mi się jakimś niesmacznym żartem.

- Czy zdajesz sobie sprawę, że jestem w ciąży! Twój syn chciał mnie zabić, mogłam stracić dziecko, a ty jesteś zła, że broniąc się i tego maleństwa kopnęłam go?! Przecież jesteś kobietą, matką, jakbyś się czuła na moim miejscu? Leżąc, czekałabyś na łaskę od Allacha, czy dziękowałabyś swojemu mężowi za każde uderzenie i prosiła o więcej?!

Nie musiała odpowiadać, jej mina mi wystarczyła.

- Ramush bił mnie nie raz i to o wiele gorzej. Ale nigdy nie oddałam mu, nie miałam takiego prawa. Kobiety muzułmańskie nie mogą podnieść ręki na mężczyznę, kiedyś zabijano je za to.

- Jak to ZABIJANO? - czułam, że zaraz zwariuję.

Siedziałam tam cała w siniakach, z twarzą jak bokser po walce, a moja teściowa mi mówi, że nie miałam prawa się bronić, może miałam prosić o jeszcze?! Powoli dochodziło do mnie, że ja żyję z ludźmi o fanatycznych poglądach sprzed stu laty.

- Gdzie poszedł Rushit? - tamten temat uznałam za zakończony, nie było sensu prowadzić żadnych dyskusji, nie osiągnęłabym nic. Nasife mogła się obrażać, mi zależało tylko na obiecanych wyjeździe.

- Do sklepu. Nic więcej nie mówił. Iza, mój brat może jest bardzo wybuchowy, ale on nie chciał zrobić ci krzywdy.

Zrobiło mi się wesoło, parsknęłam śmiechem. Shyrete wyraźnie poczuła się urażona moją reakcją, ale nie zrobiłam tego specjalnie, po prostu po tej całej jego „akcji” dziwne i śmieszne wydały mi się jej słowa, że ON nie chciał mi zrobić krzywdy. To po jaką cholere mnie okładał?! Nie chciało mi się z nikim rozmawiać.

- Jak wróci przekażcie jemu, że chciałabym wiedzieć więcej na temat mojego wyjazdu. Dokładnie kiedy i czym. Zresztą nie jest ważne czym, niech mi tylko pozwoli stąd wyjechać, a sama dam sobie radę.

Nasife zaczęła głośno płakać, że nie tak miało to wszystko być i że ona nie chce, żebym odchodziła. Wydało mi się to strasznie pokazowe i musiałam przyznać, że była dobrą aktorką. Nawet nie przyszło mi na myśl, że mogłaby szczerze mnie żałować...

Po niecałej godzinie przyjechał Rushit. Na jego widok poczułam nerwowy skurcz w żołądku, ale dałam z siebie wszystko, żeby nic nie zauważył. Nie chciałam dać mu tej satysfakcji. Nie chciałam zaczynać żadnych rozmów z nim, miałam nadzieję, że zrobią to za mnie. Wyszłam więc z pokoju, dając im większe możliwości na swobodną dyskusję. I nie myliłam się, bo po niedługim czasie zawołano mnie. W duszy cieszyłam się, że będzie to oficjalne ogłoszenie wyroku, czyli zostanę poinformowana, że muszę odejść. Pełna nadziei weszłam do salonu. Ale to, co usłyszałam nie spełniło moich oczekiwań:

- Ty chyba nie sądziłaś, że pozwolę ci wyjechać.

Patrzyłam na niego z niedowierzaniem, cała nadzieja prysła jak bańka mydlana.

- Ale obiecałeś...

- Jesteś moją kobietą i zostaniesz nią do końca. Jeśli chcesz wyjechać, to tylko ze mną. I nie chcę wracać do tej rozmowy.

Siedziałam w kącie i patrzyłam bezmyślnie w jeden punkt. Nic kompletnie do mnie nie docierało. Nie mogłam uwierzyć, że naprawdę zostaję. A tak się cieszyłam...

- Jego to wcale nie rusza, że ja cierpię, że wyglądam tak jak teraz - zaliłam się późnym wieczorem Sarandzie.

- Nieprawda. Zauważyłam, że cały czas zerkał na ciebie i miał smutną minę. Naprawdę było mu przykro.

- Czemu ty go bronisz? - nie wytrzymałam tego nerwowo i podniosłam na nią głos.

Milczała, ale odniosłam wrażenie, że chce mi coś powiedzieć.

- Pomóż mi zrozumieć chociaż: dlaczego?! Proszę.

Saranda wstała, podeszła do drzwi, upewniła się, czy nikogo pod nimi nie ma i usiadła blisko mnie.

- Rushit nie jest złym człowiekiem, ale w rodzinie muzułmańskiej bywa tak, że to rodzice, rodzeństwo mają niewłaściwy wpływ na takiego mężczyznę. Mówiąc krótko, buntują go. Już się przecież domyśliłaś, że nie wszyscy byli zachwyceni, kiedy przywiózł cię tutaj.

Nie musiała mnie uświadamiać, doskonale wiedziałam, że Nasife, Shyrete i Blerim nienawidzili mnie od samego początku, mimo, że nie zrobiłam im nic złego. Ale nawet nie starałam się tego zmienić, było mi szczerze mówiąc wszystko jedno i tak żyłam z tą świadomością, że niedługo wrócę do domu...

Właśnie miałam kłaść się spać, kiedy zawołała mnie Shyrete. Miałam nadzieję, że nie czeka mnie żadna „poważna rozmowa”, byłam zmęczona i czułam się podle. Włożyłam spodnie chcąc uniknąć nieporozumienia, jakie miało miejsce w święto Bajramu i poszłam do salonu. Shyrete trzymała w ręku reklamówkę wypełnioną jakimiś owocami i słodyczami.

- To dla ciebie. - powiedziała uśmiechając się szeroko – Rushit przysłał tu syna Rasima z tym wszystkim i kazał przekazać, że to dla ciebie. Widzisz on cię naprawdę kocha.

Stałam ogłupiała na środku pokoju i zastanawiałam się, czy oni rzeczywiście sądzili, że dam się kupić za jakieś słodycze.

- Co to ma być? Na otarcie łez? Powiedzcie Rushitowi, że nie chcę tego, ma to zabrać. Ja nie mogę tego zjeść, bo mam spuchniętą szczękę.

Odwrociłam się na pięcie i wróciłam do łóżka. Nie minęło pięć minut, kiedy zjawiała się moja szwagierka. Usiadła naprzeciw i zaczęła mi tłumaczyć, że to, co robi jej brat nie leży w naturze muzułmanów.

- Chodzi ci o bicie kobiet? Sądziłam, że to należy wręcz do obowiązków - powiedziałam starając się, by zabrzmiało to jak najbardziej szyderczo.

- Od zawsze kobiety były bite przez swoich mężczyzn, żadna nie robiła z tego tragedii. Robiły wszystko, żeby nie dawać mężowi powodów do złości i tyle. Jeśli chodzi o Rushita, to był zawsze bardzo powściągliwy, jeśli chodzi o kobiety. Miał duże powodzenie. Jeszcze przed jego wyjazdem do Niemiec przychodziło tu dużo swatek, podobał się najładniejszym dziewczynom z okolicy. Ale on nie chciał żadnej. W końcu straciliśmy nadzieję, że się kiedyś ustatkuje. O jego ślubie w Niemczech dowiedzieliśmy się od sąsiada. Przyznał, że rzeczywiście się ożenił. Nikt nie wiedział, że miało to być tylko „papierowe małżeństwo”, Rushit nie mówił nam o tym, dopiero teraz, kiedy przywiózł cię.

Czegoś tu nie rozumiałam. Jak to nie mówił o tym. Ale chyba domyślali się chociaż?

- Nie, trudno domyśleć się czegoś, z czym nie ma się kontaktu. Ani on, ani nawet Kastriot nie wspominali, że Rushit nie kochał tej kobiety.

- Przecież nie mieszkali razem! - niczego nie rozumiałam, czułam się, jakby ktoś dał mi po twarzy, nagle zaczęło docierać do mnie do jakiego stopnia byłam okłamywana. Przez tyle miesięcy...

- A co z jego dzieckiem? Wiesz o tym, że ma córkę?

Tego akurat zdążyłam się dowiedzieć. Podobno na samym początku sypiali ze sobą, Rushit nie chciał się wiązać z żadną inną kobietą, a miał potrzeby jak każdy zdrowy mężczyzna. Alexandra podobno zapewniała go, że bierze tabletki antykoncepcyjne, a chciała go zwyczajnie zatrzymać przy sobie na zawsze i doszła do wniosku, że najlepszym sposobem będzie dziecko. Rushit prosił ją, żeby zastanowiła się, zanim to małeństwo urodzi, bo będzie z nim sama. On jej nie kochał i nie mógł z nią być wbrew sobie. A i dziecku nie wyszłoby to na dobre, gdyby miało rodziców, którzy nie mogą na siebie patrzeć. Ona jednak nie chciała nawet o tym słyszeć i powiedziała, że i tak je urodzi. Na świat przyszła dziewczynka o imieniu Adelina. Rushit kochał swoją córeczkę i dbał o nią, ale w małżeństwie nie powodziło im się najlepiej. Potem podobno odszedł. Tak w każdym razie mi opowiadał. Wiadomość ta była dla mnie niespodzianką, ale wierzyłam w jego zapewnienia, że mówił prawdę. A może zwyczajnie chciałam w to wierzyć...

- A jego żona nawet tu była - informowała mnie Shyrete. - Ale nic nie mówiła, że nie powodzi im się. Wręcz przeciwnie. Dlaczego nie dziwi się, że przyjęto ciebie w ten sposób. Mój brat przyjeżdża nagle, bez zapowiedzi i przywozi jakąś inną kobietę, o której mówi, że jest jego żoną, oczywiście jest, że nas tym zaszokował.

Miałam wrażenie, że jeszcze chwilę i dowiem się wielu interesujących rzeczy. Mogłabym to wykorzystać przeciw Rushitowi, żeby mieć powód do odejścia od niego.

- Ale nikt nie zastanowił się, że przecież to nie moja wina. A odnoszę wrażenie, że całą odpowiedzialność za to wszystko ponoszę ja.

Dalsza dyskusja nie miała sensu, dlatego dałam Shyrete do zrozumienia, że jestem zmęczona. Długo potem rozmyślałam nad tym, co spotkało mnie i co może mnie jeszcze spotkać w tym miejscu zapomnianym przez cywilizację. Co będzie ze mną, z moim dzieckiem? Takie pytania chodziły mi po głowie, nawet nie wiem, kiedy zasnęłam, ani o której wrócił Rushit.

Przez kolejne dni starałam się unikać lustra. Do Rushita nie odzywałam się wcale, ale chyba w jakimś stopniu musiał żałować tego, co zrobił, bo co dzień rano na szafce przy łóżku leżały jakieś słodczyce. W końcu nie wytrzymał widocznie w roli twardziela, bo czwartego rano, kiedy ścieliłam łóżko, wyjął z mojej ręki poduszki i przytulił mnie mocno. Tak trwaliśmy przez kilka minut w milczeniu, chyba żadne nie miało ochoty rozmawiać. I nagle poczułam, że bardzo mi brakowało tego uścisku. To może się wydać zupełnie niezrozumiałe i bezmyślne, ale wówczas wybaczyłam mu wszystko. Może wpływ na to miał fakt, że był najbliższą mi tam osobą. A mi strasznie brakowało kogoś, kto wzięłby mnie mocno w ramiona i nie miało dla mnie żadnego znaczenia, że te dłonie, które zadały mi poprzednio tyle ran, w tamtej chwili były dla mnie najmiłszymi na świecie.

W POLU

Zaczęłam się zastanawiać, czy siostra mojego męża nie cierpi na schizofrenię. Do takiego

wniosku doszłam, któregoś dnia po kolejnej kłótni. Miała ciągle huśtawki nastrojów. Raz była bardzo miła, innym razem coś jej odbijało i patrzyła na mnie spod byka, dokuczała mi bez konkretnego powodu. Tamtego dnia Shyrete nie miała nastroju, chodziła naburmuszona. Całą swoją złość wyładowywała na biednej Sarandzie, zwracając jej ciągle uwagę. Do śniadania nie odzywała się do nikogo, ale przy herbacie odprężyła się wyraźnie i zmieniła obiekt docinek:

- Myślę, że czas najwyższy znaleźć jakieś imię dla dziecka Rushita i Izy - odezwała się nagle głośno - Być może będzie to dziewczynka, nazwiemy ją Bleona, Ziza albo jeszcze fajniej.

Wiedziałam do czego prowadzi jej monolog, szukała zaczepki. Tym razem postanowiłam nie dać się tak łatwo sprowokować. Widocznie nie miałam silnej woli, bo po kilku próbach udało się jej i we mnie zawrzało.

- Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, ale twoje wysiłki są daremne. MOJE dziecko będzie miało polskie, porządne imię. Nie musisz więc wysilać się i szukać takich ośmieszających imion.

- Ależ to są porządne albańskie imiona, przecież nie mam zamiaru ośmieszać dziecka RUSHITA.

No to wojna na całego, nadepnęła mi na odcisk.

- Ale my mówimy w tej chwili o MOIM dziecku.

- Dziewczyny, przestańcie. - uspokoiła nas Nasife - Zaraz przyjdzie Rushit, chyba nie chcecie znowu go denerwować. Ja nie zniosę żadnych awantur, mam słabe serce i w końcu będziecie mnie miały na sumieniu.

- Ja i tak powiem o wszystkim Rushitowi, nie życzę sobie, żeby ona - tu Shyrete wskazała paluchem na mnie - obrażała mnie w moim własnym domu.

- To nie byłby pierwszy raz, kiedy doniesiesz, więc nie powinno stanowić to dla ciebie większego problemu.

Twarz Shyrete zmieniła się gwałtownie, zniknął szydery uśmiezek i pewność siebie, pojawiło się wyraźne poczucie winy i strach.

- Aleja nie mówiłam tego poważnie, poza tym ja nigdy nie doniosłam Rushitowi na ciebie. To są tylko żarty.

Zachowywała się, jakby było wręcz odwrotnie. Czyżby miała coś na sumieniu?! Resztę herbaty dopiłyśmy w całkowitej ciszy. W południe Nasife zapytała, czy nie chciałabym pójść z nią zobaczyć pole.

- Pokażę tobie tę część, która należy do Rushita, a w przyszłości będzie należała do waszego syna.

- Syna, a co jeśli urodzę córkę?! - Czy Adelina też ma prawa do jego ziemi?

Chyba nie spodziewała się takiego pytania, bo stanęła jak wryta na środku drogi.

- Dlaczego pytasz? - chciała wiedzieć. Odniosłam wrażenie, że zdenerwowała się trochę.

- Nasife, ja wiem o tym, że Rushit ma córkę.

Wyraźnie odetchnęła z ulgą. Biedna kobieta, wplątana przez własne dzieci w jakieś intrygi. Powiedziała, że Adeliny nie bierze się pod uwagę, nie dlatego, że to dziewczynka, ale dlatego, że urodziła się w Niemczech, ma obywatelstwo tamtego kraju i nazwisko matki.

Moje dziecko z kolei nawet, gdyby było płci żeńskiej będzie oficjalnie obywatelem Kosowa, co wiąże się automatycznie z większymi prawami.

Po niecałym kilometrze zeszyliśmy z drogi na ścieżkę prowadzącą na pola, minęliśmy jakieś zabudowania i... dech zaparło mi w piersiach. Niesamowicie piękne widoki. Pola rozciągały się na długości kilku kilometrów, mistrzowsko poukładana kratka zasobów podarowanych przez Naturę. Połacie ziemi to wzbijały się kilkoma odcieniami zieleni w górę, to znów łagodnym łukiem opadały w dół, wyglądało to jakby się goniły. W powietrzu czuło się wiosnę, zapach trawy drażnił nozdrza, słońce coraz odważniej grzało, przez moment czułam się szczęśliwa, że tam byłam, że mogłam chłonąć czar tego miejsca. Ale to była chwila. Odżyły wspomnienia z kraju, zatęskniłam za polską wiosną, za podwórkiem, po którym krzątał się dziadek, za babcinym ogrodem pełnych tulipanów, piwonii i innych kolorowych kwiatów. Poczulałam, jak łzy napływają mi stopniowo do oczu, opamiętałam się, nie chciałam robić żadnych sensacji, ani dawać Rushitowi powodów do awantur. Nie ufałam teściowej na tyle, żeby mieć pewność, że się nie poskarży, a on różnie reagował na moją tęsknotę za domem. Najczęściej denerwowało go to i zawsze było przyczyną kłótni. Opanowałam więc emocje na zewnątrz, ale w sercu pozostał wielki smutek... Doszliśmy chyba na miejsce, bo Nasife szerokim rozmachem ramienia pokazała mi duży kawał ziemi tłumacząc, że to wszystko należy do ich rodziny.

- Nawet po podziale każdy dostanie sporo ziemi. Rushit też - dodała znacząco. - Trzeba tylko czekać, aż Bajram zmądrzeje, albo umrze.

- Co Bajram ma z tym wspólnego? - zaskoczyła mnie.

Moja teściowa miała podobną sytuację jak ja, jej mąż, który był najstarszym z braci zmarł dość szybko, pozostawił po sobie tylko Islama. Ona wyszła za mąż za jednego z młodszych braci, Ajeta. Prawnie całą ziemię powinno się podzielić pomiędzy Islama a resztą jego braci. A oni dzielą między swoimi synami. W tym przypadku jedną połowę tego wszystkiego dostanie Rushit i Kastriot, a drugą całe ich kuzynostwo.

Niesamowite są zasady, które kierują ich światem. Być może i u nas przestrzegają takich podziałów, ale najprawdopodobniej na wsiach, a ja należę do typowych mieszczuchów. Ziemia w Kosowie jest bardzo żyzna i chętnie przyjmuje prawie wszystko, co się na niej posadzi, bo panuje tam klimat podzwrotnikowy. Uprawia się przeważnie pszenicę, kukurydzę, konopie, tytoń i winorośle. Nasife powiedziała, że te opustoszałe tereny, które rozciągają się od Carralluk, aż pod Maliszewo przed wojną pokryte były plantacją winorośli. Ponad trzydzieści procent powierzchni Kosowa to lasy, głównie dębowe. Ta ziemia kryje też w sobie wiele bogactw. Wydobywa się tam węgiel brunatny, rudę cynku i ołowiu, chrom, magnezyty, srebro i złoto. To ostatnie jest powodem, dlaczego Mitrovicę podzielono na pół między Serbów i Albańczyków. To tam znajduje się największa kopalnia złota. Miasto dzieli most, którego pilnie strzegą oddziały wojsk NATO. Do tamtej pory miałam okazję zobaczyć to tylko w telewizji, ale i to wystarczyło, żeby wyciągnąć wniosek, że nie jest to bezpieczne miejsce, mimo że wojna zakończyła się oficjalnie kilka miesięcy temu. Żyzna ziemia pozwala też na hodowlę w Kosowie bydła i owiec.

Jasnoniebieskie, jednolite niebo tuliło do piersi pagórki, na których po zimowym śnie przeciągały się nieśmiało drzewa, szumiąc cicho. W oddali widać było białe domy z czerwonymi dachami skupione po kilka obok siebie, żaden nie stał samotnie. Brunatny grunt, aż prosił się o wypielęgnowanie jego powierzchni, żeby pokryć ją potem bogactwami natury. Tylko na jednej części kołysało się żyto. Patrzyłam na to wszystko, nie mogąc nasycić oczu pięknem i prostotą,

zerwałam pęk żyta i nappełniłam kieszenie od spodni ziemią. Teściowa nie pytała o nic, uśmiechnęła się tylko i pokiwała głową. Zupełnie, jakby zdawała sobie sprawę z tego, że prędzej, czy później musiałam pokochać tę ziemię. Czuło się jakąś magiczną moc bijącą od tego miejsca, chciało się położyć na środku, patrzeć w bezchmurny błękit i słuchać ciszy, która panowała. Stałam tak, rozkoszując się widokiem, gdy zbliżający się z oddali helikopter bezlitośnie ściągnął moje myśli z obłoków do okrutnej rzeczywistości. Przeleciał nad nami hałaśliwie, odprowadziłam go wzrokiem i spojrzałam ponownie w dół. Pola pokryły się ludźmi w mundurach, biegli potykając się, jakby ziemia umyślnie chciała opóźnić ich przybycie do wioski. Słyszało się niemal każdą gałązkę łamaną pod ich stopami, każdą gniecioną trawkę. Za nimi nadciągały czołgi niszcząc po drodze wszystko, co żyło i rosło. Niebo pociemniało, raz po raz błyskały wystrzały z karabinów, zraniona ziemia krwawiła. Zdawało mi się, że słyszę krzyki ludzi uciekających w panice.

- To stamtąd przybyły wojska serbskie - moje rozmyślenia przerwała Nasife.

Spojrzałam na nią, starając się dojść do siebie. Skąd wiedziała?

- Miałaś to wypisane na twarzy, sposób w jaki patrzyłaś na asfalt za polami. Zresztą ja też myślę o tym za każdym razem, nie da się zapomnieć...

- Jakie to uczucie, kiedy wiesz, że nadciąga śmierć... Opowiedz mi proszę, jak to było.

O dziwo, nie przyszło jej to ciężko, czyżby ból załagodził czas?! Nie pamiętała, kiedy to było dokładnie, w każdym razie było zimno. Tamtego dnia właśnie mieli kłaść się spać, gdy do drzwi zapukali żołnierze UCK, przysłał ich tam Ramush. Kazali uciekać szybko, bo nadchodziły oddziały policji serbskiej, dzieliły ich od Carralluk jakieś dwa kilometry. UCK ewakuowali całą wioskę, wszyscy zdążyli uciec, tylko jedna rodzina zdecydowała się zostać. Liczyli chyba na cud, ale Serbowie nie mieli litości, zamknęli ich w domu i spalili żywcem. Dwadzieścia cztery osoby, od maleńkich dzieci do starców. Nikt nie przeżył. Co było później opowiedział Ramush. Zablokowali Serbom drogę, dając wieśniakom czas na ucieczkę, później wrócili do Carralluk i tam walczyli.

- To ta blokada między Drenovcem a naszą wioską?

Nasz dom ocalał tylko częściowo, góra była zburzona, a na dole Serbowie urządzili się całkiem wygodnie. Ramush mówił, że w pokoju, w którym śpisz teraz, mieli sypialnię, bo były tam legowiska z materaców, zupełnie inaczej poukładane niż zostawiliśmy. Cały sprzęt zniszczono, co miało jakąś wartość ukradziono. W salonie pełno było przypalonych, brudnych garów, zarżnęli wszystkie kury.

- I to w kilka dni?

- Iza, to nie są ludzie, tylko bydło, barbarzyńcy. Nawet nie wiesz, do czego są zdolni...

Miałam na końcu języka uwagę, że może przynajmniej nie biją swoich żon, ale to chyba nie był odpowiedni moment. Nasife wróciła do opowiadania:

- U Reshita, naszego sąsiada, zrobili sobie stołówkę, poznosili stoły z okolicy, pozostawiali razem, dookoła mieli kilkanaście krzeseł, wszędzie wałały się naczynia. Zupełnie, jakby stołowała się tam cała armia. Reshit pokazywał nam też kilka strzykawek, które znalazł u siebie w domu. Podobno wielu żołnierzy serbskich brało narkotyki. To by nawet tłumaczyło to wszystko, co zrobili.

- Czy w waszej wiosce zdarzyły się jakieś morderstwa, masakry?

Nasife usiadła, ręką poklepała miejsce obok dając mi do zrozumienia, żebym usiadła, bo to będzie

długa historia. Przez chwilę milczała, jakby starała się sobie coś ważnego przypomnieć. W końcu zaczęła:

- Nie będę ci opowiadała o zbrodniach, o których usłyszałam od kogoś, bo to czasem może być nieprawda, ale powiem ci o tych, które spotkały naszą rodzinę, znajomych albo ich znajomych. Pewien mężczyzna uciekał przez las ze swoim szesnastoletnim synem, tam zatrzymał ich patrol serbski. Nie zabili ich, ale chłopcu wydlubali oczy i kazali ojcu zjeść, pod groźbą, że zabiją jego syna, jeśli tego nie zrobi.

Poczułam, że robi mi się niedobrze, przypomniały mi się jakieś krwawe sceny z horrorów, które oglądałam namiętnie z Jana w Niemczech. Tam był przyjemny dreszcz, bo to był tylko film i efekty specjalne, a tu nastolatek wijący się z bólu, z ociekającymi krwią pustymi oczodołami. Mimo to chciałam słuchać dalej.

- W najbliższym czasie będziesz miała okazję poznać kuzyna Rus-hita, Fatmira, ze strony rodziny Ramusha. Często tu przyjeżdża, przeważnie wiosną. Podczas wojny ukrywał się w lesie. Kiedy wrócił do domu, w ogrodzie znalazł głowę swojego starszego brata, wszystkie jego szczątki były porozrzucane po okolicy. Fatmir własnoręcznie je zbierał i zakopał w grobie.

- To musiało być okropne - wyszeptałam zszokowana.

- Nie wiem, czy już słyszałaś o tym, że policja serbska miała w zwyczaju porywać młode dziewczyny. Zabierali je ze sobą, miały im usługiwać. Znam historię nastolatki, którą trzymano przez ponad trzy miesiące. Czego te potwory z nią nie robiły... Na koniec obcięli jej piersi.

- Nie żyje?

- Oni jej nie zabili, ale tego, co ją czeka nie można nazwać życiem. Z policją z Serbii współpracowali żołnierze Arkana.

- Tak, słyszałam już o nich.

Słynne oddziały śmierci, ludzie w maskach, maszyny do zabijania w najwymyślniejszy sposób. To oni dokonywali najgorszych zbrodni. Arkan, bośniacki Serb, naprawdę nazywał się Zeljko Raznatovic, dorobił się majątku na przestępstwach dokonywanych przeważnie za granicą, napady na bank, wyłudzenia, kradzieże przyniosły mu wielki majątek. Był poszukiwany listem gończym przez Interpol, ale bezskutecznie, nikt nigdy go nie znalazł, a może nikt tak naprawdę go nie szukał... W roku 1992 w Chorwacji zorganizował prywatną armię nazwaną „Tigers”, potem taka sama powstała w Bośni. Jego ludzie dokonali masakry w 1991 roku w Słowenii, przyczynili się do „czystek etnicznych” w Bośni. 6 kwietnia 1992 roku oddziały Arkana zamordowały brutalnie około 1400 bośniackich muzułmanów w Srebrenicy. W styczniu 1998 roku chciał zorganizować armię, składającą się z 3000 Serbów w Skenderaj w Drenicy, w Kosowie. Nie wiadomo dlaczego jednak nie doszło to do skutku. 15 stycznia 2000 roku przed hotelem w Belgradzie nieznanymi sprawcami oddano do niego trzydzieści osiem strzałów, zginął na miejscu. Nie wszyscy jednak uwierzyli w jego śmierć. Urzędnicy piastujący wysokie stanowiska w ONZ wolą nie uchodzić za naiwnych i poddają w wątpliwość to, czy Arkan na pewno zginął. Groziła mu sprawa przed Trybunałem Wojennym w Hadze, miał więc powody, aby taką „zbrodnię” zaaranżować a potem zniknąć. Inna wersja dotyczy przyczyny tego morderstwa. Zbrodniarz był niewygodny dla Miloszewicza, wiedział stanowczo za dużo o nim i tym samym był niebezpieczny, dlatego tamten zlecił zabicie Arkana.

- Podobno nie było tu, w Kosowie ludzi Arkana - powiedziałam do Nasife, nie oczekując jednak odpowiedzi. W tej sprawie powinnam zgłosić się do Ramusha.

- Oficjalnie nie, ale jak wytłumaczyć to, że często znajdowano zwłoki ludzkie układane w

kształcie litery „A”.

- Zadali sobie tyle trudu, żeby zostawić jakąś wizytówkę?!

- A co to dla nich za sztuka. No dobra, do roboty. Skoro już tu przyszliśmy posadzimy czosnek.

Z wiaderka, które niosła odsypała trochę zawartości do sukni, resztę dała mi. Po usłyszeniu kilku wskazówek zagłębiłam palce w ziemi. Słońce grzało przyjemnie w plecy, po pół godzinie zasypałam ostatnią cebulkę czosnku. Wracałyśmy do domu na skróty, przez pola, potem ogród, obie zagłębione w swoich myślach. Nie mówiłyśmy nic, ale chyba chodziło nam po głowie to samo...

- No, napiłabym się herbaty - westchnęła Nasife, kiedy dotarliśmy na miejsce - Ciekawe, czy Saranda wyrobiła ciasto na chleb.

Ja udałam się od razu do swojego pokoju, chciałam wziąć jakieś ubranie na zmianę i korzystając z prądu, wykapać się. Otworzyłam drzwi i.... zamurowało mnie. Na podłodze leżały porozrzucane pocięte na kawałki zdjęcia, pod oknem siedziała zaryczana Shyrete i niszczyła kolejne fotografie. Podniosłam skrawek z dywanu, uśmiechała się na niej połowa twarzy Rushita.

- Co ty robisz? - krzyknęłam starając się uratować chociaż jakieś jego zdjęcie z młodości.

- Nienawidzę go! Nie będę trzymała tego w domu. On zostawił Adelinę i Alexę. Żeby zdechł! - podbiegła do mnie i wyrwała mi z ręki fotografię - a ty nie wtrącaj się, jesteś nikim, zwykłą suką i dziwką! Wynoś się stąd!

To było jak potężny policzek, zaparło mi dech z oburzenia. Wybiegłam z pokoju, potem z domu, pędem przez ogród. Nogi same mnie niosły na pole. Upadłam dwa razy, w końcu nie mogąc złapać tchu, stanęłam i rozejrzałam się. Idealnie, żeby ukryć się tu przed całym, tym nieprzyjaznym światem. Usiadłam w krzakach, mając nadzieję na chwilę samotności. Obiecałam sobie nie płakać, ale nie trwało to długo, dwie ciepłe strużki spłynęły mi po twarzy. Otarłam je rękawem i wtedy zauważyłam, że nieopodal stało kilkuletnie dziecko. Brudne, ubrane w połatane spodnie i zniszczony sweterek, po króciutkich, posklejanych włosach trudno było domyśleć się, czy to chłopiec, czy dziewczynka. Może w innej sytuacji zagadałabym, ale wtedy jedyne, co zrobiłam to warknęłam:

- Wynoś się!

Chyba musiałam groźnie wyglądać, bo dzieciak zmył się od razu. Po chwili usłyszałam czyjś głos nawołujący mnie, to Blerim. Nie odzywałam się, licząc, że mnie nie znajdzie i pójdzie sobie, ale niestety...

- Chodź, wracamy do domu.

Dopiero wówczas nerwy mi puściły i rozpłakałam się na dobre.

- Chodź już, nie rób przedstawienia, bo sąsiedzi będą mieli o czym gadać. - powiedział Blerim beznamiętnym tonem.

Gdzieś wewnątrz oczekiwałam trochę współczucia, miałam nadzieję, że może gdzieś tam głęboko Blerim ma ludzkie uczucia, ale myliłam się...

- No już, wstawaj. Zaraz przyjedzie Rushit i znowu dostaniesz.

- Co ja, do cholery, zrobiłam? - wykrzyczałam - Jego siostra ubliża mi, bez sensu niszczy zdjęcia, a ja mam za to oberwać. To jakaś komedia, czy co?!

- Ciszej, bo ludzie usłyszą - Blerim zmienił ton na nieco łagodniejszy - Rushit będzie zły, że sama wyszła poza podwórko.

Przez chwilę łudziłam się, że to może tylko zły sen. Trudno w to uwierzyć, że w XXI wieku

coś takiego mogło być powodem, dla którego uderzyłyby się kobietę. Blerim był uparty, więc poddałam się i wróciłam z nim, ale nie wchodziłam do domu. Postanowiłam zostać na podwórzu i tam poczekać na Rushita. Miałam zamiar stanowczo zażądać, żeby coś z tym wszystkim w końcu zrobił, bo tak dalej być nie może. Przecież byłam w ciąży, miałam prawo do spokoju. Z Shyrete może nie zawsze dochodziłyśmy do porozumienia, ale tamtego dnia zdecydowanie przesadziła. Nie siedziałam długo sama, bo Nasife postanowiła dotrzymać mi towarzystwa, usiadła obok i wzdychała raz po raz. Nie wiedziała pewnie co powiedzieć, po czyjej stronie być i za kim się wstawiać.

- Dlaczego ona mi to robi? - odezwała się pierwsza.

- Nie ma lekko, zauważyłaś już jaką sytuacją jest z Ramusem. Ona nie powie o tym, ale przeżywa to bardzo. Co do Alexy, to zwyczajnie ją bardzo polubiła. Winę za to ponosi tylko i wyłącznie Rushit, że nie uprzedził nikogo. Zdajemy sobie sprawę, że ciebie również oszukał, ale Shyrete jest wybuchowa, niedługo jej przejdzie i jutro znowu będzie wszystko w porządku. Musisz mieć cierpliwość, za kilka tygodni wychodzi za mąż, a małżeństwo zmieni ją, zrozumie jak źle z tobą postąpiła. Postaraj się nie zwracać na nią przez ten czas uwagi.

Czułam jak złość wzbiera się we mnie, w uszach dudniły mi jej słowa: „Jesteś nikim...”. Chciała mi przez to dać do zrozumienia, że to Alexa jest prawowitą żoną Rushita? Przecież to nas tamten duchowny błogosławił i wszyscy dookoła traktują MNIE jak jego małżonkę.

- Aleja nie mogę milczeć, kiedy tak do mnie mówi! – krzyknęłam i wściekła wbiłam w ziemię leżące obok widły - Czasem mam ochotę ją zabić!

Nasife milczała, ale jednocześnie usłyszałam za sobą okrzyk Shyrete:

- Ach, to tak? Sama pójdę się zabić. Idę się utopić, nie mam już po co żyć!

- Krzyż na drogę- wrzasnęłam za nią po polsku.

Jej matka zerwała się na równe nogi i pobiegła za nią wzywając Allacha. Usłyszałam trzask zamykanej bramki, odwróciłam się, na podwórzu wchodził... Rushit. Szedł prosto w moją stronę, a jego mina nie wróżyła nic dobrego.

- Co tu się dzieje? Gdzie poszła Shyrete? Mówiła coś, że ją obrażasz.

- Ja obrażam? - parsknęłam śmiechem - Ona sobie jaja robi. Pocięła wszystkie twoje zdjęcia, nazwała ciebie psem, a kiedy usiłowałam kilka fotek jeszcze uratować, wydarła się na mnie, że jestem nikim, zwykłą suką i dziwką. Teraz dramatyzuje i poszła się do studni utopić. Mam nadzieję, że chociaż tego nie schrzani!

- Zamknij się! W tej chwili do środka, później porozmawiamy.

Kiedy wchodziłam do domu, wróciła Shyrete, a za nią truchcikiem Nasife. Zamknęłam się w pokoju i słuchałam jak w salonie Shyrete tłumaczyła, że te zdjęcia to taka krótka chwila słabości, a ja przesadziłam uciekając w pole. I tu się zaczęło, najpierw Rushit wydarł się na całą rodzinę, że mnie nie pilnowali, potem wpadł do mnie.

- Nigdy nie wychodź stąd, nawet na podwórko nie masz prawa wyjść sama. - powiedział przez zęby. - Zrozumiałaś? Bo cię zabiję!

Chyba nie byłabym sobą, żeby w tej chwili nie podniosła głosu. Całą złość dusiłam wewnątrz, w końcu musiałam ją jakoś rozładować. W tamtej chwili zawiódł mój rozsądek, który powinien kazać mi milczeć, bo każda pyskówka kończyła się dla mnie tragicznie.

- Mam dosyć tego miejsca, twojej psychicznie upośledzonej siostry i reszty rodziny. Mam powyżej dziurek w nosie ciebie i twoich zakazów, jestem wolnym człowiekiem i nie możesz mnie więzić bez powodu.

Staralam się, aby zabrzmiało to w miarę spokojnie, ale dla Rushita chyba nie miało znaczenia, podszedł do mnie energicznym krokiem i jednym uderzeniem przewrócił mnie na podłogę. Znowu instynktownie zasłoniłam brzuch, skuliłam się licząc, że jeśli nie będę się ruszała przejdzie mu szybko. Nie miałam siły walczyć, zaczynało mi być wszystko jedno, żeby tylko dziecko nie ucierpiało... Rzeczywiście ciosów nie było tym razem dużo, Rushit szybko się uspokoił, kazał mi usiąść na kanapie. Zapytał, czy jeszcze będę się w ten sposób do niego odzywać. Wtedy wpadłam na pomysł, żeby milczeć i nie powiedzieć ani słowa na znak protestu. Byłam gotowa wypróbować każdą możliwość, żeby mieli mnie dość i żeby odesłali mnie w końcu do domu.

- Zadałem ci pytanie. Czy będziesz mi pyskować?

- Ja chyba zwariuję, ona nic nie zrozumiała - zaśmiał się szyderczo, odwrócił się, a ja wiedziałam, co to znaczy, kolejny cios w policzek, choć już nie tak silny.

Nadal milczałam, podczas, kiedy Rushit miotał się wściekły po pokoju, tym razem miałam nad nim przewagę, mógł zrobić, co chciał, ale nie mógł mnie zmusić, żebym zaczęła się do niego odzywać. Nerwy mu puszczały, bo kolejno prosił i groził. To bił mnie po twarzy, to obiecywał, że „wszystko będzie dobrze”.

- Ona wychodzi za mąż, nie będzie już awantur, zrozum mnie, ja jestem między młotem a kowadłem. Sam już nie wiem, co robić. Odezwij się w końcu.

Trwałam konsekwentnie w swoim postanowieniu milczałam wpatrzona w ścianę. Za często słyszałam tego typu słowa, nie wierzyłam w nic, co obiecywał. Po kilku minutach chyba znudziło mu się, bo zapowiedział, że skończyła się zabawa w kotka i myszkę i nie będę robiła z niego głupka. Wybiegł z pokoju, po chwili wrócił z kablem w dłoni.

- Już po mnie - pomyślałam przerażona. Nasłuchiwałam się tylu historii na temat kobiet zamordowanych przez własnych mężów i zakopanych gdzieś w lesie. Byłam pewna, że podzielę ich los.

Rushit chyba jednak nie miał aż tak okrutnego zamiaru, związał mi ręce z tyłu i uprzedził, że będę tak długo siedziała związana, aż „zmądrzeję i się odezwę”. Wyszedł i zostawił mnie samą, lzy spływały mi ciurkiem po czerwonych i obolałych od uderzeń policzkach, wtuliłam się w róg wersalki. Czułam się jak niewolnik. Gdyby moja rodzina wiedziała, w jaki sposób byłam traktowana... Nie minęło nawet pięć minut, jak wpadła Shyrete, na mój widok stanęła osłupiała w drzwiach. Natychmiast zaczęła rozwiązywać mi ręce, przeklinając swojego brata.

- Zwariował. Co on z tobą zrobił?!

Zaprowadziła mnie do salonu, kazała się położyć i przyniosła szklankę soku.

- Jak ty wyglądasz? - powiedziała Saranda ze współczuciem. - Dlaczego on cię tak traktuje...

- Kto ją rozwiązał? Nie można wyjść na chwilę, żeby ktoś się nie wtrącał do moich spraw?!

- Ja ją uwolniłam i zabraniam ci, żebyś robił jej takie rzeczy - do tej pory uległa i wpatrzona z szacunkiem w brata Shyrete, podniosła na niego głos.

Rushit machnął ręką i wyszedł z domu. Przez kolejne kilka dni nie rozmawiałam z nim, w końcu złamałam się. Za bardzo dokuczała mi samotność. Brakowało mi tych nocy, kiedy tulił mnie do siebie mocno i przez moment mogłam zapomnieć o wszystkim. Nienawidziłam go, ale był mi tam najbliższy...

STUDNIA

Po śniadaniu nieoczekiwanie wyłączono prąd. Robiono nam już częściej tego typu „niespodzianki”, ale tym razem nie zdążyliśmy zaopatrzyć się zawczasu w wodę. Przez ostatni tydzień prąd mieliśmy na cztery godziny i dwie godziny przerwy w dostawie..

- Przecież powinni wyłączyć dopiero o 12—tej, marudziła Shyrete, wybierała się do koleżanki i chciała umyć włosy.

- Może pomylili się i włączą zaraz.

Saranda jak zawsze była optymistką. Wbrew jej nadziejom prądu nie włączono ani zaraz, ani po dwóch godzinach. W domu nie było ani kropli wody pitnej.

- Dlaczego nie bierzecie z tego kranu na podwórzu? - dziwiłam się, wprawdzie woda leciała tam bardzo rzadko i jeśli już to powoli, ale przynajmniej nie było potrzeby, żeby chodzić gdzieś daleko.

To jest ujście ze wspólnej studni Sahita i Bajrama. Zaraz po wojnie wpadła do niej owca właściciela wiejskiego sklepiku i utopiła się. Wprawdzie oczyszczali studnie, ale ja wolę tej wody nie pić - Nasi te skrzywiła się z obrzydzeniem.

- Może coś jeszcze z tej owcy zostało, skoro woda leci tam tylko czasami... - dodała i spojrzała na mnie rozbawiona.

Wy tłumaczyła, że oni nie chodzą do studni tylko mają podłączony taki prymitywny wodociąg. Nie jest na prąd, dlatego woda płynie bardzo powoli. Jeśli u nich ktoś odkręci wodę, to do nas już nic nie dopłynie. Ten kran to pozostałość po czasach, kiedy cała rodzina mieszkała na tym podwórku razem. Teraz przydaje się czasem. Bierze się z niego wodę do kąpieli, wiosną i latem do podlewania w ogrodzie, a gdy nie ma prądu i nie działa pompa doprowadzająca wodę do środka, gotuje się tę wodę i używa do mycia naczyń.

- Swego czasu braliśmy wodę z takiej gumowej rury na podwórku Selvy, która ściągała wodę z jej studni, ale potem Selva nam tego zabroniła, bo podobno studnia zaczęła jej wysychać. – opowiedziała Shyrete - Teraz chodzimy w takich sytuacjach do studni Adema.

Postanowiłyśmy jeszcze trochę poczekać, ale prądu ciągle nie było. Nasife dała mi i Sarandzie po jednym wiadrze, sama wzięła dwie duże butle plastikowe i poszłyśmy po wodę.

- Dlaczego mężczyźni nie pójdą? - buntowałam się, przecież to takie upokarzające, żeby faceci siedzieli w domu, a kobiety chodziły po wodę.

- Są po prostu leniwi. Blerim dba przynajmniej o krowę, a Ramush mógłby nam pomóc, ale nie chce mu się. Taki już nasz los – westchnęła matka Rushita.

Super, biorąc pod uwagę fakt, że obie z Saranda byłyśmy w widocznej ciąży. Czy ktoś w Kosowie walczył o emancypację kobiet? Chyba nie... Na podwórze wchodziło się przez ruiny domu, w każdej chwili mogła się jakaś ściana zarwać i spaść na głowę wchodzącemu. Ale dla tych ludzi nie było to ważne, chodziło o to, żeby nikt nie zobaczył ich kobiet krzątających się po obejściu. Nasife chyba myślała o tym samym, bo jęczała stąpając niezgrabnie po zniszczonych ceglach.

- Ademi mógłby tu w końcu sprzątnąć i postawić jakiś mur, albo wysoki płot.

Na korbie przy studni wisiało małe, metalowe, poobijane wiaderko. Saranda zdjęła je i spuściła powoli do środka. Słysząc było plusk wody, wtedy szybkim ruchem, kilka razy

wyciągnęła je i zanurzyła znowu nabierając w ten sposób pełno wody. Miałam ogromną ochotę spróbować, wydawało mi się to bardzo proste, ale za każdym razem wiaderko miało tylko trochę wody na dnie. Saranda wyjaśniła mi, że muszę tak długo nabierać wodę, aż poczuję, że jest jej pełno, dopiero wtedy ciągnąć do góry. W końcu udało się! Pomyślałam, że cały mój pobyt w Kosowie to jedna wielka szkoła przeżycia.

Z reguły potępiałam kobiety, które naruszały prywatność swoich mężów, ale nigdy nie sądziłam, że będę postępowała w ten sam sposób... Zupełnie przez przypadek tego dnia wpadł w moje ręce telefon komórkowy Rushita, Jeszcze wówczas w okolicach Maliszewa nie było żadnej anteny, żeby zadzwonić, trzeba było pojechać do pobliskiego Orahovec. Dlatego nigdy nie interesowałam się zawartością telefonu Rushita. Tego dnia jakaś niezrozumiała ciekawość pchnęła moją rękę po telefon. Leżał na szafce w salonie, akurat nie było tam nikogo. Wyczytałam, że ostatnia rozmowa została przeprowadzona poprzedniego wieczoru, po sprawdzeniu numeru okazało się, że to do knajpki, w której pracowałam. Zdenerwowana nie zastanawiałam się nad konsekwencjami, poszłam go szukać. Był na podwórku, grzebał coś pod maską auta.

- Co to ma znaczyć? - pokazałam mu komórkę z wyświetlonym numerem.

- Nic. Dzwoniłem tam wczoraj - mówił łagodnym głosem.

- Przecież tamten szef mnie wyrzucił, jeszcze w Niemczech twierdziłeś, że to kawał bydlaka, a teraz odnawiasz z nim kontakt?! A może dzwoniłeś do kogoś innego, ktoś tam na ciebie czekał?

- Odpowiedz mi w końcu, bo denerwują mnie te tajemnice. Bij mnie, traktuj jak ci wygodnie, ale nie rób takich rzeczy za moimi plecami - emocje opadły i jedyne, co czułam to żal, wzbierające się łzy.

- Dzwoniłem do Ekrama.

Podobno miałeś do niego żal o to, że mnie wyrzucił...

- Iza - Rushit odłożył śrubokręt i spojrzał mi głęboko w oczy, wydawało mi się, że chce mi powiedzieć coś, z czego nie będę zadowolona - To ja go prosiłem, żeby ciebie zwolnił. Wtedy byś tego nie zrozumiała, ale dziś na pewno jesteś mi wdzięczna, że wyciągnąłem cię z takiego bagna.

- Co?? - miałam wielką ochotę uderzyć go w twarz - Jak mogłeś mi to zrobić? I jakie bagno, o czym ty mówisz? Przecież to była normalna praca. Uważasz się za jakiegoś cholernego zbawiciela, a sam? Może zacznij najpierw od siebie!

Odwrociłam się na pięcie i wróciłam do domu. Przez cały ten czas nie mogłam zrozumieć, dlaczego Ekram, który był zadowolony z mojej pracy, wyrzucił mnie bez podania przyczyny. Często mawiał, że jestem na wagę złota, nie piłam alkoholu, nie paliłam, nie byłam wulgarna, nie umawiałam się z klientami, jak to czasem miały w zwyczaju niektóre barmanki. Ciekawe, co takiego powiedział mu Rushit. Nie zdziwiłabym się nawet, gdyby groził mi, że podpali knajpę, albo wysadzi ją w powietrze. Kiedy przypominałam sobie słowa Rushita, że mam być mu za to wszystko wdzięczna, dostałam histerycznego ataku śmiechu. On naprawdę wychodził z założenia, że zrobił mi przysługę przywożąc mnie do Kosowa. Idiota! Od tamtego czasu patrzyłam na niego zupełnie inaczej, wydawał mi się żaloszny, ograniczony. Nasz związek utracił coś, czego już nie odzyskał nigdy. Przez cały wieczór Rushit zagadywał mnie, uśmiechał się, żartował. Był wyraźnie w dobrym humorze. Ale mi wcale nie było do śmiechu, przeklinałam dzień, w którym go poznałam. W moim życiu zaczął się nowy okres. Postanowiłam, za wszelką cenę wy dostać się z Kosowa i odejść od Rushita na zawsze. Po co był mi jeszcze potrzebny, żeby

bardziej komplikować mi życie?! Miałam moje małeństwo i uważałam, że to wystarczy mi do szczęścia.

NIEZWYCZAJNY DZIEŃ

Pewnego dnia obudził mnie jakiś straszny hałas. Pomyślałam, że jeśli uda mi się w najbliższym czasie wrócić w końcu do domu, to pierwsze co zrobię, to się porządnie wyśpię. Męczyły mnie powoli te nocne i poranne niespodzianki.

- Co u diabła tym razem - warknęłam i z trudem otworzyłam oczy.

Na początku nie mogłam się zorientować, skąd dochodzą piski i łomot, który mnie obudził, dopiero, kiedy rozbudziłam się na dobre, zauważyłam na parapecie walczące zaciekle dwie sroki. Mimo, że przepędzenie intruzów nie było problemem, to nie wróciłam do łóżka, nie widziałam sensu, skoro dochodziła siódma, a słońeczko na niebie wróżyło ładny dzień. Poprzeciągałam się, zrobiłam kilka skłonów i ubrana zesłam na dół.

- Kwiecień zaczął się ciepło, oby nie sprawdziło się nasze polskie przysłowie: „Kwiecień - plecień, bo przeplata, trochę zimy, trochę lata.” - pomyślałam wychodząc na korytarz.

Zanim weszłam do łazienki, chciałam otworzyć drzwi wejściowe. Ktoś jednak mnie uprzedził. Zastanawiałam się, kto wstał tak wcześnie, na pewno Saranda. Ale w takim razie gdzie poszła?!

Wyjrzałam na zewnątrz i błyskawicznie schowałam się z powrotem. Na samym środku podwórza klęczał Ramush skierowany w stronę wschodzącego słońca. Z wyciągniętymi ramionami leżał z twarzą na ziemi, najwyraźniej się modlił. Poczulałam się nagle jak intruz, wycofałam się i zza firanki obserwowałam go dyskretnie. Nigdy nie widziałam muzułmanina w trakcie modłów, może dlatego wydało mi się to wtedy fascynujące. W ogóle to nawet nie uważałam mieszkańców Kosowa za prawdziwych muzułmanów. Już jako nastolatka interesowałam się religiami i zdążyłam trochę poznać islam. Po przegranej w 1389 roku z oddziałami tureckimi, tereny dawnej Jugosławii, a w szczególności ziemie kosowskie siłą rzeczy przeszły na islam. Później pod zaborem tureckim Albańczycy, chcąc ocalić swoje dobra materialne, zjednoczyli się z muzułmanami już na zawsze. Kosowo było pod zaborem tureckim aż do 1912 roku, wtedy odzyskało niepodległość. Mimo to Albańczycy nadal pozostali muzułmanami. Jednak w porównaniu z krajami arabskimi Albańczycy kosowscy nie byli fanatykami religijnymi, ślepo oddanymi Allahowi i Koranowi. Cała rodzina wprawdzie pościła podczas ramadanu, ale nie przywiązywali wagi do wielu innych rzeczy. Z czasem doszłam do wniosku, że oni wybierali sobie to z islamu, co było dla nich wygodne, czyli wolność i swobodę dla mężczyzn, ale absolutnie ograniczali kobiety. Poszłam do łazienki umyć się, nie chciałam, żeby Ramush domyślił się, że go podglądałam. Wychodziłam z założenia, że modlenie się to intymna sprawa. Po śniadaniu Blerim zaprowadził krowę na pastwisko, a Ramush jak zwykle poszedł do któregoś ze swoich braci. Od rana nie było prądu, więc zagrzałam wodę na piecu w kotle, gorącą przelałam do wiadra, zabrałam brudne naczynia i zataszczyłam to wszystko na dwór. Nie miałam ochoty pić herbaty, a pogoda była czysto wiosenna. Jedyna możliwość, żeby siedzieć na zewnątrz to mieć tam jakieś zajęcie. Pomywanie było niezłym pretekstem. Staralam się robić to bardzo powoli, żeby jak najdłużej rozkoszować się śpiewem ptaków i zapachem trawy. Kiedy

plukałam po raz trzeci talerze, drzwi otworzyły się z hukiem i na podwórze wbiegł kilkuletni chłopiec.

- Zawołaj Ramusha - powiedział bez wstępu. Miałam ochotę pouczyć go, że najpierw trzeba się przywitać, ale już zdążyłam się przyzwyczaić do tego typu zachowania.

- Nie ma.

- A Nasife jest?

Czy nie znają oni takiego określenia jak „pan”, „pani”?

- Jest, a co chcesz?

- Zawołaj - powiedział krótko, widocznie nie miał zamiaru dyskutować.

Wzruszyłam ramionami i weszłam do domu wrzeszcząc, że ktoś do Nasife. Mały powiedział jej coś tak cicho, że nie usłyszałam. Ta podkasła kieckę i rzuciła się w stronę bramy krzycząc po drodze, że mam zabrać te naczynia i sprzątnąć salon, bo mamy gości.

- Cholera - mruknęłam, ale zrobiłam, co kazała.

Saranda i Shyrete wpadły w panikę, kiedy im streściłam, co zaszło.

- O, Allachu, kto to może być? - jęczała moja szwagierka i zamiast pomóc w sprzątaniu poleciała do pokoju obok i wypatrywała przez okno nadchodzących gości.

- Ojej! - wleciała po chwili do salonu lamentując szeptem - Nie ma mnie, umarłam, wyjechałam, śpię, jestem chora... Cokolwiek, tylko mnie nie ma!

Spojrzałyśmy z Sarandą po sobie, nie musiałyśmy się odzywać, byłyśmy tego samego zdania: Shyrete oszalała. W końcu nie wytrzymałam i zapytałam, czy zobaczyła ducha, czy idzie policja wsadzić ją do więzienia?.

- Gorzej - stwierdziła - ojciec Bakiego idzie tu z jego bratem.

- Pewnie na kawę wpadli - usiłowałam ją uspokoić.

- Nie - Saranda ze stoickim spokojem pokiwała przecząco głową - Jeśli w tak krótkim czasie przyjechali dwa razy, to może oznaczać tylko, że Shyrete lada dzień wychodzi za mąż.

Miałam ochotę podskoczyć z radości w górę, ale to byłoby wredne wobec Shyrete. Na dzień jej zamążpójścia czekałam jak na zbawienie. Skończyłaby się połowa moich kłopotów w tamtym domu. Tym razem nie schowała się, musiała siedzieć w salonie z wszystkimi. Po kilku minutach wrócił Ramush, spodziewała się najgorszego, ale wbrew moim obawom, był bardzo miły dla gości. Pozwolono mi zostać w salonie, ale jak przystało na szanujące się kobiety, siedziałyśmy skupione w drugim końcu pokoju. Nie wolno nam było rozmawiać, mogłyśmy słuchać, ale biorąc pod uwagę odległość niewiele słyszałyśmy. Shyrete uśmiechała się słodko, skromnie opuszczała powieki, była słodka jak miód. Gdyby nie to, że marzyłam o jej odejściu z domu, pewnie z czystej zemsty opowiedziałabym jej potencjalnemu teściowi, jaka jest naprawdę. Saranda, która miała największe szanse na usłyszenie czegokolwiek, ponieważ co chwilę zanosila im sok, kawę albo herbatę, wyszła z pokoju, dając nam znak, żebyśmy poszły za nią.

- Ja wyjdę pierwsza, a ty za chwilę, bo to podpadnie - Shyrete zatrzymała mnie w miejscu.

Kiedy opuściłam pokój mina i bladość siostry Rushita mówiły same za siebie.

- Umarł ktoś? - usiłowałam zażartować, ale ani jednej nie było chyba do śmiechu, bo spojrzały na mnie ponuro.

- Shyrete odchodzi - wyjaśniła Saranda.

- Jak to odchodzi? Przecież ona tylko wychodzi za mąż. A co, wiadomo już kiedy?

- Tak, za dwa tygodnie.

No i zaczęły się przygotowania. Codziennie przychodziły do Shyrete młode dziewczyny z sąsiedztwa i zamykały się na kilka godzin w moim pokoju. Blerim jeździł do Maliszewa i przywoził wielkie arkusze brystolu, wstążki, folię itp. Ciekawa co one tam robią, zajrzałam któregoś dnia pod pretekstem zanieśienia im czegoś do picia. Cała podłoga zaśmiecona była skrawkami niebieskiego papieru, na wersalce leżały ładnie popakowane robótki Shyrete. Jedna z jej koleżanek poprosiła, żebym została z nimi chwilę i popatrzyła, jeśli mam ochotę. Odłożyłam tacę na bok, usadowiłam się wygodnie i patrzyłam jak przyklejano kolejno na kawałkach twardego arkusza serwetki, małe, duże haftowane, szydełkowane... Potem obklejano to folią. Ładnie to wyglądało, każda świeżo wyprana, wykrochmalona, wyprasowana. Shyrete zajęta całkowicie przygotowaniem do własnego ślubu, nie miała czasu na żadne kłótnie i awantury.

Jak ja nie lubiłam wstawać rano. Tamtego dnia nie słyszałam charakterystycznego łamania chrustu w pokoju obok. Zastanawiałam się, czy Saranda jeszcze nie wstała i nie jest napalone w piecu, czy może wstała, napaliła i poszła na podwórze. Jeśli nie wstała, to na pewno w salonie było zimno. Spojrzałam automatycznie na zegarek, było wpół do siódmej. Wiedziałam, że nie ma sensu zasypiać. Już chciałam wstać, kiedy obudził się Rushit. Przyciągnął mnie do siebie i przytulił mocno.

- Jeszcze nie idź, co powiesz na małe co nieco? - zamruczał.

Wiedziałam, co mnie czeka, ale nie sprzeciwiłam się, miałam zbyt świeżo w pamięci, czym grozi słowo „NIE”. Poddałam się jego woli, modląc się w duchu, żeby skończył jak najszybciej. I znowu ta cholerna gra aktorska, udawanie, że jest mi dobrze, że jest cudowny... Pomyślałam, że porządna aktorka nie powstydziliby się takich umiejętności. Kiedy było po wszystkim, odwrócił się na drugi bok i zasnął. Ubrałam się szybko i poszłam do łazienki umyć się, sprawdzając po drodze, czy był prąd. Miałam szczęście. Stałam pod prysznicem i jak oszalała szorowałam całe ciało chcąc się pozbyć dotyku jego rąk znieawidzonych przeze mnie do reszty. Wychodząc z łazienki, natknęłam się na czekającą pod drzwiami teściową.

- Dzień dobry, Iza. Prysznic? - uśmiechnęła się zadowolona- Dobrze, że wam się układa.

Nie chciało mi się z nią dyskutować i tłumaczyć jej, że nigdy już między nami nie będzie dobrze. Sarandy nie było nigdzie, pewnie spała jeszcze. Postanowiłam sama napalić w piecu, byłam ciekawa, czy dam radę. Z łazienki dochodziły odgłosy, które świadczyły o tym, że nie tylko ja tamtego dnia spełniałam powinność kobiety wobec swojego mężczyzny. Tylko Nasife z pewnością nie robiła tego wbrew własnej woli. Narzekała wprawdzie na swojego męża, ale nie było to przekonywujące, a narzekanie w ogóle leżało w jej naturze. Na końcu podwórka leżało drewno i gałęzie. Mimo, że słońce świeciło, nie było ciepło. Wsunęłam stopy razem z papciami w stare, znoszone buty Ramusha i wdychając całą piersią chłodne powietrze poszłam za dom otworzyć kurnik. Odrzuciłam wielki pustak od zbitych z desek drzwiczek i patrzyłam jak kury i młode koguty kolejno wybiegały na słoneczne podwórko. Na końcu dostojnie wyszedł stary, duży kogut. Poprzedniego dnia słyszałam, że jego żywot dobiega kresu. Miał być zarżnięty na ślub Shyrete. - Biedaku - pomyślałam, naprawdę zrobiło mi się go żal. Całymi dniami patrzyłam Sarandzie „na ręce” przez co orientowałam się, że najłatwiej napalić w piecu suchymi gałązkami, ściętymi zeszłego roku. Chwyciłam jeszcze kilka drewnien i wróciłam do domu podniecona możliwością napalenia w piecu. Miał to być mój debiut. Najpierw napchałam jakieś papiery, na to poukładałam cienkie gałązki, potem grubsze, na koniec dorzuciłam drewno. Zapaliłam, buchnął piękny ogień, który... szybko się zapalił i szybko zaraz zgasł. W

efekcie zużyłam stos makulatury i nic. Gdyby nie Nasife, która wyszła właśnie spod prysznic nie napaliłabym w piecu nigdy. Nie wyręczyła mnie w tym, tylko dała kilka wskazówek. W końcu po kilku nieudanych próbach zabrała się sama do rzeczy. Widocznie jednak drewno było na tyle wilgotne, że nie dało się tak łatwo rozpalić. Wyszła z pokoju i wróciła po chwili z butelką, w której trzymano naftę do lamp. Wlała trochę do nakrętki, potem jednym ruchem chlusnęła naftą do pieca, odsunęła się na bezpieczną odległość i podpaliła. Ogień buchnął, Nasife zamknęła drzwiczki od pieca i poczekała przez moment; sprawdziła jeszcze raz, czy nie zgasło i zadowolona z siebie wstała. Spojrzała na mnie, zmarszczyła brwi i zabroniła kiedykolwiek ją naśladować.

- To bardzo niebezpieczne. A ty nie wiesz, jak się do tego zabrać. Więc nie próbuj, słyszysz?- pogroziła mi palcem i wyszła.

- Jasne.

Tak powiedziałam, ale już wtedy wiedziałam, że na pewno to kiedyś wykorzystam. Ciągłe uczyłam się czegoś nowego. Rushit wstał dość szybko, z reguły rzadko zdarzało się to przed dziesiątą, ale chyba odezwała się w nim islamska natura, bo od razu poszedł wziąć prysznic. Odniosłam wrażenie, że chciał tym samym pochwalić się całej rodzinie, że między nami znowu jest wszystko dobrze. Stałam akurat przy piecu i obsmażałam paprykę, kiedy Shyrete powiedziała, że Rushit chyba czegoś zapomniał, bo woła mnie z łazienki. W Kosowie i wielu innych krajach, gdzie przeważa islam do najważniejszych obowiązków należy dbać o swojego mężczyznę, a potem ważna jest reszta. Miałam więc w tej chwili prawo rzucić wszystko, co robiłam i zająć się tylko mężem. Zapukałam, otworzył mi drzwi szeroko. Stał na środku łazienki całkiem nagi. Mimo niewielkiego „brzuska” sylwetkę miał nadal atrakcyjną, wysportowaną, szeroki w ramionach, nie brakowało mu niczego. Do tego śniada, gładka skóra. Jeszcze jakiś czas temu zrobiłby na mnie wrażenie, ale nie po tamtych wydarzeniach, po których zostawały mi siniaki...

- Co chciałeś?

- Zapomniałem ręcznika. Przyniesiesz mi? - uśmiechnął się znacząco. - Potem idź do naszego pokoju i czekaj na mnie. Zaraz przyjdę.

- Ale przecież muszę przygotować śniadanie. - już wiedziałam co mnie czeka.

Jego spojrzenie jednak nie pozwalało mi na jakiegokolwiek dyskusje. Poszłam posłusznie do pokoju i czekałam. Przyszedł po kilku minutach. Usiadł naprzeciw i zaczął... rozmawiać. Powiedział, że ma okazję wydzierżawić małą knajpkę, ale potrzebne są mu pieniądze.

- Wiem, że spodziewamy się dziecka.

Zastanawiałam się, do czego zmierzał. Jak dotąd mało go to interesowało, że spodziewamy się maleństwa. Czulałam, że to jakiś podstęp. No i szybko dowiedziałam się, w jakim celu ta rozmowa:

- Jutro, najpóźniej pojutrze powinienem dostać większe pieniądze z Niemiec. Nieważne skąd i ile - ubiegł moje pytania - Potrzebuję je wszystkie.

- Muszę kupić jakieś ubranka dla dzidzi. Poza tym wizyta u lekarza też kosztuje. Nie mam ani grosza. Jestem w ciąży, a nie mam żadnych witamin.

- Wiem, ale dziecko przyjdzie na świat za kilka miesięcy, a do tego czasu będą już zyski z knajpy. Co do lekarza, to moja matka zapłaci.

Dotarło do mnie, że byłam całkowicie zależna od niego. Nie miałam własnych pieniędzy, własnego zdania, ani życia. Nie miałam nic, prócz nadziei na lepsze jutro, zdrowe dziecko i

powrót do domu.

WIZYTA W DOMU SHYRETE

W czwartek rano w domu panował totalny chaos. Wiedziałam, że tak będzie do samego ślubu Shyrete, ale nie przejmowałam się tym, przecież to miało oznaczać, że nie będzie jej już w tym domu... Przynajmniej nie zawsze. Radio wyło na cały regulator. Blerim powiedział, że to Adem Ramadani, wykonawca, którego repertuar to przeważnie piosenki o miłości i ślubach. Na początku irytowały mnie, ale z czasem bardzo mi się spodobały, zwłaszcza te, w których głównym instrumentem było tamburyno. Dochodziła siódma, kiedy szłam na podwórze do „starego” kranu umyć filiżanki po kawie. Nasife podzieliła obowiązki między każdego, nawet Rushit dostał zadanie. Miał jechać na zakupy. Saranda oderwała z pustej paczki po papierosach kawałek tektury i notowała.

- Komplet oleju, dziesięć paczek papierosów „Partner”...
- Ciekawe na jak długo ma to wystarczyć? - Ramush przerwał swojej żonie.
- Niech będzie dwadzieścia. Przecież i tak ktoś pojedzie pojutrze do miasta.

Łyzeczka spadła mi na podłogę z wrażenia. Ja sądziłam, że mój tata palił dużo, czasem półtorej paczki dziennie, ale oni bili wszelkie rekordy.

- Weź jeszcze tej twojej kobiecie parę jakiś kłapek, nie może przyjmować gości w tych starych papciach.

Spojrzałam mimowolnie na nogi, faktycznie moje sandały nie wyglądały najlepiej. Jakoś przyzwyczaiałam się do nich, ale tym razem musiałam przyznać teściowej rację. Niestety nie miałam możliwości pojechania do miasta i wybrania sobie butów.

- Chcesz takie, jak ma Saranda? - spytał Rushit.
- Ty chyba oszalałeś. Ona ma korki.
- Są fajne. Mogę ci kupić białe albo czarne.
- Będę w nich miała równe dwa metry.
- O to chodzi - uśmiechnął się

W Kosowie wysokie kobiety były rzadkością, młode mężatki nosiły buty na wielkich koturnach, czasem komicznie wysokich. Widziałam zdjęcia ślubne, na których niscy mężczyźni stali dumnie uśmiechnięci i zadowoleni obok o wiele od nich wyższych małżonek. W tym przypadku Polska była do tyłu z tolerancją. Byłam od Rushita dziewięć centymetrów wyższa, do tego miały dojść te korki. Jakby to powiedziała moja mama żartobliwie: „W łóżku grabiami trzeba będzie go szukać”. Zgodziłam się w końcu na ten zakup. Nasife dokończyła dyktować listę zakupów, wręczyła Rushitowi dodatkowe pieniądze tłumacząc mężowi, że daje na benzynę. Ramush nie skomentował tego, choć doskonale wiedział, że za tę kwotę mógł zatankować pełen bak. Przez tyle lat zdążył przyzwyczaić się, że jego żona rozpieszcza swoje dzieci, a Rushit zawsze był jej pupilkiem. Żal mi go było, bo jako małżonek nie mógł liczyć na żadne względy, jeśli chodzi o finanse. Wprawdzie trzymał kasę, ale co jakiś czas był z niej rozliczany.

- Właściwie dlaczego my przygotowujemy dziś takie wystawne przyjęcie? Przecież Shyrete wychodzi za mąż dopiero w niedzielę?! - zapytałam Sarandę.

- Dziś przyjedzie rodzina jej przysięgłego męża i przywiezie wyprawkę dla niej. Tu jest taki

zwyczaj, że mężczyzna kupuje dla swojej kobiety różne ubrania wizytowe, suknie ślubne, jakąś swobodną odzież do przyjmowania gości w domu, bieliznę, kosmetyki, buty, biżuterię. Wszystko to ktoś z jego rodziny zawozi narzeczonej.

- Po co to kupuje? - przyzwyczaiłam się, że nic w Kosowie nie robi się bez konkretnej przyczyny.

- Dziewczyna wychodząca za mąż nie ma prawa w tym dniu wynieść niczego z domu rodzinnego, nawet bielizny. Może to zabrać po jakimś czasie, ale nie tego dnia. Robi się to przed ślubem, bo kobiety z wioski i krewne panny młodej będą przez trzy dni przychodzić i oglądać prezenty, i według tego ocenią status i gust pana młodego.

- A jeżeli nie spodoba się jej te ciuchy? Albo to nie będzie jej rozmiar?! Czasami taki facet nawet nie wie, jak wygląda jego przyszła żona.

- Po to są swatki - roześmiała się Saranda i pogoniła szybko do pracy.

Miałymy tego ranka urwanie głowy. Śniadania nie było dla nas wcale.

Mogłyśmy zjeść coś, co zostało z poprzedniego dnia i potem modlić się, żeby goście nie zjedli wszystkiego, co im się przygotowało. Dostałam całe wiaderko ziemniaków do obierania. W międzyczasie Saranda myła pałki i skrzydełka od kurczaka, zdziwiło mnie, że odcinała kawałki tłuszczu.

- Dlaczego tego nie zostawisz, przecież to po rozpuszczeniu w zupie daje smak.

- To obrzydliwe. Tego się nie je.

Znowu coś nowego. Oni naprawdę nie mieli pojęcia o niczym. Nie chciało mi się jej niczego tłumaczyć, tym bardziej, że naród Albańczyków to urodzone uparciuchy. Zdaje im się, że wszystko wiedzą lepiej. Pomyślałam, że ta cecha miała jakiś wpływ na powstanie konfliktów między nimi a Serbami. Nie chciano iść pod żadnym względem na ugody, w grę nie wchodziły kompromisy, a Serbowie mieli swoją rację. I tak powstały właśnie, które z upływem czasu narastały i zyskały na sile. Wzięłam ziemniaki, garnek, nóż i poszłam na podwórze. Usiadłam na balkonie i zabrałam się do pracy,

- Możemy pogadać o wojnie i w ogóle? - zapytałam Ramusha, który siedział nieopodal na materacyku na trawie.

- No.... A co znowu chcesz wiedzieć?

Miałam tysiąc pytań, ale nie każde mogłam zadać. Były sprawy, o które wolałam nie pytać. Coś mnie jednak męczyło.

- Jak to było między Serbami a wami od dawna?

Ramush zaśmiał się, wyciągnął papierosa, odpalił i zaciągnął się mocno.

- Twoja ciekawość cię kiedyś zgubi. Więc dobra, powiem ci, zanim zapytasz się Bajrama. A znając ciebie zrobisz to.

Rzeczywiście starszy brat Ramusha bardzo lubił opowiadać o wojnie, stosunkach albańsko-serbskich. Tylko zdążyłam się już zorientować, że nie miał na ten temat kompletnych informacji.

- To się zaczęło kilkaset lat temu. W 1389 roku na miejscu, gdzie jest teraz Fushe Kosova, walczyły ze sobą oddziały serbskie i tureckie. Ci pierwsi przegrali i przez pięćset lat zostali pod panowaniem tureckim. Wielu emigrowało, a na ich miejsce sprowadzono Albańczyków. W XV wieku Skanderbeg (*władca Albanii*) chciał wyzwolić nasz naród, ale nie udało mu się i musieliśmy przyjąć islam. Dopiero dużo później wygoniliśmy stąd Turków. Pochodzimy od Ilirów, a wiadomo, że to oni byli pierwszymi mieszkańcami Bałkanów, dlatego to my mamy

pierwszeństwo do tych ziem.

Byłam pod wrażeniem, że prosty człowiek ze wsi, do tego mający tylko podstawowe wykształcenie posiada takie wiadomości. Ale miałam często okazję, żeby przekonać się, że Ramush to bardzo inteligentny człowiek. Tylko życie nie dało mu szansy na zrobienie użytku ze swoich zdolności. Gdyby poświęcił czas nauce, nie byłby zmuszony tak szybko zakładać rodziny i pewnie miałby przed sobą przyszłość jako ktoś wielki.

- Czy Serbowie mają prawo do Kosowa?

- W życiu. To było dawno temu, poza tym wiadomo, czy byliśmy tu przed nimi. To jest historia, Iza. Kosowo należy do Albanii i tak będzie.

Albo uzyskamy niepodległość, albo niech nas przyłączą do Matki - Albanii. I znowu powstanie „Wielka Albania”

- A oni was chcą? Podobno w czasie wojny nie przyjęto zbyt wielu azylantów...

- Kto ci naopowiadał takich bzdur?! Pewnie Bajram, co?

Wiedziałam, że jeśli doprowadzę do tego, że Ramush się zdenerwuje, to nie będę miała szans, żeby dowiedzieć się czegokolwiek. Dlatego szybko wróciłam do tematu.

- Opowiedz mi o Tito?

- Tito trzymał całą Jugosławię krótko, dla niego nie było podziału na Albańczyków, Chorwatów, Serbów. Każdy z nich był po prostu Jugosłowianinem, a Jugosławia to był jeden z najbogatszych krajów w Europie. Przyjeżdżali do nas z zagranicy do pracy. Było tu nawet pełno Polaków. Sprzedawali również w Maliszewie. Opłacało im się kupować towar w Polsce, przyjeżdżać tu przez te wszystkie kraje i sprzedawać. To były takie drobiazgi, właściwie wszystko, co tylko się dało opchnąć. Zarabiali na tym niemałe pieniądze. Z tego, co wiem wielu z nich zbudowało sobie w Polsce piękne domy i żyli w dostatku, tak się dorobili na interesach w Jugosławii. My także nie narzekaliśmy. Było nas stać na wszystko. Wysyłaliśmy za te pieniądze naszych synów za granicę. Spytaj Rushita, jakie samochody miał tu, w Kosowie. Takimi nie jeżdżono chyba nawet w Polsce. Ale Tito umarł w 1980, bardzo szybko po jego śmierci zaczęły się prześladowania Albańczyków przez Serbów. Do tego stopnia, że rok później ruszyła pierwsza poważniejsza demonstracja. Potem były już regularne. Do władzy doszedł Miloszewicz. W 1989 r. odebrano nam konstytucję i niezależność. Albańczyków wyrzucano z pracy, najczęściej profesorów, lekarzy, na ich miejsca sprowadzano Serbów. Masowo wsadzano nas do więzień. Pod byle pretekstem: szpiegostwa czy działania na szkodę Jugosławii. Do Kosowa przysłano z Serbii wojsko, dodatkowe oddziały policji. Niech opowie ci Rushit, dlaczego wyjechał z Kosowa, albo o tym, jak ścigała go policja z wymyślonymi zarzutami, że niby broń przemycił. Nie mogli go nigdy złapać, więc dostało się za to Afrimowi, który w końcu też musiał uciekać do Niemiec, i mnie. W całym Kosowie w szkołach zabroniono posługiwać się językiem albańskim. Po kilkunastu latach tych upokorzeń stworzyliśmy partyzantkę, którą już znasz, UCK. Jej założyciel to właśnie Adem Jashari.

- Czy te ziemniaki masz już obrane? - przerwała nam Nasife. - O Allachu, jeszcze nie, przecież trzeba wstawić. Saranda już dawno umyła mięso, jest prawie miękkie, a ty się guzdrasz... Skaranie boskie z wami. Gdzie Blerim? Trzeba narąbać drewna, wie, że przyjadą goście i włóczy się gdzieś. Ramush idź się przebrać i uczesać, jak ty wyglądasz?!

I tak narzekając pod nosem weszła z powrotem do domu. Żal zrobiło mi się tego człowieka. Podobno jako młody człowiek nieźle dawał jej popalić. Często ją bił, jakby obarczał winą za

swoje zmarnowane życie. Z wiekiem stał się bardzo spokojnym człowiekiem. Były jednak takie momenty jak tamten, że zastanawiałam się, czy ona nie zasłużyła sobie na lanie. Jeżeli zawsze miała taką niewyparzoną buzię, to chyba obrywała słusznie. Po kilku minutach zaniiosłam cały gar ziemniaków, obranych i umytych w wodzie na podwórzu. Czajnik szalał na piecu, więc jeszcze zaparzyłam herbatę, przezornie większą ilość.

- Zamieć jeszcze raz balkon. Naniosło się tych śmieci - poleciła mi teściowa, jakby bojąc się, że będę miała za dużo wolnego czasu i usiądę. Chwyciłam od niechcenia miotłę i kilka razy machnęłam po betonie. Nie miało to najmniejszego sensu, bo balkon lśnił czystością, ale wolałam się podporządkować, teściowa chodziła nerwowa od samego rana. Twierdziła, że nie może pogodzić się z faktem, że jej jedyna córka odchodzi do męża, ale mówiła to bez większego przekonania. Poza tym dowiedziałam się od Sarandy, że Shyrete potrafiła podczas swoich ataków zbluzgać nawet własną matkę z błotem. Czasami czułam się jak w jakimś teatrze, nie wiadomo było, kto grał, a kto był sobą. Z reguły Albańczycy to naród bardzo solidarny, zżyty ze sobą, rodzinny, ale także zawzięty i bezwzględny, jeśli chodzi o pewne zasady.

Nie minął nawet miesiąc od dnia pogrzebu mężczyzny z tej wioski, zabitego przez własnego brata. Fatmir Tahiri był z natury bardzo pory w-czy. Słyszałam o nim jeszcze od Rushita, podobno miał żonę, której wcale nie kochał. Któregoś dnia jego kobieta poczuła się źle i poprosiła, żeby zawiózł ją do lekarza. Fatmir odmówił twierdząc, że nie ma przesadzać. Poszedł sobie do sklepu, nie zastanawiając się, czy ona była faktycznie chora. W końcu nad nieszczęsną zlitował się młodszy brat Fatmira. Zawiózł ją do Maliszewa. Fatmir po powrocie do domu wpadł w szał. Pojechał do przychodni, żonę pobił na samym środku szpitalnego korytarza, a brata przywiózł do domu i zastrzelił, bo zlekceważył jego decyzję. Najgorsze było w tym to, że w wiosce zdarzali się ludzie, którzy trzymali jego stronę, używając argumentu, że rzeczywiście brat nie miał prawa się wtrącać. Moja reakcja była szokiem dla rodziny, zaczęłam przeklinać tego okropnego faceta po polsku, albańsku i niemiecku.

Życzyłam mu najgorszych tortur i najcięższego więzienia. Spytałam Rushita co zrobią mu po tej zbrodni. Usłyszałam, że pewnie niewiele, bo prawo w Kosowie jest trochę inne niż w pozostałych krajach europejskich.

- Gdyby zrobił to jeszcze przed wojną prawdopodobnie nic by mu nie zrobiono - dodał Rushit - Serbowie nie wtrącali się do porachunków między rodzinami albańskimi. Nawet jeśli mąż zabił żonę, przypuszczając, że była niewierna, rzadko stawał przed sądem. Chyba, że domagałaby się tego rodzina kobiety, ojciec lub bracia. Ale ci z kolei byliby w takiej sytuacji narażeni na hańbę.

Zamiatalam bezmyślnie jedno miejsce, rozmyślając, kiedy przed bramą zatrąbiło auto, domyśliłam się, że to goście. Przez okno na górze patrzyłyśmy z Sarandą i Shyrete jak dwóch mężczyzn wnosi dwie duże walizki do domu, przyszej pannie młodej zaświeciły się oczy:

- Ciekawe, co tam jest. Mam nadzieję, że chociaż ładne rzeczy.

Materialistka cholerna - pomyślałam wściekła, że nie mam możliwości, żeby narobić jej jakiegoś wstydu przed narzeczonym albo jego ojcem. Ale i tak teraz oni będą się z nią męczyć. A swoją drogą ciekawe, czy będzie im też takie numery odstawiać. Byłam ciekawa, jakim człowiekiem był ten Baki, przydałby jej się facet, który zrobi z niej potulną kobietkę.

- Saranda - usłyszałam ciche wołanie Nasife na dole.

Zeszłyśmy wszystkie na dół. Dostałyśmy polecenia, Nasife wyznaczyła, która ma podawać wodę do mycia rąk, która przynosi stół. W salonie siedziało kilku mężczyzn, Ramush, Bajram,

Sahit, Rushit, ojciec Bakiego i dwóch młodych, których widziałam pierwszy raz. Już wchodząc, Rushit dał mi znać spojrzeniem, że jeśli zrobię coś głupiego, to mam się przygotować na poważną „rozmowę” z nim. Ze względu na swój stan liczyłam się z tym, dlatego nie wiedziałam jak zareagować, kiedy ojciec Bakiego zagadnął mnie.

- To jak ci się podoba w Kosowie? A jak tam z nauką języka albańskiego?

Zerknęłam na Rushita, nie miałam pojęcia, czy jeśli odpowiem nie odbije mu i nie podniesie na mnie później ręki. Skinął nieznacznie głową.

- Tu jest bardzo fajnie - palnęłam sama nie wierząc w to, co mówię, ale takie słowa były najbezpieczniejsze. - Co do języka, to przecież nie umiem go jeszcze dobrze.

- Znałaś już język zanim tu przyjechałaś?

- Tylko „Dzień dobry” - uśmiechnęłam się aktorsko.

- Genialne, jak nauczyłaś się w tak krótkim czasie tak mówić? - starszy pan był rzeczywiście pod wrażeniem, polubiłam go i byłam trochę wściekła, że Shyrete będzie miała takiego fajnego teścia. Życzyłam jej prawdziwego tyрана, nie miłego, starszego pana.

Po śniadaniu Saranda i Shyrete sprzątały ze stołu, ja zaczęłam przygotowywać szklaneczki do herbaty. Przez moment wydawało mi się, że Nasife spojrzała na mnie krzywo. Dopiero później dowiedziałam się dlaczego:

- Nigdy nie przygotowuje się szklanek do herbaty przed sprzątnięciem stołu! – krzyczała.

Zastanawiałam się, co ją kopnęło. Mogła powiedzieć mi to normalnie, nie musiała się wydzierać. Na korytarzu zatrzymała mnie Saranda:

- Nie odzywaj się, proszę, ona cię prowokuje. Jest zła, że Shyrete wychodzi za mąż i musi się na kimś wyżyć. Jak się odezwiesz, to Rushit może się rozszłościć i będzie awantura. Nic nie mów.

Całe popołudnie urządziłyśmy pokój z wyprawką, którą dostała Shyrete. Blerim jako jedyny mężczyzna dopuszczony do tej pracy chodził z młotkiem w dłoni, wbijał gwoździe i zawieszał sznurki. Na nich z kolei miały zawisnąć kreacje. W końcu pokój był gotowy, z trzęsącymi się z wrażenia rękoma Shyrete otworzyła pierwszą walizkę. Na samej górze leżała garść cukierków, wszystko było przykryte kawałkiem purpurowego materiału imitującego aksamit.

- No pospiesz się - syknęłam, myślałam, że zaraz pęknę z ciekawości. Doczekałam się, wnętrze walizki wypełnione było odzieżą, która mi osobiście nie wydawała się „czadowa”, ale cóż, to rzecz gustu. Za to teściowa wraz ze swoją córką zachwyciły się całą garderobą. Kolejno wyciągały ubrania: najpierw spodnie dzwony, ze srebrnymi kóleczkami przyszytymi u dołu nogawek, później garsonka, w którą zmieściłyby się dwie kobiety postury Shyrete, i jeszcze trzy suknie wieczorowe, o kolorach typowych dla kobiet w Kosowie - czerwona, niebieska i różowa.

- Ale tej spódnicy nie założę, nawet mowy nie ma - moja szwagierka wyciągnęła spódnicę i przyłożyła do siebie, sięgała jej trochę za kolana.

- No, widać ci łydki - zaśmiałam się.

- My tu nie nosimy takich wyzywających rzeczy jak u was - docięła mi.

- Dlatego wasi mężczyźni szaleją w Niemczech i innych krajach za granicą, jak widzą tamte panienki - nie pozostawałam dłużna, wiedziałam, że Baki pracował w Niemczech, miałam nadzieję zrobić jej tym na złość.

I tak dogryzałybyśmy sobie jeszcze nie wiadomo jak długo, gdyby na dnie kufra nie leżały suknie ślubne. Trzy piękne, ale jak zwykle zbyt przesadnie bogato zdobione. Shyrete miała

zdecydować się na jedną, a resztę odesłać. Teraz miała problem, po trzy razy przymierzała każdą kciekę i nadal nie mogła wybrać. O dziwo, zapytała mnie o zdanie.

- Jak myślisz, która z nich? Wszystkie są takie ładne.

Zrobiłam to drogą selekcji:

- Ta ma brzydki odcień, w tej, zwariowali, naszywając tyle kwiatów, ta może być.

Podalam jej sukienkę z koronki, z krótkim rękawkiem, u góry skromną, na dole rozłożystą. Nie była ona szczytem moich marzeń, ale jako jedyna nadawała się ewentualnie do wystąpienia w tym uroczystym dniu. Druga waliza zawierała głównie bieliznę, kosmetyki i biżuterię. Tyle złota do tej pory widziałam tylko w filmach, żeby nie przesadzić, było tam dziewięć dużych pierścionków, trzy bransoletki, zegarek, dwie pary kolczyków, które zaraz skojarzyły mi się z cygańskimi taborami, dwa łańcuszki, a właściwie łańcuchy, bo grube i długie. Saranda pochwaliła się, że ten który ona dostała od Kastriota ma dwa metry.

- Chyba nie obwieszisz się tym cała, co? - zadałam głupie pytanie, bo znałam odpowiedź.
- Oczywiście, przecież Baki w tym celu mi to dał. A co, u WAS tego się też nie nosi?
- Nie, u NAS preferujemy skromność, czyli mało i niewidocznie. Ponadto modne jest srebro.
- W Kosowie to taki zwyczaj - wytłumaczyła mi Saranda - Im więcej złota, tym bogatszy jest przyszedł pan młody. Cokolwiek działa się tam, miało to z reguły związek z tradycją...

Najbardziej spodobała mi się kamizelka albo bardziej gorset, nazwany *jetek*, sztywna, cała zrobiona ze złota, które jak później się dowiedziałam było tylko imitacją. Chociaż podobno zdarzali się bardzo bogaci mężczyźni, którzy kupowali dla swoich przyszłych żon te gorsety ze złota. Króciutka kamizelka, ledwie sięgająca pasa, była częścią typowego ubioru nusji, na który składało się białe *dimi*, biała koszula zdobiona koronkowymi wykończeniami, koralikami oraz pasek z połączonych, wytopionych z prawdziwego srebra wymyślnych kwiatów. Widziałam już na fotkach ubrane w to *misje* i mimo, że wyglądało to bardzo ładnie i egzotycznie, wątpiłam jednak w wygodę takiego stroju.

Wieczorem zapytałam Rushita, dlaczego nie kupił mi nigdy złota.

- Bo nie mamy pieniędzy - odpowiedź była krótka, ale mnie nie zadowoliła.
- Ale złoto wcale nie jest drogie.
- Dobra, dobra kupię ci, jak będę miał kasę - co znaczyło: „Ugryź mnie w nos, i tak nic nie dostaniesz”.

Przemilczałam to, nie dostałam złota, ale bardzo szybko mogłam dostać siniaki.

Następnego dnia od rana zaczęły schodzić się baby ze wsi. Shyrete do późna w nocy siedziała z Saranda i urządzały pokój. Na ziemi poukładały robótki ręczne Shyrete, popakowane w folię, ściany wypełnione były wiszącymi kreacjami. Wśród nich zauważyłam kilka tych, które Kastriot przywiózł jej z Niemiec. Małe oszustwo, ale rzeczywiście ilość zrobiła na kobietach wrażenie.

- Jakie to piękne.
- A jak dużo.
- Ile złota!

Zachwycaly się jedna po drugiej. Uśmiechały się szczerze, a kiedy zostawały na moment same szeptały sobie jedna drugiej coś do ucha. Ja i Saranda biegałyśmy całe dni, parząc co dwie godziny nową herbatę, nalewając napoje i robiąc kawę. Wiezorami padałyśmy z nóg. Pracy było dużo, ale wiedziałyśmy, że już niedługo to się skończy i pozbędziemy się Shyrete. Czułam, że Saranda miała te same myśli, co ja. Mężczyźni też nie mieli łatwo, bo do nich

należało zawiadomienie gości o imprezie. Więc Blerim i Ramush pojechali do Maliszewa, gdzie mieszkały siostry Nasife. Rahmija i Sufa, Potem do Drenowe do jej brata, Ramadana, następnie do oddalonego o ponad pięćdziesiąt kilometrów Klin, gdzie Ramush miał rodzinę.

Dwa dni przed ślubem w domu panował ogólny chaos. Do późna siedziały u nas żona Sahita, Bukuria, o której Nasife nigdy nie wypowiadała się pochlebnie, Miniria, żona Sądnego, od lat przebywającego w Niemczech i Elfia, żona najstarszego z braci. Oglądały ubrania, plotkowały, dawały rady Shyrete na przyszłość.

- To chyba najwyższy czas, żeby pozbyć się owłosienia - powiedziała Elfia, kiedy w domu zostały same kobiety. Zaczynało być ciekawie...

- Dzisiaj zrobisz sobie maseczkę, a jutro całość.

- Jak to całość? - ciekawość wzięła górę - Chyba nie na łyso? Spowodowałam tym ogólny wybuch radości, śmiały się przez kilka dobrych minut, aż w końcu Saranda zlitowała się nad moja nieświadomością:

- Muzułmanki, kiedy wychodzą za mąż muszą pozbyć się wszelkiego włosia poniżej szyi. Dziś ogoli tylko twarz.

Nie zadawałam więcej pytań. Elfia przygotowała z cukru coś w rodzaju karmelu, bardzo gęstego. Służyło to do wrywania włosów na twarzy. Kiedy ostygło Shyrete obkleiła sobie tym twarz i po kilku minutach zerwała, krzywiąc się przy tym niemiłosiernie z bólu. Widok ten bardzo mną wstrząsnął:

- Przestań, przecież ty nie masz żadnych włosów na twarzy.

- Mam, widać je gołym okiem - przysunęła mi swoją twarz pod sam nos - Zobacz sama...

Jedyne co widziałam w tamtej chwili to była zniszczona, czerwona cera z brzydkimi plackami od tego plastra. Usiłowałam jej wytłumaczyć, że przecież takie włoski ma każdy człowiek i one wcale nie szpecą, ale mają za zadanie chronić naszą skórę. A ona sobie właśnie robi krzywdę i prawdopodobnie pojedzie do swojego męża oszpecona. Nasife naskoczyła na mnie, że nie mam racji, Shyrete dzielnie to zniesie a ona nie pozwoli, żeby jej córka wyszła za mąż obrośnięta jak facet. Na dzień przed ślubem odbył się rytuał wrywania brwi, na szczęście niczym nie różnił się od normalnego depilowania.

W dzień poprzedzający ślub, wieczorem, kiedy kładłam się spać. przyszła do mnie Shyrete. Usiadła na łóżku naprzeciw i spojrzała na mnie poważnym wzrokiem, czułam, że chce mi powiedzieć coś ważnego. Czekałam bez słowa, w końcu zaczęła:

- Posłuchaj, może ten czas, który spędziłyśmy tu razem nie był najlepszy. Nadal uważam, że Rushit jako jedyny ponosi za to winę. Ja trochę też, bo nie powinnam cię tak napastować, kiedy jesteś w ciąży, ale teraz odchodzę z tego domu i chciałabym zrobić to w zgodzie ze wszystkimi, z tobą też.

- Shyrete... - zaczęłam, ale przerwała mi.

- Nie mów już nic, bo to nie ma najmniejszego sensu. Jutro będzie dzień, który w Kosowie jest dla dziewczyny wychodzącej za mąż dniem płaczu. Nie wiem, czy słyszałaś już o tym. Nie chciałabym opowiadać ci dokładnie, bo to dla ciebie nowe przeżycie, nie chcę ci zepsuć niespodzianki.

Usiadłam na łóżku i nastawiłam uszu.

- W domu kobiety taka uroczystość przebiega inaczej, niż u mężczyzny. Pierwszy dzień schodzą się kobiety ze wsi i z rodziny, przyszła *nusja* płacze wtedy, że odchodzi do męża, nie zdradzę ci szczegółów, jak to wygląda, zobaczysz jutro. Trwa to od rana, przeważnie od

dziesiątej do dwudziestej trzeciej. Potem są tańce. Kolejnego dnia przyjeżdża po nią rodzina przyszłego męża. Jedzie tam sama...

- Jak to sama, nie zabiera ze sobą nawet rodziców, przecież to nienormalne. Jeśli nie zna tam nikogo, nawet męża, to czuje się okropnie, zdana tylko na siebie - żal mi było Shyrete, na jej miejscu nie wytrzymałabym tego nerwowo, a po niej prawie wcale nie było widać zdenerwowania.

- Mam szczęście, bo przecież nie pojedę tam zupełnie sama. Razem ze mną jedzie Miniria.

- Czemu ona, a nie twoja matka? - Shyrete zaśmiała się głośno.

- Miniria to siostra Bakiego. Będzie moją *kunotą*, taką jak ja dla ciebie.

Ile tajemnic jeszcze kryła ta rodzinka?!

- To kto najpierw wziął kogo z tamtej rodziny - usiłowałam się w tym połapać, ale nie było to łatwe.

Najpierw Mustafa ożenił się z siostrą mojego ojca, Shohą, potem zeswatano jego siostrę Minirię z młodszym bratem Shohy, czyli moim wujkiem, Sadrim.

- Jeszcze ty do kompletu - zaczynałam składać to w całość - A jak to wygląda u mężczyzn?

- No tak, odeszłyśmy od tematu. U nich nazywa się to *darsume* i jest o wiele weselsze. To też zaczyna się tego dnia, kiedy ja będę wylewała łzy, u Bakiego będzie prawdziwe wesele, czyli tańce, jedzenie, masa gości. Pojutrze przyjadą po mnie, a jeszcze następnego dnia, kiedy tutaj nie będzie już nic więcej, do południa są też tańce, ale tylko w gronie kobiet.

- Ty też będziesz tańczyć?

- Razem z innymi *nusjami*. Wyobrażasz sobie jakie to przeżycie, jakie nerwy, obce baby usiądą dookoła, a ty w samym środeczku musisz ładnie, nienagannie zatańczyć, bo inaczej będzie o tobie gadała cała wioska.

Mogłam sobie to wyobrazić. Mimo, że Shyrete umilkła, odnosiłam wrażenie, że chce o coś zapytać. W sumie o tym ślubie nie dowiedziałam się wiele, ale może rzeczywiście nie warto było psuć sobie apetytu.

- Wiesz co?! Nie jest mi łatwo o to pytać, ale muszę, bo boję się, czy „to” boli?

Aha, tu leżał pies pogrzebany... Zatkalo mnie, choć starałam się nie dać tego po sobie poznać.

- Bo ja nie bardzo wiem co robić.

Ja nie mogę dawać ci żadnych porad, bo mąż cię przepędzi - zażartowałam, co na moment rozładowało atmosferę. Ale jedno mogę ci powiedzieć, że właśnie „to” należy do tych rzeczy, których człowiek ot tak się nie nauczy. Wszystko przychodzi z czasem, z uczuciem i z chwilą. Więc nie bój się, zamknij oczy i pociesz się, że to facet będzie musiał się starać.

Teraz to obie ryknęłyśmy śmiechem. Zastanawiałam się, czy Baki był prawiczkim, niby powinien być, chociaż trudno było ocenić te obyczaje w Kosowie, komu co było wolno, a komu nie?!...

PRZED ŚLUBEM SHYRETE

Następnego dnia...

- Iza. Iza... - ktoś we śnie uporczywie powtarzał moje imię, aż przekonałam się, że nie był to jednak sen.

- Iza...Iza... - usłyszałam delikatne pukanie do drzwi i ciche wołanie Sarandy.

Z trudem wyszłam z łóżka, ale przecież nie budziłyby mnie, gdyby to nie było ważne. Po kilku sekundach olśniło mnie: ślub! Zerwałam się na równe nogi, dałam jej znać, że już wstałam i zaczęłam szperać w szafce. Miałam jeszcze tyle do zrobienia, poprzedniego dnia wieczorem nie było prądu, a Rushit nie miał ani jednej koszuli wyprasowanej. Domyśliłam się, że grozi to awanturą, dzięki czemu nie potrzebowałam nawet kawy, żeby dojść do siebie. Najpierw sprawdziłam, czy jest energia, włączyłam światło, żarówka zabłyśła słabym światłem.

- No tak, jest, ale jakby go nie było. Trudno, słaby ten prąd, ale żelazko chyba pociągnie - pomyślałam.

Żelazko rzeczywiście funkcjonowało bez zarzutu, gorzej było z odkurzaczem.

- Pospieszcie się - ponaglała Nasife, biegnąc nerwowo po domu. - Gdzie Rushit? Obudź go, szybko, Iza. I skończ wreszcie to odkurzanie, głowa boli od tego hałasu.

Muszę to robić powoli, bo jest słaby prąd, nie wciąga dobrze - wytłumaczyłam się, ale jedyną uwagę mojej teściowej było to, żebym sprawdziła, w jakim stanie jest worek odkurzacza.

Otworzyłam go, ze środka wybiegła... mysz. Błyskawicznie przeskoczyła po mojej ręce i znikła gdzieś za drzwiami.

- O Allachu, jeszcze tego nam brakowało, niech nikt się nie waży mówić o tym Shyrete.

Jednak matka Rushita знаła mnie całkiem dobrze, skoro kiwając palcem ostrzegawczo, spojrzała na mnie... Wiedziała doskonale, że Shyrete panicznie bała się myszy. Saranda opowiadała mi, że kiedyś, jeszcze przed wojną nasza szwagierka znalazła w pościeli mysz, podobno przez kilka tygodni spała pod jednym kocem, który strzepywała kilkakrotnie przed snem, następnie zawijała się nim dokładnie. W szpary w kanapie, na której spała powtykała szmaty. Była bliska obłędu, przez jedną maleńką myszkę. A teraz taka okazja, zobaczyć jak szaleje przed własnym ślubem... Nie chciałam jednak zadzierać z Nasife, a już na pewno nie z Rushitem. Tymczasem poszłam go obudzić, jak zwykle wydarł się, jakbym zorganizowała cały ten ślub specjalnie po to, żeby go wcześniej wyrzucić z łóżka.

- Albo wstaniesz, albo sobie śpij, mam to głęboko w nosie - krzyknęłam w końcu zła na jego humory i wyszłam z pokoju.

Nie minęło dwadzieścia minut, kiedy ktoś na podwórzu zaczął wołać Rushita. Wyszłam na taras, był to syn Rasima, przyjaciela Rushita, którego nie znosiłam.

- Czego chcesz?

- Zawołaj Rushita - powiedział.

- Śpi - odparłam krótko - a poza tym nie wybiera się dziś nigdzie, bo jego siostra wychodzi za mąż, przekaz to ojcu.

Po chwili za moimi plecami zobaczyłam Rushita, stał rozwścieczony jak sto diabłów, rzucił mi takie spojrzenie, od którego nogi zmiękły mi całkowicie.

- Co chcesz, Albin? - zapytał chłopca swoim zachrypniętym głosem, po którym poznawałam, że poprzedniego dnia sporo wypił.

- Tata cię woła, masz przyjść do sklepu.

- Już idę, tylko się ubiorę.

Narzucił na siebie bluzę Blerima wiszącą w przedpokoju, wsunął na nogi jakieś stare sandały i

wyszedł uprzedzając mnie po drodze, że jeszcze sobie ze mną porozmawia, jak wróci. Tym razem nie wywarło to na mnie takiego wrażenia, bo byłam przekonana, że nie będzie się awanturował w dniu uroczystości. Śniadanie zjedzono w wielkim pośpiechu, nikt nie miał apetytu. Shyrete tymczasem przygotowywała się w drugim pokoju, wspólnie ze swoimi przyjaciółkami: Nafiją i Bleoną. W międzyczasie wrócił Rushit, jego matka zawołała mnie do przedpokoju i poprosiła, żebym nie zaczynała żadnych awantur.

- Rushit wypił trochę za dużo, przeżywa, że jego siostra wychodzi za męża. Nie prowokuj go. Poszedł na górę, miał ze sobą butelkę z wódką. Byłam u niego, ale chce zostać sam. Masz, zanieś mu tylko te papierosy.

- Dlaczego uważasz, że to ja go denerwuję - uniosłam się. - Nikt nigdy nie jest winny, tylko ja...

Wzięłam z jej ręki paczkę papierosów i poszłam na górę. Nie lubiłam tego miejsca, wiało tam grozą, dach był tylko imitacją, zrobiony z desek szkielet pokryty czerwoną plastikową folią. Na piętrze znajdowały się cztery pomieszczenia, w tym jedna mała łazienka i trzy pokoje. Przed wojną podobno było tam ładnie, Saranda chwaliła się, że miała meble za dwa tysiące marek, schody i korytarz wyściełane były dywanami, dwa pozostałe pokoje czekały na nowe *nusje*, podobno żona Rushita chciała kupić meble do jednego z pokoi i mieszkać tam podczas swoich pobytów w Kosowie. Tak było przed wojną, a po: koszmar. Jedno pomieszczenie, najmniejsze, zaraz przy schodach przerobiono na spiżarnię. Nie spieszyło mi się do Rushita, a ciekawość zjadała mnie wręcz od środka, weszłam tam. Okno zasłonięto folią, tą samą, co dach. Powodowało to lekki półmrok, w rogu stała wielka zamrażarka, obok niej kilka sporych pojemników plastikowych z pokrywkami, po drugiej stronie poukładano równiutko kartony z daktylami, suszonymi śliwkami, kilkanaście puszek z konserwami mięsnymi i owocami południowymi. Wiedziałam, że były to dary od międzynarodowych organizacji. Bardzo pomogli po skończeniu wojny, wielu ludzi zawdzięcza im życie i zdrowie. Rozdawano nie tylko jedzenie, również środki czystości. Saranda pochwaliła mi się, że kilkanaście rolek papieru toaletowego zużyła do czyszczenia kafelek i ścian po powrocie do spalonego domu. Oburzyłam się wtedy okropnie, pamiętałam, że musiałam ich zwyczajem korzystać tylko z dzbanuszka z wodą w sytuacjach wymagających papieru... Ale jak już wspomniałam i tak zdążyłam się przekonać na własnej skórze, że do wszystkiego można się przyzwyczaić... Patrzyłam na te pojemniki i nie wytrzymałam, żeby chociaż nie zajrzeć do jednego z nich. Bardzo szybko tego pożałowałam, jeden z nich zawierał *lang*, czyli sfermentowane mleko z papryką, które z czasem uzyskało postać twarogu, jadano to przeważnie zimą i wczesną wiosną, maczając w tym chleb. Na początku miałam poważne problemy z żołądkiem po takim posiłku, ale z czasem przestałam regularnie biegać po śniadaniach do toalety. Mój żołądek był w stanie nawet to zaakceptować. Drugi pojemnik krył równie niemiłą niespodziankę, wypełniony był po brzeg kawałkami mięsa, które nie tylko nieładnie pachniało, ale jeszcze nie wyglądało apetycznie. Rzuciłam pokrywkę z powrotem i prawie wybiegłam stamtąd, wpadając na rozwieszony na sznureczkach *suczuk*, zrobiony domowym sposobem, był przepyszny. Saranda przez całą ciążę nie mogła znieść nawet zapachu tej kiełbasy, a ja zjadałam ją z apetytem. Dwa pozostałe pokoje były zaniedbane, nie pofatygowano się nawet, żeby czymkolwiek zakryć okna, hulał po nich wiatr, w środku porozrzucany był gruz, wszędzie wałały się cegły, deski. Gołębie suto oznaczyły swój teren, bo aż roilo się od ich odchodów i piór unoszących się przy byle podmuchu wiatru. Rushit siedział na deskach odwrócony tyłem do wejścia. Na jego widok

wzięłam głęboki wdech i po cichu weszłam do środka.

- Przyniosłam ci papierosy - powiedziałam po cichu, starając się, żeby zabrzmiało to w miarę łagodnie, bałam się zostawać z nim sama na parterze, kiedy miał zły humor, a co dopiero na piętrze, gdzie nie było okien... Z szaleńcami nigdy nic nie wiadomo, a dom zbudowany był na sporym wzniesieniu, co powodowało, że z jednej strony piętro było niziutkie, z drugiej prawie dwa razy wyższe.

Rushit odwrócił się gwałtownie, z oczu płynęły mu łzy. Nagle zrobiło mi się nieswojo, nie widziałam go jeszcze w takim stanie, a najgorsze, że nie wiedziałam, dlaczego płakał. Stałam jak wmurowana w beton, nie ruszałam się, czekając na jego słowo. W końcu odezwał się i kazał mi usiąść obok siebie.

- Moja siostra wychodzi jutro za męża, wiesz o tym?

Spojrzałam na niego i dopiero wówczas zauważyłam, że miał mętne spojrzenie, był pijany.

- Czyli pijacki płacz. - pomyślałam nieco spokojniejsza.

Ale oznaczało to także, że był bardziej nieobliczalny. Wkurzało mnie to, że nagle zaczął zgrywać kochanego braciszka. Wydało mi się to obrzydliwe, tym bardziej po tym, co Shyrete zrobiła z moim życiem w Kosowie.

- Wiesz o tym, czy nie? - krzyknął nagle.

Przestraszyłam się i mimowolnie zerwałam się z miejsca, stanęłam bliżej drzwi, domyślił się o co chodzi, bo śmiejąc się gromko uspokoił mnie, że nie zrobi mi krzywdy.

- Przynajmniej nie dziś - dodał - Ale i tak pewnego dnia cię zabiję. Ciebie i to dziecko.

- Twoje dziecko....

- Moje, ale ty nie chcesz tu zostać, a ja nie pozwolę, żeby moje dziecko tułało się po ulicach w obcym kraju i żebrało o chleb.

Zatkało mnie, jakie wyobrazenie miał on o mojej ojczyźnie?! Jedyne co mi przyszło do głowy to: „Debil skończony”¹. Nie widziałam sensu w tym, żeby tłumaczyć mu, że to w Kosowie będzie miało źle, jeśli czeka je taka przyszłość, jak wszystkie dzieci dokoła. Nie miałam ochoty wdawać się z nim w żadne rozmowy, wydał mi się tak bezdenie głupi, że szkoda mi było słów. Starłam się zmienić temat:

- Shyrete poszła do pokoju szykować się, może zejdziemy na dół?

Poskutkowało, pociągnął jeszcze kilka łyków z butelki z raki i wstał, zataczając się lekko. Pomogłam mu zejść na dół po stromych, krzywych schodach. Nie pomyślano o poręczy, a upadek z nich na sam dół nie dawał szans na wyjście z niego bez szwanku. Przez ułamek sekundy przeszło mi przez myśl, że może wcale nie byłoby to takie złe rozwiązanie dla mnie. Do takich ostateczności doprowadziło mnie jego traktowanie. Jakże trafne jest sformułowanie, że od miłości do nienawiści jest maleńki kroczyk i robi się go najczęściej nieświadomie.

- Chodźcie już - Nasife chwyciła mnie mocno za rękaw i odciągnęła na bok - Poszukaj Rushitowi jakieś spodnie, przecież zaraz zaczną się zbierać kobiety, po co mają gadać, że nie dbasz o niego.

Spodnie miałam przygotowane już poprzedniego dnia, wisiały w salonie na wieszaku nad piecem. W momencie, kiedy trzymając je przewieszane przez ramię, wychodziłam z pokoju, w którym spałam, drzwi się otworzyły i stanęła w nich Shyrete. Ubrana była w nowe, przysłane przez Bakiego *dinti*, głowę zasłoniła czerwoną chustką w kwiaty, która zasłaniała ją całkowicie. Za nią stały jej przyjaciółki podtrzymując ją pod ramię. Shyrete zniemacka tak, jak stała rzuciła się ku

Rushitowi wyjąć donośnie. Naprawdę słowo „wyjąć” nie jest żadną przenośnią, to było dosłowne wycie mniej więcej w stylu „uUuUuUu”, przeciągłe i gromkie. Uprzedzono mnie przecież o tym, ale nie przypuszczałam, że będzie to tak dramatyczny widok. Przyszła panna młoda rzucała się każdemu po kolei na szyję bucząc niemiłosiernie. Najpierw był Rushit, którym musiało to wstrząsnąć, bo otarł ukradkiem łzy i pośpiesznie udał się z powrotem na górę. Potem jego matka, Blerim, Saranda i ja. Nie sądziłam, że tak się wzruszę, z trudem udało mi się powstrzymać łzy. Pamiętałam słowa Shyrete sprzed kilku dni, kiedy mówiła, że boi się, że sama nie wytrzyma ze śmiechu i z ręką na sercu zapewniała, że nie obrazi się, jeśli parsknę śmiechem podczas tego obrzędu. Praktykowano to od wielu pokoleń, dziewczyna, która wychodziła za mąż miała okazać, jak bardzo jest nieszczęśliwa, że odchodzi z domu rodzinnego. Pozwoliłam sobie wówczas na mały żart, że u nas kobiety płaczą z reguły po ślubie, a przed i w trakcie są szczęśliwe. Jednak w tamtej chwili moje poczucie humoru zawiodło, czułam się podle, zrobiło mi się nawet żal Shyrete, ona naprawdę wyła tak, że serce się krajało. Mówi się, że dziewczyna powinna tak głośno lamentować, żeby słyszała ją cała wieś. Moja szwa-gierka udała się w asyście obecnych do pokoju, gdzie były wszystkie podarki od przyszłego małżonka. Padła dramatycznie na ziemię i zanosła się płaczem. Nasife spojrzała spłoszona na Sarandę, z jej miny wywnioskowałam, że takiego zachowania Shyrete nie było w scenariuszu. Trwało to kilka minut. Nafija poprowadziła przyszłą *nusję* do wyjścia, pomogła jej wyjść na taras, gdzie Shyrete „wyła” jeszcze przez chwilę i wróciła do środka. Wiedziałam, co mnie czeka, dostałam już wcześniej wskazówki. W przedpokoju stał stół z kilkunastoma szklankami do napojów i tymi malutkimi, do herbaty. Pod schodami schowano dwie zgrzewki oranżady.

- Kobietom w duże, a dziewczynom w małe - upomniała mnie teściowa - Dzieciakom wcale nie wlewaj, bo tylko po to tu przyjdą. W ogóle je wyrzucaj na zewnątrz, nie mogą się tu kręcić.

Pomna jej wskazówek rozlewałam napój w poszczególne szklanki. Stałam uśmiechnięta od ucha do ucha i wszystkim przychodzącym ścisnęłam dłoń na powitanie. Miałam wrażenie, że byłam tamtego dnia większą atrakcją niż biedna Shyrete. Gdybym chociaż przyjechała z Ameryki, była czarna albo przynajmniej skośnooka, ale zwykła Europejka. Oczywiście każda osoba sądziła, że jestem Niemką. Zadbła o to moja rodzinka. Twierdzili, że nie mogą przyznać, że jestem Polką, bo nasz ojczysty język podobny jest do serbskiego. Na początku prostowałam, ale z czasem znudziło mi się, tak więc połowa wioski wiedziała, że pochodzę z Polski, a druga, że z Niemiec. Poza tym Niemcy byli bardzo lubiani w Kosowie, uważano ich za naród bogaty i pełen perspektyw. Mężczyźni, nie tylko młodzi, ale i nawet ci w średnim wieku masowo tam emigrowali. Przed wojną były to ucieczki przed Serbami, ale potem zwykła pogoń za pieniędzmi.

Po półgodzinie żalowałam, że nie liczyłam od początku, ile razy tamtego dnia podawałam rękę na przywitanie, mogłabym pobić jakiś rekord. Za każdym razem, kiedy przyjeżdżała jakaś ciotka lub starsza i mająca duży szacunek we wsi kobieta, Shyrete wychodziła wraz z Nafiją do przedpokoju i zanosząc się lamentem obściskiwiała się z każdą. Te najczęściej płakały wspólnie z nią. Przyznaję, że cała ceremonia wstrząsnęła mną porządnie, ale z upływem czasu obojętniałam. Shyrete chyba też „wyczerpały się” łzy, bo dałabym słowo, że później nie tylko nie płakała, ale miała wręcz dobry nastrój.

- A u was nie płaczą? - zapytała mnie jedna z kobiet, które przyszły w gościnę.
- Płaczą, ale po ślubie - palnęłam, nie namyślając się wiele nad tym, co klepię.

- Jak to? Najpierw ślub, potem dzień płaczu? - przechodzące obok młode dziewczyny zatrzymały się i nasłuchiwały.

- Bo jak kobieta wychodzi u nas za mąż to jest szczęśliwa, a dopiero potem zaczyna żałować i rozpaczać.

Moja odpowiedź spowodowała ogólny wybuch śmiechu.

- Naprawdę nie płaczą u was wcale? - spytała Saranda, kiedy zostałyśmy same - Przecież to żal odchodzić z rodzinnego domu.

- Ale w naszym kraju jest inaczej, ja mogę chodzić do rodziców, kiedy tylko mam na to ochotę.

- Przecież ludzie patrzą wtedy i gadają, że to za często.

- Coś ty - obruszyłam się - To zupełnie naturalne. Och, to wasze utrudnianie sobie życia jest dla mnie niezrozumiałe.

Na tym skończyła się rozmowa, do której wróciłyśmy dopiero po kilku miesiącach, kiedy zaczęłam poważnie myśleć o spisaniu moich wspomnień z Kosowa. W tym czasie, gdy w naszym domu zbierały się tylko i wyłącznie osoby płci żeńskiej, w domu Bajrama siedzieli mężczyźni. Było ich o wiele mniej, tylko rodzina i najbliżsi przyjaciele. W zasadzie wśród kobiet nie powinien przebywać żaden facet, ale chyba Rushit miał odmienne zdanie...

- Iza, Rushit cię woła - krzyknęła Linda, córka Sahita stojąc na tarasie.

- Gdzie jest? Niech przyjdzie, powiedz mu, że na razie nikogo tu, w przedpokoju nie ma.

Przyszedł prawie natychmiast i od razu skierował się na górę, każąc mi iść za sobą.

- Dlaczego, przecież muszę zostać i pomagać Sarandzie. Nie mam czasu na żadne dyskusje albo siedzenie z tobą dla towarzystwa - podniosłam ton, zanim zdążył się odezwać.

- Ale nikt ci nie każe tu siedzieć, masz mi tylko przynieść te spodnie, które wyprasowałaś. Chyba pójdę do Rasima do sklepu.

- Nic nowego, zawsze tam siedzisz. Spojrzał na mnie zniecierpliwiony:

- O co ci chodzi? Masz znowu jakieś humorki?

- Jestem zmęczona, od dłuższego czasu stoję w jednym miejscu i nie ruszam niczym innym, jak tylko ręką, podając ją do przywitania - usiadłam obok Rushita na deskach i wyciągnęłam nogi, poczułam wielką ulgę.

- Nie martw się, kochanie - objął mnie i przyciągnął do siebie - Radzisz sobie całkiem nieźle, wszyscy są tobą zachwyceni.

- To fakt - zaśmiałam się. - Jedna kobieta powiedziała do mnie „Guten Tag” i pociągnęła za policzek. Myślałam, że jej oddam, ale Saranda uprzedziła mnie, że to objaw sympatii...

Oboje wybuchliśmy śmiechem. Wtedy byłam o krok, żeby się obrazić, ale w tamtej chwili wydało mi się to komiczne. Dorosła kobieta targana za policzek, jak kilkuletni brzdąc. Siedziałam przytulona do mężczyzny, którego kochałam na swój sposób mimo krzywd, które mi wyrządził. Zamknęłam oczy, wdychałam jego zapach i pragnęłam przeciągnąć tę chwilę na dłużej, ale nie było nam dane spędzić sam na sam ani chwili, bo w drzwiach pojawiła się teściowa. Rushit odsunął się automatycznie.

- Iza, co tu robicie? Chodźcie na dół, bo przyszła Naile od Adema z nusją i chciała cię zobaczyć.

- Ale ja nie chcę jej oglądać - mruknęłam po niemiecku wściekła na Nasife, że odebrała nam tę chwilę, którą mieliśmy dla siebie - Zawsze można dać jej moje zdjęcie, żeby się napatrzyła.

- Idź na dół. Później zrobimy sobie miłą noc - obiecał Rushit i uśmiechnął się znacząco. Choć tyle intymności nam pozostało, że mogliśmy swobodnie rozmawiać po niemiecku, nie przejmując się, że ktoś nas zrozumie.

- A ty, co chcesz robić? - spytała Nasife syna.

- Pójdę do Rasima, do sklepu, na piwo.

- Przebierz się i zostań tu, przecież nikt nic nie powie. Będziesz siedział w przedpokoju i pilnował porządku z dziećmi. Zaraz będziemy podawać obiad.

Zeszłam na dół po spodnie i czystą koszulę Rushita, musiałam jednak przejść przez salon. Kilka minut nie mogłam się na to zdobyć, wiedziałam, że w środku siedział tłum bab starych i młodych. Wejść, a one wszystkie będą gapić się na mnie, jakbym dopiero, co wróciła z Marsa. W końcu się przełamalam, otworzyłam drzwi, w salonie panowała cisza, tylko młode dziewczyny siedzące przy ścianie skupione opowiadały sobie coś, przerywając co chwilę rozmowę chichocząc, czym doprowadzały starsze kobiety do furii.

- Ciiiiii - uciszano je co kilka minut bezskutecznie.

Nie potrafiłam nawet w przybliżeniu określić, ile osób przebywało w tamtym pomieszczeniu, w każdym razie było ich pełno, nie można było przecisnąć się swobodnie, na szczęście miałam blisko do swojego pokoju, dwa kroki. Wlepiłam wzrok w ziemię i złapałam za klamkę, kiedy znalazłam się po drugiej stronie odetchnęłam z ulgą. Zdjęłam z wieszaka rzeczy Rushita. W drodze powrotnej rozejrzałam się po pokoju: kobiety siedziały wszędzie: na podłodze, na materacach, w różnych pozach: po turecku, z nogami podkurczonymi, wyciągniętymi (przywilej starszek), podwiniętymi pod siebie. Tylko na samym środku, na jedynym krześle siedziała Shyrete, z chustką opuszczoną na twarz, skulona, milcząca. Nie rozumiałam tego, po co jeszcze ta ceremonia?! Zobaczyły, niech idą, na co one czekają? Szeptaly między sobą, mówiły sobie komplementy, by potem za plecami perfidnie obgadać.

- Saranda, jak długo jeszcze one będą tu siedziały?

- Do dziesiątej, jedenastej wieczorem, później będą tańce. Oby nie wyłączyli prądu, zostaną wtedy tylko tamburyna. Trzeba wysłać Shajpię i Valmarię do domu, mają jedno u siebie.

Zupełnie nie mogłam pojąć ich mentalności, najpierw płaczą, potem tańczą... Wyobrażałam sobie miny moich przyjaciół, kiedy opowiem im o tym w Polsce. Ale będą zdziwieni, że taki kraj jest całkiem niedaleko naszego. Rushit rzeczywiście przebrał się i został w domu, wychodził co jakiś czas, by potem wrócić. Po jego mętniejących oczach wiedziałam, co było przyczyną jego tajemniczych wypadów poza dom, to do piwnicy, to do auta, potem kilka minut na ulicę. Nie trzeźwiał, wręcz przeciwnie, był coraz bardziej pijany. Dlaczego nie docierało do niego, że był już alkoholikiem.

- Przecież muzułmanie nie piją - wytknęłam mu pewnego dnia.

- Ale ja nie jestem muzułmaninem. To znaczy tak, ale nie takim fanatykiem jak inni, na przykład w Iraku.

Jak można walczyć o nieistniejące i nic nie wartą ideę, jak można uważać się za kogoś, kim się nie jest. A może to tylko charakter, wypaczony przez rozpieszczającą nadmiernie matkę. Wmawianie przez nią od wczesnego dzieciństwa, że jest on, chłopcem, małym mężczyzną, który sam od najmłodszych lat o sobie decyduje. Nasife opowiadała, że Rushit był najbardziej rozpieszczany, oczko w głowie obojga rodziców. Nawet na łożu śmierci Islam wspominał tylko swojego najmłodszego synka. Podawała mi dumna kilka przykładów jego karygodnego zachowania. Miał cztery lata, kiedy pojechała z Bajramem do Maliszewa do lekarza, mały zobaczył

przejeżdżającego chłopca na rowerze. Zaczął krzyczeć, że też taki chce i koniec. Jego matka przestraszona, że Bajram mógłby się rozzłościć, poprosiła syna o spokój. Ale on ani myślał, krzyczał, wrzeszczał, położył się na środku ulicy, wierzgał nogami i cudował, żeby tylko skompromitować matkę. Spytałam, czy dała mu klapsa, jak należało, bo takie zachowanie chyba nie należy do normalnych.

- Czemu? Chciał rower, to chyba nic złego. - padła odpowiedź.

Mam nadzieję, że mojego dziecka nikt nie będzie chciał za mnie wychowywać... - pomyślałam przerażona, co mogłoby z mojego potomka wyrosnąć. W Kosowie byłoby to zapewne tolerowane, ale w Polsce nie.

Wczesnym popołudniem podałyśmy obiad dla kobiet z najbliższej rodziny. Blacha z kurczakiem i ryżem i chleb, tym razem kupiony w Maliszewie. Byłyśmy z Sarandą zwolnione tego dnia z połowy codziennych naszych obowiązków, bo naczynia zmywała Bukuria, stół przygotowała Miniria i Nasife, nawet wodę do mycia rąk podawała jakaś młoda dziewczyna z sąsiedztwa. Saranda stwierdziła, że to zwyczaj, żeby oszczędzać *misje*, które są w domu. W przypadku takich większych uroczystości pomagają kobiety z rodziny. Tamtego dnia wyjątkowo nie było herbaty. Dziwne wydało mi się, że obiad podano w pokoju, tym samym, gdzie siedziały wszystkie kobiety. Ale nikt się nie krępował, żeby jeść w obecności tłumu obcych. W moim odczuciu nie było mowy o żadnym takcie, w ogóle o kulturze. Nie musiałam się upewniać, czy to kolejny zwyczaj. To był dopiero początek dziwactw. Shyrete i Saranda specjalnie nie chciały mnie uprzedzać, opowiadając o tradycjach związanych z zamążpójściem. Miało to być dla mnie ciekawsze, nie wiedziałam, co po czym nastąpi i udało im się mnie zaszokować jeszcze kilka razy. Cała ceremonia miała w sobie tyle magii, że żałowałam, że nie miałam żadnej kamery lub chociaż aparatu fotograficznego. Pozostały za to wspomnienia, które na trwale wryły się w mojej pamięci...

Biedna przyszła panna młoda miała obowiązek nadal „wylewać” łzy. Ponury i rzeczywiście dramatyczny nastrój, który miała na początku dnia przeszedł jej chyba, bo kiedy zawołano, że nadchodzi kolejny gość, Shyrete nie było do płaczu, wręcz przeciwnie. Zostałyśmy same na korytarzu, ja, Saranda i nasza „rozpacząca” szwagierka z Nafiją, tradycyjnie podtrzymującą ją z tyłu. Pozwoliłam sobie na kilka żartobliwych uwag dotyczących całej tej imprezy. Shyrete zaczęła się tak śmiać, że aż Nafija musiała doprowadzić ją do porządku i uszczypnęła ją delikatnie w łokieć, ta zawyla tak komicznie, że parsknęłam śmiechem. W tym czasie weszła jakaś starsza kobiecina z sąsiedztwa. Shyrete szybko odnalazła się w tej sytuacji, rzuciła się gościowi na szyję lamentując, aż przez moment byłam przekonana, że płakała naprawdę. Wieczorem większość gości rozeszła się, zostały tylko ciotki, kuzynki i najbliższe przyjaciółki. Przyszła panna młoda zrzuciła chustkę z głowy i zaczęły się tańce. Na szczęście nie wyłączono tamtego wieczoru prądu, więc tańczono przy muzyce z radia i kaset, chociaż osobiście nie byłam tym zachwycona. Zdecydowanie wolałam tamburyna, bicie w te instrumenty i donośny śpiew przy tym, miał w sobie coś takiego, że ciarki przechodziły mi po całym ciele. Przed wojną w Kosowie było sporo Romów. To naród mistrzów, jeśli chodzi o tamburyna i bębny. Podobno nierzadko brali udział w różnych uroczystościach Albańczyków, potrafili rozruszać gości, ich wesołość udzielała się całemu towarzystwu. Jednak zostali wypędzeni wraz z Serbami, posądzeni o współpracę z nimi. Po części były to uzasadnione oskarżenia, ale nie można przecież osądzać narodu, sugerując się działaniami niektórych jego obywateli.

Wśród Albańczyków spotkałam również wielu mężczyzn, którzy bez skrępowania szczycili

się, że uprawiali działalności przestępcze, przez dłuższy czas żyłam pod jednym dachem z rodziną, która przemieniła moje życie w piekło, mimo to Kosowo pozostało na zawsze bliskie sercu. Żyją tam przecież uczeni i dobrzy ludzie, pracownicy i uczynni. Miałam zresztą okazję przekonać się o tym z czasem.

Gdy opustoszało już trochę, Rushit przyniósł sobie krzesło i siedział z nami na korytarzu. Denerwowało mnie, kiedy rozmawiał z siostrzenicą Sarandy, imienniczką naszej szwagierki. Młoda, bardzo ładna dziewczyna, jeszcze nie obiecana żadnemu facetowi, pracowała jako policjantka, a w czasie wojny walczyła w Wyzwoleńczej Armii Kosowa. Nie potrafiłam przyznać się sama przed sobą, że byłam zwyczajnie zazdrosna. Spojrzałam na swoje odbicie w szybie drzwi wyjściowych, ujrzałam nienaturalnie chudą, zaniedbaną dziewczynę, z półdługimi, nijak przyciętymi blond włosami, z dwucentymetrowymi odrostami. Ubrana w długą spódnice, którą Shyrete wybrała dla mnie w Maliszewie i czarną koszulę czułam się gorzej niż Kopciuszek. Twarz umalowana wprawdzie, ale z wyraźnymi śladami zmęczenia nie mogła konkurować ze świeżą, zadbaną twarzą siostrzenicy Sarandy. Zupełnie dobił mnie fakt, że nie będę już atrakcyjniejsza, tylko jeszcze bardziej zaniedbana z powodu braku funduszy i możliwości wyjazdu do miasta, żeby kupić sobie chociażby farbę do włosów. Do tego dojdzie ciąża, która zrobi ze mnie grubą i pewnie całkowicie nieatrakcyjną kobietę, humor zepsuł mi się tamtego wieczoru zupełnie. Nie pocieszał mnie nawet fakt, że za kilka dni będę miała siostrę Rushita z głowy. Moje obawy okazały się jednak całkowicie bezpodstawne; mój mężczyzna absolutnie nie interesował się dziewczyna, zamienił z nią tylko kilka grzecznościowych zdań, ona sama odpowiedziała grzecznie, po czym podeszła do mnie i zaczęła pytać, co sądzę o ich kraju, czy podoba mi się i w ten sposób nawiązałyśmy miłą pogawędkę. Szybko przekonałam się, że to bardzo wartościowa i sympatyczna młoda osoba, nie ukrywałam, że wywarła na mnie pozytywne wrażenie. Podziwiałam ją za odwagę, podczas, kiedy inne kobiety uciekały wraz z rodzinami, młode dziewczyny ukrywały się, żeby uniknąć zgwałcenia, ona walczyła z Serbami. Zdziwiło mnie tylko, że udało jej się uniknąć zaręczyn, przecież miała już dwadzieścia dwa lata, a więc wiek słuszny do wyjścia za mąż, albo przynajmniej znalezienia sobie przyszłego męża. Zapytałam ją o to wprost.

- Moja rodzina nie wymaga ode mnie, żebym znalazła sobie kogoś, dlatego, że to wypada. Mam to zrobić wtedy, kiedy uznam za właściwe.

Nie zdziwiła mnie szczególnie ta odpowiedź, Saranda dużo opowiadała mi o swojej rodzinie, w której nie usuwano kobiet w cień. Była jedyną z dwóch dziewczyn wśród sześciorga rodzeństwa. Dwóch braci było starszych od niej, dwóch młodszych. Wszyscy wykształceni, nauczeni szanować kobiety. Najstarszy, Hasan siedział od dwóch lat w więzieniu. W czasie wojny, kiedy uciekał z kuzynem przez las, złapała ich policja serbska, zabrała ze sobą i aresztowała pod zarzutem... szpiegowania. Mieli dużo szczęścia, bo takie „łapanki" w lasach z reguły kończyły się jednakowo: rozstrzelaniem na miejscu. Przerzucano ich z jednego więzienia do drugiego, a po wkroczeniu wojsk NATO do Kosowa wywieziono do Niszu w Serbii. Pomimo tego, że wojna się skończyła, nie wrócił, prowizoryczny sąd zasądził mu wyrok dziesięciu lat więzienia. Saranda bardzo kochała swojego najstarszego brata, szanowała go i z jego powodu często płakała. Tymczasem jego żona pracowała w gimnazjum w Gillogovc jako nauczycielka. Zbierała pieniądze na opłacenie dobrego adwokata i wyciągnięcie męża z więzienia. Nikt w rodzinie, ani nawet w wiosce nie uważał tego za niestosowne. Dlatego nie zdziwiło mnie, że Shyrete pozwolono pracować i to jeszcze w tak „męskim" zawodzie. Zaczęłam zdawać sobie sprawę, że

trafiłam chyba do jednej z najbardziej zacofanych rodzin w całym Kosowie.

- Chodź tańczyć - Saranda pociągnęła mnie za rękaw do pokoju, nie miałam jednak ochoty na żadne tańce, tym bardziej takie, których nie znałam.

Wymigałam się bólem nóg i usiadłam w kącie. Wyglądało to bardzo imponująco, kilka młodych dziewcząt ruszało się w rytm wybijany tamburynem, drobiąc w miejscu, lub posuwając się powoli. W tańcu główną „pracę” wykonywały ręce, uniesione w górę ramiona, dłońmi zataczano różne kształty. Wyglądało to pięknie, do tego tamburyna, które porywały serca do szybszego bicia. Wsluchałam się w słowa piosenki śpiewanej przez dziewczęta, trudno było mi zrozumieć wszystko, ale prosty był często powtarzany refren:

O, Shyrete, odchodzisz do męża, zostawiasz dom, Matka twoja nieszczęśliwa wylewa łzy, Czy Ci dobrze będzie w innym domu, tego nie wie nikt, O, Shyrete, zabiera cię Bakija, odchodzisz stąd, Idziesz do jego domu, by tam teraz żyć.

Łatwo wysnuć wniosek, że w Kosowie zamężpójście to prawdziwe nieszczęście dla młodej kobiety. Ale tylko ze względu na ciężką pracę fizyczną, bo na pewno więcej swobody mają mężatki. Panienki rzadko wychodzą z domu, jeśli ojciec chce, by jego córka była „dobrą partią” lepiej, by nie widział jej przedtem żaden obcy mężczyzna. Dopiero jako kobieta zamężna może jeździć z wizytą, mogą ją wtedy oglądać męscy członkowie rodziny jej męża. Saranda przybliżając mi te obyczaje zaznaczyła, że nie mogę się tym sugerować, oceniając wszystkich mieszkańców Kosowa. Sama się tego domyśliłam. Tańce zakończyły się około północy, trzeba było położyć się spać, bo kolejny dzień to pobudka przynajmniej o szóstej rano. Miały u nas spać dwie siostry Nasife, jedna z córką, dwie ciotki Ramusha, bratowa Nasife z Drenovc, siostrzenica Sarandy i jej kuzynka. Trzeba było nieźle się namęczyć, żeby rozmieścić je w trzech pokojach. Mężczyźni nocowali u Bajrama. Rushitowi nie bardzo podobał się ten pomysł.

- Po co rozdzielać młodych - odezwała się ciocia Xhewa, stara, pomarszczona siostra matki Ramusha.

Ostrzegano mnie przed nią, zanim jeszcze przyjechała, podobno była prawdziwym postrachem wszystkich młodych kobiet. Czepiała się ich, rozkazywała, męczyła, zastanawiałam się, kiedy zacznę robić to ze mną. Na razie nic nie wskazywało na to, żebym miała zostać jej kolejną ofiarą, za to Sarandzie dała się we znaki:

- Nusja, przynieś mi szklankę wody, a ty - wskazała na mnie palcem - siadaj ze mną.

Miała nieprzyjemny ton, taki władczy, była najstarszą kobietą rodu ze strony Ramusha, w takich sytuacjach trzeba było ją szanować, w przeciwnym razie łatwo się obrażała.

- Rushit nie musi iść do Bajrama, może spać ze swoją *misją* w swoim łóżku i w swoim pokoju.

- Ale... - zaczęła Nasife, nie odważyła się jednak podważyć zdania ciotki. Ta rzuciła jej tylko jedno spojrzenie, Nasife zamilkła, poszła do pokoju, żeby pomóc Sarandzie pościelić. Miłe uczucie, kiedy mogłam sobie siedzieć, a moja leniwa teściowa pracowała.

- Posłuchaj *nusja* - odezwała się do mnie starszka - Rushit to bardzo dobry chłopiec, to moje oczko w głowie, masz dbać o niego, bo będziesz miała ze mną do czynienia. Zrozumiałaś?

- Jeśli on będzie dbał o mnie, to jak najbardziej, jestem przecież jego kobietą.

Xhewa zaśmiała się głośno, poklepała mnie po ramieniu i kazała zawołać Rushita. Nie musiałam daleko szukać, bo siedział na korytarzu i palił papierosa razem ze swoją matką. Przekazałam mu, że woła go ciotka, a sama usiadłam na schodach obok teściowej.

- Ale ta Xhewa ma charakterek - zaczęłam. Nikt jej nie lubi, ale trzeba ją znosić i szanować.

- Często tu przyjeżdża?

- Na każde wesele w wiosce. Choć, czasem jak nie ma pieniędzy, to nie widać jej przez kilka miesięcy. Jak przyjeżdża, trzeba trzymać papierosy przy sobie, bo dziwnym sposobem znikają.

- Jej dzieci nie mają z nią chyba łatwo, z kim mieszka, ma syna?

- Ma tylko dwie córki.

- Jak to - zdziwiłam się - Mieszka sama? Przecież jej córki poszły do mężów.

- Czasem są wyjątki - wyjaśniła mi teściowa - To nie jest żelazna zasada. Jej córka Kumrija znalazła mężczyznę, który nie miał już rodziców, więc zgodził się wziąć pod swój dach matkę żony, czyli ciotkę. Mąż drugiej córki ma dwie żony.

Zatkało mnie, bigamia!

- Oficjalnie? Jeśli wiesz o tym powinnaś jej o tym powiedzieć. Ciotka o tym wie?

Nasife zaniósła się śmiechem:

- Przecież jej córka też o tym wie. Nawet mieszkały razem przez jakiś czas, ale Ahmed ma rafinerię i przebywa raz w Klin, a raz w Prisztinie, więc zostawił jedną żonę tu, a drugą tam.

Czułam, że zaraz mózg mi eksploduje, jak to możliwe, żeby dwie kobiety, mające tego samego męża mieszkały pod jednym dachem i nie wydrapały sobie oczu. Nasife, rozbawiona moim oburzeniem, stwierdziła że przyjaźniły się, a tego typu sytuacje często się powtarzają w Kosowie. Nachyliła się w moją stronę i dodała szeptem:

- Jeśli Saranda znowu poroni, Kastriot będzie też musiał pomyśleć o innej żonie.

Spojrzałam na nią dzikim wzrokiem, jak na obłąkaną zastanawiając się, czy wie, co mówi. Zapytałam, co będzie wtedy z tą biedną kobietą.

- Odejdzie do domu rodzinnego albo zostanie, zależy to od niej samej i od decyzji Kastriota.

Kastriot miał przyjechać za kilka dni, nie dostał urlopu i nie zdążył na ślub siostry, ale obiecał, że postara się jak najszybciej. Saranda tęskniła za nim, nie musiała tego nawet mówić, widziałam to po jej oczach. Zrobiło mi się jej strasznie żal, tyle lat pozostawiona w tym domu, usługująca całej rodzinie, długie miesiące bez męża, a teraz miała zostać odsunięta jak stary, nieużyteczny mebel. Przez całą wojnę, przez dwa długie lata nie miała w ogóle kontaktu ze swoim małżonkiem, on żył sobie w Niemczech beztrudnie, podczas, kiedy ona kryła się po lasach...

- Jeśli Kastriot to zrobi, to osobiście z nim porozmawiam – wściekła podniosłam się z miejsca i poszłam pomagać Sarandzie ścielić.

Nie miałam zamiaru powtarzać jej tej rozmowy, to by ją dobiło, zwłaszcza w tym stanie. Postanowiłam, że stanę na głowie, a nie pozwolę jej dużo pracować, żeby tę ciężę donosiła. Leżąc w łóżku, długo myślałam o tych barbarzyńskich obyczajach w Kosowie. Typowo męskie, egoistyczne podejście do życia, a przecież czytałam kiedyś fragmenty Koranu i pamiętałam, że Allah kazał kobiety traktować jak diamenty. A w rzeczywistości te kobiety w Kosowie nie przedstawiały dla swoich mężczyzn większej wartości niż kamienie na podwórku. Mimo świadomości, że za jedną i drugą ścianą spało po kilka przedstawicieli jego rodziny, Rushitowi nie przeszkadzało to w namiętym spędzeniu połowy nocy. Wiedziałam już co znaczyło „spełnianie obowiązku małżeńskiego”...

Jak zwykle pobudka skoro świt, ale tym razem wyskoczyłam podekscytowana z łóżka, tamtego dnia miałam odzyskać spokój. Nie przyszło mi wtedy do głowy, że to właśnie Shyrete będzie jedną z najbliższych i najlepiej mi życzących osób z całej rodziny.

- Kto jedzie ze mną do fryzjera?

Poprzedniego dnia Shyrete wylała masę łez, wyglądała jednak całkiem znośnie. Widząc ją ubraną w porozciągane spodnie od dresu i wielką bluzę sportową, nie przyszłoby do głowy nikomu, że za kilka godzin będzie mężatką. Ale to nie „szata zdobi człowieka”. Byłam tylko ciekawa, czy w przyszłości też będzie paradowała przed swoim mężem w takim stroju.

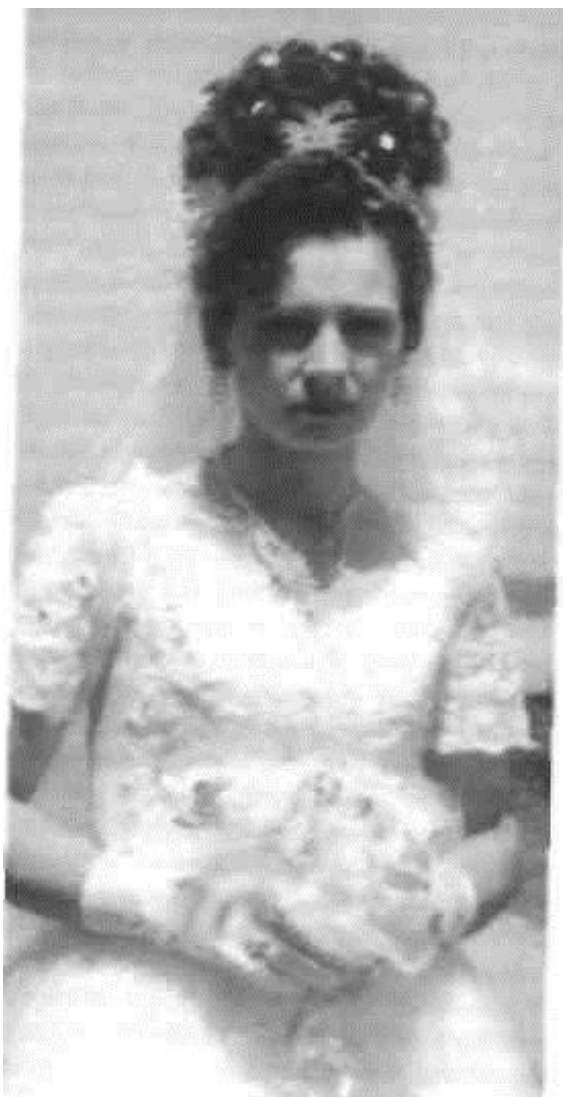
W domu panował straszny chaos, w końcu zdecydowano, że to Saranda zawiezie Shyrete do fryzjera. Obie usiadły z tyłu, a kiedy zobaczyłam, że koło Rushita, na miejscu pasażera siada siostrzenica Sarandy poczułam niemiłe ukłucie w serce. Dotarło do mnie, że okłamywałam siebie samą, twierdząc, że mi na nim już nie zależało. Może nie było to uczucie tak intensywne, jak przed przyjazdem do Kosowa, ale kochałam go. Kochałam go nawet po powrocie do Polski, gdzie usiłowałam ułożyć sobie życie na nowo. Darzyłam go uczuciem wbrew sobie, wbrew zdrowemu rozsądkowi. Wizyta u fryzjera przedłużyła się, zdążyliśmy zjeść śniadanie, a ich jeszcze nie było. Zjawili się po dwóch godzinach. Na widok Shyrete zamurowało mnie: na twarzy miała mocny makijaż, gruba warstwa nienaturalnie jasnego pudru skutecznie maskowała niedoskonałości cery i zmęczenie Shyrete. Oczy podkreślone grubo konturówką wydawały się ciężkie od nadmiaru ciemnoszarego cienia i tuszu do rzęs, do tego usta pomalowane bordową pomadką i tradycyjnie róż na policzkach, dzieło kończyła srebrna smuga przeprowadzona od środka czoła do skroni. Najbardziej imponująca wydawała się jednak fryzura panny młodej; włosy upięte wysoko na czubku głowy z poskręcanych pierścionków, ozdobione białymi sztucznymi kwiatkami, całość ozdobił diadem z imitacji drogich kamieni w kształcie dwugłowego orła, identycznego jak na fladze narodowej Albanii. Albańczycy kosowscy, mimo że do wybuchu wojny żyli oficjalnie w Jugosławii, za swoje godło uważali czarnego orła z dwiema, odwróconymi w przeciwnych kierunkach głowami znajdującymi się na krwistoczerwonym tle. Po zakończeniu wojny taka właśnie flaga łopotała na dachu prawie każdego domu. Zaczęły się przygotowania do ceremonii. Shyrete, Saranda, jej kuzynka i siostrzenica zamknęły się w moim pokoju. Mihrija i Shyrete jako panienki, w dodatku niezaręczone nie mogły się malować, upiększały Sarandę i pannę młodą. Ja w tym czasie szykowałam śniadanie.

- Iza, zrób jeszcze sałatkę z pomidorów i idź się przebrać - nakazała teściowa. - Herbaty na razie nie zaparzaj. Dopóki nie przyjadą po moją córkę, nie będziemy pić - Chyba, że ona ma ochotę, zapytaj ją.

Jak zwykle ważne było zdanie jej dzieci. Nasife miała podły nastrój, a ja nie chciałam jej prowokować. Poszłam więc posłusznie do pokoju, w którym były dziewczęta. Otworzyłam drzwi i stanęłam jak wryta. Gdyby bawiły się tam dzieci z całej wioski, pewnie nie doprowadziłyby tego miejsca do takiego stanu, jak te dorosłe kobiety. Porozrzucana odzież leżała wszędzie tam, gdzie tylko można było ją rzucić. Pod oknem stało na podłodze oparte o ścianę lustro, przed nim niesamowita ilość kosmetyków. Wśród nich rozpoznałam kilka swoich. W powietrzu unosił się zapach moich perfum. Wzięłam głęboki wdech i policzyłam w myślach do dziesięciu. Złość gotowała się we mnie, kipiała, ale nie mogłam pozwolić sobie na zrobienie awantury. Doskonale wiedziałam, kto będzie musiał posprzątać ten bałagan...

- Shyrete, czy będziesz chciała pić herbatę, bo jeśli nie, to twoja mama kazała przygotować ją dopiero na później.

Pytanie sformułowałam w ten sposób, żeby odpowiedź była oczywista:



Shyrete w dniu ślubu. Na głowie ma diadem w kształcie dwugłowego orła, symbolu flagi albańskiej. Pannie młodej nie wolno było się uśmiechać.

- Coś ty, przecież nie będziesz parzyć herbaty specjalnie dla mnie.

Tym sposobem miałam jeden obowiązek mniej. Przygotowałam więc śniadanie z sałatki z pomidorów z cebulą, smażoną paprykę, *lang* i *suczuk*. Wyglądało to trochę jak szwedzki stół, co chwilę ktoś wstawiała od stołu, a na jego miejsce siadał ktoś inny. Po posiłku pozmywałam naczynia. Kobiet z każdą chwilą przybywało, w domu było ich coraz więcej, znowu przywitania:

- Co słychać? Jak się czujesz?

- Dobrze. A jak ty się czujesz?

I tak dalej. Uśmiech nie schodził mi z twarzy, aż mięśnie bolały. Dzień się dopiero zaczynał, a ja czułam się okropnie zmęczona. W południe salon był zapełniony po brzegi, z mężczyzn w domu przebywali tylko Rushit i Blerim. Nasife wydawała co chwilę nowe polecenia. Shipe i Valmire zostały wraz z Blerimem wysłane do układania z pustaków i desek prowizorycznych ławek na podwórzu. Rushit kręcił się po korytarzu, popijając piwo z butelki schowanej pod schodami.

- Już pijesz? - skarciłam go.

- Daj mi spokój, wracaj do roboty.

Tylko do tego byłam tam potrzebna. Niezauważana przez nikogo, poza pracą - zbędna. Tak właśnie się czułam. Marzyłam o chwili ciszy, spokoju, miejscu, gdzie mogłabym być przez moment sama. Nie zastanawiając się wiele, cisnęłam miotłę w kąt i pobiegłam na górę starając się, aby mnie nikt nie zauważył. Stałam w oknie i podziwiałam widoki. Pogoda była piękna tego dnia, słoneczna, ciepła, w powietrzu czuło się wiosnę. Na szczytach gór bieleł się śnieg, a poniżej zieleń mieniła się pięknymi odcieniami. Asfaltem wiodącym do Maliszewa pędziły z dużą prędkością samochody. Na polach krowy puszczane przez młodych chłopców samopas skubały leniwie pojedyncze kępki trawy. Za jakiś czas ruszą prace na polu, wtedy bydło będzie tam intruzem, sąsiedzi zaczną się sprzeczać między sobą, czyja krowa komu niszczy plony. Zamknęłam oczy i słuchałam śpiewu ptaków.

- Iza?

Błogą ciszę przerwał Rushit, który wpadł zdenerwowany na górę.

- Gdzie ty do cholery się podziewasz? Czekasz tu na kogoś, czy co? W tej chwili masz zejść na dół i nigdy nie przepadaj nigdzie bez mojej wiedzy, zrozumiałaś?

Mówił powoli i przez zaciśnięte zęby. To zdarzało mu się, gdy był wściekły. Ta chora podejrzliwość...

- A do toalety też muszę prosić o zezwolenie? - parsknęłam ironicznym śmiechem i przezornie zbiegłam szybko na dół, żeby uniknąć jakichkolwiek starć.

Po godzinie trzynastej Shyrete siedziała gotowa w salonie i czekała w pełnej gotowości. Miała na sobie koronkową sukienkę ślubną, u góry delikatnie przylegającą do ciała, z krótkim rękawem, od pasa spływającą obficie tiulem, z wszytym na dole metalowym zakończeniem w formie koła o średnicy mniej więcej półtora metra. Wyglądało to pięknie, kiedy panna młoda stała, ale siadając musiała nieźle kombinować, żeby ułożyć sukienkę w sposób całkowicie zakrywający nogi. Do włosów miała przypięty sięgający ramion tiulowy welon, na dłoniach białe rękawiczki, szyję zdobił naszyjnik w kształcie.... dwugłowego orła.

- Aż mdli od tego nadmiaru patriotyzmu - pomyślałam złośliwie w tamtym momencie.

Do salonu weszła sąsiadka Selva, matka Nafiji i Shyrete wstała, żeby się przywitać. Wydała mi się bardzo wysoka, spojrzałam na jej stopy, miała na nich białe półbuty z wysoką podeszwą i dodatkowo kilkunastocentymetrowymi obcasami w kształcie niemodnych już koturn. Zastanawiałam się, jak można było na takich butach utrzymać równowagę, a co dopiero chodzić, a już nie daj Boże tańczyć. Saranda i pozostałe, młode jeszcze mężatki ubrane były w suknie wieczorowe, każda miała włosy spięte w kok, a na twarzy ostry makijaż. Starsze miały na sobie *ditni* albo długie, proste w kroju spódnice. Pogoda dopisywała, jednak prawie wszystkie kobiety założyły wełniane kamizelki. Były one częścią stroju w każdej niemal sytuacji, nieważne, czy był to ślub, wesele, czy pogrzeb. Pod presją Rushita i jego matki, musiałam swoje spodnie dresowe zamienić na spódnice, którą kupiono mi w Maliszewie. Umalowałam się bardzo delikatnie, czym zgorszyłam teściową:

- Jak możesz się pokazać z taką nagą twarzą?

- Lepiej jak jest naga, niż uginająca się pod nadmiarem kosmetyków. Lepiej wyglądać naturalnie, niż zniekształcić swoją prawdziwą twarz - odburknęłam

Tymczasem na podwórku zebrały się prawie wszystkie kobiety ze wsi i okolic, starsze i młode. Przyszło kilka mężatek w stroju *nusji*, czyli białej sukni, koszuli i gorsecie. Kilkunastoletnie dziewczęta zebrały się w razem i wybijając rytm na wielkim tamburynie,

śpiewały donośnie. Kilka odważniejszych tańczyło w środku tłumu.

- Chodź, przywitasz się - Saranda pociągnęła mnie za rękaw.
- Nie! - zaparłam się w ziemię przerażona perspektywą wyjścia na zewnątrz.
- Czemu?
- Nie pójdę tam za żadne skarby, żeby pięćdziesiąt razy powiedzieć: „Co słysząc? Jak się czujesz?” Mowy nie ma, poczekam tutaj.
- Jak chcesz - Saranda wzruszyła ramionami i wyszła.

Przez szybę w drzwiach widziałam, jak razem z Nasife w głębokim ukłonie podawała rękę każdej z siedzących na ławkach kobiecie. Panna młoda, Shyrete i Mihrija zamknęły się w drugim pokoju, nie mogąc znaleźć sobie miejsca, poszłam do nich. Bohaterka ceremonii stała z poważną miną, przyciskając oburącz do piersi bukiet z białych i różowych kwiatów. Mihrija przepasała ją na wysokości talii czerwoną węgą. Wyglądała jak skrzepowana. Jakby mieli oddać ją za chwilę w darze bogom...

- Po co to?- spytałam Shyrete, która stała obok przyglądając się.
- Kiedy nadjedzie rodzina jej męża, będzie musiała podnieść ramiona i rozerwać tę nić - Oznacza to, że wyzwala się spod opieki rodziny.
- Jada! Jada! - usłyszałyśmy nagle krzyki dzieciaków.

Spojrzałam na Shyrete, nawet pod jasnym podkładem na twarzy widać było, że dziewczyna pobałdła. Mihrija podała jej do ręki obrączkę, otworzyła drzwi i pomogła jej ustawić się tak, że drzwi wejściowe i tym samym podjazd na podwórze miała akurat na wprost. Jeszcze podniosła jej trochę wyżej nić, tak, żeby ta mogła unieść swobodnie obrączkę do góry, przytknęła ją do oka i patrzyła przez nią.

- Musi zobaczyć wjeżdżające przez bramę auta, to tak na szczęście.

Tamburyno i śpiew nabrały mocy, w oddali słysząc było trąbienie kilku samochodów i krzyki. Serce biło mi jak szalone, byłam świadkiem prawdziwie egzotycznego ślubu.



Tradycyjne stroje kobiet w Kosowie. Od prawej: Saranda, Nusife i sąsiadka : wioski.

PRZYJAZD KASTRIOTA

W dzień przyjazdu Kastriota w domu panowała napięta atmosfera, poszło o to, kto pojedzie na lotnisko. Rushit zdecydował, że on, ponieważ jego opel był zarejestrowany i nie ma ryzyka w razie kontroli policji. Ramush, który też się upierał, żeby przywieźć „nie-szczęśnika” z Prisztiny twierdził, że wprawdzie jego BMW nie jest ubezpieczone, ale zawsze przecież chroni go legitymacja wojskowa z wpisanym stopniem dowódcy jednostki. Rzeczywiście legitymacja ta upoważniała Ramusha do wielu rzeczy, miał też ulgi prawie na każdym kroku. Żołnierze UCK po wojnie stali się bohaterami w swoim kraju.

- Biedny Kastriot, gdyby wiedział, że przez niego będzie kłótnia w rodzinie wolałby przyjechać taksówką albo przyjść na własnych nogach - biadoliła Nasife, siedząc w kącie na materacu i paląc jednego papierosa za drugim.

Nadal jednak nie było wiadomo, o której samolot wylądaje w Prisztinie. Kastriot miał zadzwonić wcześniej i uprzedzić. Wczesnym popołudniem zabrano się do robienia obiadu.

- Saranda! - krzyczała pani domu na cały dom - Gdzie jesteś?

- U siebie w pokoju - uspokoiłam starą.

- Co ona tam robi? - ze złości zmarszczyła Drwi.

- Przecież jej mąż przyjeżdża. Chyba może się przygotować. W końcu nie widziała go przez ponad pół roku - spojrzałam na teściową z odrazą.

Miałam wrażenie, że była zazdrosna o swojego najstarszego syna. Zrozumiałam szybko, skąd u Rushita ta obsesja. Odziedziczył ją po mamusi.

- Jak skończy, niech przesieje mąkę, ja idę po dynię.

To oznaczało, że będzie *kumulore*, nie miałam jakoś przekonania do pity z dynią. Może ze względu na mdły smak, ani słodki, ani słony...Była to jednak najbardziej pracochłonna pita. Nasife przytargała sporą dynię, a mnie wysłała do starego domu po siekiere.

- Tylko uważaj, bo dachówki spadają! - krzyknęła za mną. - Mówiłam Blerimowi, ale znowu gdzieś przepadł!

- Po cholere im ta ruina - mamrotałam, błądząc w pół ciemnościach, co chwilę potykając się o cegły, zeschniętą kukurydzę i dachówki. Siekiera stała oparta w kącie, który po zbombardowaniu domu zapadł się znacznie. Nagle coś upadło z hukiem. Ze strachu poczułam ukłucie w sercu. To spadł kawałek ściany z miejsca, gdzie długa i dość szeroka szpara dzieliła pomieszczenie na pół. Chwyciłam siekiere i wybiegłam na podwórze, jakby tylko kilka sekund dzieliło mnie od zawalenia się budynku. Kilka dni wcześniej Nasife kazała mi i Sarandzie tam posprzątać, pozamiatać, bo to właśnie tam miałyśmy gotować przez całe lato. Pociuszające było tylko to, że piec stał w rogu koło wejścia, więc zawsze był czas, żeby uciec w razie gdyby zawaliły się ruiny.

Nasife usiadła na poduszce w przedpokoju i jednym sprawnym uderzeniem podzieliła dynię na pół i zaczęła ją skrobać.

- Pestki możesz umyć i położyć na blasze, upieczemy je z solą w piecu. Zobaczysz jakie to pyszne - poleciła.

Dynię mieszano ze świeżym mlekiem i mąką. Przygotować można było ją na dwa sposoby, tradycyjną pite z nadzieniem lub też zwijając każdy placek, polewając go farszem i układając całość w kształcie ślimaka. Ja wysypałam sobie na stole cukier i maczałam w nim każdy kęs *kumulore*, przypominało mi to w smaku trochę drożdżówkę ze sklepiku szkolnego w podstawówce.

Saranda odstawiła się prawie jak na wesele Shyrete, tyle tylko, że oprócz mocnego makijażu miała na sobie długą, prostą spódnicę w kwiaty i beżowy sweterek z szerokimi rękawami. Dumnie wypinała swój brzuch z widoczną ciążą.

- O której Kastriot przyleci? - zapytałam Rushita.
- Jeszcze nie wiadomo, nie dzwonił.

W domu czuło się coraz większe napięcie. Kastriot nie dawał znaku, sam miał wyłączoną komórkę, był nieosiągalny. Saranda i jej teściowa siedziały w salonie milczące, pita czekała gotowa na piecu, Ramush kręcił się po podwórku.

Późnym popołudniem Rushit przybiegł zdyszany ze sklepu, przyniósł nowinę, że właśnie dzwonił Kastriot. Jego samolot miał wyjątkowo lądować w Skopje w Macedonii, ale nie wiedział dokładnie o której godzinie. Czyli dalszy ciąg czekania. Do tego teściowa zaczęła lamentować, że pewnie coś się stało, albo stanie. Jej „optymistyczny” nastrój udzielił się wszystkim. Wczesnym wieczorem, kiedy Nasife otwierała trzecią paczkę papierosów, a Saranda rozmazała sobie na twarzy cały makijaż zadzwoniła komórka.

- Allo - Rushit odebrał zdenerwowany - Gdzie jesteś, do cholery Kastriot?
- Słychać było ogólne westchnienie ulgi.

- Za godzinę ktoś ma być na lotnisku w Prisztinie, żeby go odebrać.

Ramush był już zmęczony, więc Nasife dała swojemu synowi pieniądze na benzynę i życzyła szerokiej drogi. Ja poszłam się położyć, zmęczyła mnie ta cała sytuacja.

- Wstawaj - poczułam gwałtowne szarpanie.
- Hmm? - byłam nieprzytomna.
- Kastriot przyjechał i trzeba zrobić kawę.

Usiadłam na łóżku i spojrzałam na Rushita jak na opętanego.

- Która jest godzina?
- Pierwsza.

Za oknem było ciemno, więc logicznie rzecz biorąc, mógł to być jedynie środek nocy.

- Czy ty masz źle poukładane w tej głowie? Mam wstawać w nocy, żeby zrobić twojemu bratu kawę? - postukałam się w czoło. - Nawet, gdyby przyjechał sam prezydent Japonii, nie wstanę!

- Też bym się napił, prawie dwie godziny czekałem na niego na lotnisku, jeszcze KFOR ruski zrobił obławę. Parę kilometrów przed Maliszewem kontrolowali wszystkie samochody. Jestem wykończony.

Zwlokłam się z łóżka i narzuciłam na siebie byle co. Kastriot siedział w otoczeniu rodziny. Nasife nadawała mu cały czas, Blerim grzebał w walizkach, a Saranda.... siedziała w kącie. Jej mąż zerkał co chwilę tęsknie w jej stronę, widać było, że miał chęć pobyć z nią sam na sam.

- Guten Abend. - uśmiechnęłam się nieśmiało.

Czułam się głupio, przecież Kastriot znał mnie w Niemczech jako normalną, europejską dziewczynę, która dbała o siebie i miała coś do powiedzenia. A w Kosowie stała przed nim osoba zastraszona, pozbawiona swojego zdania i prawa do normalnego życia. W starych porozciąganych spodniach dresowych, z nijak poukładanymi włosami z kilkucentymetrowymi, brzydko wyglądającymi odrostami i lekko widoczną ciążą.

- Hallo, Iza - uśmiechnął się szeroko na mój widok. - Co słychać?
- Wszystko OK - odpowiedziałam mu krótko, nie widziałam sensu, żeby wdawać się w jakieś dłuższe rozmowy. Nie miałam zresztą szans, bo wtrąciła się jego matka.

- Oj, jaka ona pracowita. Cały czas coś robi, naprawdę.

Spojrzałam na nią zdziwiona. Teściowa mnie chwaliła?! Było to coś dziwnego, ale wydawało mi się przez moment, że Rushit spojrzał na mnie z dumą. Stałam się jedną z nich, miałam zostać prawdziwą nusją, to było jego celem. Mimo, że takie wrażenie sprawiałam, to w sercu byłam taka, jak zawsze... Nie dla mnie grano na tamburynie, nie mi dawano złoto, więc nie ja będę nusją dla tamtego domu...

Cieszyłam się, że w końcu Saranda miała męża, ale bardzo szybko pożałowałam jego przyjazdu do Kosowa. Nastąpił dla mnie okres wyęźzonej pracy, Saranda całe dni spędzała z Kastriotem, często wyjeżdżali, a nawet jeśli siedzieli w domu, nie robiła dosłownie nic. Starłam się jakoś ją przed sobą wytłumaczyć, zrozumieć, ale było mi ciężko. Pewnego dnia poczułam ostry ból brzucha, wyłączyłam odkurzacza i schowałam go pod schody.

- Nie skończyłaś przecież odkurzać - Nasife zwróciła mi uwagę.

- I nie skończę. Mam tego dość, nie jestem żadnym robotem, tylko kobietą z krwi i kości, i w dodatku w ciąży - wybuchłam płaczem i uciekłam do pokoju.

Poszła za mną:

- Wiem Iza, że jest ci ciężko. Saranda nie robi kompletnie nic, aleja nic na to nie poradzę. Przecież ja też robię dużo rzeczy, które należą do jej obowiązków. Normalnie powinna gotować, piec chleb, a widzisz jak to zaniedbuje. Gdybym nie wyrabiała ciasta, nie mielibyśmy chleba. A Kastriot przyjechał też do swojej matki, z którą wcale nie spędza czasu...

To o to była zła, zwyczajnie zazdrosna, a nieróbstwo Sarandy to tylko pretekst, żeby powiedzieć na nią coś złego. Nasife chętnie obmawiała każdego w rodzinie, miałam okazję przekonać się o tym później. Potrafiła skłócić brata z bratem... Skończyłam odkurzenie i zamknęłam się w pokoju, chciałam trochę poczytać. Po godzinie usłyszałam głośne rozmowy w salonie, ale nie chciało mi się wstawać. Byłam pewna, że to goście, jakieś wiejskie baby przyszły pogratulować pani domu przyjazdu jej syna, jak to było w zwyczaju. Nagle do pokoju weszła jakaś młoda kobieta płacząc w głos, a za nią Nasife i Saranda zalane łzami. Kobieta podeszła do mnie i rzuciła mi się na szyję płacząc jeszcze donośniej, dopiero po chwili poznałam ją:

- Shyrete?!

Dopiero, kiedy usiadła przyjrzałam się jej, bardzo się zmieniła, miałam prawo jej nie poznać. Mocny makijaż, w tamtej chwili już rozmazany na całej twarzy, wysoko upięte włosy, obcisły kostium i złoto, którym była dosłownie obwieszona, zrobiły z niej całkiem inną osobę. Wydała mi się odrażająca, ale tradycja tego wymagała. Wstydem dla niej byłoby wyjść z domu bez kosmetyków, albo bez złota. A jako panienka była taka ładna... Co na to mężczyźni, którzy budzą się rano obok obcych kobiet, nieprzypominających zupełnie ich żon?!

- Co się stało? Dlaczego płaczesz? Ktoś cię skrzywdził?

- To ze szczęścia...

No tak, jej pierwsza wizyta w rodzinnym domu od zamążpójścia. Od razu zaszyły się z Nasife i Saranda w kącie i zaczęły sobie półszepsem opowiadać. Ja stałam z boku zazdroszcząc im. Byłam tam takim samym członkiem rodziny, jak Saranda, a mimo to nieraz dawano mi odczuć, że jestem kimś obcym i zbędnym. Zaparzyłam herbatę i usiadłam w drugim końcu pokoju, ocierając ukradkiem łzy. Mogłam sobie popłakać bez obawy, że ktokolwiek zwróci na mnie uwagę. Strasznie zatęskniłam za Polską, rodzicami, rodzeństwem i przyjaciółmi... Nie miałam dużo czasu, żeby użalać się nad swoim losem, bo wrócił Kastriot i Ramush od Bajrama.

Poprosili o kawę. Saranda udawała, że nie słyszy, więc na mnie znowu spadła ta „przyjemność”.

Rushit wrócił dopiero w nocy, obudził mnie, kiedy potknął się o róg wersalki i głośno przeklął.

- O, wstałaś?

Co za idiota, jak tu nie wstać?

- Umarłego byś obudził tymi hałasami.

- Skoro już nie śpisz, to przynieś mi wodę do umycia rąk i coś do jedzenia. Co było na obiad?

Poznałam po jego bełkocie, że był pijany. Nauczyłam się już, żeby nie zaczynać z nim kłótni, bo zawsze, kiedy był pijany był agresywny. Tam, w Kosowie mógł robić ze mną co chciał. I dobrze o tym wiedział. Zapaliłam drugą świecę i poszłam po dzbanek z wodą i po pite, po drodze przeklinając, że nie ma prądu. Patrzyłam na niego z obrzydzeniem, jak jadł głośno mlaskając i brudząc sobie przy tym całe usta. Nie mogłam uwierzyć, że kochałam go tak bardzo. Zjadł, podałam mu wodę do umycia rąk.

- A teraz twoja powinność, kochanie. Rozbieraj się.

- Ale ja jestem zmęczona. Rushit połóżmy się spać, proszę: Jutro muszę przecież wcześniej wstać - powiedziałam cicho, licząc, że go tym razem przekonam. Nie chciałam z nim spać. Nie, kiedy był taki obleśny, brudny i cuchnący alkoholem i papierosami.

Wystarczyło jednak jedno jego spojrzenie, żebym posłusznie rozebrała się i położyła do łóżka. Czekałam na niego, jak skazaniec na wyrok.

Z dawnego Rushita nie zostało nic, przytył niesamowicie, stronił od wody. Wzdrygnęłam się, kiedy wgramolił się ociężale na mnie i wszedł niezdarnie. Leżał na mnie całym ciężarem, z trudem łapałam powietrze. Nie chciałam płakać, ale czułam jak lzy wbrew woli ciekły ciurkiem po mojej twarzy i zatapiały się w poduszce. Na szczęście długo to nie trwało, ale bałam się, czy nie skrzywdził naszego dziecka, przecież nie uważał na brzuch. Zszedł ze mnie, a ja automatycznie wzięłam głęboki wdech. Podniósł sobie poduszkę, oparł się o nią i zapalił papierosa.

- I co? - spytał.

- Co: co?

Nie miałam pojęcia, o co mu chodzi, a jego ton nie wróżył nic dobrego. Serce waliło mi ze strachu, rozboleł mnie żołądek. A on patrzył na mnie spod byka, miał ściągnięte brwi, jego czarne oczy błyszczały gniewem. Wpatrywał się we mnie, nagle oczy zwęziły mu się groźnie, usta wykrzywił w pogardliwym uśmieszku:

- Ty szmato - wysyczał.

- Rushit, o co ci teraz chodzi? - głos zaczął mi drżeć ze strachu, obawiałam się najgorszego.

- O kim to tak myślisz, kiedy ja ciebie pieprzę, co?

Zawsze kiedy był bardzo zły, jego słownictwo stawało się wulgarne, chciał mnie w ten sposób poniżyć.

- Nie wiem, o co ci chodzi?

- Jakoś niechętnie robisz to ze mną...

- Wydaje ci się, jestem zwyczajnie zmęczona. Cały czas pracuję, całymi dniami. Saranda nic nie robi, jeździ ze swoim mężem na przejażdżki. A ja nie mam z ciebie nic, kompletnie nic.

Emocje mną szarpały, zaczynało mi być wszystko jedno, czy podniesie na mnie rękę, czy nie. Popłakałam się.

Musiałam mu to powiedzieć. Nie przeczę, że w duszy miałam nadzieję, że Rushit mimo swojej złości stanie po mojej stronie. Wiedziałam, że miał żal do swojego starszego brata, żal, że jemu się w życiu powiodło, a Rushit wylądował bez niczego. Kastriot przyjechał do Kosowa zadbany, w eleganckich ciuchach, co jakiś czas wybierał się do Maliszewa na zakupy, szastał pieniędzmi. Moje zachowanie było niedopuszczalne, robiłam dokładnie to, co potępiałam u Nasife, prowokowałam kłótnię, ale jedyne co czułam w tamtym momencie, to szaloną satysfakcję, miałam jednak jakąś moc nad nimi... Widziałam, jak oczy Rushita zwężały się w złości, coraz głębiej wdychał dym z papierosa. Był zły...

- Wiem, że mój braciszek, mądrała, teraz zgrywa bogacza, czuje się lepszy ode mnie, od każdego tutaj, ale to tylko pozory - warknął i... przytulił mnie mocno. Poczułam niesamowitą ulgę, dopięłam swego, nie uderzył mnie tamtej nocy, po prostu zapomniał.

Zdmuchnął świeczkę i położył się obejmując mnie z całej siły. Uśmiechnęłam się z satysfakcją, że udało mi się w taki sposób nim zmanipulować, ale w moim wnętrzu toczyła się inna walka: czy ja go jeszcze kochałam, czy już nie. Wydawałoby się, że odpowiedź musiała być oczywista, zwłaszcza po jego zachowaniu, ale ja nie byłam pewna. Z jednej strony nienawidziłam go, ale gdzieś tam w głębi duszy, chyba na swój sposób nadal go kochałam. Z perspektywy czasu zdaję sobie sprawę, że to nienormalne, sama nie potrafiłabym zrozumieć dziewczyny z podobnymi rozterkami, a ja właśnie to przeżywałam. Nie wiedziałam sama, czego chcę, ani co czuję...

Co do pobytu Shyrete byłam mile zaskoczona. Przecież tak niedawno darłyśmy ze sobą przysłowiowe koty, a podczas jej tygodniowej wizyty u nas nawet ją polubiłam, co było zaskoczeniem dla mnie samej i dla Rushita.

- Dziś Shyrete pomogła mi przygotować śniadanie - pochwaliłam się jednego dnia Rushitowi, ucieszył się wyraźnie, dla niego każdy pozytywny gest ze strony jego rodzinki oznaczał, że mnie zaakceptowali.

ROZMOWA Z MAMĄ

Zbliżał się piąty miesiąc ciąży, maleństwo w brzuchu Sarandy dawało się jej nieźle we znaki, ale moje było strasznie rozleniwione. Ani razu mnie nie kopnęło. Zaczynałam się obawiać, czy wszystko jest w porządku. Do tego nie miałam pojęcia, jakiej będzie płci. Ja liczyłam bardziej na dziewczynkę, ale Rushit tak bardzo pragnął męskiego potomka, że i mi z czasem udzieliło się to marzenie o małym synku. Miał być zdrowy, silny i z cechami typowymi dla kosowskiego Albańczyka. To drugie akurat najmniej mi się podobało, ale miałam cichą nadzieję, że to ja będę decydowała o wychowaniu mojego dziecka. Jeszcze nie znałam tradycji panujących wśród tych ludzi.

Bardzo brakowało mi rozmów z moją mamą, zawsze miałam nadzieję, że jeśli kiedykolwiek będę w ciąży, to będzie ona przy mnie, że będę mogła na nią liczyć. A tymczasem zostawiłam ją daleko od siebie... Pewnego dnia zapytałam Rushita, czy mogłabym zadzwonić do domu. Niestety jedyną możliwością skontaktowania się ze światem zewnętrznym był wyjazd do oddalonej głównej drogi, gdzie niedaleko od Llaposhnik można było złapać zasięg w telefonach

komórkowych. Nalegałam cały dzień, w końcu późnym popołudniem Kastriot kazał mi się szykować, mieliśmy pojechać tam razem z Nasife i Shyrete, chciały zadzwonić do Afrima. Skorzystałam z okazji, wzięłam ze sobą telefon Rushita i pojechaliśmy. Całą drogę rozmyślałam, co powiedzieć rodzicom, z kim rozmawiać najpierw, już sama świadomość, że usłyszę głos moich rodziców budziła w żołądku przyjemne uczucie, wzruszenie. Kiedy dojechaliśmy na miejsce Kastriot powiedział, że mogę spróbować, włączyłam komórkę i rzeczywiście był zasięg, drżącymi rękoma wystukałam numer do domu. To miała być pierwsza rozmowa z mamą. Miałam jej powiedzieć, że jestem w ciąży. Z nerwów i przejęcia zapomniałam słów, które wcześniej ułożyłam sobie w głowie.

- Halo - usłyszałam ukochany głos w słuchawce.

Łzy popłynęły mi po policzkach, ścigając się, która szybsza. Gardło ścisnęło mi się całkowicie, nie mogłam wydusić absolutnie żadnej głoski, a co dopiero słowa, czy całe zdania.

- Halo! - powtórzył głos w telefonie.

- Mama?! - to wszystko, co mogłam z siebie wydusić.

- Iza? Jezu, Iza to naprawdę ty?! Dziecko, co z tobą, jak się czujesz?

- Mamo, tęsknię, ja chcę do domu. Proszę zabierz mnie stąd. - teraz to płakałam już na cały głos.

- Jak się czujesz, wszystko dobrze?

Prawie natychmiast doznałam olśnienia umysłu, przecież ona była daleko, nie miałam prawa jej denerwować, mówić jaka to jestem nieszczęśliwa, skoro odradzała mi tę podróż.

- Wszystko w porządku, mamo, tylko trochę tęsknię. Chcę ci coś powiedzieć. Nie mogę za długo rozmawiać, w każdej chwili telefon może stracić zasięg. Mamo, ja jestem w ciąży.

Zapadło milczenie, przez dłuższą chwilę nie mówiła nic. Bałam się jej reakcji. Dopiero po kilku sekundach usłyszałam ciche łkanie. Nie nadażałam z ocieraniem łez.

- Mamo?- Będziesz babcią...

- Nie wiem co powiedzieć, chciałabym umieć się cieszyć, ale boję się o ciebie i o to, że nie zobaczę mojego wnuka.

- No, coś ty, mamo, przecież ja przyjadę, zapytam się lekarza, czy to bezpieczne i obiecuję, że postaram się przyjechać do Polski i tam urodzić. Powiesz ojcu?

- A nie chcesz zrobić tego sama? Nie wiem, jaka będzie jego reakcja.

Na razie poczekajmy.

Miała rację, z moim ojcem to faktycznie różnie bywało, a nie chciałam kłócić się na odległość. Miał spore oczekiwanie wobec swoich wszystkich dzieci, wątpiłam, żeby był szczęśliwy, że jego córka urodzi nieślubne dziecko, w dodatku nie wiadomo gdzie... Pozostała część naszej rozmowy, to głównie pytania i odpowiedzi. Interesowało mnie wszystko, co słyhać u mojego rodzeństwa, przyjaciół, koleżanek, sąsiadów. Łykałam każde słowo po polsku. Tak miło łaskotało moje ucho, dopiero wtedy uświadomiłam sobie, jak bardzo brakowało mi mowy ojczystej.

- Nie wiem, czy będzie to chłopiec, czy dziewczynka, wolałabym jednak chłopca.

Moja mama zapytała, jak rośnie mi brzuch, tu pojawił się problem, bo doszłam do wniosku, że właściwie mój brzuch nie rośnie mi wcale.

- Masz jeszcze prawo być szczupłą, ale powoli powinnaś nabierać kształtów- stwierdziła mama z troską w głosie. - Musisz na siebie uważać, moje dziecko.

- Wiem, wiem. Nawet nie masz pojęcia, jak się stęskniłam za twoimi poradami - udało mi się rozeźmiać.

Wtedy ukradkiem spojrzałam na Nasife, siedziała na przednim siedzeniu, ale odwrócona przodem do mnie i patrzyła na mnie smutnym wzrokiem, oczy miała wilgotne. Najwyraźniej było jej mnie żal, co dowodziło, że jednak miała jakieś ludzkie uczucia, chociaż podczas mojego pobytu w Kosowie wiele razy dawała mi powody, żeby w to wątpić. Po kilku minutach rozmowy Kastriot dał mi dyskretnie znak, że chcą zadzwonić jeszcze do Afrima i jedziemy.

- Mamuś, muszę kończyć. Odezwę się jeszcze, nie martw się o mnie, jest dobrze, tylko tęsknię. Pozdrów wszystkich mocno ode mnie, babcie i dziadków i wszystkie moje koleżanki, które spotkasz. Myślami jestem przy was cały czas- kluska w gardle rosła coraz szybciej, musiałam już kończyć, bo wiedziałam, że za moment nie powiem ani słowa więcej...-To pa, mamusiu, Kocham was mocno.

- Pa, córeczko i nie poddawaj się, pamiętaj, że zawsze możesz na nas liczyć. Ucałuj to małe dzieciątko od nas, tak przez brzuch. Pamiętaj też. co ci powiedziałam, że każda ciąża jest inna, twoje maleństwo może zacząć się ruszać dopiero dużo później, nie jest to powodem do obaw. Zapamiętaj to sobie, bo nie wolno ci się denerwować.

- Dobrze, pa pa.

- Kochamy cię córeczko, pa pa.

I usłyszałam odgłos odkładanej słuchawki. Byłam przekonana, że nie mogła już powstrzymać się od płaczu.

Położyłam telefon na kolanach i poddałam się, kluska która urosła w gardle do sporych rozmiarów pękła. Rushit, kiedy zobaczył mnie w domu w tak podłym nastroju ostrzegł, że już nigdy mi nie pozwoli dzwonić do Polski, jeśli za każdym razem mam tak wyć. Było mi wszystko jedno, co mówił. Po powrocie bez słowa udałam się od razu do swojego pokoju. Nie chciało mi się z nim dyskutować, miałam świadomość, że gdzieś, ktoś tam na mnie czeka, moja rodzina.

Następnego dnia Shyrete wracała do męża. Nasife zapakowała jej sporą reklamówkę różności, od samego rana chodziła naburmuszona.

- Moja jedyna córka odchodzi - mamrotała pod nosem, rozmazując łzy po twarzy i zaciągając się głęboko dymem z papierosa.

Była to dobra okazja, żeby uświadomić mojej teściowej, że gdzieś tam daleko moja mama cierpi jeszcze bardziej, ale byłoby to niesmaczne. Staralam się nie wchodzić jej w drogę.

Kiedy świeżo upieczona małżonka pojechała do swojego męża, kilka minut potem ktoś zatrąbił przed bramą. Jakiś mężczyzna wszedł przez bramę i otworzył ją, potem wprowadził auto. Odsunęłam lekko firankę, zaczęłam wpatrywać się w jego auto, wydawało mi się, że siedzi tam cała armia.

- O rany, ciotka Dżewa - wyszeptała Saranda za moimi plecami, poprawiła koce na materacach i wybiegła na zewnątrz przywitać się.

Po chwili ścisnęła się serdecznie z jakąś młodą, modnie ubraną kobietą i znaną mi już ze ślubu Shyrete ciotką, która była postrachem dla wszystkich młodych dziewcząt. Mężczyzna, który otwierał bramę, wkroczył do domu bez żadnych ceregieli. Był niski, gruby, sprawiał wrażenie pewnego siebie i denerwująco obracał bez przerwy kluczem od auta. Zaraz za nim wbiegło do domu kilkoro dzieci, w wieku od kilku do kilkunastu lat.

- O, kurczę - wyrwało mi się.

Ciotka Dżewa na mój widok wyszczerzyła bezzębną szczękę, przytuliła mnie mocno do siebie. Odniosłam wrażenie, że naprawdę mnie lubiła. Kobieta, która była żoną tego gburą i matką całej gromadki przywitała się ze mną również bardzo serdecznie.

- Co słysząc? Jak się czujesz?

- Dobrze. Dziękuję. - odparłam krótko, nie chciało mi się pytać o każdego członka jej rodziny, bo nawet nie miałam pojęcia, kim ona jest.

Zachwyliła się moim albańskim, wydało mi się to o tyle zagrane przez nią, że rzeczywiście moja znajomość ich języka była fatalna. Mimo to polubiłam ją, może trochę dlatego, że miała na sobie spodnie rybaczki, na które Ile patrzyła ze zgrozą i wstrętem, co chwilę kiwając z dezaprobatą głową, jakby nie mogła zrozumieć, jak można coś takiego nosić. A może polubiłam ją, bo zrobiło mi się jej żal...

- Saranda, kim jest ta kobieta?

Nie było znowu prądu, trzeba było iść napalić w piecu do starego domu, pomagałam Sarandzie nosić drewno i podpałkę.

- To córka ciotki Dżewy, Hajzire z mężem i dziećmi.

- Całkiem miła kobieta, czego nie można powiedzieć ojej małżonku. - skrzywiłam się z niesmakiem, facet był antypatyczny i do tego okropnie gruby i brzydki.

- Nikt za nim nie przepada - zaśmiała się moja *kunota*. - Ahmed ma stację benzynową, jest bogaty i ma dwie żony. Ta druga urodziła mu dwoje dzieci, którymi opiekuje się Hajzire. Z tego, co słyszałam ma coś nie tak z głową.

- Jak to dwie żony? Zdradza swoją prawdziwą żonę? Ale zaraz, skoro Hajzire opiekuje się dziećmi tej drugiej, to musi o niej wiedzieć?!

Nie mogłam pojąć, jak to możliwe, wtedy usłyszałam, że obie wiedzą o sobie i nawet mieszkają pod jednym dachem. Właściwie nawet nie zdziwiłam się specjalnie, bo o bigamii wśród Albańczyków w Kosowie słyszałam już wcześniej. Żal mi się zrobiło córki ciotki Dżewy, była miła, nie dość, że jej facet bierze sobie inną, to jeszcze każe biedaczce zajmować się jej dziećmi.

- A ciotka Dżewa co na to? Przecież ma taką niewyparzoną buzię, nie może mu coś na to powiedzieć?

- Ona mieszka z nimi. Nie ma syna, tylko dwie córki i powinna być zadowolona, że Ahmed w ogóle pozwolił jej zamieszkać z nimi. To nie należy do jego obowiązków, robi to z własnej woli. Nawet ludzie z sąsiedztwa nie mieliby prawa mieć do niego pretensji, gdyby ją wyrzucił na ulicę.

Ciężko mi było zrozumieć mentalność tych ludzi. Zresztą nie udało mi się to do końca mojego pobytu w Kosowie.

Na kolację Saranda zrobiła dwie blachy z *laknue*, czyli pite ze szczawiem, śmietaną i twarogiem. W sumie mimo tłoku przy stole, było w miarę miło, dzieci siedziały bardzo grzeczne, Hajzire co chwilę słała do Ule komplementy pod moim adresem. Byłam przekonana, że mówiła to szczerze, patrzyła na mnie uśmiechając się. Chyba zaczynałam wówczas powoli rozumieć, że była tak samo nieszczęśliwa jak ja. Ze słów Sarandy wynikało, że Ahmed podobnie jak Rushit nie wracał często na noc, prawdopodobnie oprócz tych dwóch legalnych żon miał też wiele przygód, prowadził hulaszczy tryb życia. Między mną a tamtą kobietą nawiązała się jakaś niewidzialna, ale dająca się

odczuć więź. Po posiłku przyszła pora na herbatę, przerażało mnie to, kiedy spojrzałam na ilość gości.

- Cholera, skąd wziąć szklanki - mamrotałam wściekła, przeszukując szafkę.

Zabrakło mi dokładnie trzech, czyli ja, Saranda i Blerim nie dostaniemy herbaty, dopóki ktoś nie zwolni szkła. Hajzire zupełnie podbiła moje serce, kiedy odmówiła wypicia drugiej herbatki i to samo poleciła swoim dzieciom.

- Usiądź koło mnie - wskazała mi miejsce koło siebie.- Porozmawiaj z nami trochę.

Domyślałam się, jakie będzie kolejne pytanie...

- Gdzie ci się bardziej podoba, tu czy w Niemczech?

Zgadłam, odpowiedź miałam jak zawsze gotową, tą samą na to samo, nagminnie zadawane pytanie:

- I tu i tam. Każdy z tych krajów ma swoją atmosferę, swoje tradycje.

Zbliżała się dwudziesta, mężczyźni siedzieli w jednym kącie, kobiety w drugim, nic nie wskazywało na to, żeby goście mieli się zbierać do domu. W końcu Nasife poprosiła Ahmeda, żeby zostali u nas na noc.

Jakby na to czekał:

- Jeśli nie będziemy wam przeszkadzać, to z miłą chęcią. Ja muszę, niestety coś ważnego załatwić, ale kobiety mogą zostać, jutro rano je zabiorę.

„Kobiety”, zabrzmiało to bardziej pogardliwie niż miło. Złapałam smutne spojrzenie Hajzire. Wiedziałam już, że na pewno nigdy nie będę miła dla tego gbura. Pojedzie na dziwki, albo do jakiejś swojej kochanki. To nie był jednak koniec nieprzyjemności:

- Jedziemy razem z Rushitem, wrócimy z samego rana, żeby nie sprawiać wam kłopotu ze śniadaniem.

Usiłowałam spojrzeniem dać Rushitowi do zrozumienia, żeby z głowy wybił sobie jakieś podróże z tym typem, ale ten udawał, że mnie nie widzi.

- Nie chcę, żebyś z nim jechał - odezwałam się po niemiecku. Rozmawialiśmy w tym języku zawsze, kiedy chcieliśmy, by nikt nie zrozumiał, jednak istniało ryzyko, że kiedyś ktoś może nas zrozumieć.

- Przestań, przecież wrócę rano, nic mi się nie stanie. - odburknął. Idiota, nie rozumiał albo udawał, że nie rozumiał. To nie z troski o niego zabraniałam mu tego wyjazdu, ale mogłam sobie dopisać dalszy ciąg scenariuszu na ich wspólny wieczór.

- Wyjdź ze mną na moment - wstałam i poszłam na korytarz pewna, że idzie za mną, ale czekałam tam na darmo kilka minut.

Kiedy weszłam wściekła z powrotem, rzucił mi krótkie, obojętne spojrzenie i dalej żartował z Ahmedem. Poczułam się, jakby ktoś dał mi w twarz, a potem oblał kubłem zimnej wody. Nagle dotarło do mnie, że nie mam już absolutnie żadnego wpływu na mojego mężczyznę.

MOJE URODZINY

Na początku czerwca przyjechał niespodziewanie Afrim. Dostał od Niemców nakaz opuszczenia kraju. Wojna dawno się skończyła, wydalano wszystkich azylantów, a Afrim był

jednym z nich. Cieszyłam się z jego przyjazdu do Kosowa, pamiętałam go jako wesołego i sympatycznego chłopaka, mimo że kilka razy pod niewagę Rushita próbował złapać mnie za kolano lub objąć... Miałam nadzieję, że wniesie w tę monotonię trochę życia. Nie sądziłam, że po jakimś czasie będę modliła się, żeby wrócił tam z powrotem...

Jak zwykle dla Nasife przyjazd jej syna był okazją, żeby Sarandę, a w szczególności mnie pogonić trochę do pracy. Pucowałyśmy cały dom, mimo że robiłam to regularnie co dzień. W przeddzień powrotu brata przyjechała Shyrete. Nie miałam z nią więcej problemu, ale jej wizyty denerwowały mnie. Nasife stawała się wtedy nerwowa, odsuwała się od nas całkowicie, przecież nie musiała rozmawiać z żadną z nas, miała swoją córkę. Stosunki między nami naprawiała dopiero po jej wyjeździe. Gdyby nie była analfabatką, zaproponowałabym jej kandydowanie do rządu, była cwana, czyli idealny polityk.

Jak zwykle Rushit ofiarował się, że pojedzie po swojego brata, ale tym razem Ramush nie popuścił, postawił na swoim, wieczorem przywiózł swojego pierworodnego syna z lotniska z Prisztiny. Wiedziałam, że Afrim miał w Niemczech dziewczynę, której ojciec miał znaczące stanowisko w jakimś urzędzie, zarabiał nieźle i rozpieszczał swoje dwie córki i syna. Przyjaciółka Afrima z kolei była raczej skromną i bardzo spokojną istotką, niestety niezbyt urodziwą. Dlatego była szczęśliwa, że udało się jej znaleźć bardzo przystojnego mężczyznę, rozpieszczała go, jak mogła. Afrim wykorzystał wpajaną mu przez matkę ideę życiową, że im mniej pracuje człowiek, tym lepiej dla niego. Zawsze ubrany w markowe ciuchy, z kieszeniami pełnymi gotówki, mimo że rąk swoich nie splamił nigdy pracą.

Nasife, kiedy usłyszała na podwórku samochód wybiegła przed dom. Ja i Saranda poszłyśmy za nią, bo tak wypadało. Twarz Afrima rozpromieniła się na mój widok, uwolnił się z objęć matki i podał mi dłoń.

- Halo, Iza.

Zrobiłam mu kawę, a Nasife, Shyrete i Blerim zabrali się za rozpakowywanie jego walizek. Po półgodzinie wrócił ze sklepu Rushit.

Patrzyłam na mojego mężczyznę, który niczym nie różnił się od bezdomnych na dworcach: brudny, nieogolony, z czerwoną od picia twarzą i na jego młodszego brata, który przy nim wyglądał jak model z żurnala. Nie czułam już smutku, tylko wstyd i odrazę.

- Jak ci się podoba w Kosowie, Iza? - znowu standardowe pytanie.

- Inaczej niż sobie wyobrażałam - uśmiech na mojej twarzy nie spodobał się Rushitowi.

Afrim chyba wyczuł, że nie mogę swobodnie rozmawiać, bo zmienił ton na bardziej oschły:

- A jak tam z językiem u ciebie?

- Dobrze, myślę, że coraz lepiej. Chociaż nie mam się z czego uczyć.

Na tym skończyła się nasza rozmowa, czułam na sobie baczne spojrzenie Rushita, nie chciałam go prowokować. Ule kazała mi usiąść i zaczął się podział prezentów. Z niedowierzaniem patrzyłam, jak Nasife, jej córka i najmłodszy syn rzucili się na podarunki, jak wyciągali szyję, żeby zobaczyć, co było w walizkach.

- Cholerni materialści - pomyślałam.

Blerim dostał parę spodni i bluzę z nadrukiem ESPRIT, obejrzał obie rzeczy, po czym niezadowolony rzucił w kąt i wyszedł z pokoju. Dla kobiet nie miał za dużo, kilka używanych ciuchów, które należały z pewnością do jego dziewczyny. Ja dostałam parę męskich spodni w stylu farmerek, za duże, ale w sam raz na ciążę. Rushit wypił kawę i pojechał z powrotem do sklepu. Wtedy Afrim dał każdej kobiecie, łącznie ze mną po 50 marek. Nasife poradziła mi,

żebym nie mówiła o tym Rushitowi, bo zabierze mi te pieniądze i wyda na alkohol. Nie rozumiałam jej, czasem okazywała mi jednak jakieś współczucie.

- Nawet nie miałam takiego zamiaru, ja mam na kogo teraz wydawać pieniądze - przez moment wydawało mi się, że Afrim spojrzął na mój brzuch i zmieszał się.

Nie mogłam się doczekać, kiedy pojedę do Prisztiny albo do Malisze-wa na bazar, żeby wybrać dla mojej dzidzi śliczne, maleńkie śpioszki. Schowałam kasę w pokoju pod dywanem. Tam była bezpieczna. Rushitowi faktycznie nie wspominałam ani słowem.

Afrim szybko zalazł matce za skórę, powoli pokazywał swoje prawdziwe oblicze:

- Znowu pita ze szpinakiem? - skrzywił się któregoś dnia, kiedy na obiad podano pite.

- Przecież lubisz...

- Ale nie co dzień.

Patrzyłam na Afrima zszokowana, w niczym, nie przypominał tego spokojnego, fajnego chłopaka, którego poznałam w Niemczech. Ra-mush, który miał do niego żal, że po czterech latach nieobecności przywiózł do domu tylko 1000 marek, spojrzął na niego wściekły. Nie odważył się jednak odezwać ani słowem, Afrim był zaraz po Rushicie pupilkiem swojej mamusi, Ramush w razie jakichkolwiek pretensji miałby do czynienia z żoną.

- Jutro zrobię kurczaka. Chcesz z ryżem, czy z ziemniakami.

Ja byłam z tej całej sytuacji zadowolona. Przynajmniej skończyły się czasy papryki i pomidorów. No i Nasife dostała dokładnie to, na co zasłużyła. Afrim nie darzył jej szacunkiem, jakim powinno się darzyć matkę. Zaczęły się czasy terroru dla mojej teściowej i dla całej rodziny. Tylko raz zrobiło mi się jej żal.

Tamtego dnia przez cały dzień nie było prądu, złorzeczyliśmy elektrowni w Kosowie, ale tylko tyle mogliśmy zrobić. Ja biegałam ze szklankami po herbacie na podwórku do rzadko używanego kranu, żeby je umyć, a Saranda napaliła w piecu w ruinach starego domu, żeby podgrzać wodę na pite. Padało, ale było ciepło, mnie nastrajało to trochę melancholijnie. Siedziałyśmy z Nasife i Sarandą na oponach koło pieca i rozmawiałyśmy. Przyszedł Afrim, spojrzął z pogardą na pite, którą właśnie wyciągnięto z pieca:

- Ona jest przypalona - uciął krótko.

Może rzeczywiście była trochę za długo pieczona, ale z pewnością nadawała się do jedzenia.

- Możesz jeść z drugiej strony albo poczekać na drugą, synku.

- Jestem głodny!

Nie poznawałam go, to nie był ten człowiek, którego znałam. Zastanawiałam się, czy wszyscy przechodzą jakieś dziwne przemiany w tamtym miejscu?!

- Zjedz z tej strony moje dziecko. Mama zeskrobie ci to, co ci przeszkadza.

Słuchałam tego z niedowierzaniem, pamiętałam, jak Afrim mówił jeszcze na obczyźnie o tęsknocie za domem, za matką, tymczasem już dwa tygodnie po swoim powrocie pokazywał, jak małe znaczenie ma dla niego kobieta, która dała mu życie, jak szybko zapominał o swoich słowach wypowiedzianych w Niemczech. Po kilku minutach nie wytrzymałam:

- Jak tak możesz mówić - oczy zaszyły mi łzami, głos drżał mi strasznie. - Wiesz o tym, że ja dałabym sobie teraz rękę uciąć, żeby móc choć przez chwilę zobaczyć swoją matkę?! Bardzo szybko zapomniałeś jak to jest nie widzieć jej przez całe lata. Nie pomyślałeś, że to specjalnie dla ciebie są te potrawy, że od twojego przyjazdu jadamy tylko to, co tobie smakuje?! Niczym nie różnisz się od Rushita.

Wykrzyczałam mu to w twarz, po czym pobiegłam do domu, łykając po drodze łzy. Rzuciłam się na łóżko i zaczęłam histerycznie płakać, zupełnie jakbym nie miała się nigdy uspokoić.

- Iza, nie płacz - usłyszałam głos Nasife, nawet nie słyszałam, kiedy weszła.

- Przecież on zapomniał jak ciężko jest bez matki. Ty nie słyszałaś, co on mówił w Niemczech, ty nie widziałaś jak on tęsknił. Teraz jest przy tobie i jak cię traktuje?! A ja być, może nie zobaczę mojej mamy tak szybko, jeśli w ogóle,...

Od tamtej pory moje stosunki z Afrimem pogorszyły się. Zresztą miałam wrażenie, że prawie cała rodzina miała go dość. Nawet Blerim miał do niego ciągle pretensje, że traktuje go z góry.

Na krótko przed moimi urodzinami Afrim kupił specjalną antenę do odbierania fal potrzebnych do działania telefonów komórkowych i zamontował ją na dachu. Dzięki temu nie trzeba było jeździć już tak daleko, żeby porozmawiać przez telefon i byłam osiągalna dla mojej rodziny. Nie zrobił tego bezinteresownie, chciał być w stałym kontakcie ze swoją przyjaciółką. Kastriota, który zadzwonił tego samego dnia poprosiłam, żeby podał telefonicznie moim rodzicom ten numer. Tyle mój ojciec zrozumie po niemiecku. Mimo, że Rushit miał przecież sprawny telefon, to nie mogłam na niego liczyć, gdyby ktoś do mnie zadzwonił, przecież nie było go nigdy w domu. Dni płynęły bardzo powoli. 14 czerwca obchodziłam dwudzieste czwarte urodziny, nawet nie liczyłam na żaden gest ze strony Rushita. Mimo że przypominałam mu wcześniej z czystej ciekawości, czy będzie o mnie pamiętał tego dnia, to nie złożył mi nawet życzeń. Od rana miałam podły nastrój, płakałam cały dzień, wiedziałam, że w Polsce myśli o mnie cała rodzina, pewnie zastanawiali się, co robiłam tamtego dnia, czy świętowałam. Robiąc herbatę po śniadaniu, musiałam co chwilę wychodzić, żeby umyć twarz zimną wodą, chociaż nikt nie był przecież niewidomy. Nasife i Ramush patrzyli na mnie ze współczuciem.

- Iza, wszystkiego najlepszego - Saranda podała mi rękę i pocałowała w policzek. - I nie płacz, przecież pojedziesz niedługo do domu. Razem z Rushitem.

Wydawało mi się to mało prawdopodobne, a jej słowa zamiast mnie podnieść na duchu, spowodowały kolejny wybuch płaczu. Po kolacji Nasife wysłała męża do sklepu, po kilku minutach przyniósł paczkę ciastek i napój. Wręczył mi to:

- Idź teraz do swojego pokoju, jeśli chcesz i świętuj swoje urodziny. Wszystkiego najlepszego - uśmiechnął się.

W Kosowie nikt nie świętował urodzin, wielu ludzi nawet nie pamiętało, kiedy je ma. Teściowa zapytana, w jaki dzień urodził się Rushit odpowiadała: „ Tydzień przed Bajramem chyba”. Dopiero po wojnie weszła moda wyprawiania małym dzieciom przyjęć z tej okazji. Dlatego właśnie wydało mi się to bardzo miłym gestem ze strony rodziny. Rzeczywiście chciałam zostać sama, skorzystałam z tego. Poczęstowałam każdego ciastkiem, rozlałam sok do szklanek i poszłam do pokoju. Znowu nie było prądu, dlatego zapaliłam lampę naftową i usiadłam na podłodze. Nie chciałam już płakać, ale ciężko było mi powstrzymać łzy, nie nadążałam ich ocierać. Ciche pukanie do drzwi, weszła Saranda z telefonem w ręku:



Dzięki temu trochę kombinowanemu telefonowi miałam kontakt z rodziną w Polsce. Tu w dniu moich urodzin, kiedy przyjmowałam życzenia od mamy.

- Ktoś do ciebie, Iza.
 - Serce waliło mi, jakby żywcem chciało wyrwać się z piersi.
 - Halo?
 - Wszystkiego co najlepszego z okazji twoich urodzin, córeczko!
 - Mama! - już nie mogłam utrzymać nerwów na wodzy, zaczęłam głośno płakać. Położyłam się na podłodze i płakałam.
 - Nie płacz. Iza, proszę, nie płacz - mówiła mama, chociaż sama też łkała w słuchawkę.
- To były najgorsze urodziny w moim życiu, zapomniana, samotna, daleko od mojego świata, od rodziny i przyjaciół. Wtedy tak naprawdę poczułam, co to znaczy być nieszczęśliwym...

ZŁODZIEJKA JAJEK

- Czy mogę ugotować sobie jajko?

Ta ciąża dawała mi się nieźle we znaki. Miałam przeróżne apetyty. Pomyślałam, że gdybym była w Polsce, pewnie przytyłabym z dwadzieścia kilo, tymczasem dopiero na przełomie szóstego i siódmego miesiąca mój brzuch uwidocznił się nieznacznie. Miałam niesamowitą ochotę na jajka na twardo, tuńczyka i słodczyce. Nie mogłam z kolei patrzeć na kawę, nawet jej zapach doprowadzał mnie do mdłości. Podobnie było ze świeżym chlebem. Saranda natomiast nie znosiła suczuku.

- Nie ma jajek, nie wiem, gdzie znoszą kury. Jeśli dam ci jajko, trzeba będzie dać każdemu, a naprawdę nie ma. Muszę trzymać na wypadek, gdyby przyszedł ktoś w odwiedzinach. - ucięła Nasife krótko.

Zastanawiało mnie tylko, dlaczego takiej odpowiedzi nie usłyszała nigdy Blerim, ani tym bardziej Afrim. Teściową zaszufładkowałam już na zawsze jako osobę bardzo skąpą i przebiegłą. Bardzo dbała o swoje dzieci, niestety na tym się kończyło. Nie był dla niej argumentem nawet fakt, że obie z Sarandą oczekiwałyśmy jej wnuków. Typowo prosta, głupia wieśniaczka, u której myślenie nie było najmocniejszą stroną.

- Chłopaków nie ma, a ja jestem w ciąży. Tu nie chodzi o mój apetyt, ale o białko, którego potrzebuję.

- Skoro już musisz, to bierz sobie. - obraziła się.

Wyc mi się chciało. Nie dość, że nie można było pić mleka, bo rzekomo krowa nie dawała tyle, ile powinna, to jeszcze problem, żeby ugotować sobie jajo. Nie mogłam pojąć jak można być tak chciwą istotą. Ale los widocznie czuwał nade mną... Któregoś dnia nie mogłam sobie znaleźć miejsca. Pogoda dopisywała, było bardzo ciepło i ładnie. Jak co czwartek mężczyźni pojechali po śniadaniu do Maliszewa na bazar, Saranda od dwóch dni siedziała w Baicy, u rodziny.

- Nasife, chodź, pójdziemy gdzieś z wizytą. Nudzi mi się. Posprzątałam już cały dom.

- Nie mogę. Nie czuje się dziś najlepiej - to mówiąc odpaliła kolejnego papierosa.

Od samego rana pólleżała w tej samej pozycji na materacu. Odwróciłam się na pięcie i wyszłam na podwórze. Na drugim końcu leżała sterta drewna. Młode drzewka, przywiezione nocą, z lasu przez Ramusha i Blerima, którzy ryzykowali więzieniem, poukładane równiutko pod murem. Obok oparta o nie siekiera i piła. Kilka razy zdarzało mi się już piłować lub rąbać drewno na opał do pieca. Ajet, syn Bajrama dawał mi nawet lekcje, jak to robić, żeby nie stracić palców. Postanowiłam, że skoro i tak nie mam nic innego do pracy, to przynajmniej mogę zrobić coś pożytecznego. Przez godzinę walczyłam z drzewkami, Ule kilka razy wychodziła przed dom, obserwowała mnie. Potem zniosłam to do starego domu i poukładałam koło pieca. Wytrzepałam ręce zadowolona i dumna z siebie i rozejrzałam się po ruinach. Znalazłam tam mały kartonik ze starymi zdjęciami. Wysypałam to wszystko, kucnęłam i obejrzałam je. Mimo, że opakowanie było zniszczone i po części spalone, to fotografie zachowały się w nienaruszonym stanie. Przedstawiały całą rodzinę sprzed lat. Zdjęcia klasowe Rushita i Afrima. Shyrete na jakimś występie ubrana w strój ludowy. Jej matka jako młoda i wtedy jeszcze szczupła kobieta. Ramush na tle zabytków w dużym mieście. Było tam też kilka fotek młodych dziewcząt w strojach nusji, stały jak lalki, z opuszczonymi głowami, podtrzymywane z obu stron przez dwie kobiety. Zdjęcia pomogły mi

wyobrazić sobie, jak wyglądał stary dom, zanim został zniszczony w czasie wojny. Na ścianie, niedaleko okna znalazłam ślady po gwoździach, rzeczywiście na jednym ze zdjęć wisiały suknie Sarandy, wówczas nie mieli nawet szafy. Zastanawiałam się, czy byli wtedy szczęśliwsi, niż po wojnie. W kącie, gdzie leżało zasypane przez gruz pudełko, leżała kupka siana i resztki spleśniałej kukurydzy. Odgarnęłam to i... coś nieskazitelnie białego rzuciło mi się w oczy. Jajko! Potrząsnęłam nim, wydawało się świeże. Rzeczywiście, kilka razy zwróciłam uwagę, że z ruin wyskakiwały kury gdacząc niemilosiernie. Obok leżało kilka skorupki. Pewnie kot dobierał się do nich, albo może szczury.

- Więc to tu znoszą jajka - uśmiechnęłam się z satysfakcją.

Nasife narzekała, że nawet kury są przekorne i nie znosiły jaj, tam, gdzie powinny. Podobno chodziły do sąsiadów. Wzięłam ten „skarby” i schowałam delikatnie do kieszeni. Byłam podniecona, czułam się jak przestępca, który właśnie dokonał skoku na bank. W tamtej chwili jednak to jajko było dla mnie więcej warte niż pieniądze. Zaniósłam je do pokoju i schowałam w walizce pod ciuchami. Następnego dnia znowu poszłam w to samo miejsce. Leżało tam kolejne jajko. W małej filiżance przemyciłam cukier i kiedy mężczyźni poszli w pole do pracy, a Nasife zajrzała do krowy ukręciłam sobie pierwszego od miesiąca kogła - mogła. Rozkoszowałam się nim, jakbym jadła najdroższe i najsmaczniejsze słodczy świata. Teraz tylko pozostało umyć niepostrzeżenie filiżankę i czekać na kolejne kurze „skarby”. W taki sposób zostałam złodziejką jajek w Kosowie...

W lipcu dostaliśmy w końcu przydzielone nam przez KPOR materiały na rozbudowę domu, zwłaszcza na naprawę piętra i dachu. Po trzech tygodniach dzięki pomocy krewnych, przyjaciół i sąsiadów dom miał znowu piętro. Mogłyśmy z Sarandą wybierać sobie spośród trzech pokoi po jednym. Dwa duże miały okna od południa, z widokami na pola i na Maliszewo. Przez cały dzień świeciło tam słońce. Okna najmniejszego, jako jedyne zresztą były od północy i wychodziły na podwórko. Rozłożyste gałęzie wierzby, która stała przed samym domem dotykały parapetu. Niewiele się zastanawiając zdecydowałam, że chcę właśnie ten mały, skromny pokój. Saranda zaś wzięła największy. Ramush pochwalił mój wybór:

- Zimą będziesz tu miała cieplej, łatwiej będzie ogrzać ten pokój, poza tym dokładnie pod nim znajduję się salon, więc dodatkowe ciepło, od pieca. A latem nie będzie musiała wymyślać, jak zasłonić okna, żeby nie świeciło tu cały dzień słońce.

Blerim dostał zadanie pomalowania ścian u mnie. I, co mnie bardzo zdziwiło, zrobił to najlepiej jak umiał. Nawet Nasife nie mogła wyjść z podziwu. W porównaniu ze ścianami w pokoju mojej *kunoty*, rzeczywiście moje były śnieżnobiałe.

- Dodałem soli - powiedział dumny Blerim - przez to są bielsze.

Nasife zdecydowała, że Saranda pojedzie z Ramushem do Gillogovc

po wykładziny. Nie kryłam rozczarowania. Skoro miałam tam mieszkać, chociaż przez jakiś czas, to wolałabym sama wybierać sobie to, co miało być w moim pokoju. Nie miałam jednak szans na zmianę jej decyzji.

- Jaki kolor chcesz? - zapytał Ramush.

- Jasnoniebieski, gładką wykładzinę, bez żadnych kwiatków.

- Jak to bez kwiatków?! - wtrąciła się Nasife. przecież wszyscy w Kosowie mają z kwiatami.

- Właśnie dlatego ja nie chcę żadnych kwiatów. Nasife, to już niemożliwe. Spytaj Afrima.

Dokładnie wiedziałam co robię, powoli uczyłam się cwaniactwa w tamtym domu. Nasife

liczyła się ze zdaniem swoich synów. Afrimowi zrobiło się miło, że może pokazać się jako znawca trendów na zachodzie i zdecydowanie przyznał mi rację.

Dostałam piękną, w kolorze czyściutkiego nieba, jednolitą wykładzinę. Podczas, kiedy Saranda nie chcąc sprzeciwić się teściowej, wybrała dla siebie niepraktyczną, bo granatową z białymi kwiatkami.

Byłam tak zajęta urządzaniem swojego gniazdka, że ani się obejrzałam jak minął kolejny miesiąc ciąży. W trzecim pomieszczeniu miał zamieszkać Afrim lub Blerim, w zależności od tego, który prędzej zdecyduje się ożenić. Póki co stał zawalony po brzegi gratami, moja nieposkromiona ciekawość zawiodła mnie tam jednego dnia. Znalazłam dwie identyczne ławy, które różniły się od siebie tylko wielkością. Białe, z pastelową tapicerką na środku. Zapytałam Nasife, czy są jej potrzebne. Stwierdziła, że mężczyźni przytaszczyli je krótko po wojnie z jakiegoś serbskiego domu i mogę je sobie zabrać. Były o tyle praktyczne, że każda miała schowek pod siedzeniami, który świetnie zastępował szuflady. Zabrałam się do odnawiania mebla. Biała farba była mocno podrapana, więc zeskrobałam ją całkowicie zostawiając gołe, jaśniutkie drewno. Wyglądało to przepięknie, kiedy Nasife zauważyła, jakiego mebla bezmyślnie się pozbyła, usiłowała zniechęcić mnie do postawienia go w moim pokoju. Śmiałam się w duchu z jej głupoty.

- Nie po to spędziłam cały dzień na drapaniu, żeby teraz wystawiać go na podwórze pod wierzbę.

Wstawiłam jeszcze dwa pojedyncze materace, które złączyłam razem i przy taszczyłam walizki.

- Przecież nie ma tam jeszcze drzwi. Iza. Jak będziemy tam spać?! Co ci się tak spieszy - Rushit załamywał ręce, ale ja byłam zdecydowana.

- Chcę mieć w końcu swój kącik, swoje miejsce. Gdzie nie będzie mi nikt rzucał rzeczy na samym środku.

W futrynie przybiłam stary, niepotrzebny koc i w ten sposób zastąpiłam drzwi. W oknach powiesiłam firanki i beżowe zasłonki spięte fantazyjnie.

- Przytulnie tu - przyznał Rushit uśmiechając się, pocałował mnie w usta i mocno przytulił. - Cieszę się, że w końcu zrozumiałaś, że tu jest twój dom.

Dopięłam swego! O to mi chodziło, wiedziałam, że nic nie wskóram gniewem i złością. Postanowiłam grać prawdziwą, posłuszną nusię i w ten sposób zdobyć zgodę na wyjazd do kraju. Miało być ciężko, ale gra warta była świeczki, znowu pojawiła się nadzieja, że zobaczę swoją ojczyznę. I w tym samym momencie poczułam, że coś dzieje się w moim brzuchu. Odepchnęłam Rushita od siebie.

- Rushit, nasza dzidzia właśnie mnie kopnęła! Naprawdę!

Było to niesamowite uczucie, patrzeliśmy na siebie w oczekiwaniu, Wzięłam jego dłoń i położyłam sobie na brzuchu. Kolejny ruch maleństwa. Rushit przerażony odskoczył:

- Boże, co to?

- Nasz bobasek kopie! - lzy stanęły mi w oczach, pobiegłam na dół do salonu.

- Kopnęła mnie, moja dzidzia mnie kopnęła! - krzyczałam jak opętana

Musiałam wyglądać chyba jak osoba niezrównoważona, bo Nasife. Ramush i Saranda patrzeli na mnie jak na wariatkę. Saranda cała czerwona ze wstydu usiłowała dać mi do zrozumienia, żebym nie mówiła takich rzeczy przy głowie rodziny, bo nie wypada, ale mi było wszystko jedno.

Teraz marzyłam tylko, żeby powiedzieć o tym mojej rodzinie, miałam nadzieję, że chociaż na nich zrobi to większe wrażenie.

ZAKUPY NA BAZARZE

Tydzień później podczas śniadania Ramush powiedział, że jedzie do Prisztiny, musiał kupić kartę do telefonu, a wówczas była ona dostępna tylko w dużych miastach. Afrim zdecydował, że pojedzie z nim, bo chciał wybrać się do urzędu, żeby dowiedzieć się czegoś w sprawie wizy do

Niemiec.

- Jedziesz ze mną? - zapytał mnie Ramush w żartach, wiedział, że nie przepuszczę żadnej okazji, żeby tylko pobyc wśród innych ludzi, zobaczyć inne miejsca poza Carrallukiem.

- Jasne - niemalże krzyknęłam szczęśliwa.

- Nie, nie! - Nasife pokręciła głową na znak, że nawet mowy nie ma.

Spojrzałam błagalnie na Ramusha:

- Zabierzcie mnie ze sobą. Mam pieniądze, chciałam pojechać na bazar, zobaczyć jakieś ciuszki dla dzidzi.

- A co powie na to Rushit?

- Oj, jemu jest wszystko jedno i tak go nie ma w domu. Proszę!

Nasife westchnęła:

- Dobrze. Ale pod warunkiem, że Rushit się zgodzi. Blerim po śniadaniu pójdzie do sklepu i go spyta.

Zostawiłam chleb na stole i pobiegłam na górę przyszykować sobie coś do przebrania. Ktoś zapukał do drzwi, to teściowa zdyszana wędrownką po schodach przyszła oznajmić mi, że Rushit wyraził zgodę, żebym pojechała. Zaczęłam skakać ze szczęścia.

- Ubieraj się, oni chcą zaraz jechać. Saranda zrobi herbatę. To w Kosowie nauczyłam się cieszyć takimi drobiazgami, każdą chwilą, która sprawiała przyjemność. Tak było jeszcze długo, długo po moim powrocie do kraju. Wyniosłam stamtąd nie tylko przykre wspomnienia, ale i też doświadczenia, które nauczyły mnie inaczej patrzeć na życie...

Kiedy przejeżdżaliśmy koło sklepu, widziałam przez otwarte drzwi Rushita, siedział na stołku w otoczeniu innych mężczyzn, w ręku miał butelkę piwa. Spojrzał na przejeżdżające auto i dał Ramushowi znak żeby się zatrzymał. Podbiegł do nas. Spodziewałam się najgorszego, że każe mi wracać, albo będzie zły, bo patrzyłam w stronę sklepu, czego nie powinna robić żadna szanująca się kobieta w tamtych stronach. Otworzył drzwi z mojej strony, zmierzył mnie wzrokiem, po czym zadowolony, że ubrana byłam skromnie spytał, czy chcę coś ze sklepu na drogę.

- Pewnie - uśmiechnęłam się - coś słodkiego, poproszę.

Po chwili przyniósł mi reklamówkę z ciastkami, cukierkami, napojem i czekoladą. Życzył nam szerokiej drogi i zatrzasnął drzwi. W lusterku wstecznym napotkałam zdziwiony wzrok Ramusha. Ale ja byłam jeszcze bardziej zaskoczona. Rushit bardzo rzadko bywał dla mnie miły i troskliwy.

Zaraz za Carrallukiem przejeżdżaliśmy koło stacjonującego tam ruskiego KFOR, czułam na sobie baczne spojrzenie Ramusha i Afrima, który specjalnie opuścił klapkę z lusterkiem, żeby mnie obserwować. Przezornie spuściłam głowę udając, że szukam czegoś w plecaku. Pamiętałam,

mniej więcej, drogę do Prisztiny, kiedy jechaliśmy tam jakiś czas temu z Shyrete na zakupy przed jej ślubem. Miejscami naprawdę Kosowo niewiele różniło się od Polski, tylko groby między przydrożnymi drzewami przypominały, że jednak to nie Polska, tylko kraj, gdzie tak niedawno skończyła się wojna. Nie wiedziałam, czy mi się wydawało. ale byłam pewna, że przy drodze stało więcej budynków niż poprzednio. Kilka kilometrów przed Prisztiną w polu stał całkowicie zrujnowany dom, nie widziałam go poprzednio.

- Co tu się stało? Nikt go nie odbudowuje, albo przynajmniej nie zburzy do końca? Czy zginęli tu jacyś ludzie?

Połowa ruin wgnieciona była niemal w ziemię, dom wyglądał jak starzec bez nogi, który resztkami sił podpierał się na kikucie.

- To tutaj stacjonowali Serbowie przez jakiś czas, to dzieło NATO. Zrzucili bombę. - wyjaśnił Ramush. - Poczekaj, dalej też jest coś ciekawego. Ale ty już byłeś w Prisztinie. nic tutaj nie widziałeś?!

- Jechaliśmy jak na wyścigi, a poza tym co miał mi pokazać Rushit. skoro on sam niewiele wie...

Przez samym wjazdem do Prisztiny Ramush pokazał mi i Afrimowi koszary, które wyglądały jak cmentarzysko kilku budynków.

- To koszary wojskowe. Serbowie mieli tu swoje wojska przez całą wojnę. To również sprawka NATO.

- Zabili ich chociaż? - powiedziałam

- Niestety nie, bo zdążyli uciec.

- Czemu nie zostały rozebrane?

- To rodzaj pamiątki. Po wojnie nie ma już UCK, tylko TMK (*Korpus Ochrony Kosowa*). Oznacza to, że oddziały zbrojne Kosowa, mają siedzibę tu niedaleko. Pokaże ci. Te koszary mają tu zostać jako przestroga dla Serbów, żeby tu nie wracali, ale i dla Albańczyków, którzy zapomnieli, że wojna skończyła się niedawno. Bardzo wielu nie pamięta już o tym.

W tej kwestii byłam raczej obiektywna. Nie wiedziałam, jak było naprawdę, o polityce Kosowa miałam bardzo małe pojęcie. Dopiero po moim powrocie do Polski zabrałam się poważniej za lekturę, która otworzyła mi oczy na wiele spraw związanych z Kosowem i ogólnie z Jugosławią.

Najpierw pojechaliśmy do jakiegoś urzędu, gdzie Afrim miał załatwić swoje sprawy. Czekaliśmy godzinę. Siedziałam z Ramusem w samochodzie. Palił niesamowicie dużo papierosów, bałam się, czy nie zaszkodzi to mojej ciąży, na szczęście była ładna pogoda i pod pretekstem, że jest za gorąco, otworzyłam okno. Widziałam zainteresowanie moją osobą mężczyzn stojących przed budynkiem. Wyciągnęłam z plecaka zeszyt, który zawsze przy sobie nosiłam i zaczęłam pisać byle co, żeby tylko nie patrzeć w ich stronę. Było to trudne, kręciła się ich cała masa dokładnie dookoła auta.

- Ale trudne życie mają tutejsze kobiety - pomyślałam, podziwiając je na bazarze zrobili mi prawdziwy maraton, bo dostałam tylko pół godziny na zakupy. Afrim chodził przede mną, jak na mużułmańskiego mężczyznę przystało. Pięćdziesiąt marek, które od niego dostałam nie było aż tak zawrotną kwotą, ceny były tam czasem nawet wyższe niż w Niemczech. Kupiłam maleńkie śpioszki, papciuszki, skarpetki i dwie czapeczki. Przez całą drogę powrotną układałam je, przekładałam i pakowałam po kilka razy do woreczka. Wyobrażałam sobie, jak maleńka dzidzia zmieści się w to, moje dziecko. Moje i mężczyzny, którego kochałam jeszcze tak niedawno do

szaleństwa.

Z WIZYTĄ U RODZINY SARANDY

Wczesnym popołudniem Nasife zaproponowała, żeby pojechać do Baicy, do rodziny Sarandy.

- Iza nie była tam jeszcze. Powinniśmy ich odwiedzić.

Ramush lubił tam jeździć, więc się nie sprzeciwił. Przebrałyśmy się z Sarandą błyskawicznie. Nasife dała wskazówki chłopakom, co mają zjeść i ruszyliśmy w drogę.

Koło sklepu zauważyłam, że nie było tam samochodu Rushita. Zrobiło mi się smutno, że byliśmy tak blisko siebie i jednocześnie tak daleko. Droga prowadziła w kierunku Prisztiny, potem skręcało się na Gllgovc.

- To tutaj chodziłam z Kastriotem do gimnazjum - szepnęła Saranda, wskazując dyskretnie palcem budynek szkolny - Rushit też tu chodził.

Prawie widziałam, jak spacerują po placu, młodzież jeszcze wtedy beztroska, szczęśliwa, a może już nie?! To wówczas zaczął się czas demonstracji w Prisztinie, w których brali udział przeważnie studenci i młodzież albańska. Bardzo wiele aresztowań miało wtedy miejsce. Ale czy mimo wszystko nie byli bardziej beztroscy niż po wojnie. Nie mnie było oceniać ich sytuację, nawet w wiadomościach nikt nie przekazywał prawdy, na tym przecież polega polityka, im mniej prawdy, tym bardziej jest ona sama prawdziwa. Dojeżdżaliśmy do Baic. Domy stały na wznie-sieniu, a w dole... cmentarz. Na początku cmentarza stał wysoki cokół.

- To pomnik ofiar masakry - Saranda odpowiedziała na moje pytanie, którego nie zdążyłam jeszcze zadać.

- Tu miała ona miejsce?

- Tak, zabito wielu ludzi, nie tylko z Baic, ale i z pobliskich wiosek i nawet z samego Gllgovc. Zobacz, widzisz ten dom?

Przejeżdżaliśmy akurat koło budynku mieszkalnego całkowicie skrytego za drzewami, wyglądał na opuszczony.

- Mieszka tu kobieta, która straciła w ciągu jednego dnia męża i czterech synów.

Nawet nie próbowałam wyobrazić sobie jej bólu. Nie było to możliwe. Musiał być nieludzki.

- Serbowie zabili ich na podwórzu, ona musiała na to patrzeć.

- Mieszka teraz sama?

- Nie, z jakąś dalszą rodziną, ale od tamtej pory straciła kontakt ze światem.

Może nie miałam prawa, ale w tamtym momencie nienawidziłam całego narodu serbskiego. Sama oczekiwałam dziecka, miałam zostać matką i każda podobna historia wstrząsała mną do głębi. Ramush zatrzymał auto przed drewnianą bramą, wysiadł i otworzył ją, gestem pokazał mi, że mam wsiąść za kierownicę i wjechać. Często jeździłam po podwórzu autem Rushita. Kiedy chciałam je umyć, musiałam podjechać do ujścia wody. Ucieszyłam się bardzo i szybko się przesiadłam. Nasife zaczęła wzywać Allacha i wyzywać półgłosem na Ramusha, że wpadł na taki pomysł, a ja śmiejąc się, wjechałam jak zawodowy kierowca i zatrzymałam na samym środku podwórza. Po chwili z domu wybiegła rodzina Sarandy, matka, którą pamiętałam z wizyt w

Carralluk, brat Sadri, jego żona, drobniutka, wiecznie uśmiechnięta i przesympatyczna Remzija, siostra Mihrija i dzieci.

Okazywano nam tyle szacunku, że chwilami czułam się wręcz niezręcznie. Choć musiałam przyznać, że było to bardzo miłe. Wprowadzono nas do środka, do salonu, gdzie jedynym meblem prócz poukładanych w podkówkę materacy była mała meblościanka uginająca się pod ciężarem książek. Poczułam, że to zupełnie inny świat. Najpierw dokonano ceremonii przywitania. W sumie podczas moich wizyt rzadko kiedy pytano mnie o zdrowie całej rodziny, najwyraźniej wychodzono z założenia, że mój albański nie dojrzał jeszcze do takiego stopnia. Mama Sevdii, po przywitaniu się z Ramushem i Ule pochyliła się i podała mi rękę:

- Jak się czujesz, Iza?
- Dobrze.
- Jak się czuje Ramush?

Zapytała o każdego członka rodziny, nawet o moich rodziców. To samo zrobiła Remzija, potem Sadri z drugiego końca pokoju, nie podnosząc się z miejsca, zadał mi te same pytania. Poczułam, że to miejsce było prawdziwym Kosowem, gościnni ludzie, serdeczni. Mimo, że prości, to inteligentni. Spojrzałam na Sarandę, jak ona musiała się czuć, kiedy z takiego miejsca, gdzie w powietrzu unosiła się rodzinna atmosfera, gdzie ludzie nie patrzeli na innych wilkiem, gdzie nikt nie liczył, ile bułek zjadło się podczas posiłku musiała pójść do domu naszej teściowej. Od razu widać, że musiała być bardzo zakochana. Mihrija podała nam po szklance napoju i zaczęła przygotowywać kawę, uprzednio pytając, czy wolę bardziej, czy mniej słodką.

Do pokoju weszła młoda, szczupła kobieta, nigdy wcześniej jej nie widziałam, mimo że drobnej budowy chodziła bardzo szybko i miała energiczne ruchy. Za nią wbiegło kilkoro dzieci, jedna dziewczynka i dwóch chłopców w wieku szkolnym, jeden malec, który miał zaledwie trzy, cztery latka. Mimo, że równie dzikie, to jednak różniły się od dzieci, które do tamtej pory poznałam w Carralluk. Schludniej ubrane, miały mądre oczy, patrzyły nimi inteligentnie na świat. Kobieta przywitała się ze wszystkimi. Nasife zapytała ją, co akurat robiła.

- Sadziłam akurat cebulę, potem chciałam iść podlać kwiaty.
- Za dużo pracuje - westchnęła mama Sarandy - ale wcale mnie nie słucha. Nawet jej nie zatrzymuję więcej.

Och, takiej synowej potrzeba matce Rushita, tylko, że ona wcale nie martwiłaby się, że któraś z nas za dużo pracuje. Jeszcze goniłaby do dodatkowej pracy. Gdyby miała taką możliwość, zamęczyłaby swoje synowe w ciągu kilku lat i potem wymieniła na nowe. Takie były niestety realia. Gdyby była chociaż w połowie taką kobietą jak Abide. mama Sarandy, to nie tylko pracowałabym jeszcze więcej, ale myłabym jej stopy dawnym zwyczajem.

Kiedy wypiliśmy kawę, przyszedł wujek Sarandy i Mihrija zaproponowała, żeby wszystkie kobiety udały się do pomieszczenia z tyłu domu, które służyło za kuchnię.

- Ale tu czyściutko - szepnęła Nasife mi do ucha, kiedy wychodziłyśmy z domu.

Rzeczywiście wszystkie buty wyczyszczone stały poukładane w rzędki. Taras lśnił, ani śladu błota.

- Oj, pracuje Mihrija i Ziza... Żeby i moje nusje tak chciały...

Miałam na końcu języka, że u nas dwóch chłopaków robi więcej bałaganu, niż cała ferajna dzieciaków. Afrim i Blerim przyzwyczajeni przez matkę do swobodnego i beztroskiego życia

nic sobie nie robili z bałaganu, jaki po sobie zostawiali. Zostawiali zabłocone buciska. rzucone na środku tarasu, czasem któremuś się spieszyło i potrafił w obuwiu biegać po całym domu, szukając czegoś. Nawet kiedy pili wodę, nie sprząтали szklanki, przez co ktoś nieuważny bardzo często kopał je potem niechcący. Było już jednak za późno, żeby uczyć ich czegokolwiek. Czym skorupka za młodu nasiąknie... Zresztą Nasife była dokładnie taka sama. Potrafiła godzinami mówić o czystości, nawet zwrócić mi uwagę przy posiłku, że moje paznokcie już wystają za skórę, czyli zaczynają rosnąć, a sama często była na bakier z porządkiem, czy nawet z higieną osobistą, o czym miałam zresztą okazję przekonać się nieraz na własnej skórze przez te lata spędzone w Kosowie.

Usiadłyśmy w kącie. Przyjrzałam się pomieszczeniu, mimo, że urządzone skromnie, było bardzo przytulne. Gołe ściany, z sufitu zwisała żarówka na długim kablu, na podłodze zamiast dywanów lub wykładziny poukładano koce. Dokoła materace, na samym środku piec. Ale czułam się tam, tak jak nie czułam się już od miesięcy: swobodnie, nie myślałam o pozostawionym w Carralluk ponurym, szarym życiu. Wiedziałam, że i pewnie w Baic mają problemy, kłopoty, które przygnębiają ich jak wszystkich ludzi. Kobieta, która zaimponowała mi taką energią była żoną Hasana, najstarszego brata Sarandy, którego Serbowie podczas wojny złapali w lesie i zamknęli w więzieniu jako szpiega. Śmieszny zarzut, ale poważny wyrok, dziesięć lat. Procesu nie było, bo w to Serbowie się nie bawili, był po prostu więzień, najczęściej przypadkowy, zarzut, wyrok i cela, na długie lata. Podziwiałam Zizę, że miała na tyle siły, żeby dać sobie radę sama z dwójką dzieci, pracować zawodowo jako nauczycielka i jeszcze biegać po adwokatach, żeby wyciągnęli jej męża z więzienia. Nie traciła wiary i pogody ducha, przynajmniej podczas wizyt gości. I współtworzyła dom pełen miłości i miłej atmosfery.

- Iza, umyj ręce - Saranda przerwała mi niespodziewanie myśli, nade mną stała uśmiechnięta Remzija i pochylała się trzymając miskę i dzbanek z wodą.

Umyłam ręce. starając się zrobić to dokładnie, mimo braku mydła i wytarłam w podany mi przez Zizę ręcznik. Uśmiechnęłam się do niej przy tym najserdeczniej jak umiałam. Na kolację podano nam pite ze szpinakiem. Potrawę, którą jadłam często w Carralluk, ale jednak o wiele smaczniejszą. Saranda powiedziała, że jej mama zawsze dodaje dużo śmietany, przez co pita jest smaczniejsza. A nasza teściowa zwyczajnie jej żałowała. Jadłam z wielkim apetytem i pewnie wylizałabym jeszcze całą blachę, gdybym nie pohamowała się w porę. Spojrzałam kątem oka na wszystkie siedzące dookoła kobiety: teściowa mlaskała głośno, palce miała całe umazane w farszu, obok niej siedziała o połowę drobniejsza Abida. Miała bardzo sympatyczną twarz, chociaż duży, lekko garbaty nos dodawał jej nieco powagi i surowości. W końcu musiała być też silna psychicznie, nie było łatwo wychować czterech synów i dwie córki. Do tego Mihrija, przybrana trzecia córka. Saranda opowiadała mi krótko po ślubie Shyrete jej historię.

Kiedyś rodzina Sarandy i Mihriji mieszkały na jednym podwórku. Ich ojcowie byli braćmi. Niestety matka Mihriji szybko zmarła, a jej mąż nie radził sobie dobrze z dorastającą jedynaczką. Tak więc wychowywała się ona w domu rodzinnym Sarandy, spędzały każdą wolną chwilę razem, spały pod jedną pościelą, chodziły do tej samej klasy, dzieliły się chlebem. Dwie papuzki nierozłączki. Po jakimś czasie ojciec półsieroty postanowił się ożenić ponownie, znalazł bardzo dobrą kobietę, wybudowali dom jakiś kilometr dalej i zabrali Mihriję do siebie. Urodził im się syn Afrim i córka Howa. Tworzyli szczęśliwą rodzinę, ale Mihrija mimo to tęskniła za swoją kuzynką i mamą-Bidą, jak nazywała jej mamę. Husajn widząc, że jego córka była nieszczęśliwa,

zapytał starszego brata, czy przyjmie jego córkę pod swój dach. Ten zgodził się od razu. W ten sposób Mihrija i Saranda znowu były razem, nierozłączne. Obie miały też dwa domy rodzinne. Niestety Afrim trafił w czasie wojny wraz z Hasanem do więzienia w Serbii. Miał wtedy tylko dwadzieścia lat. O obojgu nie miano żadnych wieści od zakończenia wojny, wiadomo tylko było, że najprawdopodobniej żyli...

Po kolacji Remzija robiła dla nas na dole herbatę, a Ziza poszła na górę do mężczyzn. Kolejna rzecz, która mnie zastanawiała, w Carralluk nie było o tym mowy, żeby kobieta usługiwała facetom. I sam sposób, w jaki Ziza i Remzija rozmawiały z Ramushem. Zupełnie na luzie. Zrozumiałam wówczas, że tamto miejsce, do którego przywiózł mnie Rushit, to nie jest prawdziwe Kosowo. Kosowo, gdzie większość ludności to muzułmanie, nie musi być cywilizacyjnie zacofane. Jeśli trafi się do porządnej i naprawdę kochanej rodziny, to można tam żyć całe lata i być szczęśliwszym niż w największych krajach europejskich. Oprócz innego, o wiele korzystniejszego klimatu, pięknych miejsc, największą zaletą tego maleńkiego kraju - nie kraju był brak szaleńczego tempa w życiu codziennym jego mieszkańców. Nikt nie gonił, jak to mieli w zwyczaju pozostali mieszkańcy Europy. Żyło się tam powoli, a życiem wręcz się delectowano.

To był jeden z najmiłszych wieczorów podczas mojego pobytu w Kosowie. Z zalem żegnałam się z tamtą rodziną. W samochodzie spojrzaliśmy z Sarandą na siebie i bez słów zrozumiałśmy swoje myśli. Przykro było wracać znowu do tego samego miejsca...

Nawet jeśli nie ma prądu, to Kosowo ma swój urok w ciemnościach. A kiedy są światła, nie można się oprzeć czarowi tych malutkich domków stojących w oddali, przed każdym z nich zwyczajem tamtejszym pali się światło na ganku. Psy szczekają jakby bardziej swojsko, powietrze pachnie inaczej. Mijały nas różne auta, piękne, sprowadzane najczęściej z Niemiec nowiutkie audi, BMW, zdarzały się też stare, zniszczone golfy, nawet trabant. Często przejeżdżały traktory, opancerzone pojazdy żołnierzy KFOR, wozy policji międzynarodowej i białe-czerwone jeepy policji albańskiej. Mimo spokoju, jaki panował dookoła, czułam jeszcze zapach wojny i słyszałam jej odgłosy. Przecież nie przeżyłam tego osobiście, ale wspomnienie wojny przenikało mnie do szpiku kości. Nie myślałam o tym, jakie piękne widoki mnie otaczają, o tym, że dobrze, że jest energia. Moje myśli zajęte były tym, co jeszcze dwa lata, czy nawet rok temu robili ci ludzie. Okolice wówczas były puste, nie było tych świateł, tych samochodów. Strzały, krzyki, ciężkie czołgi przejeżdżające po polach, które żywiły swoimi plonami ludzi. Co myśleli Serbowie, pustosząc obce terytorium, co czuli wchodząc do tych domostw, co mieli w sercach, widząc porzucone na stołach posiłki i rozrzuconą pościel, z której wyskakiwano w pośpiechu...

Ile gardeł podejrzyto na odcinku drogi z Baicy do Carralluk, ile niewinnych dziewcząt zgwałcono i zabito?! Zbliżała się baza rosyjskiego KFOR, znak, że Carralluk był bardzo blisko. Po kilku sekundach Ramush skręcił i wtoczył auto powoli pod górkę. Tu pojawiła się znenawidzona wieś, za którą po latach mimo wszystko tęskniłam bardzo i którą wspominałam z czułością. Taka już jest natura ludzka, bardzo szybko zapominamy to, co złe. Najlepszym przykładem była właśnie wojna dla Albańczyków, która stała się dla większości tylko złym snem, nie żyli już wojną, ani tym, co ona zostawiła im w spadku po sobie, tylko dniem codziennym. Nie zawsze bywa lekko wspominać coś okrutnego, można starać się zmienić myśli, ale nigdy zapomnieć... Zapomnieć to jak umrzeć za życia.

NOWE ZAJĘCIE RUSHITA

Lato tego roku było bardzo upalne, chociaż Ule powiedziała, że tak jest co roku w Kosowie. Z braku termometru nie mogłam stwierdzić, ile stopni było w cieniu, ale z pewnością dużo...

- Przecież tu nie można nic robić, nawet oddychać się nie chce - marudziłam Rushitowi od rana.

- To weź zimny prysznic.

- A ty myślisz, że co robiłam dziś przez większość dnia? W Polsce poszłabym na basen albo pojechała nad morze. Moja rodzinka przy takiej pogodzie pakuje się do auta i rusza gdzieś przed siebie.

Spojrzał na mnie wściekły, strasznie nie lubił, kiedy opowiadałam coś pozytywnego o moich rodzicach. Nie raz usłyszałam przykre rzeczy na temat wszystkich Polaków. Bez wyjątku... Mimo że nie znał mojego kraju, potrafił ocenić go podle. Miał podobnie jak pozostali członkowie jego rodziny jakiś kompleks. Oczy otworzyłam dopiero po latach, kiedy już nie byliśmy razem i uwolniłam się od niego fizycznie i psychicznie, chociaż strach przed niepoczytalnością Rushita przykleił się do mnie na długie lata.

- A może chcesz jechać na basen, co? - zapytał ironicznie - Będiesz miała okazję, już niedługo, na jesieni będziecie prac dywany, wtedy kobiety jeżdżą na basen.

Spytałam Sarandę, czy rzeczywiście kobiety nie chodzą w Kosowie na basen, zaczęła się śmiać, patrzyła przy tym na mnie z niedowierzaniem, że aż taka naiwna mogę być.

- Jak nie było prądu, to jeździłyśmy ze Shyrete na basen prac tam dywany. Ramush zawoził nas tam i wracał po kilku godzinach.

- Co? Przecież na basen chodzi kapać...

- Ale nie w Kosowie, ha ha!

Denerwowało mnie, że śmiano się ze mnie. A przecież to ja mogłam mieć niezły ubaw, że w Maliszewie na otwartym basenie, którego przeznaczenie jest oczywiste, prano dywany.

Ostatnie miesiące ciąży dłużyły mi się niemiłosiernie. Rozwiązanie wydawało mi się odległe. Dzidzia kopała coraz boleśniej, chwilami było widać jej odznaczające się nóżki. Dzięki temu maleńkiemu stworzonku byłam mimo wszystko szczęśliwa, choć troszkę, o ile można było mówić w ogóle o byciu TAM szczęśliwym...

- Będzie miało twój temperament - śmiała się moja mama.

- Dobrze, że dzwonicie - chlupałam w słuchawkę - chociaż to trzyma mnie przy zdrowych zmysłach. Dzięki tym telefonom odróżniam niedzielę od innych dni.

Umówiłam się z rodzicami, że będą dzwonić w każdą niedzielę, o ile coś im nie wypadnie. Żyłam wtedy tylko tymi dniami w tygodniu. Rushit szybko domyślił się, zresztą nie ukrywałam tego, że czekam na telefon od rodziny. Co niedzielę miałam przy telefonie „wartę”, jak to złośliwie nazywała Nasife, starałam zawsze trzymać się w pobliżu telefonu. Na moje szczęście aparat nie działał bez kabla, w przeciwnym razie pewnie Afrim zabierałby telefon ze sobą. Co kilka minut sprawdzałam, czy jest dostatecznie dużo baterii i czy działa wszystko tak, jak należy. Blerim stukał się w czoło i mamrotał pod nosem, że jestem idiotką, ale miałam to w nosie. Któregoś dnia Rushit stwierdził, że jego kuzyn z Klin znalazł knajpę do wynajęcia. Czynsz miesięcznie 300 marek, więc niedrogo. Zaczęły się negocjacje w domu. Rushit usiłował przekonać matkę, że to świetny pomysł, prosił, żeby porozmawiała z Ramusem w sprawie

pieniędzy.

- Oddam wam, szybko się zwróci. - obiecywał.
- Nie wiem Rushit...

Nienawidziłam tego tekstu z jej ust, powtarzała go kilka razy dziennie: „Nie wiem...”. Udawałam, że jestem bardzo zajęta pomywaniem szklanek. Jak zwykle nie było prądu, więc przyniosłam sobie wodę w dzbanku, poustawiałam w kącie na podłodze, obok szklanek i miski do wody i zaciekle kręciłam każdą z nich w rękę przez kilka minut, żeby nie kończyć za szybko, byłam ciekawa, jak to się rozstrzygnie.

- Dobrze, Rushit! Porozmawiam z Ramusem, ale niczego nie obiecuję...

No i Nasife przez cały dzień czekała na odpowiedni moment. Nadszedł wieczorem, Rushit jak zwykle siedział w sklepie i grał w karty, a chłopacy po kolacji poszli grać w piłkę. Ramush usłyszał od swojej żony pokrótce o co chodzi.

- To niedużo pieniędzy, a musi się w końcu czymś zająć. Przecież oczekują dziecka.- zakończyła swój monolog i czekała na reakcję męża.

Ten westchnął, zapalił papierosa, zaciągnął się głęboko i powiedział:

- To nie jest interes dla Rushita, on ma problem z alkoholem, przepije wszystkie trunki w swojej knajpie.

Akurat w tym momencie włączono prąd, więc nie mogłam dalej siedzieć i słuchać. Saranda zerwała się na równe nogi i włączyła szybko pralkę, a ja pobiegłam do łazienki, żeby napełnić wiadra wodą. Jak już wspominałam, pompa działała tylko na prąd, a dopływ wody na podwórku był rzadko dostępny. Skonstruowano go w taki sposób, że jeśli u Sahita albo u Bajrama, ktoś miał odkręcony kran przed domem, to u nas nie leciała ani kropelka. Na „genialny” pomysł wybudowania studni daleko od domu i dociągnięcia rur na podwórza wpadła Nasife, kiedy sąsiadce Selvie utopił się w studni czteroletni synek.

- Cholerny prąd - klęłam po polsku pilnując, żeby woda nie przelała się z wiader.

Nigdy nie było wiadomo, czy nie wyłączą po chwili energii, dlatego trzeba było korzystać z prądu natychmiast. Szybko wróciłam do pokoju, ale rozmowa najwyraźniej dobiegła końca. Oboje siedzieli w milczeniu i palili papierosy. Dopiero następnego dnia dowiedziałam się, jaki był rezultat tej dyskusji.

- Po śniadaniu jedziemy do Klin, weź wszystko, co jest potrzebne do sprzątanego, jakieś szmaty, miotłę, płyny - poleciał mi rano Rushit.

Nie bardzo uśmiechało mi się sprzątanego jakichś knajp, ale chciałam z czystej ciekawości pojechać tam i zobaczyć to miejsce. Świetnie zdawałam sobie sprawę, że nie będzie już okazji. Rushit pod żadnym pozorem mnie przecież tam nie zabierze. Tłumaczył mi, że robiąc to, nie szanowałby mnie jak należy. Nie wierzyłam w jego dobre intencje, albo zwyczajnie chciałam wierzyć.

- Ubierz tę czarną sukienkę, którą kupiłaś kiedyś w Niemczech. Kuzyn Ibrahim ma knajpę, jeśli nie będzie tam za dużo dziwnych typów, to pójdziemy na kawę do niego. Poznasz jego dziewczynę, która tam pracuje.

- Jak to pracuje?! Przecież kobietom nie wolno nawet przebywać w takich miejscach a co dopiero pracować...

- To inna historia. Ibrahim ma trochę inne podejście do kobiet.

- Pewnie normalne podejście, jak każdy zrównoważony facet - pomyślałam złośliwie.

Rushit opowiedział mi pokrótce, że przyjaciółka Ibrahima ma dopiero 17 lat i uciekła z domu. Rodzice szukają jej, a ona nie chce wracać, bo znaleźli jej o kilkanaście lat starszego faceta.

- A Ibrahim ile ma lat? - spytałam z czystej ciekawości.

- Tyle co ja, a co ty się tak dopytujesz, co?

To spojrzenie nie wróżyło nic dobrego. Zmieniłam temat.

- Wiadro też zabrać?

Odwrócił się na pięcie i wyszedł. Musiałam uważać na to, co mówiłam. Każde słowo groziło zdenerwowaniem Rushita, a to z kolei prawdopodobieństwem uderzenia mnie. Blerim, korzystając z okazji chciał zabrać się z nami, Rushit nie miał nic przeciwko temu, ja zresztą też, ale do czasu. Kiedy wsiadaliśmy odsunęłam Blerimowi siedzenie, żeby usiadł z tyłu. Rzucił mi pogardliwe spojrzenie:

- Chyba nie sądzisz, że tam usiądę.

- A gdzie?

- Nie denerwuj mnie i siadaj do tyłu, ale już!

Zakotłowało się we mnie, co za bezczelny typ. Stałam koło auta i czekałam aż wróci Rushit. Kiedy mu powiedziałam, w czym problem, zaczął krzyczeć jak opętany, że mamy go nie wkurzać i wsiadać. Przestraszona, ale i naburmuszona usiadłam na tylnym siedzeniu. Nie mogłam się jednak powstrzymać od kilku nieprzyjemnych uwag pod adresem Blerima, który z kolei nie ukrywał satysfakcji, że postawił na swoim. Rushit nie odzywał się do czasu, kiedy nasza wymiana zdań nabrała ostrzejszego tonu.

- Zamknij się! - wrzasnął nagle, odwrócił się i uderzył mnie w twarz. auto zatoczyło się niebezpiecznie, ale w porę zdążył utrzymać kierownicę.

Bałam się płakać, ale łzy same wymknęły się spod powiek.

- Zadowolony? - powiedziałam do Blerima.

W tym samym momencie Rushit zatrzymał samochód z piskiem opon.

- Zabije cię - wysyczał i już sięgał za klamkę, żeby wysiąść, kiedy Blerim złapał go za rękaw:

- Przestań, proszę. Jedźmy już. Ona już nie będzie.

Miałam ogromną chęć znowu otworzyć buzię, ale bałam się panicznie. Poczułam nerwowy skurcz w żołądku. Zaczęłam się w duchu modlić, żeby mu nie odbiło. Poglaskałam się po brzuchu. Moje maleństwo...

Przez resztę drogi myślałam tylko o tym, jak bardzo nienawidziłam ich obu w tym momencie. I zastanawiałam się tylko, którego bardziej.

Przejeżdżaliśmy nieopodal skupiska domów, które wyglądało jak cmentarz, kikuty ścian stały podpierając się nawzajem. Widok był tragiczny. Rushit, widząc moje zainteresowanie wytłumaczył, że to domy serbskie. UCK zbombardowało je podczas wojny.

- Ale najpierw pozwolili odejść mieszkańcom, nikogo nie skrzywdzili - dodał.

Tego nie wiedziałam na pewno. Zdaniem Albańczyków żołnierze UCK byli niewinni, pomagali Serbom, nie zabijali i w ogóle jeszcze pewnie dokarmiali wrogów?! Te uwagi jednak zostawiłam dla siebie, nie było sensu dyskutować na ten temat. Rushit zmienił ton na zupełnie zwyczajny, jakby tamtego incydentu nie było wcale, ale nie można było przewidzieć jego reakcji. W każdym razie Trybunał w Hadze miał inne zdanie o partyzantach, bo niedługo potem miały zacząć się aresztowania. Głośno było o procesie Remiego, jednego z dowódców UCK skazanego na kilkanaście lat więzienia za zbrodnie popełnione w czasie wojny. Tymczasem dojeżdżaliśmy

do Klina. Stało tam wiele pięknych domów, jakie rzadko spotykało się nawet w Niemczech, czy w Polsce.

- Czyje są te domy? - byłam obrażona na zachowanie Rushita, ale ciekawość zwyciężyła.
- Serbów, przed wojną mieszkali ich tutaj sporo.

Zdziwiła mnie obecność młodych dziewcząt na ulicy, spacerowały, chichocząc z łażących za nimi krok w krok chłopcami. W Maliszewie byłoby to nie do pomyślenia, przynajmniej nie w tamtym czasie. Potem w całym Kosowie nastąpiła inna epoka. Coraz częściej mówiło się o amerykańnianizacji społeczeństwa. Wjechaliśmy w małą uliczkę niedaleko od centrum. Stał tam rząd domków jednorodzinnych, na podwórzach i na ulicy pełno samochodów. Większość z niemieckimi szyldami. Pomiędzy nimi Rushit zatrzymał auto, przed nami stał dwupiętrowy budynek, na dole mieściła się knajpa, którą Rushit miał wynajmować, wyżej były mieszkania. Weszliśmy do środka, było tam nawet ładnie, tylko strasznie brudno. Rozejrzałam się, były tam dwa pomieszczenia, w pierwszym był barek, ściany pełne luster, drugie schowane w głębi, kilka przytulnych kanapek, typowe miejsce dla zakochanych. W rogu stała szafa grająca, łatwo domyśliłam się, że na pewno nieczynna. Do toalety bałam się wchodzić, ale w końcu tam Rushit też kazał mi posprzątać. Obrzydliwość. Na samym środku w podłodze dziura wylana betonem, pod ścianą umywalka. Bez słowa zabrałam się za robienie porządków. Najpierw wyczyściłam wszystkie szyby, potem zabrałam się za podłogę i na koniec za wątpliwą przyjemność, czyli toaletę. Tymczasem Rushit pod pozorem, że musi załatwić jakąś ważną sprawę pojechał gdzieś zostawiając mnie pod opieką Blerima. Ten zaczął czyścić barek i stoliki. Rushit obiecał mu, że będzie tam pracował, kiedy tylko będzie miał ochotę. Po kilku godzinach knajpa błyszczała. Usiadłam za barem.

- Jest sok, chcesz? - zapytał Blerim.
- Może być, poproszę.

Wtedy zauważyłam za jego plecami drzwi:

- Co tam jest?
- Zaplecze.

Podeszłam do drzwi, złapałam za klamkę, były otwarte. Pchnęłam je mocniej, zaskrzypiały. Sporych rozmiarów pokój, pod oknem poustawiane stoły, kilka starych naczyń, pod ścianą łóżko polowe, w kącie kilka krzesel.

- Co jesteś taka ciekawa, co? - usłyszałam nagle za plecami zachrypnięty głos Rushita.

Podskoczyłam:

- Przestraszyłeś mnie! Po co to łóżko tutaj?
- Będę tu spał, chyba nie myślisz, że dam radę jeździć stąd codziennie do Carralluk?!

Poczułam, że tracę nad nim całą kontrolę, nie liczył się już absolutnie z moim zdaniem ani z moją osobą. Mieliśmy akurat wychodzić, kiedy do knajpy wszedł jakiś mężczyzna. Skądś go znałam, ale nie mogłam skojarzyć skąd.

Blerim podał mi sok, Rushit usiadł z nim przy stoliku, nie słuchałam, o czym rozmawiali, bo przezornie wolałam wycofać się do drugiego pomieszczenia. Po kilku minutach Rushit zawołał mnie, siedział tylko z Blerimem.

- Wiesz, kto to był?!
- Nie, ale kojarzyłam skądś jego twarz.
- Znany piosenkarz - tu powiedział jego imię, ale nic mi to nie dało. wiedziałam jednak już czemu wydał mi się taki znajomy.

- Dzięki za pracę - powiedział Rushit do mnie i Blerima, wtedy zwróciłam uwagę, że jest pijany, miał dziwnie błyszczące oczy.

Poczułam nerwowy skurcz w żołądku. Zaczęłam się modlić w duchu, żebyśmy już pojechali. Wręcz tęskniłam za Nasife i za Carralluk.

- Jestem zmęczona, jedziemy już?

- Jasne, ale przedtem pojedziemy na chwilę do Ibrahima, byłem tam u niego, nie ma dużo ludzi, a jego dziewczyna chciała cię poznać.

Jego knajpa stała w samym centrum, nie dawałam Rushitowi szans na utrzymanie długo tamtej restauracyjki, nie na takim odludziu, ale to była jego decyzja.

- Kim on jest dla was? - spytałam Rushita w samochodzie? – Twoim kuzynem?

- Nie, Ramusha. Ich matki były siostrami. Dla mnie jest właściwie wujkiem. Ibrahim to wielki człowiek, był dowódcą jednostki UCK, zabił masę żołnierzy serbskich, po wojnie pojechał do Niemiec, ale na krótko, powiedział, że najlepiej żyje mu się w Kosowie. Występował też w teledysku Ilira Shaqiri - dodał z dumą.

„Wielki” to może był wuj Ibrahim ale nie dosłownie, wzrostem okazał się jeszcze niższy od Rushita, a jego dziewczyna, piękna, ale młodzianka blondynka z włosami do pasa, miała jakieś 180 cm. Wyglądali śmiesznie.

- Drita - przedstawiła się, wyciągając rękę do mnie i uśmiechając się przy tym szczerze.

Była bardzo sympatyczna. Staliśmy przy barku, Rushit nie spuszczał wzroku ze mnie, a ja patrzyłam głównie na czubki swoich butów. Ibrahim cały czas śmiał się głośno, klepał Rushita po ramieniu i zadawał mi masę pytań, nazywając mnie przy tym: „Niemka”.

- Nie jestem Niemką, tylko Polką - sprostowałam to w końcu Gdzie tam, Rushit przywiózł cię z Niemiec, to jesteś Niemką - zaśmiał się gromko.

Wtedy do barku podeszły dwie młode, ładne dziewczyny. Jedna blondynka z włosami do pasa, ubrana w obcisłe spodnie, druga z mocnym makijażem, bardzo ładna, w długiej streczowej sukience. Pierwsza przedstawiła się jako Donika, druga jako Leonita.

Przy nich poczułam się jak Kopciuszek. Zastanawiała mnie obecność tych dziewczyn, zapytałam Rushita, czy one tam pracują.

- Tak, to barmanki, Drita pracuje tutaj też, ale nie zawsze może być w pracy, więc mają na zmianę te drugą.

- He one mają lat? Rodzice puścili je do pracy? A Drita? Ibrahim godzi się, żeby pracowała w takim miejscu?! - tysiące innych pytań cisnęło mi się na usta, ale miałam wrażenie, że Rushit nie słuchał mnie wcale, był zajęty rozmową z Leonitą. Odniosłam wrażenie, że wyraźnie go faworyzowała.

Ibrahim polecił nam stolik w rogu, który właśnie się zwolnił. Oczywiście moje miejsce było plecami do sali. Leonita usiadła koło Rushita i co chwilę chwytala go za dłoń, szarpała, biła w żartach. Miałam łzy pod powiekami. Wszystko to odbywało się na moich oczach, Rushitowi podobało się to bardzo, zapomniał o mnie całkiem. Dopiero Donika i Drita zaczęły rozmowę ze mną. Obie pochwałyły mój albański. Flirt między Rushitem a tamtą dziewczyną zaczynał mnie denerwować.

- Ja chcę do domu! - powiedziałam z naciskiem, po albańsku do Rushita

- Blerim poszedł do miasta, zaraz wróci i pojedziemy. Zmęczona pewnie jesteś, co?

- Porozmawiam z tobą w Carralluk- wyszczałam,

- Chyba nie jesteś zazdrosna? - Rushit uśmiechnął się, widocznie imponowało mu to zachowanie Leonity i moja zazdrość, ale mi nie było do śmiechu.

- Jesteś bezczelny - tym razem mówiłam po niemiecku z nadzieją, że nikt nie rozumie, ale myliłam się.

- Czemu, Niemka? Przecież to porządny facet - Ibrahim wtrącił się do rozmowy i poklepał Rushita po plecach.

W tym momencie szklanka z colą wyleciała mi z ręki, cała zawartość znalazła się na mojej sukience. Tego mi jeszcze było trzeba...

- Chodź - Drita złapała mnie za rękę i pociągnęła w stronę łazienki.

Osuszyłam się, na ile mogłam.

Kiedy wróciliśmy na salę, Rushit rozmawiał o czymś z Ibrahimem podniesionym głosem.

- Ale dlaczego nie chcesz?

- Nie może pracować u mnie w knajpie, oszalałeś? Poza tym wcale nie chciałyby, sam jej zapytaj...

To miała być próba dla mnie, jedno fałszywe słowo z mojej strony i mogło skończyć się to dla mnie nieszczęśliwie.

- Ej, Niemka, dlaczego nie chcesz pracować w restauracji twojego męża, co? Zaoszczędzi na personelu, ha ha!

Idiota, albo udawał takiego. Spojrzałam na niego jak na szaleńca, potem znacząco na swój brzuch, czyżby nie było widać ciąży?! Drita pochyliła się nad Ibrahimem i szepnęła mu coś do ucha, ten spoważniał.

- No, Rushit, to pijemy! Leonita, dawaj piwo, a dla Niemki sok i leć do sklepu po czekoladę.

Atmosfera rozluźniła się nieco, a mnie zaczęło zastanawiać, czy naprawdę nie widać mojego błogosławionego stanu?! Rzeczywiście nie przytyłam dużo, wychodziły mi nawet kości biodrowe, a brzusek był po prostu małą piłeczką. Twarz nie zmieniała mi się ani trochę, tylko piersi urosły mi sporo, miałam przez to nadzieję na litry mleka dla mojej dzidzi. Wiedziałam, że w Kosowie nie mam co liczyć na produkty „Gerbera”.

Wracaliśmy do Carralluk po dziesiątej, byłam zmęczona, siedziałam z tyłu i milczałam zapatrzona w światła miast w oddali. Myślałam o Leonicie i Donice, chyba nie chciałam pytać Rushita, kim one były naprawdę. Nie chciałam znać prawdy. Rushit twierdził, że uciekły z domów, podobnie jak Drita, bo miały wyjść za mąż za mężczyzn, których nie kochały. Ale to nie pasowało do Kosowa. Tam dziewczyny zgwałcone podczas wojny popełniały samobójstwa, bo były hańbą dla rodzin. Nie podobało mi się, że Rushit miał zostawać w Kline na noc, nie ufałam mu na tyle, chociaż gdzieś podświadomie liczyłam na to, że mnie zdradzi, zawsze byłby to idealny powód, żeby od niego odejść i całkowicie obciążyć winą za rozpad związku. Chociaż przyczyn nagromadziła się masa...

AWANTURA Z RUSHITEM

Rushit rzadko wracał do domu, spędzał większość czasu w kawiarni. Na szczęście zatrudnił tam też Blerima, którego nieobecność w domu było powodem do świętowania.

- Jaki spokój - powiedziałam jednego dnia, kiedy Afrim jak co dzień poszedł grać w piłkę, Ramush pojechał do Maliszewa na zakupy, a Nasife poszła na kawę do Selvy.

Siedziałyśmy pod wierzbą na materacu i haftowałyśmy zawzięcie. Spodobało mi się to, wcześniej nie przyszłoby mi do głowy, że cokolwiek uda mi się zrobić własnoręcznie, a jednak udało mi się. Saranda kończyła *dushem*. Był to kawałek materiału, który narzucało się na kołyskę dziecka, kiedy spało. Ja nie miałam zamiaru kłaść swojego dziecka do kołyski, dlatego zaczęłam haftować poduszeczkę i małą kołderkę.

- Mam ci namalować wzór? - zaproponowałam jej widząc, że haftuje jakieś ciemnofioletowe kwiatki na materiale.

- Kwiatki?

- Nie, jakiegoś misia, takiego jak mój - pokazałam jej, byłam dumna ze swojego dzieła, pomarańczowy misio patrzył z podusi na świat niebieskimi oczkami, miał wielkie łapki i kokardkę.

- W Kosowie nie haftuje się misiów - Saranda parsknęła śmiechem. - Wszystkie kobiety wyśmiałyby mnie.

- Albo prosiłyby cię o wzór. Nie zakładaj od razu, że to, co inne musi być gorsze i nie będzie zaakceptowane. To ma być pościel dla dziecka. O wiele lepsze będzie dla niego coś śmiesznego, w ładnych kolorach. Od tych ciemnych kwiatków dostanie depresji...

Usiłowałam ją przekonać, ale bezskutecznie, chociaż rzeczywiście mój misiaczek na podusi i taki sam na kołderce bardzo spodobał się nawet starym kobietom we wsi.

- Iza. dlaczego nie chcesz kołyski dla dziecka?! Wszystkie kobiety tak robią.

Widziałam, jak one to robią i obiecałam sobie, że ja nie będę tak męczyła mojego dzieciątka. Ale więcej miałam zobaczyć po narodzinach naszych dzieci...

- To jest prawdziwy spokój, kiedy nikogo nie ma w domu - rozmarzyłam się. - Myślę, że mogłabym naprawdę mieszkać w Kosowie, tu nie jest źle, tylko ta rodzina jest przekłeta.

- To prawda, Kosowo jest niesamowite, można tu być tak samo szczęśliwym jak w Ameryce - podjęła temat Saranda, przypomniała mi tym samym, że już dawno chciałam ją o coś zapytać.

- Co twój brat na to, że Ziza pracuje? Przecież kobietom nie wolno nawet wychodzić na podwórze.

- No, co ty?! Tak jest tylko w Carralluk. W innych miejscach to całkiem naturalna rzecz. To tylko tutaj życie zatrzymało swój bieg dawno temu...

Nawet ona o tym wiedziała.

- Co czułaś, kiedy przekonałaś się, jaka to rodzina i co to za wioska?!

- Na początku było mi ciężko, ale z czasem można się do wszystkiego przyzwyczaić - Już zresztą ci mówiłam, że kocham Kastriota, bo tak nie wytrzymałabym tu ani minuty.

Kolejny dowód na to, że miłość rzeczywiście jest ślepa...

Znowu odwiedziła nas Shyrete. Siedziała w Carralluk już tydzień. Nie było w tym czasie żadnych nieprzyjemności z jej strony, ale mimo to nie cierpiałymy jej wizyt. Trzeba było wtedy robić jakieś wymyślne obiady, cały czas sprzątać, albo przyjmować koleżanki Shyrete, które przychodziły ją odwiedzać. Męczyło nas to, poza tym Nasife chodziła wówczas strasznie naburmuszona, czepiała się drobiazgów. Zupełnie jakby chciała się pochwalić przed własną córką, jaką ma władzę nad swoimi *misjami*. A wystarczyło, że Shyrete posiedziała za długo u nas, Nasife dawała jej delikatnie do zrozumienia, że mogłaby już jechać do domu

swojego męża, bo co na to sąsiedzi. Atmosfera podczas pobytu jej córeczki tym razem była jeszcze bardziej napięta niż zwykle. Wieczorami cała rodzina, oprócz mnie i Ramusha siedziała sama w salonie, rozmawiali bardzo długo. Czułam, że coś się wydarzyło, ale nie miałam jeszcze pojęcia co. Miałam wrażenie, że Saranda chciał mi powiedzieć, ale nie było okazji. Ta nadarzyła się sama, trzeciego dnia pobytu Shyrete u nas. Zaniósłłam Sarandzie do piwnicy farsz, akurat robiła pitę. Nasife poszła ze swoją córką do Selvy.

- Saranda, powiedz mi, proszę co się stało? Coś nie tak u Shyrete, prawda?

Najpierw spojrzała, czy nikogo nie ma przed wejściem. Zapytała, czy tamte dwie wróciły, a kiedy zapewniłam ją, że tak szybko nie wrócą, bo z okna mojego pokoju widziałam, jak Selva biegła do studni z czajnikiem, żeby zrobić herbatę, powiedziała:



Saranda w piwnicy robiła pitę. Wówczas mogłyśmy rozmawiać swobodnie bez obawy, że ktoś nas podsłucha.

- Tylko nie możesz powiedzieć nawet Rushitowi o tym, że coś wiesz. Nasife pewnie poinformowała go już, tylko po co mają wiedzieć, że to ja ci powiedziałam.

- Obiecuję, że nie powiem nikomu, a zwłaszcza Rushitowi, nie ma go nigdy w domu, to byłoby to trudne...

- Przyjechała ciotka Shyrete, siostra Ramusha z Niemiec z rodziną. Najpierw mieszkali przez kilka dni w domu rodzinnym jej męża, który jak wiesz jest bratem Bakiego. Ale pokłócili się z jego ojcem, ten ich wygonił, a Shyrete i Bakija poszli z nimi, zajęli mały domek nieopodal, a teraz chcą go rozbudowywać. Na początku Shyrete bardzo dobrze się z nimi dogadywała, ale od pewnego czasu między nimi źle się układa. Podobno Shoha narzeka, że ta nic nie robi.

- Tu akurat wierzę ciotce Rushita, nasza szwagierka nie jest przyzwyczajona do pracy.

Z jednej strony trochę się cieszyłam z tego, co przydarzyło się Shyrete, ale to bardziej ze względu na teściową, przecież zawsze stawiała nam swoją córeczkę za wzór, a tu okazuje się, że niezły z niej leniuszek. Nawet nie miałam pretensji do Ule, ani do siostry Rushita, że nie powiedziały mi o tym. Na ich miejscu pewnie też byłoby mi głupio się przyznać.

Po tygodniu Shyrete pojechała, a jej mama tym razem zegnała ją o wiele rzewniej, niż zawsze. Ja ciągle udawałam, że nie wiem nic o tym, co się stało. Poprosiłam ją, żeby pozdrowiła swojego teścia, spojrziała na mnie zmieszana, ale podziękowała, a ja pogratulowałam sobie złośliwości...

Pewnego dnia Saranda poprosiła Nasife, żeby jechać do Baicy na tydzień. Ale ta nawet słyszeć o tym nie chciała:

- Na dniach masz termin. Chyba nie masz zamiaru zrzucić się im na głowę, żeby lada chwila zacząć rodzić?!

- Termin mam za miesiąc, a poza tym nawet gdybym miała bóle już tam, to przecież Prisztina jest niedaleko.

- Nie macie samochodu - ta nie dawała za wygraną.

- Ale sąsiedzi mają, a na nich można liczyć.

Teściowa miała nikłą szansę na wygraną ze swoją starszą synową. Ta uparła się i koniec. Zresztą jej córka przebywała u nas bardzo często, a to nie wypadało zdaniem Nasife, więc w ostateczności można było użyć takiego argumentu.

- Dobrze, skoro już musisz, to niech Ramush zawiezie cię po obiedzie.

- Po co po obiedzie?! Możemy jechać tam na obiad, nie sprawimy im kłopotu, naprawdę.

No i pojechała, a ja znowu zostałam nieszczęśliwa, że to znowu nie ja...

Tamtej nocy po trzech dniach, wrócił Rushit. Obudził mnie, nie mogłam na niego patrzeć. Był brudny, pijany, miał na sobie inną bluzkę, niż ta, w której pojechał. Nieogolony, oczy podkrążone, zupełnie obcy człowiek. Ciągle miałam przed oczami widok jego i Leonity w miłosnym uścisku, mimo że starałam się o tym nie myśleć. Nie wierzyłam, że nic nie było między nimi.

- Co słyszać, żono moja?

- Twoja żono? Od kiedy? Gdzie byłeś przez te wszystkie dni Rushit, pamiętasz o tym, że jestem w ciąży, czy zapomniałeś? Co z ciebie za człowiek?! Z kim byłeś przez ten czas? Z Leonitą, co? Przyznaj się!

Obiecywałam sobie, że nie będę go prowokować ze względu na mój stan, ale nie potrafiłam się powstrzymać. Miałam mu to cholernie za złe, wiedziałam, że mnie zdradza i uważałam, że on powinien wiedzieć, że nie byłam naiwna.

- Nie byłem nigdzie, tylko pomagałem Blerimowi w knajpie.

- A nie radził sobie sam? Takie tłumy do was przychodzą? Super, to daj mi w takim razie pieniądze, żebym mogła kupić to, co potrzeba dla naszego dziecka - mówiłam zupełnie poważnie, miałam łzy w oczach, nie mówiłam już, ale krzyczałam.

Było mi już obojętne, czy ktoś usłyszy.

- Musiałem kupić alkohol do knajpy i zapłacić czynsz za kolejny miesiąc z góry.

Kłamca! Nie wierzyłam w ani jedno jego słowo.

- A gdzie spałeś w takim razie, u Ibrahima? Z Leonitą?

- Nie! - wrzasnął - Przestań mnie w końcu denerwować, lepiej rozbieraj się i to szybko.

- Nawet mowy nie ma, nie będę się z tobą kochała po jakichś dziwkach!

Uderzył mnie w twarz.

- Rozbieraj się i to szybko, powiedziałem. Zerznąłem Leonitę, a teraz chcę ciebie. Jesteś moją kobietą i będę to robić z tobą, kiedy tylko mam na to ochotę. Niczym nie różnisz się od tej dziwki.

Patrzyłam na niego jak na opętanego, to bolało bardziej niż raz w policzek. Nie wiedziałam, czy mówił prawdę, czy tylko chciał mi dokuczyć. Nie miałam jednak zamiaru z nim spać. Kiedy go uprzedziłam, że ma sobie wybić to z głowy, ponownie wymierzył mi cios. Wrzasnęłam z wszystkich sił. Byłam w ciąży, bałam się o moje małżeństwo. W tym czasie Rushit wyciągnął z kieszeni rozkładany scyzoryk w stylu „Butterfly” i tępą stroną uderzył mnie w kolano. Syknęłam z bólu, usiadłam w kącie materaca, nogi podciągnęłam mocno do góry, opatulłam się kołdrą i czekałam na to, co ze mną zrobi. Mógł mnie nawet zabić, miałam to w nosie, tylko o dziecko się bałam. Ale przecież dla niego nie miało to znaczenia, wiedział, że za jakiś miesiąc jego córeczka miała przyjść na świat. Nie stanowiło to dla niego żadnej przeszkody. Był bezwzględny.

- Co tam się dzieje? Dość tych hałasów po nocach!

To głos Ramusha. Zdenerwował się najwyraźniej. Nie miałam siły, ani odwagi, żeby prosić o ratunek. Przecież nie miałam szans, żeby w razie czego uciec. Milczałam, modląc się w duchu, żeby przynajmniej Ule wpadła na pomysł, żeby przyjść na górę, żeby zobaczyć, co tam się działo, ale nikt nie przyszedł. Rushit krzyknął do ojczyma, żeby ten poszedł spać. I zapadła cisza. Mój oprawca zapalił papierosa i spojrzał na mnie, spod jego czapki z daszkiem ledwie było widać oczy. Do tego paliła się tylko jedna świeczka, w tych ciemnościach wyglądał groźnie, serce waliło mi jak oszalałe.

- Posiedzimy sobie do rana, moja piękna. Ja mam czas. Nie chcesz się pieprzyć, to poczekam, aż zmienisz zdanie. Oparł się na łokciu i paląc nie spuszczał ze mnie wzroku, złośliwy uśmiezek nie zniknął mu z twarzy ani na chwilę.

- Ale ja muszę rano wstać i pracować...

- Nie interesuje mnie to, twoim podstawowym obowiązkiem jest zaspokajanie męża, a tego nie chcesz zrobić.

- Jestem w ciąży, nie mogę siedzieć całą noc, jestem zmęczona.

- To też mnie nie obchodzi.

Boże, co on miał za serce. Na szczęście moja męka nie trwała długo, bo alkohol dał się we znaki, Rushit zasnął, a ja krótko potem. Rano wstałam zmęczona, z silnym bólem głowy, oczy miałam całe spuchnięte.

- Co mu odbiło - krzyknęła Nasife, kiedy opowiedziałam jej przy porannej kawie o nocnych wydarzeniach. - To ten cały Ibrahim ma na niego taki zły wpływ. Żałuję, że pomogłam załatwić te pieniądze dla niego.

- Bzdura - pomyślałam - gdyby cofnąć czas, zrobiłaby to samo. Nieważne dla niej było to, co jej syn ze mną robił.

Rushit wstał krótko przed południem, siedzieliśmy akurat przy stole, jedliśmy śniadanie. Ktoś trzasnął drzwiami od łazienki. Serce zabiło mi szybciej, wiedziałam, że to on. Teściowa spojrzała na mnie badawczo. Nie umiałam ukryć strachu, który na pewno malował mi się na twarzy.

- *Mir mengjes* - mruknął i usiadł w kacie pokoju.

- Iza - szepnęła Saranda, wiedziałam, o co jej chodzi, ale udawałam, że nie mam pojęcia. Jadłam dalej. Czułam spojrzenie każdego z siedzących przy stole, ale nie podnosiłam wzroku, łaamałam kawałki chleba i maczałam go w *langu*. Nasife skinęła głową na Sarandę, ta wstała i podeszła do szafki, żeby zrobić kawę.

- Nie, nie chcę. - warknął Rushit i dodał po niemiecku do mnie - Wstawaj, bo zaraz wyjdziemy stąd i inaczej porozmawiamy.

Bałam się strasznie, ale twardo siedziałam dalej przy stole, udając jakby w ogóle nie dotyczyło to mojej osoby. Jego matka spojrzała na mnie błagalnie, Saranda dawała mi znaki, żebym go posłuchała. Nie potrafiłam w tej sytuacji dłużej się upierać, miałam za dużo do stracenia. Odrzuciłam kawałek chleba i wstałam. Zmierzyłam Rushita wzrokiem, starałam się, aby było to najbardziej pogardliwe i nieprzyjemne spojrzenie, na jakie tylko mogłam się zdobyć.

- Na korytarzu pod schodami stoi butelka rakiji, nalej mi trochę w szklanę po herbacie, tak żeby nikt nie widział.

Na tym etapie był jego alkoholizm. I na to miał pieniądze. Poszłam wściekła i przyniosłam całą butelkę do pokoju, na oczach wszystkich wlałam do pełna i podałam mu, jeszcze papierosy, popielniczkę i wróciłam do stołu. Rushit zaśmiał się nerwowo. Dopiero, kiedy zabrałam się do jedzenia, pozostali przestali się gapić i zrobili to samo. Wypił to, spalił papierosa i wyszedł.

- Idę do sklepu, kiedy wrócę porozmawiamy.

- Co powiedział Rushit? - chciała wiedzieć Nasife.

- Że mnie zabije - zaśmiałam się.

- *Kuku per ty*, Iza. Wiesz o tym, że tak nie postępuje się z mężczyznami w Kosowie.

- A wiesz o tym, że tak nie postępuje się z kobietami w Polsce?! - mruknęłam ironicznie.

- Rushit źle zrobił, na jego miejscu powyrywałbym ci wszystkie włosy - wtrącił się Blerim.

- To wiesz przynajmniej, dlaczego nie znalazłeś jeszcze do tej pory żadnej porządnej kobiety. Bo te się szanują - odpyskowała mu.

Widziałam z satysfakcją, jak gotowało się w jego wnętrzu. Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale Nasife przerwała nam tę wymianę zdań.

- Jak idą Rushitowi interesy? Nie otwieracie dzisiaj knajpy?

- Dobrze - Blerim wyraźnie unikał wzroku matki i ojca.

- A co słyhać u Leonity i Doniki? - spytałam, przybierając zupełnie swobodny, ale pełen ironii ton.

Blerim zacisnął szczękę, aż zrobił się siny.

- Kto to? - chciał wiedzieć Ramush

- Dwie przyjaciółki kuzyna Ibrahima. Pracują w jego knajpie.

Z niecierpliwością czekałam na Rushita, byłam taka wściekła na niego, że miałam wręcz nadzieję, że będzie okazja wygarnąć mu to wszystko, co zbierało się we mnie od dłuższego czasu. Przyszedł po dwóch godzinach. Posprzątałam po śniadaniu, pozmywałam naczynia i

szklanki i poszłam na górę, do swojego pokoju. Położyłam się na łóżku i rozmyślałam. Usłyszałam czyjeś kroki na schodach. Na Ule były stanowczo za szybkie, wiedziałam, że to ON. Otworzył po cichu drzwi, może spodziewał się, że śpię. W rękę miał pełną reklamówkę. Położył się koło mnie i przytulił mocno, bez słowa. Tak leżeliśmy jakieś dziesięć minut. Dopiero potem się odezwał:

- Ale zrobiłaś mi dzisiaj numer - zaśmiał się. - Mogłem cię za to zabić, wiesz o tym?!
- To czemu tego nie zrobiłeś?
- Bo cię kocham.

Odwrociłam gwałtownie głowę i spojrzałam mu głęboko w oczy:

- Możesz to powtórzyć? Chyba coś źle zrozumiałam.
- Kocham cię, mimo, że jesteś taka niedobra dla mnie.
- Leonitę też kochasz?

Zaśmiał się gromko i objął mnie jeszcze mocniej.

- Głupia. Przecież wiesz, że z Leonitą nic nie było. Zdenerwowałaś mnie wczoraj, powiedziałem ci tak ze złości.

- Ja ciebie zdenerwowałam?! A co ze mną? Może zastanowisz się, co czuje kobieta, jeśli jej facet nie wraca do domu przez kilka dni?! Żeby nie było tam Blerima, to jestem skłonna uwierzyć, że pracowałeś, ale w tej sytuacji nawet nie wiem, gdzie spałeś. Tam jest miejsce dla jednego.

- Blerim spał u kuzyna Ibrahima, a ja w knajpie. Mam coś dla ciebie - zmienił temat i podał mi reklamówkę.

Było tam pełno słodczy: ciastka, cukierki i czekolada. Najwyraźniej Rushit chciał mnie w ten sposób przeprosić za wydarzenia z ostatniej nocy. A ja mu wybaczyłam. Nie dzięki tym słodczom, ale nie miałam innego wyjścia... Rushit poprosił, żebym przygotowała mu jakieś ciuchy na zmianę, bo chce się wykąpać. Kiedy wyszedł spod prysznicza nie mogłam napatrzeć się na niego, wyglądał o wiele korzystniej, był jakby przystojniejszy. Mimo ryzyka, że ktoś wejdzie, albo przynajmniej usłyszy przez „drzwi” z koca kochaliśmy się i pierwszy raz od dłuższego czasu było to dla mnie przyjemne.

Po południu Rushit i Blerim pojechali do knajpy. Tym razem pożegnałam się z nim całkiem normalnie. Pocałował mnie ukradkiem w usta i szepnął czule: „Kocham cię”.

PODWÓJNE SZCZĘŚCIE SARANDY

Lato kończyło się, mimo że nadal było ciepło. Nadszedł jednak czas na robienie porządków i trzeba było przygotowywać się do zimy. Oznaczało to masę pracy. Poza tym Nasife postanowiła kupić meble kuchenne i kilka dni temu pojechała osobiście je wybierać do Maliszewa. Dla mnie i Sarandy było to szansą na prostsze utrzymanie porządków.

- Wyobrażasz sobie tyle szafek?! - rozmarzyła się. - Mam nadzieję tylko, że wybiorą ładne.

W dniu remontu jacyś młodzi mężczyźni przywieźli meble. Teściowa okazała się jednak kobietą z gustem, szafki były popielate we wzory imitujące plamy, drzwi od wszystkich szafek otoczone dookoła złotą ramką. Ramush przywiózł jeszcze z Maliszewa farbę, chłopacy powynosili wszystko z salonu.

- I kto ma malować, co? - pani domu zachodziła w głowę, dla mnie było to oczywiste, że jej

synowie, ale dla niej widocznie nie. – Teraz pouciekają gdzieś i licho ich znajdzie.

I miała rację, po śniadaniu, kiedy piliśmy herbatę Blerim stwierdził, że umówił się z kolegą, ma pomagać mu w polu, za co tamten pomoże jemu. Afrim poszedł jak zwykle kopać piłkę na szkolne boisko. Ramush miał „bardzo pilną sprawę” u przyjaciela. Nie trzeba było mówić, kto ma się za to zabrać. Saranda nie dałaby rady, zapytałam Nasife, jak to się robi.

- Złota dziewczyna. Tylko na tobie można polegać.

Mieszanie farby polegało na wrzuceniu dużego kamienia kredowej farby do kotła i zalaniu go wodą, do mieszanki dodawano jeszcze sól. Kipiało to i wrzało. Nie miałam nigdy pojęcia o takich rzeczach, dla mnie było to sensacją. Jedna szczotka była w domu, ale Nasife postanowiła mi pomóc i poszła do Selvy pożyczyć jeszcze jedną. Malowanie pokoju sprawiało mi frajdę. Pożółkłe od papierosów i pieca ściany bieleły w oczach. Saranda w tym czasie zabrała się za czyszczenie szafek i trzepanie dywanów. Prała powłoczki ściągnięte z materaców. Wczesnym popołudniem skończyłyśmy kłaść drugą warstwę farby, usiadłyśmy na korytarzu zadowolone. Wszystkie trzy piłyśmy akurat kawę, która zrobiła dla nas moja *kunota*. Czułam się fantastycznie, mimo zmęczenia, do tego świeciło słońce i dzidzia kopała delikatnie.

- No no, ładnie pomalowałyście - pochwalił Ramush, kiedy wrócił.

Jego żona właśnie otwierała buzię, żeby coś mu powiedzieć, na pewno nie miało to być nic miłego, ale zadzwonił telefon.

- Allo, kto mówi? - krzyczał Ramush w słuchawkę. - Co słychać, Sadri? Jak się czujesz? Abide? Ziza? Co?? Naprawdę?

Uśmiech rozświetlił mu nagle twarz, jakby usłyszał nie wiadomo jaką wiadomość.

- Kiedy go wypuścili?

W tej chwili spojrzałam na Sarandę, zbladła, zaczęła się słać na nogach, przygryzła wargę do białości.

- Oczywiście, że jedziemy. Już, natychmiast! Do zobaczenia.

Wyłączył telefon i spojrzał na każdą z nas po kolei, ale dłużej na Sarandę, miał nam coś ważnego do powiedzenia:

- Hasana wypuścili z więzienia, Ziza i Mihrija pojechały po niego do Mitrowicy.

- O, Allachu - szepnęła Nasife i usiadła z powrotem na materacu. Saranda wybuchła płaczem i pobiegła do swojego pokoju na górę, teściowa krzyknęła za nią, żeby szykowała się natychmiast, bo przecież nawet mowy nie ma, żeby nie pojechała. Łzy ciekły mi po policzkach. Takie szczęście!

- A taki fajny wydawał mi się dziś dzień, jakbym czuła coś dobrego - powiedziałam głośno, głos mi drżał.

Nie znałam tego mężczyzny, ale cieszyłam się ze szczęścia mojej *kunoty*. Cieszyłam się, że jej brat, niewinny człowiek wyszedł w końcu na wolność...

Saranda przygotowała się bardzo szybko. Nasife kazała przebrać się Ramushowi.

- Iza, wyprasuj koszule, bo przecież pojedzie jak sierota. Nic nie dbasz o siebie - zganiała męża.

Dała mu dwie paczki papierosów i pieniądze „w razie czego”. Tyle miesięcy tam spędziłam, a pierwszy raz widziałam Sarandę taką promienną. Nawet podczas wizyty Kastriota nie bywała taka. Najstarszy brat był dla niej autorytetem, wzorem do naśladowania. Szanowała go i kochała najbardziej z całego rodzeństwa.

Tego samego wieczoru Rushit przyjechał i oświadczył, że zamknął knajpę i oddał klucze. Nie

opłaciło mu się Miałam na końcu języka, żeby powiedzieć, że z pewnością przepijał to, co zarobił, albo przehułał z Leonitą, ale milczałam.

- Trzeba jechać jutro do Baicy. Pojadę ja, Rushit i Afrim. Iza zostanie z Blerimem.

Rushitowi nie podobał się ten pomysł, ale nie odezwał się ani słowem.

Następnego dnia po śniadaniu pojechali. Nasife dała mi jeszcze kilka wskazówek co do gospodarzenia. Chciało mi się krzyczeć: „Wolna chata”, ale Blerim siedział przy mnie jak kołek. Zabrałam się za robienie porządków. Jeszcze poprzedniego dnia chłopacy wnieśli meble z powrotem. Pościagałam powłoczki z linki i ubrałam materace. Po skończeniu zabrałam się za zamiatanie. Wówczas trzasnęła furtka. Blerim przeklął i wyszedł na podwórze.

Spojrzałam za nim, trzy obce mi kobiety kierowały się w stronę domu. Miały w ręku papucie i napój gazowany. Blerim przywitał się z nimi i coś im tłumaczył. Mimo to zaczęły kierować się w stronę wejścia. Wpadłam w panikę, nie miałam pojęcia co miałam robić, o czym z nimi rozmawiać. Wzięłam głęboki wdech i wyszłam im naprzeciw. Przywitałam się jak należy i zaprosiłam do środka. Słyszałam za plecami, jak szeptały jedna do drugiej:

- Zobacz jak posprzątane, a jak ładnie mówi. Prawdziwa *nusja* z niej...

Uśmiechnęłam się sama do siebie, dopięłam swego, stałam się jedną z nich, a dla mnie był to krok bliżej do ewentualnego wyjazdu do Polski. Zrobiłam kawę i usiadłam. Najstarsza z kobiet wyjaśniła, że przyszły do Sarandy z okazji powrotu jej brata do domu. W Kosowie prawie wszystko jest dobrym pretekstem do złożenia wizyty. Zresztą co innego mają robić te baby na wsi?! Posypały się zaraz potem pytania. Standardowe, czyli:

- A jak ci się tu żyje?

- A gdzie jest lepiej? Tu, czy w Niemczech?

Blerim wyszedł po chwili, korzystając z nieobecności rodziny powiedziałam, że nie jestem Niemką, tylko Polką. Wiedziałam, że nie wolno mi było, bo Polacy ze względu na podobny język i bliskie, bezkonfliktowe stosunki z Serbami byli traktowani jako ich sprzymierzeńcy. Było to rozumowanie prostych wieśniaków, których innymi cechami poza głupotą, była także upartość i zawziętość. Kobietom jednak nie przeszkadzało to wcale, bo nadal prawiły mi komplementy. Przekonałam się, że rodzina Rushita tolerowała mnie jako Izę, a nie jako Polkę. Moja narodowość nie miała nic wspólnego z tym. Było to może tylko pretekstem, zwłaszcza dla Blerima.

Wizyta udała się nadzwyczaj, chciałam zaparzyć herbatę, ale jedna z niewiast powiedziała, że absolutnie nie przyszły tu na herbatę, tylko w gości. Polubiłam je. Były sympatyczne, zastanawiałam się, jak mają w domu, jaką atmosferę, jak żyją. Domyśliłam się, że są z sąsiedztwa, dlatego obiecałam sobie, że pójdę do nich z Nasife w najbliższym czasie. Po dwóch godzinach pożegnały się, odprowadziłam je do bramki i wróciłam do środka dumna z siebie. Całkiem nieźle poradziłam sobie w roli pani domu. Zabrałam się za robienie kolacji. Upięłam paprykę i robiłam *iang*, zaparzyłam nawet herbatę. Zaaklimatyzowałam się w Kosowie. Gdyby nie Rushit, pewnie mogłabym być szczęśliwa i tam, tylko gdyby on był innym człowiekiem...

- A może pojechałybyś i ty? - spytała Nasife następnego dnia – Masz ochotę?

Wyobrażałam sobie te tłumy ludzi. Hasan Vrellaku był szanowany nie tylko we wsi, ale przed wojną uczył w gimnazjum, gdzie czekano na niego cały czas. Co dzień były tam delegacje, przez dom przelewały się masy ludzi. Dlatego zrezygnowałam z tej wątpliwej przyjemności. Postanowiłam pojechać, kiedy sprawa trochę ucichnie. Spytałam tylko, czy Afrim, brat Mihrije też

wrócił.

- Jego też wypuścili. A co taka zainteresowana, co? - spytał szyderczo Rushit.

- Właściwie z czystej ciekawości, ale widocznie musi być interesującym facetem, skoro już jesteś o niego zazdrosny - docięłam i szybko wyszłam z pokoju, żeby uniknąć starcia.

- Dziwka - usłyszałam tylko za sobą.

Zaśmiałam się, coraz mniej bolały mnie jego słowa, stawałam się na nie uodporniona. Było mi go jedynie żal ze względu na jego głupotę. Saranda wróciła po kilku dniach, a po tygodniu miała jakieś dziwne bóle w podbrzuszu. Nie były to bóle przedporodowe, ale nasza teściowa mimo to zdecydowała się posłać ją do lekarza. Ramush zawiózł ją do Glogovc, do specjalisty. Mieli jeszcze przy okazji odwiedzić jej rodzinę. Ja napaliłam w piecu w starym domu i robiłyśmy z Nasife *pastyle*, czyli dżem ze śliwek. Polegało to na gotowaniu na wielkiej blasze śliwek z cukrem, mieszaniu tego przez cały czas. Było to uciążliwe, stanie przy piecu było męczące dla nóg, do tego było bardzo gorąco.

- Teraz ja pomieszam - zlitowała się Ule nade mną, kiedy zobaczyła moje czerwone wypieki na policzkach. - Usiądź sobie.

Przysiadłam na oponach w kącie. Dzidzia kopała z całych sił, widziałam przez bluzkę jej nóżkę, albo rączkę jak przesuwiała się pod moją skórą. Nie miałam się z kim podzielić tymi wiadomościami. Nasife nie było sensu o tym opowiadać, ponieważ i tak jej to nie interesowało. Co innego mały Sarandy, jak kopnął ją w brzuch, cały dom szalał z radości. Nikt nie zrozumie, jak było mi wówczas przykro i jaka czułam się samotna.

- Mamo, maleńka kopie mnie cały czas. Wiesz jakie to przyjemne - mówiłam podniecona do słuchawki, kiedy dzwoniła rodzina.

- Wiem córeczko. Pogłaszcz ją od nas.

Po popołudniu wrócili Ramush z Sarandą. Wyszłam im naprzeciw:

- Co powiedział lekarz?

- Nic, wszystko dobrze - odburknęła i weszła do domu.

Spojrzałyśmy z Nasife po sobie. Co jej się stało? Obraziłam się na tę naburmuszoną bez powodu kobietę, nie życzyłam sobie takiego traktowania. W ogóle nie poznawałam jej, przecież z reguły była miła i sympatyczna. Zastanawiałam się, czy może jest chora albo lekarz powiedział jej coś złego na temat ciąży. Ale Ramush zapewniał, że Saranda jest w jak najlepszym porządku. Poszłam więc do starego domu mieszać *pastyle*. Po kilku minutach przyszła. Nawet nie zaszczyliłam jej spojrzeniem. Milczałam.

- Przepraszam, ale nie czuje się dobrze. Jakoś dziwnie mi jest. Nie mam pojęcia dlaczego - odezwała się pierwsza.

- Co mówił lekarz?

- Nie ma żadnego zagrożenia. Jest dobrze. Nie mam zwyczajnie nastroju, nie wiem dlaczego.

Tej nocy słyszałam jakieś hałasy. Byłam jednak za bardzo zmęczona, żeby wstać i sprawdzić ich przyczynę. Rano wstałam i zesłam na dół. Z reguły w salonie była już Saranda. Ale tym razem pokój był pusty. Zrobiłam sobie kawę i czekając aż ostygnie zabrałam się za odkurzanie. Skończyłam, ale nadal nikt nie wstał. Dopiero po godzinie ósmej z pokoju obok wyszedł Ramush. Roztrzepany, zaspany.

- Dzień dobry - powiedziałam - Nasife jeszcze nie wstała?

- Saranda jest w szpitalu, w nocy zawieźliśmy ją, wróciliśmy niedawno.

Stąd te hałasy... Pobiegłam na górę do jej pokoju, ale łóżko było puste. Zrobiło mi się jej żal. Jak Nasife mogła spać, kiedy tamta biedaczka właśnie rodzi dziecko, jej wnuka?! W piecu znalazłam chleb z poprzedniego dnia, uznałam, że nie warto robić nic nadto. Usmażyłam paprykę i zrobiłam *lang*, byłam przekonana, że nikt nie będzie miał apetytu, że każdy będzie przejęty losem Sarandy. Ale myliłam się, Afrim najzwyczajniej w świecie wstał rano i zaczął dzień od narzekania, dlatego nie ma ciepłego chleba, Nasife przed śniadaniem zażyła masę lekarstw, żeby pokazać jak bardzo jest chora i jak się denerwuje, ale potem pochłonęła ze smakiem dwie bułki. Nawet herbatę wypili, dopiero potem pojechali do szpitala w Prisztinie do Sarandy. W południe wrócił Rushit, zostałam pierwszy raz jako jedyna kobieta w domu i na mojej głowie spoczywało przygotować im jakiś posiłek. Zdolności kulinarnych nie miałam nigdy, a jeszcze dogodzić komuś takiemu jak Afrim, to nie lada sztuka. Upiekłam kurczaka i zrobiłam frytki. Rushit i Afrim zajadali się ze smakiem. Całe szczęście nie było Blerima, pewnie nie odmówiłby sobie przyjemności, żeby mi dokuczyć. Dochodziła dziewiętnasta, kończyłam zmywanie i zabierałam się do robienia herbaty, kiedy zadzwonił telefon.

- Gratuluję! - krzyczał Rushit do słuchawki - A zdrowy?

Rzuciłam z podniecenia tacę tłukąc trzy szklanki i stanęłam nad Rushitem, czekając aż skończy rozmawiać.

- I co? - spytałam, zanim wyłączył telefon.

- Chłopiec, ma coś z krwią, ale nie ma ryzyka, a Saranda czuje się dobrze.

- Co ma z krwią?

- Nie mam pojęcia. Nasife przyjedzie za dwie godziny, to nam powie. Ponownie zadzwonił telefon:

- Gratuluję, stary! Masz syna!

Wróciłam do robienia herbaty. Jak to! dziecko ma coś z krwią?! To znaczy, że nie jest zdrowe... Najgorsze, że nikt nie był w stanie odpowiedzieć mi na to pytanie. Cieszyłam się ze szczęścia *kunoty* i bałam się jednocześnie ojej synka. Nie miałam zielonego pojęcia o medycynie, bardzo rzadko chorowałam, dlatego nie mogłam sobie nawet wyobrazić, co to może być za dolegliwość. Wyłączono prąd, ale to nie zepsuło nikomu humoru. Rushit wysłał Afrima do Sahita po karabin, nasz podobno nie był sprawny. Sam pojechał do sklepu. Wrócili po kilku minutach, Afrim razem z Sahitem i Ajetem. Rushit wystrzelił z „kałasznikowa” kilka razy przed domem. Zaczęto świętować pełną parą. Patrzyłam z boku na Rushita i zastanawiałam się, jak będzie świętować, kiedy ja urodzę dziewczynkę. Przecież tam wcale się ich nie uznawało. Tak można było uczcić tylko potomka płci męskiej. Siedziałam z nimi do późnego wieczora, Ramush i jego żona wrócili po dwudziestej trzeciej. Posiedziałam tylko chwilę i poszłam się położyć. W końcu ja jeszcze byłam w ciąży i miałam prawo być zmęczona, zwłaszcza po takim dniu. Nasife obiecała, że następnego dnia pojedziemy razem do Sarandy do szpitala.

W SZPITALU

Wstałam szybciej niż zwykle, byłam taka podniecona perspektywą zobaczenia małego, że pierwsze promyki słońca wyrwały mnie natychmiast ze snu. Widziałam jak rósł jej brzuch,

czułam jak kopie, pamiętałam prawie każdy dzień z przebiegu jej ciąży, dlatego czułam jakby to moje maleństwo już się urodziło. Spakowałam aparat fotograficzny, żeby nie zapomnieć i zabrałam się za sprzątanie, żeby pojechać jak najszybciej, zaraz po śniadaniu.

Droga do Prisztiny, mimo, że pamiętałam ją dobrze, fascynowała mnie za każdym razem. Dojechaliśmy do szpitala. Świeżo upieczona babcia poleciła Ramushowi kupić dla Sarandy banany i jakiś sok.

- Jeśli będzie za drogi, to nie kupuj, przywieziemy z Carralluk.

Spojrzałam na nią ze wstrętem. Jak ona mogła liczyć pieniądze w takiej sytuacji, była najgorszą sknerą, jaką spotkałam w swoim życiu, a poznałam wielu ludzi. Nie miała sobie równych... Ramush wrócił z sokiem, bananami i jakimś mężczyzną.

- To kuzyn Sarandy, jest tutaj pielęgniarzem, pomoże nam wejść na oddział.

Ten podał mi rękę na przywitanie. No tak, przecież nie był z okolic Maliszewa, więc dla niego było to zupełnie oczywistą rzeczą. Zrobiło mi się miło, że pierwszy raz od dłuższego czasu dla kogoś okazałam się normalną kobietą, a nie nusją, która stoi z tyłu i nie ma prawa podnieść wzroku.

- Nie dam rady wprowadzić wszystkich. Kontrolują przy wejściu, jest zakaz wchodzenia osób postronnych.

- To chociaż kobiety, ja poczekam tutaj.

- Postaram się, chodźcie za mną.

Przedarliśmy się przez tłum ludzi, to miejsce bardziej przypominało bazar, niż szpital. Stało tam pełno facetów, prawdopodobnie ojców, którzy czekali w holu, palili papierosy zrzucając popiół na ziemię. W ogóle było tam strasznie brudno. Kuzyn Sarandy podszedł do ochroniarza i rozmawiał z nim przez chwilę, wskazując nas palcem.

- Niestety, nie da rady, ale *nusja* może wejść, powiedziałem mu, że jest z zagranicy i chce zobaczyć nasz szpital.

Ramush przez chwilę wahał się, ale żona podjęła za niego decyzję:

- Idź, Iza. Pozdrów ją od nas. I chłopca ucałuj. Daj to i przekaz, że wszystko będzie dobrze.

Poszłam za mężczyzną, który łokciami torował sobie drogę. Wprowadził mnie po schodach na pierwsze piętro i kazał iść do końca korytarza. Sam odszedł w przeciwnym kierunku.

Zacząłam szukać Sarandy, widok mijanych sal przerażał mnie. leżały tam zaniedbane, zniszczone kobiety, w różnym wieku. Obok większości małe zawiniątka, na stolikach kartoniki z sokami. Rzadko kiedy prowadzono jakieś rozmowy, najczęściej leżały wpatrzony w sufit albo karmiły dzieci. Niektóre sterczały w oknach, jakby kogoś z tęsknotą wypatrywały albo kiwały radośnie do kogoś na dole. W końcu znalazłam moją *kunotę*. Leżała bokiem, obok niej malutki tłumoczek w niebieskim kocyku. Na mój widok uśmiechnęła się szeroko i podniosła z łóżka. Podbiegłam do niej i rzuciłam na szyję.

- Saranda, jak się cieszę, że udało ci się w końcu. Pokaż to maleństwo.

Saranda była szczęśliwa, ale i zmieszana moja wylewnością, która w Kosowie nie jest raczej codziennością. Podniosła rąbek kocyka do góry. Maleńka, pomarszczona twarzyczka skrzywiła się, maleńkie usteczka wygięły się w podkówkę i maleństwo zaczęło płakać. Przestraszyłam się, a jego mama zaczęła się śmiać, zaskoczona moją reakcją.

- Nie martw się, dzieci przeważnie płaczą.

- Jaki on malusi... Aha, tu masz od Nasife - podałam jej reklamówkę, nie odrywając wzroku od niemowlęcia. Nie mogła wejść, ten twój kuzyn mógł wprowadzić tylko jedną osobę.

- Jak się czujesz?

- Dobrze.
- A Ramush?
- Oj. Saranda, nie pytaj mnie teraz, jak my się czujemy, bo szkoda czasu, tylko opowiedz o sobie, teraz to jest najważniejsze - machnąłem ręką - Jaki miałś poród?
- Nie wiem, cięli mnie.
- Czy to twoja kunota? - wtrąciła jedna z kobiet.
- Tak, jedyna zresztą.
- A skąd ona jest?
- Gdzie nauczyła się tak mówić po albańsku?
- Ile ma lat?

Zewsząd posypały się pytania. Kobiety podnosiły się z łóżek, jedna z nich zapytała, czy nie mam czasem papierosa.

- Pewnie, mam papierosy teściowej, zaczęłam szperać w torbie, wyjęłam paczkę „Partnerów” i podałam jej.

Wyciągnęła dwie sztuki i chciała mi oddać. Ale powstrzymałam ją.

- Iza, a co będzie paliła Nasife - Saranda zwróciła mi uwagę, ale wyraźnie była rozbawiona tym zainteresowaniem moją osobą.

Porozmawialiśmy sobie jeszcze chwilę. Opowiedziałam jej o wieczorze, kiedy dowiedzieliśmy się, że urodziła, także o tym, że Kastriot dzwonił.

- Szkoda, że nie widziałeś, jak Rushit strzelał z karabinu - klepałam jak najęta. - Pili piwo i cieszyli się wszyscy. Blerima nie ma, całe szczęście, więc mam spokój.

- A jak tam radzisz sobie z pracą?

- Normalnie, chociaż teściowa nasza nie zrezygnuje z tej herbaty choćby nie wiem co.

- Miałam nadzieję, że może dziś, jak się spieszymy, to da sobie spokój. Ale gdzie tam. To już nałóg. Kiedy wracasz do domu?

- Nie wiem jeszcze, lekarze mówią, że dziecko ma coś z krwią.

- Jasne, a ja mam pewnie żółtaczkę. Przestań zamartwiać się takim głupim gadaniem lekarzy. Do południa jeżdżą traktorem, a po południu badają ludzi albo na odwrót.

Mówiłam całkiem głośno, więc moja teoria o przedstawicielach medycyny w Kosowie spowodowała ogólny wybuch śmiechu. Saranda zapytała, czy chcę wziąć małego na ręce. Bałam się strasznie, przecież noworodek jest takim kruchutkim stworzonkiem, ale był on tak obwiązany w kocyki i pieluchy, że złapanie go źle, było po prostu niemożliwe.

- Obluzuj mu to trochę.

- Nie można, Iza. To dla dobra dzieci.

- Dobra, dobra, pogadamy w domu - pogroziłam żartobliwie palcem.

Znowu wybuch radości na całej sali. Czulałam się jak aktorka w teatrze.

Było to nawet przyjemne. Porobiłyśmy z Sarandą zdjęcia i ta zaczęła mnie wyganiać:

- Iza, idź już, bo będą źli. Czekają tam na dole przecież.

- A niech czekają. To nie jest maraton, nic się nie stanie jak zaczekają jeszcze trochę - przekonała mnie jednak, pożegnałam się z nią czule:

- I wracaj szybko do domu, z kim mam pić rano kawę?!

Wszystkie kobiety, które leżały na sali życzyły mi powodzenia podczas mojego porodu i zdrowego dziecka. Zeszłam wzruszona na dół.

- I jaki jest chłopiec? Opowiadaj - naciskała Nasife, kiedy znalazłam ich na holu.
- Śliczny.
- Do kogo podobny?

Co za głupie pytanie, nie można przecież określić do kogo podobne jest kilkunastogodzinne dziecko...

- Do Kastriota - rzuciłam na odczepnego
- Wiedziałaś - powiedziała Nasife z satysfakcją.

W samochodzie mój dzidzius dał mi niezłe w kość, kopał, jak mały piłkarz. Aż trudno było uwierzyć, że to miała być dziewczynka, ale skoro lekarz tak stwierdził, widocznie miał rację. Gdy dojechalśmy na miejsce, byłam wykończona. Ledwo trzymałam się na nogach.

- To robimy kolację - rzuciła hasło moja wspaniała teściowa

Bez słowa zabrałam się za pracę. To był mój los, na który musiałam się zgodzić, nie miałam innego wyjścia.

KŁOPOTY Z LIRIMEM

Po dwóch dniach Ramush przywiózł Sarandę do domu. Nie mogłam się doczekać, żeby zobaczyć ją i małego, równie szybko jednak zaczynałam tego żałować... Chłopiec był śliczny, ale płakał właściwie przez cały czas.

- Co mu jest - dopytywałam się przerażona.

- Nie wiem, chyba nie mam pokarmu - Saranda miała łzy w oczach Rzeczywiście mały, mimo że Saranda podawała mu pierś, nie brał jej, wypluwał i krzyczał wniebogłosy. „Wszystkowiedząca” Nasife stwierdziła, że to przez czary:

- Na pewno jakaś sąsiadka, która była zobaczyć chłopca rzuciła na niego urok.

- Przestań jej opowiadać takie bajki. On jest zwyczajnie głodny - zwróciłam uwagę teściowej.

Z mai uszkiem było coraz gorzej, chwilami zapominałam o swojej ciąży. Babcia zdecydowała nadać maluszkowi imię: Lirim. Liria oznacza wolność, ale ile miało to wspólnego z wolnością, zwłaszcza dla Sarandy?! W nocy obudził mnie krzyk małego, trwało to bardzo długo, w końcu poszłam zobaczyć, czy nie stało się coś złego. Przez szparę w drzwiach zauważyłam, że w pokoju obok pali się światło, weszłam bez pukania. Saranda siedziała na łóżku, obnażona do pasa. przerażona i bezradna usiłowała nakarmić Urima, w kącie siedziała Nasife.

- Co się stało?

- Mały nie chce pić, nie pił już od kilkunastu godzin. Nie wiemy co robić - Saranda miała zapłakane oczy.

Jej widok ścisnął mi serce. Zrobiło mi się jej strasznie żal. Podeszłam bliżej, malutki szukał na osłep piersi, a kiedy Saranda podsuwała mu, wypluwał ze wstrętem i płakał żałośnie.

- To nie czekajcie, tylko zawieźcie go do szpitala - krzyknęłam do Nasife. - Przecież on jest głodny, musi dostać jakiegoś mleko, może Saranda wcale nie ma pokarmu.

- Mam, tylko on nie chce.

Nie wiedziałam co robić, mimo że byłam po raz pierwszy w ciąży, to od mojej mamy

wiedziałam już o wiele więcej niż na przykład Nasife. matka kilkorga dzieci. Miałam książkę, którą kiedyś zabrałam przez przypadek z Niemczech, reklamowała ona produkty „Hipp”, ale było tam też wiele cennych wskazówek dotyczących ciąży i wieku niemowlęcego. Chociaż taka broszurka nie była mi potrzebna, żeby wiedzieć, że Lirima trzeba nakarmić. Następnego dnia Nasife i Ramush zawieźli Sarandę z dzieckiem do szpitala w Prisztinie. Siedzieliśmy nerwowi, oczekując na wiadomość, że niemowlę jest zdrowe i nic mu nie dolega. W końcu wrócił Ramush, miał niewyraźną minę.

- I co? - naskoczyłam na niego, nie czekając nawet aż usiądzie.
- Mały nie przeżyje...

Zaległa cisza. W pokoju siedział Afrim. Blerim. nawet oni wstrzymali oddech w tej chwili. Oczy zaszyły mi łzami. Nie mogłam uwierzyć w jego słowa.

- Jak to... Co mu jest? Dlaczego? Kto to powiedział?
- Lekarz zbadał dziecko, ma zakażoną krew. Nie ma szans. Przyszedł dziś na dół i powiedział to Sarandzie w oczy, że jej syn nie przeżyje.

Co za nieludzki naród. Jak może lekarz przekazać matce w taki sposób taką straszną wiadomość. Jak mogą przejść mu przez gardło takie słowa?! Nie rozumiałam niczego, było mi słabo. Usiadłam i zaczęłam płakać. Nie poszłam do pokoju, nie ukrywałam łez, tylko głośno płakałam. Kobietom nie wolno nawet płakać publicznie. Umiera dziecko?! Nie szkodzi, kiedy nikt nie widzi, popłaczą w kącie, albo w nocy, a potem rodzą następne. Nie chciałam nawet myśleć o tym, co czuła w tamtej chwili Saranda.. Po dwóch dniach lekarz stwierdził, że trzeba zwyczajnie przetoczyć krew, wtedy być może uda się uratować malca. Najlepszymi kandydatami do tego byli Ramush i Sadri, brat Sarandy. Po dłuższej naradzie zdecydowano, który jest zdrowszy i Rushit pojechał do Baicy po Sadriego; zawiózł go do szpitala. Po kilku dniach stan dziecka poprawił się nieznacznie i pozwolono zabrać go do domu. Ale na tym nie miało się skończyć. Nadal nie chciał pić mleka. Tym, razem Ziza, bratowa Sarandy poradziła wybrać się do Gillogovc. do znanego i cenionego pediatry. Ta wizyta uratowała malcowi życie. Lekarz stwierdził, że z krwią jest wszystko w porządku, mały miał żółtaczkę, którą przechodzi większość noworodków, a Saranda nie miała pokarmu, stąd nie miała go czym karmić.

- Jak wykształcony doktor może nie rozpoznać u małego dziecka żółtaczkę?! Co za idioci pracują w tych szpitalach i przychodniach? Oni nie nadają się do leczenia ludzi, nawet chorego psa nie powierzyłabym w ich ręce - marudziłam chodząc po pokoju w tą i z powrotem. Nasife siedziała jak zwykle w kącie i paliła, a Saranda przygotowywała mleko.

- Iza, chodź, tu jest napisane po niemiecku jak to zrobić - poprosiła.
- No, jeszcze tak ważną instrukcję piszą w obcym języku...
- Ale z ciebie dzisiaj zrzęda - dokuczyła mi teściowa. - Nie będziesz dziś czasem rodzic?

Za kilka dni miałam termin, ale nic nie wskazywało, żeby mój dzidzius pchał się na świat. Rzeczywiście nie można było ze mną wytrzymać. Rushit wychodził zaraz po przebudzeniu, a wracał w nocy, czyli jak zawsze, z tą różnicą jednak, że tym razem na palcach, starając się mnie nie obudzić.

- To poprawię ci nastrój i powiem, że dzisiaj przywiozą ci drzwi.

Ramush rozmawiał z tym stolarzem, już je zrobił.

Po południu przywieźli piękne sosnowe drzwi.

- Jeszcze wymalować je i masz ładniejsze od twojej *kunoty* – chwaliła Nasife.

A ja cieszyłam się, że w ogóle miałam te drzwi. Nieważne, ładne, czy brzydkie, aby dawały się zamknąć.

- Klucza nie ma, niestety, musisz sobie radzić bez - dodał Ramush po dokładnym obejrzeniu ich z każdej strony.

- Obejdzie się - machnęłam ręką.

Nawet do głowy mi wówczas nie przyszło, że w najbliższej przyszłości będę przeklinała brak tego klucza...

Mijały kolejne dni, a ja nadal byłam w ciąży. Zaczynało mnie to niepokoić.

- Do dwóch tygodni po terminie możesz nosić dziecko - pocieszała mnie mama, kiedy dzwoniła, a ja się jej żaliłam.

- Ale to prawie tydzień po, mamuś.

- Niech Rushit zawiezie cię do lekarza.

Tak też mu powiedziałam jeszcze tego samego dnia. Widocznie jego też zaczęło to niepokoić, bo nie sprzeciwił się, jak to miał w zwyczaju. Lekarz położył mnie na łóżku i za pomocą USG obejrzał płód.

- Ależ tu jest wszystko dobrze. - stwierdził - Niepotrzebnie pani się martwi.

- To czemu nie wychodzi?

Lekarz zaśmiał się głośno:

- Bo jej tam dobrze. Jeszcze będzie pani chciała, żeby bobasek wrócił z powrotem do środka.

Uspokoiliam się, chociaż na wszelki wypadek dostałam skierowanie do lekarza, gdybym dwa tygodnie po terminie nie zaczęła rodzić.

- Czym ty się tak martwisz? - pocieszał mnie Rushit w samochodzie, kiedy wracaliśmy do domu.

- Bo termin miałam na trzeciego października, a dziś jest dziesiąty.

Właśnie tym!

Jak on mógł być taki beztroski?! Już miałam nadzieję, że oprócz porodu nie czekają na mnie żadne niespodzianki, ale myliłam się. Rushit następnego dnia przyjechał wieczorem do domu, twierdził, że był w Maliszewie i ma dla mnie świetną wiadomość, ale najpierw musi porozmawiać z matką.

Ta jego „świetna” wiadomość dotyczyła wynajmu kolejnej knajpy. Chciał ponownie pożyczyć od matki 350 euro na czynsz.

- Tym razem się opłaci, naprawdę. Zresztą spytajcie Afrima, on zna to miejsce, przychodzi tam masa ludzi - przekonywał Nasife.

Byłam spokojna, bo rękę dałabym sobie uciąć, że ta kobieta nie zrobi ponownie tego samego błędu. Ale myliłam się, moja teściowa okazała się głupsza niż sądziłam...

- Jak mogłaś? - podniosłam na nią głos - Przecież wiesz, że znowu wszystko przepije, będzie wracał po nocach, a ja mam lada chwila rodzić.

- Iza, jeśli nie dam mu tych pieniędzy, to i tak gdzieś je znajdzie. Pożyczy od kogoś, wpłucze się w jakieś kłopoty. Tak przynajmniej wiem, że nie sprzeda duszy diabłu...

Patrzyłam z niedowierzaniem na tę kobietę, o czym myślała dając Rushitowi te pieniądze?! Pomyliłam się jeśli chodziło o pieniądze od Nasife dla Rushita, ale nie jeśli chodzi o jego noce spędzone poza domem. Rushit wrócił trzy dni po rzekomym otwarciu restauracji. Sie-

działałam sama w salonie i śpiewałam Lirimowi piosenki, nosząc go na rękach. Rushit nie wszedł, tylko wtoczył się do środka. Przeżona tym widokiem położyłam małego do kołyski i pobięłam do ogrodu po teściową. Wracając do domu zajrzałam do auta, było brudne, a jego wnętrze czuć było papierosami i alkoholem. Otworzyłam je z ciekawości, co tam znajdę. W kieszonce w drzwiach pasażera leżała rozpoczęta paczka cukierków czekoladowych. Nie należała do Rushita, bo on nigdy nie jadał słodczy. Do kogo zatem? Nigdy nie zaglądałam do bagażnika, ale tym razem coś mnie tknęło. Na widok zawartości stanęłam jak wryta: leżały tam porzucane damskie ciuchy, dwie pary spodni, dwie bluzki, wszystkie brudne i przepecone, przerzuciłam je i wtedy spod odzieży wypadła... para zakrwawionych majtek z podpaską. Nie mogłam się ruszyć, byłam w szoku, nie mogłam krzyczeć, ani płakać. Nie miałam pojęcia, co to miało znaczyć, skąd wzięły się te ciuchy. Otepiąłem chwyciłam w dwa palce jedną z leżących tam bluzek i zaniósłam do środka. Rzuciłam na środek pokoju. Rushit, który siedział na materacu po turecku i niezdarnie jadł pitę podaną mu przez matkę, spojrział na rzuconą rzecz, potem na mnie:

- Wsadź to do pralki i wypierz - mruknął tylko i wrócił do jedzenia.

Tego było dla mnie za wiele. Pobięłam z płaczem do pokoju na górę.

Rzuciłam się na łóżko i wciskając głowę mocno w poduszkę, zaczęłam krzyczeć ile sił. Gdyby nie to nienarodzone dziecko, pewnie skończyłabym ze sobą tamtego dnia. Czulałam się poniżona, porzucona, zmieszana z błotem, jakby ktoś napluł mi w twarz i kopnął mocno w klatkę piersiową. Nie miałam chęci do życia, nie chciałam też umrzeć, byłam psychicznym wrakiem. Rushit przeszedł wszelkie granice podłości. To, co zrobił było okrutne i nieludzkie.

Ciche pukanie do drzwi, już wiedziałam kto to i w jakim celu. Nie odezwałam się ani słowem, ktoś nacisnął klamkę i wszedł.

- Iza, nie martw się tak - szepnęła Nasife. - To pracownice Rushita, dwie dziewczyny z Rosji. Nie miały gdzie prać ciuchów i dlatego przywiózł je tutaj. Przecież nie mogą pracować za barem takie brudne.

Patrzyłam na nią z niedowierzaniem. Jaka naiwna była ta kobieta, ale czego spodziewać się po osobie, która nie wyjechała poza granice swojego powiatu, a co dopiero poza granice państwa, po kimś, kto nie wiedział o „prawdziwym” życiu nic. kompletnie nic...

- Ty chyba mu nie wierzysz?!

- Dlaczego? Mój syn nigdy by ciebie nie skrzywdził. Niepotrzebnie się przejmujesz. Pomyśl o dziecku.

- Właśnie myślę, głównie o dziecku i powiem ci, że jestem jedyną osobą, która to robi - powiedziałam to patrząc jej prosto w oczy, po czym odwróciłam się na drugi bok, dając jej do zrozumienia, że dalsza rozmowa nie ma sensu.

Wyszła. Później zauważyłam, że Saranda wyprała te rzeczy i powiesiła na lince na dworze. Wisiały tam, trzepocząc sobie beztrudnie na wietrze. Zastanawiałam się, kim były te dziewczyny. Co robiły w jego knajpie?! Z tego, co wiedziałam nawet na dyskotekach nie bywały żadne dziewczyny. Mój świat kończył się przed ogrodzeniem tego podwórza. A ja dopiero po latach, będąc już w kraju przekonałam się, jaka byłam naiwna, zupełnie jak Nasife. Wierzyłam tylko w to, co mi pokazano i powiedziano, w nic więcej. A może ja zwyczajnie nie chciałam znać prawdy?! Żeby odpowiedzieć sobie na to pytanie musiałabym głęboko wdążyć się w moją psychikę, a nawet pięć lat potem nie byłam jeszcze na to gotowa...

RODZĘ!

Lirim, mimo że lekarz nie dawał mu żadnych szans na przeżycie, rósł zdrowo, tylko płakał bardzo dużo. W nocy, w dzień, praktycznie bez przerwy. Domyślałam się, gdzie leży przyczyna, ale nikt i tak nie słuchał. Saranda jak zwykle wykąpała małego po śniadaniu, nigdy nie robiła tego wieczorem, bo podobno w Kosowie dzieci się późno nie kąpie. Na materacu rozłożyła w poprzek pieluchę. Róg, który znajdował się u góry zawinęła, na tym położyła nagusieńkiego Lirima,. Wyprostowała mu rączki wzdłuż ciała i sprawnymi ruchami owinęła maluszka jak ... mumię. Dodatkowo obwiązała go trzykrotnie szerokim pasem z materiału, który sama haftowała, będąc jeszcze w ciąży. Dziecko zaczęło płakać.

- Saranda, wiesz o tym, że w takim tobołku krew nie przepływa mu tak, jak powinna?! On musi się ruszać. Dlaczego nie ubierzesz go, tak jak każde cywilizowane dziecko na tym świecie?

- Tak robiła moja matka, babka i prababka. To tradycja. Poza tym to znacznie bezpieczniejsze dla malucha. W ten sposób nie ma szans, żeby źle go złapać, no i czuje się jak w łonie matki.

- Ale nawet w łonie matki te dzieci ruszają się swobodnie.

Nie słuchała mnie. położyła Lirima do kołyski jeszcze raz obwiązała innym jeszcze szerszym pasem i podała butelkę. Niemowlakom w ten sposób karmionym nie odbijało się. Częstą przyczyną płaczu Lirima były właśnie kolki, ale Saranda. ani Nasife nie przyjmowały tego do wiadomości. Z czasem dałam sobie spokój z tymi pouczeniami. Rushit nie wracał z Maliszewa prawie wcale, a kiedy bywał już w domu, to tylko spał. Nie widywałam go prawie w ogóle. Piętnasty dzień października minął jak poprzednie. Teściowej zapowiedziałam, że jeśli za trzy dni nie zacznę rodzić, to jedziemy do szpitala, mijały prawie dwa tygodnie od daty mojego terminu. Zgodziła się. Ja miałam masę niewykorzystanej energii, sprzątałam co się tylko dało.

- Usiądź w końcu - śmiała się Saranda, kiedy wieczorem po wypiciu herbaty zaczęłam układać naczynia w szafce. - Bo urodzisz w biegu...

- Wszystko wskazuje na to, że nie urodzę wcale - odburknęłam, nie miałam nastroju, ta „słoniowa” ciąża denerwowała mnie powoli. Wydawała się nie mieć końca.

Około dwudziestej pierwszej powiedziałam ogólnie „Dobranoc” i poszłam na górę. Znowu sama... Leżałam w łóżku i chlipałam z samotności w poduszkę. W nocy obudziły mnie jakieś dziwne bóle podbrzusza. Spojrzałam na zegarek, dochodziła trzecia. To nie kopnięcia maluszka, ale prawdziwe bóle przedporodowe. Nagle tęsknotę za dzieckiem zastąpił paniczny strach.

- Boże, ratuj mnie, bo nie wiem co teraz robić - szeptałam przerażona, głaszcząc się po brzuchu i oddychając głęboko.

Nie miałam pojęcia, czy to już. Jeszcze kilka dni temu, kiedy pytałam Nasife, czy poznam te bóle właściwe, Saranda zażartowała, że z pewnością nie urodzę bez nich i będę wiedziała, że to one, bo są trudne do wytrzymania. Przez jakiś czas leżałam w łóżku, patrząc na zegarek, pojawiały się regularnie co pięć minut. Prawie co do sekundy... Zbliżała się czwarta, gdy zdecydowałam, że to JUŻ. Zeszłam na dół i cicho zapukałam do pokoju teściów.

- He? - po chwili usłyszałam zaspany głos.
- Ja rodzę, a Rushita nie ma... - byłam bliska płaczu.
- Już idę, ubieraj się.
- Mam zabrać z sobą rzeczy?
- Nie, przywieziemy ci.

W kącie pokoju stała torba, a w niej przygotowane wszystkie niezbędne do szpitala rzeczy dla mnie i dziecka, łącznie z aparatem fotograficznym i kupioną na tę okazję kliszą. Bóle były jeszcze do zniesienia. Ramush i Nasife zawieźli mnie do szpitala w Prisztinie. Po drodze czułam, jak skurcze stawały się coraz intensywniejsze. Bałam się panicznie. Nagle uświadomiłam sobie, że jadę rodzić, że jestem w obcym kraju, zupełnie sama, do tego dojdzie mi dziecko, za które będę odpowiedzialna i o którego wychowaniu nie mam pojęcia. Zdana tylko na siebie...

Weszliśmy do środka, stało tam kilka kobiet w zaawansowanej ciąży, jacyś mężczyźni kręcili się po holu i palili papierosy. Poczekałiśmy kilka minut.

- Co ja mam robić? - jęczałam
- Poradzisz sobie, będzie dobrze - pocieszała mnie Nasife
- Rushitowi powiedz proszę, że nie musi wcale przyjeżdżać do szpitala. Nie chcę go widzieć...
- Iza, nie denerwuj się teraz. Pewnie miał dużo klientów. Podobno ten interes idzie mu całkiem nieźle.

- Tak? Pierwsze słyszę. Prosiłam go raz o pieniądze, żeby kupić coś dla dziecka, stwierdził, że nic nie ma.

- Przecież kupiliśmy co trzeba dla niemowlaka...

Prawda, Nasife pojechała jeszcze zanim urodził się Lirim do miasta i przywiozła pełno rzeczy dla naszych dzieci. Wszystko po równo, tylko dla Sarandy kołyskę, a dla mnie małe nosidełko, o które prosiłam. Ramush, siedząc już w aucie, zapytał po raz któryś z kolei, czy jestem pewna, że wychowam dzieciaka bez kołyski. Skinęłam głową, że jak najbardziej. Miałam podstawowe rzeczy potrzebne dla maluszka, ale dlaczego nie zatroszczył się o nie ojciec?! To stanowiło dla mnie problem.

- Chodź, teraz ty - Nasife przerwała mi brutalnie rozmyślenia i pociągnęła mnie za sobą. Miałam wrażenie, że nagle przeszły mi wszelkie bóle.

Lekarz kazał mi się rozebrać i położyć na kozetce. Zbadał i powiedział, że rozwarcie jest na trzy palce. Pojęcia nie miałam, o czym mówi, ale posłusznie włożyłam piżamę podaną mi przez pielęgniarkę. Kurczowo trzymałam swoje rzeczy poukładane w kostkę, nawet majtek nie mogłam zatrzymać. Wyszłam na korytarz. Głupio zrobiło mi się w tej koszuli do kostek przed tymi wszystkimi ludźmi, Ramush spuścił wzrok. Nasife opowiadała mi potem, że płakał po wyjściu ze szpitala, było mu mnie żal. Najbardziej ludzki ze wszystkich ludzi w tamtej rodzinie. Pielęgniarka kazała mi i kilku innym kobietom pójść za nią. Oddałam swoje rzeczy teściowej i pożegnałam się z nią ze łzami w oczach, pokiwałam Ramushowi, który miał niewyraźną minę. Czułam się jak skazaniec, który idzie w nieznaną.

- Przyjedziemy jutro, przywieziemy twoje rzeczy. I Rushit też przyjedzie, nie przejmuj się. Trzymaj się - krzyczała za mną.

Miałam ściśnięte gardło, nie mogłam wydusić z siebie ani słowa, zaczęłam szybko rozważać pomysł Sarandy, żeby rodzić w domu, ale było za późno. Pocieszałam się, że niedługo zobaczę swoje maleństwo. Pojechałyśmy windą na górę. Młoda dziewczyna, stojąca koło mnie zapytała,

skąd jestem. Odpowiedziałam.

- Nie jesteś Albanką?

- Nie - zaśmiałam się, widząc jej zdziwioną minę - Jestem z Polski. Widziałam, że chciała mi zadać jeszcze masę pytań, ale dojechałyśmy na górę i zaprowadzono nas na ponowne badania. Była to wielka sala, do której prowadziły wielkie oszklone drzwi, ściana tego pomieszczenia wyglądała jak jedno wielkie okno. Tuż obok znajdował się gabinet lekarski. W rogu tej sali stało... krzesło do badania ginekologicznego.

Z niej z kolei wychodziło się na korytarz, wzdłuż którego ciągnęły się małe pokoiki dla rodzących, oddzielone od siebie szybami. Po sali kręciło się kilka pielęgniarek i pielęgniarzy, jakiś lekarz ze słuchawkami na szyi chodził tam i z powrotem. Na nasz widok wszedł do gabinetu i wołał każdą po kolei. Siedziałam przed drzwiami i czekałam na swoją kolej, w głębi korytarza słychać było nieludzki krzyk kobiety. Zaczęłam gryźć wargi z nerwów, chciałam uciekać, wracać do Carralluk, iść dokądkolwiek, byle nie tam...

- Co się dzieje z tą kobietą? - zapytałam przechodzącą salową.

- Wariatka jakaś. Wyje tam już od ponad godziny.

- To musi strasznie boleć - czułam, że robi mi się słabo.

- Gdzie tam - zachnęła się - tamta naprawdę przesadza. Nie przejmuj się *nusje*.

Znowu krzyk. Byłam na granicy załamania. Stwierdziłam, że nie będę jednak rodzić, odechciało mi się. Wstałam, żeby udać się na dół po swoje rzeczy i poprosić o kontakt z moją teściową. Niech przyjedzie po mnie, ja tu nie zostaję.

- Izabela Thaqi - drzwi od gabinetu otworzyły się. sparaliżowana strachem weszłam do środka.

Pokój bardzo różnił się od gabinetów lekarskich w Polsce i Niemczech, poźółkłe ściany, zaduch i niedbale porozrzucane wszędzie narzędzia pracy lekarza.

- O, Boże -jęknęłam, ale posłusznie położyłam się na fotelu. Ponowne nieprzyjemne badanie.

- Ale tu nie ma rozwarcia, pani nie jest gotowa do porodu. Kazał mi wstać \ wezwał pielęgniarkę:

- Proszę zaprowadzić *nusję* do sali, jeszcze nie będzie rodzić. Poszłam za nią. Zaprowadziła mnie do sali, gdzie spały dwie młode, przyszłe matki. Wskazała łóżko w środku. Nie miałam, pojęcia która mogła to być godzina, świtało już. Mimo to zasnęłam. Bóle rzeczywiście przeszły. Obudziły mnie jakieś głosy i nawoływania. Otworzyłam oczy, zastanawiając się, gdzie jestem, sądziłam, że ta cała wizyta w szpitalu to zły sen, ale pomyliłam się, to było realne... Po korytarzu chodziły kobiety w ciąży, niektóre żwawe, ale kilka ledwo powłóczyło nogami. Obie moje „współlokatorki” krzątały się po sali, ja nie miałam najmniejszego zamiaru ruszać się z łóżka. Czułam się obco i samotnie, byłam bliska płaczu. Naciągnęłam kołdrę pod nos i zamknęłam oczy. Udawałam, że śpię, nie miałam ochoty na żadne rozmowy, z nikim. Po pięciu minutach na korytarzu było pusto, wtedy jakaś dziewczyna zajrzała przez otwarte drzwi do mnie i spytała, czemu nie idę na śniadanie.

- Nie chcę - szepnęłam.

- Ojej, a ty skąd jesteś? - zdziwiła się i weszła do środka

- Z Polski, a teraz mieszkam w Carralluk.

- Polka? To fajnie, niedaleko nas są Polacy, żołnierze, bardzo mili ludzie. Carralluk to koło

Maliszewa, tak?

Przytaknęłam.

- Jedyne miejsce chyba w całym Kosowie, gdzie są zabobony i magia, a kobiety nadal noszą *dimi* i chustki na głowie, co? Słyszałam już o tym.

Wydała mi się bardzo sympatyczna, pokazałam jej, że może usiąść na moim łóżku. Przez dłuższą chwilę rozmawiałyśmy sobie jak najlepsze znajome. Prosiła, żebym opowiedziała, jak jest w Polsce, gdzie poznałam Rushita i jak dostałam się do Kosowa. Słuchała wszystkiego z zapartym tchem, a ja czułam się coraz lepiej, zapomniałam o tym nieprzyjemnym uczuciu samotności, które ogarnęło mnie przedtem całą i doprowadzało do rozpacz. Po jakimś czasie wróciły obie *nusje*, które leżały ze mną w pokoju.

- A ja myślałam, że ona nie chce z nami rozmawiać, zadziera nosa - tłumaczyła się ta, która leżała pod ścianą, przedstawiła się jako Yllka.

- Ja nazywam się Merita, leżę dwie sale dalej, gdybyś czegoś potrzebowała, daj znać. Domyślałam się, jak się czujesz. Na razie lecę zobaczyć, czy ktoś do mnie przyjechał.

Ciekawa byłam, czy Rushit o mnie myślał. No i kiedy przyjedzie Nasife. Z pewnością będzie to pora po herbacie, bo ona tego nie odpuści, choćby nie wiem co. Najgorsze dla mnie w tamtej chwili było to, że nie poszłam na śniadanie i czułam straszny głód. Nie miałam też żadnych ciuchów na przebranie, moja piżama sięgała do kolan, nie miałam odwagi zejść w niej na dół, na hol. Tymczasem po całym piętrze rozeszła się wiadomość, że w jednej z sal leży nie-Abanka. Do mojego pokoju zeszło się kilkanaście kobiet, siedziały na moim łóżku, na sąsiednich, zadawały masę pytań. Byłam dla nich kimś z innego świata, z innej planety.

- Naprawdę kobiety u was chodzą same na zakupy, bez mężczyzn?

- I pracują? A co robicie wtedy z dziećmi?

- Słyszałam, że nie myjecie się po spędzeniu nocy z mężem.

Spojrzałam na kobietę, która pytała. Siedziała w rogu, była już niemłodą osobą, ale o trochę figlarnym uśmiechu.

- Brat mojego męża ma Szwajcarkę, byli w zeszłym roku na wakacjach u nas. Dużo nam opowiadała o tych waszych obyczajach. Dlaczego nie myjecie się po?

Nie miałam zielonego pojęcia, jak jej odpowiedzieć. Musiałam wybrnąć z tego tak, żeby nie urazić ich dumy. Naród Albańczyków był bardzo patriotyczny, wszystko, co było związane z Kosowem, było dla nich święte.

- Wasz obyczaj mycia się po nocy spędzonej z mężem wywodzi się z muzułmanizmu, prawda?

Przytaknęły.

- No tak, jeśli nie umyjesz się POTEM, to przez 40 dni jesteś nieczysta.

- U nas robimy to z powodów czysto higienicznych, ale najważniejsze dla nas jest przed. Która chciałaby mieć w łóżku męża, który nie mył się od kilku dni?!-zażartowałam, ale wiedziałam, że prawie każda z tych siedzących tam niewiast musi to znosić. Mężczyźni, zwłaszcza ci starsi i mieszkający na wsi z higieną są raczej na bakier.

Temat zszedł na nasze małenstwa. Prawie wszystkie były w ciąży już któryś raz z kolei. Tylko dwie miały urodzić swoje pierwsze dzieci.

- Co będziesz miała? - zapytała mnie dziewczyna siedząca najbliżej.

- Córeczkę, a mój mąż chciał synka.

- Kto ci powiedział, że dziewczynka? Bo mi ta twoja ciąża bardziej wygląda na chłopaka.
- Naprawdę - ucieszyłam się. - Chodziłam do doktora Haki Balaja w Maliszewie.
- A, to możesz być pewna, że niekoniecznie powiedział ci prawdę. Mojej *kmiocie* też obiecywał dziewczynę, a ma ślicznego chłopaka.

Zaiskrzyła we mnie iskierka nadziei.

- Masz brzuch na małego mężczyznę, okrągły i wysunięty do przodu.

Mimo, że dzięki tym gościom w mojej sali czas oczekiwania leciał mi szybciej, to zaczynała mnie ta cała sytuacja męczyć, przecież pojechałam tam, żeby urodzić w końcu moje dziecko, któremu zresztą odwiedziało się całkiem wyjść na światło dzienne. Oczekiwanie to najgorsze, co może być... Merita przyniosła mi czekoladę i banany. Dostałam też od jakiejś milej kobiety sok w kartonie. W południe przyszła młodziutka pielęgniarka pobrać próbkę krwi od mojej sąsiadki spod okna. Patrzyłam z przerażeniem, jak przecina jej wskazujący palec od ręki małą brzytwką i wyciska czerwoną plamkę na kawałek szkła. Dziwny sposób pobierania krwi, ale w Kosowie nic mnie nie dziwiło. Potem zapytała mnie w jakimś słowiańskim języku o coś. Spojrzałam na nią zdziwiona, a po albańsku odpowiedziałam, że nic nie rozumiem.

- A! Myślałam, że jesteś Serbką.

- Czemu Serbką?

- Słyszałam, że nie mówisz czystym albańskim, dlatego sądziłam, że jesteś Serbką. Przepraszam. Skąd pochodzisz?

- To Niemka - przerwała nam moja sąsiadka, leżąca obok drzwi. - Mieszka w Carralluk.

To się nazywa szczegółowa informacja... Pielęgniarka usiadła na brzegu mojego łóżka.

- Jesteś z Niemiec?

- Właściwie z Polski - sprostowałam.

- Ale mieszkała w Niemczech, tam poznała swojego męża!

Ta kobiecina spod drzwi zaczynała mi grać na nerwach, adwokat się znalazł.

- Muszę lecieć, praca wzywa, ale może później wpadnę..

- Widzisz jaką sensację wzbudzasz? - uśmiechnęła się dumnie. Nie chciało mi się komentować jej zachowania, więc tylko pokiwałam

głową i podeszłam do okna. Stało tam kilka osób, mężczyźni i kobiety, wołali swoje krewne po imieniu. Czekałam na Rushita, czekałam, że może i ja usłyszę jego głos...

- Idziemy na dół, może twoja rodzina już przyjechała, ale nie mogą się tu dostać - do sali weszła Merita - Tam są tłumy i nie łatwo się doprosić, żeby ktoś zawołał cię na hol.

- Nie mogę, przecież nie mam na sobie niczego oprócz tej króciutkiej piżamy. Teściowa mnie zabije, jak mnie zobaczy w tym stroju.

Dziewczyna wyszła bez słowa i po chwili wróciła z parą getrów w rękę.

- Masz, załóż to. I pospiesz się.

Musiała być szczęśliwa w tym domu, gdzie żyła. Opowiadała mi, że wyszła za mąż za mężczyznę, którego kochała ze wzajemnością. Był on bardzo dobry i pracowity, a do tego miała wspaniałą teściową. To było jej pierwsze dziecko, córeczka, mąż był zachwycony, właśnie dziewczynkę chciał jako pierworodną. Zazdrościłam Mericie, lecz w duchu życzyłam jej wszystkiego najlepszego, była taka kochana dla mnie. Zeszliśmy schodami na dół, rozglądałam się za kimś z rodziny, ale bez skutku, usiadłyśmy na ławce. Po kilku minutach zobaczyłam Ramusha. Podeszłam razem z Merita, uśmiechnął się szczerze na mój widok.

- A gdzie Nasife? Gdzie Rushit?

- Nasife jest u wujka Ramadana, leży w tym szpitalu - pokazał mi budynek oddalony kilkanaście metrów od nas. - A Rushit w ogóle nie pojawił się w domu...

Czułam, że nie łatwo mu było przekazać mi tę wiadomość. Zmieniłam temat. Przedstawiłam Ramushowi moją koleżankę.

- Cały czas się o mnie troszczy - dodałam.

- Dziękujemy, chcieliśmy przyjechać wcześniej, ale byłem w Mali-szewie, szukałem Rushita, żeby mu powiedzieć o tym, że Iza jest w szpitalu, ale niestety nigdzie go nie mogłem znaleźć.

- A w knajpie go nie było?

- Nie, drzwi były zamknięte...

Poczułam złość, nienawiść, bezradność i chęć zemsty. Już wiedziałam, że to tylko kwestia czasu, kiedy na zawsze odejdę od Rushita. Miałam nadzieję, że zmieni się chociaż trochę, kiedy urodzę, ale jego nawet narodziny własnej córki nie interesowały. Wtedy zauważyłam Nasife, szła szybko w naszą stronę, z szerokim uśmiechem na twarzy. Objęła mnie i przytuliła mocno, w rękę miała reklamówkę:

- Tu masz soki, dwa hamburgery dla ciebie, słodczyce, winogrona i banany. Zaraz Ramush przyniesie z auta twoją torbę. Nie wiedziałam, czy masz wszystko, czego potrzeba, ale Saranda powiedziała, że spakowałaś się całkiem niezłe, więc nie dokładałam niczego. I jak ci tu jest? Jeszcze nie ma znaku?

- Nie, bóle przeszły.

Ramush wycofał się dyskretnie, powiedział, że idzie do samochodu.

- Najpierw byłam gotowa, potem inny lekarz stwierdził, że jednak nie. Położyli mnie do łóżka i czekam. Najgorsze, że nie miałam się w co ubrać, więc koleżanka pożyczyła mi te getry. W ogóle jest dla mnie taka kochana.

- Ma pani naprawdę miłą nusię - zaśmiała się Merita.

Po chwili wrócił Ramush, oprócz torby niósł dwa soki, dał je Mericie.

- To za opiekę nad Izą.

Ale dostanie za wydawanie kasy, pomyślałam rozbawiona, ale i wzruszona jego gestem.

- Co jest z wujkiem Ramadanem? Dlaczego jest znowu w szpitalu? Przecież niedawno wyszedł.

Najstarszy brat Nasife miał raka krtani, chorował od krótkiego czasu, ale choroba posuwała się w szybkim tempie. Miał operację, która rzekomo się udała.

- Znowu źle z nim. Zostaję dzisiaj u niego na noc, trzeba cały czas przy nim siedzieć, pomagać, ma specjalną maszynę, którą ściąga się wydzielinę z gardła. Nic nie może jeść, tylko pije, jest chudy jak szkielet.

- Nasife, rzuć palenie, proszę...

Lekarze od razu powiedzieli, że przyczyną choroby wujka Ramadana były właśnie papierosy, przez długie lata pielęgnował chorobę, w końcu zaczęło go to niszczyć. Przez ponad czterdzieści lat swojego życia palił ponad trzy paczki papierosów dziennie, w dodatku wybierał najmocniejsze z możliwych.

Posiedzialiśmy jeszcze trochę, w końcu kazali mi wracać do sali.

- Jesteś słaba, idź, połóż się do łóżka. Zjedz sobie hamburgera i odpocznij. A Rushitem się nie martw, on nie wie o całej tej sytuacji, w przeciwnym razie byłby tu bardzo szybko. Pewnie

pojechał gdzieś coś załatwić, znasz go...

Właśnie dlatego że go znałam, zaczęłam się przejmować, ale w tamtej chwili miałam coś ważniejszego na głowie, urodzić zdrowe dziecko. Pożegnałam się z teściami i razem z Merita wróciliśmy na górę:

- Nie obraż się, ale tej twojej teściowej dziwnie z oczu patrzy.
- Nie obrażę się. bo wiem o tym - zaśmiałam się.

Okazało się, że przegapiłyśmy obiad, ale dostałyśmy jeszcze jakieś resztki, podejrzenie wyglądający gulasz i grube pajdy chleba. Zjadłyśmy tylko trochę i poszłyśmy do mojej sali. Zaraz zeszły się znowu kobiety, siedziałam w łóżku i nagle poczułam ból, przeciągły, przecinający kręgosłup, po chwili jeszcze jeden, skurcz za skurczem, Z torby wyciągnęłam zegarek, który przezornie sobie spakowałam i wpatrywałam się w jego tarczę, pięć minut, znowu skurcz... Pocięłam się, że to może znowu jakiś fałszywy alarm.

- Chyba coś się dzieje - zwróciłam się do Merity.
- To idź to zgłosić, na co czekasz?!

Ponowny skurcz, zerwałam się na równe nogi i poszłam do pokoju, gdzie siedziało kilka pielęgniarek. Zapukałam, otworzyłam drzwi:

- Przepraszam, ale chyba mały mój bąbelek spieszy się na świat.

Rozbawione kobiety poprosiły, żebym weszła i zapytały, co ile minut mam bóle. Kiedy usłyszały, że co pięć, jedna z nich zawiozła mnie na wyższe piętro. Poznałam tamto miejsce, to tam badano mnie w dniu przyjazdu do szpitala, to tam krzyczała rodząca... Nagle oblał mnie zimny pot, bóle nasilały się, stawały się coraz częstsze, a ja bałam się coraz bardziej. Przeszłam badania.

- Proszę zaprowadzić *nusję* do pokoju, niech czeka, aż będzie gotowa - mruknął niemiły lekarz do pielęgniarki, która mnie przyprowadziła.

- Niech pani tu czeka, wszystko będzie dobrze - powiedziała, po czym wepchnęła mnie lekko do jakiegoś pokoju i poszła sobie.

Sala była malutka, w niej cztery łóżka, po dwa z każdej strony, koło każdego miska, na środku jakieś kałuże, pachniało brzydko moczem i potem. Leżały tam dwie kobiety, jęcząc cicho. Położyłam się tam, gdzie było wolne miejsce. Bóle były już dokuczliwe, a najgorsze, że nie mijały, tylko zdarzały się coraz częściej i były coraz bardziej bolesne. Wiedziałam, że to już! Nie miałam żadnego wycucia czasu, nie wiedziałam, ile minut mijało, ani ile godzin. Skurcze były na tyle dokuczliwe, że nie mogłam uleżeć w łóżku, wstałam i zaczęłam chodzić po pokoju, co chwilę kucając z bólu. Obie moje współtowarzyszki cierpiały już na całego, kładły się na podłogę, wzywały Allacha, płakały, wołając o pomoc. Patrzyłam na nie i zaczęłam się modlić, żeby to wszystko skończyło się jak najszybciej. W pewnym momencie usłyszałam charakterystyczny pisk opon, opel Rushita miał od dłuższego czasu zepsuty pasek klinowy i wydawał taki właśnie odgłos. Wyrzałam przez okno. To on! Jaką miałam wtedy ochotę zobaczyć go, dać mu porządnie w mordę, stłuc na kwaśne jabłko, byłam zła, do tego obolała. Żałowałam, że nie nawinie mi się pod rękę.

- O, Jezu! - jęk sam wydarł mi się z piersi, skurcz był bardzo bolesny. Po krótkiej chwili dołączyłam do obu kobiet, nie wiedziałam co ze sobą robić. Jęczałam, wzywałam Boga i Allacha po kolei, w trzech językach. Ból zaczynał być nie do zniesienia. Wyszłam z sali i podtrzymując się ściany poszłam do pokoju dyżurujących lekarzy. Siedziało tam dwóch mężczyzn w białych kitlach.

- Czy ktoś może mi pomóc, dajcie mi jakieś leki przeciwbólowe? Proszę...

- Nie mamy leków, niech pani wraca do sali, zaraz przyjdzie lekarz - powiedział jeden z nich zniecierpliwiony, że przeszkadzam im oglądać mecz w telewizji. Ślaniając się na nogach wróciłam do „sali tortur”, jak ją w myślach nazywałam. Ból stawał się coraz gorszy, coraz trudniej było go znieść, wyłam, płakałam i wyzywałam wszystkich na zmianę. Chciałam umrzeć, wyciągnąć niemowlę własnymi rękoma z łona, żeby tylko przestało boleć. Po jakimś czasie poszłam do lekarza, zbadał mnie:

- Za małe rozwarcie. Wracać do sali.

Dopiero drugie badanie, na które wezwał mnie już sam wykazało, że już jestem gotowa. Zaprowadzono mnie do jednego z tych pomieszczeń, oddzielonych jedno od drugiego szybami. Pielęgniarka sprzątnęła szybko łóżko, leżały tam całe brudne od krwi i kału prześcieradła.

- Nie będzie lewatywy? - przypomniało mi się.

- Nie trzeba - usłyszałam krótką odpowiedź - Proszę się położyć, jak się zacznie to zawołać.

„Jak się zacznie”?! Przecież to JUŻ się zaczęło, zostałam sama. Bóle były regularne, co kilka sekund. Po przeciwnej stronie sali nieznana mi kobieta zaczęła kiwać, poznałam w niej jedną z tych, które siedziały w moim pokoju. Kiwnęłam jej, chyba zaczynała rodzić, bo nagle zakrzętało się koło niej kilka osób w białych kitlach. Wtedy usłyszałam głośne wołanie:

- O, matko moja, pomóż mi!

Po chwili znowu:

- O, siostró, ratunku!

Przechodząca pielęgniarka zajrzała i zapytała jak się czuję.

- Jak kobieta rodząca, podle - usiłowałam zażartować.

Zaśmiała się serdecznie i pocieszyła mnie, że to już niedługo i będzie po tym całym koszmarze z bólami.

- Kto to tak krzyczy?

- Młoda dziewczyna, nie jest chyba całkiem normalna, drze się tak od samego rana, od kiedy tutaj przysła.

- O, matko i siostró! -jak na zawołanie ponowny krzyk.

Pielęgniarka uśmiechnęła się i wyszła. Nie miałam pojęcia, co robić, zaczęłam przeć, mając nadzieję, że rzeczywiście szybciej to pójdzie. Parłam i parłam. Wariatka na końcu sali darła się wniebogłosy, a ja krzyczałam po cichu najgorsze przekleństwa po polsku.

- Zamknij się tam! - jakiś męski głos wrzasnął na korytarzu na kobietę wzywającą matkę i siostrę na zmianę. Przez moment zaległa cisza, ale nie na długo.

- O, matko, pomocy!

- I jak? - zapytał młody mężczyzna, który wszedł szybkim krokiem.

- Gotowa?

Zbadał mnie i zawołał siostrę.

- No, to zaczynamy! Przeć, szybciutko!

He to trwało? Jak bardzo krzyczałam? To pytania, na które nie mam odpowiedzi do dziś, nie miałam pojęcia, w każdym razie nie zapomnę do końca swoich dni uczucia lekkości, kiedy główka przeszła i słów lekarza:

- A teraz damy pani córeczce penicylinę.

Zaczęłam płakać ze szczęścia, Patrzyłam na to maleństwo i myślałam:

- Boże, to naprawdę MOJE?

Była taka brzydka, cała sina, widziałam jak pielęgniarka mierzyła i ważyła moje dziecko, owinęła bez mycia w pieluchy i chciała położyć do małego łóżeczka stojącego obok. Nie tak wyobrażałam sobie mój poród.

- Proszę mi ją podać.

Położyła mi ją na piersi, ale zaraz zabrała.

- Najpierw musimy panią pozszywać - powiedział lekarz. Skojarzyłam sobie, że w czasie, kiedy rodziłam pielęgniarka rzeczywiście podawała doktorowi nożyczki, ale nie zastanawiałam się po co.

- Nie, dziś nic nie dam sobie robić - byłam wykończona. - Jutro róbcie ze mną, co chcecie, ale dziś dajcie mi już spokój.

- Ale ja tak szybciotko, obiecuję - uśmiechnął się uspokajająco

- Jutro nie będę chciał od pani już nic więcej, dobrze?

- No, dobra, ale bezboleśnie, proszę - zażartowałam i spojrzałam na malutką.

Szycie nie trwało długo, chociaż było też bolesne, zacisnęłam zęby i nie spuszczałam oka z mojej córeczki. Lekarz życzył mi wszystkiego najlepszego i wyszedł, zostałam sama. Przestraszyłam się, bo nagle dotarło do mnie, że nie czuję nic do tego dziecka. Nie płakała już, ale pluła ślinką. Miała zamknięte i spuchnięte oczka. Wyglądała brzydko, ale w pewnym momencie zakwiliła cichutko, jakby zawołała. Nie namyślając się wiele, podniosłam się na łokciu i wyciągnęłam ten malutki zawinięty ciasno tobołek z łóżeczka. Odkryłam pierś i przystawiłam ją, przez moment szukała jej usteczkami i zaczęła ssać. Wtedy moje serce otworzyło się całkiem, pokochałam ją ze wszystkich sił. Patrzyłam wzruszona, jak łapczywie pije mleko.

- Co pani robi? - przechodząca obok salowa weszła przestraszona.

- Przecież nie można pani jej karmić, jeszcze nie teraz, przez dwie godziny musi pani odpoczywać. Niech pani ją odłoży, zanim przyjdzie jakiś lekarz.

- Ona chce pić. Nawet mowy nie ma, żebym położyła ją z powrotem. Patrzyła czule na mnie i na małą i... pokazała mi, jak prawidłowo trzymać dziecko podczas karmienia.

- Ja nic nie widziałam - szepnęła i wyszła, byłam jej za to bardzo wdzięczna.

Oni mogli mieć swoje zasady, ale to akurat wiedziałam, że to najważniejsze, żeby mieć dziecko przez pierwsze minuty jego życia przy sobie.

Po porodzie musiałam leżeć w tamtej sali jeszcze dwie godziny, w razie jakiś komplikacji. Małeńka spała, patrzyłam na nią, nie wierząc własnym oczom, że TO dopiero co ze mnie wyszło, i że zostało poczęte z wielkiego uczucia - mojego i Rushita.

- Owoc naszej miłości - powiedziałam sama do siebie i łzy popłynęły mi po twarzy. Byłam szczęśliwa, że urodziłam, ale jednocześnie czułam wielki wewnętrzny ból, miałam świadomość tego, że sama będę wychowywała naszą córeczkę. Podjęłam decyzję. Rushit przekroczył granicę. Zresztą miałam już w kim ulokować moje uczucia...

Okolo drugiej niska, drobnej budowy pielęgniarka przyjechała po mnie z wózkiem inwalidzkim, miała mnie zawieźć do sali. Pomogła mi zejść z łóżka i podała niemowlę. Pchała ten wózek z nieukrywany wysiłkiem.

- Może ja sama pójdę, naprawdę nie widzę powodu, dlaczego nie miałabym chodzić sama - zaproponowałam jej, ale pokręciła przecząco głową.

Zawiozła mnie do innej sali, jedyne wolne łóżko było przy oknie. Leżały tam trzy kobiety z niemowlakami, dwie miały je przy sobie, jedna leżała plecami do małego łóżeczka z bobaskiem. Nie spała, ale nie zareagowała też na moje wejście.

Położyłam się i zrobiłam przytulne miejsce dla córeczki.

- Nie ma pani oznakowania?

Chodziło jej pewnie o te karteczki przyczepiane na rękę matki i noworodka, pokręciłam głową, że nie.

- Zaraz przyniosę.

Wróciła po chwili, bardzo niezdarnie odwinęła tobolek z dzieckiem, zwróciłam jej uwagę. Zaśmiała się, że nic się dzidzi nie stanie.

- Urodziła się o północy, będzie szczęśliwa - dodała i wyszła.

- Co urodziłaś? - zapytała mnie sąsiadka obok.

- Dziewczynkę, a ty?

- Też, czwartą. Nie jesteś Albanką? Skąd pochodzisz? Standardowe pytanie z ust każdego, kto usłyszy, jak mówię. Zbyt słabo znałam język i wszyscy, którzy ze mną rozmawiali domyślali się, że nie byłam „tamtejsza”. Po pięciu minutach rozmowy czułam, że całkowicie zaschło mi w gardle. Cały mój dobytek został w poprzedniej sali, piętro niżej. Moja córeczka spała, bałam się zostawić ją nawet na sekundę, ale wszystko wskazywało na to, że się nie obudzi. Postanowiłam zaryzykować.

- Czy mogę zostawić ją na chwilę pod pani opieką? Zejdę tylko na dół. Muszę przynieść sobie coś do picia, bo chyba za dużo krzyczałam.

- Nie ma sprawy.

Wyszłam po cichutku na korytarz, podtrzymując pieluchę. Rozejrzałam się, czy nie ma tam nikogo i szybko zesłam po schodach.

- O, Allachu, dokąd ty, przecież dopiero co urodziłaś! - usłyszałam za sobą nagle - Muszę po picie! - odkrzyknęłam, nie zatrzymując się.

Nie pamiętałam, która to była sala, na szczęście dla mnie drzwi były uchylone. Obie znajome obudziły się.

- Przepraszam, ale ja tylko na chwilę, muszę zabrać swoje torby - szeptałam, uśmiechając się przeproszająco.

- Jeszcze nie urodziłaś?

- Tak, mam córeczkę, jest na górze, dlatego muszę pędzić.

- Jak to? To jak ty możesz chodzić? - kobieta leżąca pod oknem, której imienia nie znałam podniosła się na łokciu i patrzyła na mnie z niedowierzaniem.

Rzeczywiście musiało to trochę dziwnie wyglądać, z reguły po porodzie leżało się wykończonym, a nie biegało po piętrach.

Obiecałam, że wpadnę rano na chwilę i opowiem im o porodzie.

Przez resztę nocy nie zmrużyłam oka w przeciwieństwie do mojej córeczki, która spała słodziutko.

Następnego dnia rano był obchód, mycie szwów polegało na przetarciu ran nasączonym wacikiem, zaraz potem wzięłam ze swojej torby ręcznik i mydło i poszłam szukać łazienki. Dziewczynkę zostawiłam pod opieką koleżanki leżącej na łóżku obok mnie, matki czterech córek. Łazienkę znalazłam na końcu korytarza. Nie byłam nigdy w szpitalu, ale nie tak wyobrażałam sobie takie miejsce. Ani kropli ciepłej wody, ani nawet prysznic. Jedyne, co można było zrobić, żeby chociaż pobieżnie się umyć, to przeciągnąć gumowy wąż podłączony od kranu którejś z toalet i tam zażyć lodowatego „prysznic”, albo zrobić tak, jak większość

pacjentek, dać sobie na luz z higieną i czekać, aż wypuszczą do domu. Ale to nie było rozwiązanie dla mnie, zacisnęłam zęby i umyłam się. Dopiero wtedy poczułam ból w szwach.

Po śniadaniu obudziłam malutką do mleka, był z niej prawdziwy śpioszek. Przyszła bardzo miła pani doktor, która zbadała dzieci.

- Czy pani w ogóle coś jadła w czasie ciąży, przecież to dziecko to drobinka, wcale nie ma brzuszka, proszę ją jak najczęściej nakarmić.

- Czy ona jest zdrowa?

- Jasne - posłała mi prawdziwie matczyne uśmiech, jest zdrową, śliczną dziewczynką. Czy ma już imię?

- Nie.

Wprawdzie przed porodem, jeszcze w Carralluk wymyślałam dla niej imiona, ale żadne nie przypadło mi do gustu.

- W takim razie proponuję Kosoware. Na pamiątkę, że urodziła się tutaj.

Zgodziłam się chętnie, chociaż w duchu miałam nadzieję, że będę mogła zmienić w razie czego to imię. Zastanawiała mnie młoda dziewczyna, której dziecko przez cały czas leżało w łóżeczku, jako jedyne w sali. Jęczała przez cały czas. Dopiero po jakimś czasie poznałam ten głos... To ona wzywała matkę i siostrę.

- O, matko - szeptała co chwilę.

Byłam ciekawa, czy miała takie bóle po porodzie, czy była zwykłą hipochondryczką. Malutka przebudziła się i popłakiwała cichutko.

- Czy tu ktoś przyjdzie przewinąć te dzieci - zapytałam.

Moje towarzyski z sali spojrzały po sobie, po czym wytłumaczyły mi, że tu nigdy nie przychodzi żadna pielęgniarka do przewijania.

- A u was, w Polsce tak się robi?

W zasadzie nie rodziłam nigdy w mojej ojczyźnie, ale taka czynność wydawała mi się oczywista. Wyciągnęłam pampersa z torby i delikatnie odwinęłam moją córeczkę z tego zawiniątka. Miała na sobie jakieś za duże żółte spodenki z szelkami i nic poza tym, była taka drobniutka. Kiedy byłam w ciąży, bałam się, że nigdy nie dam sobie rady z pielęgowaniem niemowlęcia, ale widocznie to przychodzi samo po porodzie, bo poszło mi całkiem nieźle. Tylko przerażał mnie brak ciepłej wody, dziecko było brudne, miało na główce ślady krwi, do tego zrobiło kupkę, pozostawiało tylko podetrzeć je i modlić się o szybkie wyjście ze szpitala. Zaczynało mnie to denerwować. Maluszek, kiedy tylko dostał suchą pieluszkę, zamknął oczka i spał. Postanowiłam pójść do drugiego szpitala, obwieścić Nasife, że znowu jest babcią. Jednak moja piżama nie nadawała się absolutnie do pokazania się publicznie. Poszukałam salową i poprosiłam ją o nową koszulę, dostałam ją bez problemu.

- Jak to zrobiłaś? - zdziwiła się kobieta leżąca dwa łóżka dalej – Tu nie dają nowych piżam prędzej niż po tygodniu pobytu.

Jeszcze wiele razy odczułam, że jako obcokrajowiczka miałam pewne przywileje, a może robił to po prostu uśmiech na twarzy... Coś, czego nie praktykowało się w Kosowie, niestety. Założyłam spódnice, nową koszulę i poszłam do Ule. Nie miałam pojęcia, czym wzbudzałam taką sensację, ale ludzie, których mijałam na holu i na ulicy przyglądali mi się z zaciekawieniem. Nie miałam czasu zastanawiać się dlaczego, bo chciałam jak najszybciej wracać do mojej córeczki.

- Przepraszam - zapytałam strażnika - Gdzie leży Ramadan Krasniqi?

- Kto?

- Taki pacjent z rurką w krtani?

- A! To pewnie tam w sali na końcu korytarza.

Jakiś mężczyzna siedzący przy stoliku zawołał mnie, chyba legitymował ludzi wchodzących na oddział, ale nie zatrzymałam się, pobiegłam szybko.

Otworzyłam cichutko drzwi i wsunęłam nieśmiało głowę. Wujek Ramadan leżał na jednym łóżku, a jego siostra na drugim. Na mój widok spojrzała zdziwiona na brzuch, potem na twarz, czekając na jakieś wyjaśnienie, potem znowu na brzuch, wyglądało to zabawnie. Podeszłam do jej brata i złapałam go za rękę, był bardzo słaby i wychudzony, w niczym nie przypominał już tego wujka Rushita, którego poznałam kilka miesięcy temu. Uśmiechnął się, widać było, że się ucieszył.

- Jak się czujesz wujku? - zapytałam.

Nie mógł mówić, gestem pokazał, że dobrze.

- Niech wujek szybko wraca do zdrowia i przyjedzie do Carralluk, a ja zrobię wujkowi taki czaj, jak wujek lubi.

Staralam się, żeby mój głos zabrzmiał normalnie, ale w pewnym momencie załamał się. Na szczęście Nasife zapytała, jak się czuję i czy mam bóle. Zażartowała, kiedy mam zamiar rodzić.

- Przecież ja już urodziłam! Zamurowało ją.

- To jak ty tu przyszłaś?

- Na nogach - śmiałam się.

Wujek dał mi znak, żebym podeszła i dał znak, że chce, żebym podała mu dłoń. Chwytał ją oburącz i poruszał wargami, z których odczytałam, że gratuluje mi córeczki.

- Iza, a jak się czuje malutka? Opowiadaj - ponagliła Nasife.

- Dobrze. Urodziłam dziś o północy. Porozmawiamy w domu. Teściowa nie mogła się nadziwić, że po porodzie mogę się normalnie poruszać. Gdyby wiedziała, że do tego założono mi siedem szwów... Pożegnałam się i wróciłam do dziecka.

Wczesnym popołudniem wezwano mnie do telefonu do gabinetu lekarza.

- Iza, jak się czujesz? Urodziłaś już?

- Cześć. Rushit. Tak, masz córeczkę.

Z napięciem czekałam na jego reakcję, jakieś westchnienie, rozczarowanie, cokolwiek, ale nic takiego nie usłyszałam. Powiedział, że jest na dole i pytał, czy mogę do niego zejść. Kobiety z sali chętnie zgodziły się ponownie zwrócić uwagę na moje dziecko. Zeszłam. Podeszedł do mnie i... podał mi rękę na przywitanie.

- Dziękuję za nią - szepnął spuszczać głowę, czuł się chyba winny, że tak mnie zaniedbał - Byłem wczoraj u ciebie, ale nikt nie chciał mnie wpuścić.

- Ciesz się z tego powodu, bo akurat miałam podłe bóle i nie byłam w nastroju. Wizyta u mnie mogłaby skończyć się dla ciebie kalectwem.

- Przepraszam, ale nie pomyślałem, że to może być już...

- Zwłaszcza, że dwa tygodnie temu minął termin... Porozmawiamy o tym w domu.

- Potrzebujesz czegoś?

- Tak, ciepłej wody - zażartowałam usiłując rozładować trochę atmosferę. - Byłam dziś u wujka Ramadana. też mógłbyś do niego pójść, ucieszy się, Nasife też tam jest.

- Pójdę, zaraz...

Pospacerowaliśmy jeszcze kilka minut, mimo że moja córeczka była bardzo spokojna, to

wolałam nie zostawiać jej na dłużej samej, tęskniłam za nią... Dałam Rushitowi do zrozumienia, że chcę już iść, jeszcze raz spytał, czy coś mi kupić.

- Nie, mam wszystko - podałam mu dłoń na pożegnanie.

Patrzyłam za nim, jak odchodzi i zastanawiałam się, czy coś z tych uczuć, którymi go darzyłam zostało. Miałam w kogo zainwestować moją miłość. Pobiełam szybko na górę. Nie spałam całą noc, ale co najdziwniejsze, nie czułam wcale zmęczenia. Bałam się, że coś jej się stanie w czasie, kiedy będę spała, że nie usłyszę, jak płacze. W sali był ruch. trzy pielęgniarki uwijały się nad jedną z pacjentek, oprócz nich była tam jakaś młoda kobieta, która krzyczała:

- Musisz nakarmić twojego syna! Wstawaj i rusz się, przecież on nie jadł od chwili narodzin. Umrze.

- Nie mogę - jęczała tamta.

- Jestem twoją siostrą, ale zaraz cię uderzę, jeśli nie przystawisz małego do piersi! Shpresa! Mówię poważnie.

Zerkałam na tę całą Shpresę i jakoś nie wyglądała na poważnie chorą, czy obolałą. Następna hipochondryczka. Kolejną noc spędzałam na wpatrywaniu się w małą, zresztą owa Shpresa nie dawała i tak szans na odpoczynek.

- O, matko moja! Ojejeje! Jak boli!

Co chwilę syczałam nerwowo, pozostałe kobiety przewracały się z boku na bok. W końcu moja cierpliwość się skończyła:

- Przepraszam, ale niektórzy chcieliby odpocząć.

Cisza jak makiem zasiał, po chwili wszyscy spali. Nagle dało się słyszeć ciche charczenie, jakby ktoś się dusił. Spojrzałam na moją córeczkę, spała słodko, maluszek kobiety leżącej obok też, i tej w środku. Odgłos stawał się coraz mniej intensywny, zerwałam się na równe nogi, podbiegłam do Shpresy, jej synek leżał cały siny i usiłował złapać powietrze. Chwyciłam go z łóżeczka i podniosłam do góry, wymiotował trochę. Tego mi było za wiele, kipiałam cała z oburzenia, jak można było tak zaniedbywać niemowlę.

- Ej, ty - powiedziała do leżącej i śpiącej w najlepsze wyrodnej matki. - Wstawaj, ale już.

Otworzyła z wysiłkiem oczy i natychmiast zrobiła cierpiącą minę.

- Ojej, jak boli.

- A będzie jeszcze bardziej, jeśli zaraz nie nakarmisz porządnie małego i nie weźmiesz go do łóżka. Jestem Polką, a my potrafimy być okropne.

Mrucząc coś pod nosem usiadła na łóżku, cały, rzekomy ból z jej twarzy nagle znikł. Wyciągnęła ręce niechętnie i wzięła malca.

- Aleja nie umiem...

- Tego nie trzeba umieć, daj mu mleko, sama ci pokażę jak to się robi. Usłyszałam śmiech pozostałych matek z tyłu.

- Ale jej pokazała, brawo.

Następnego dnia rano opowiedziałam całe zdarzenie lekarzowi, zaznaczając, że naprawdę nie ręcę za siebie, jeśli ona nie zajmie się małym. Automatycznie stałam się ulubienicą szpitala. Ale dla mnie najważniejsze było, że uratowałam małe życie. Byłam z siebie dumna i dziękowałam Bogu za bezsenność tamtej nocy. Przekonałam się też, że tego typu matki to nie tylko przypadek spotykany w krajach bardziej cywilizowanych, jak moja ojczyzna, czy Niemcy, ale także w Kosowie.

Dwa razy dziennie przychodziła pielęgniarka na zmianę opatrunków po operacji i przemycie ran. Moja córeczka okazała się naprawdę kochanym i spokojnym dzieckiem, jedyne co mnie martwiło, to fakt, że potrafiła bardzo długo spać i często musiałam ją budzić do karmienia. Ale jak już posmakowało jej mleczko, nie wiedziała, kiedy przestać pić, była łakomczuszką. Mimo że odpoczywałam w tym szpitalu, to zaczęłam się powoli męczyć. Zwłaszcza denerwował mnie brak możliwości umycia się, wzięcia porządnego prysznic, ale przede wszystkim chciałam ubrać moją dziewczynkę w jakieś normalne rzeczy. Nie mogłam patrzeć na te pieluchy ograniczające jej ruchy, poowijane kilka razy wokół małego ciała. W miarę możliwości starałam się uwalniać jej rączki, ale to był środek października, więc wieczory i noce bywały chłodne. Trzeciego dnia po porodzie na porannym obchodzie spytałam lekarza, czy mogę wyjść do domu. Powiedział, że jeszcze się zastanowi, chociaż normalnie nic nie stało na przeszkodzie. Jedynym problemem były szwy, nie goiły się tak, jak należało. Ale żywiłam nadzieję, że jednak wypisze mnie do domu. Po śniadaniu dowiedziałam się, że mogę już wyjść. Pobiegłam szybko do wujka Ramadan, Nasife jeszcze tam była. Podzieliłam się z nią dobrą wiadomością.

- Mogę wracać do Carrałluk.

- Zaraz przyjedzie Hasan, przywiezie ciotkę Sadbiere. Ma mnie zawieźć do Caralluk. Każę przyjechać po ciebie Rushitowi. Wypisywać będą pewnie tak jak Sarandę dopiero około 15, więc czasu jest dosyć.

Pożegnałam się z wujkiem Ramadanem, kazałam pozdrowić jego starszego syna, który miał przyjechać i jego żonę.

- I niech wujek jak najszybciej wychodzi i przyjeżdża do nas. Czekamy.

Chwycił mnie mocniej za rękę i pożegnał się serdeczniej. To było nasze ostatnie pożegnanie, chociaż wówczas nie przyszło mi to do głowy.

Wypis przedłużał się, dochodziła piętnasta trzydzieści. Przyszła młoda pielęgniarka i zabierała wszystkie dzieci, które miały zostać wypisane do domów. Najpierw każdemu wymalowała pisakiem numer na pieluszkach z przodu.

- Dlaczego? - przestraszyłam się nie na żarty, maleństwa leżały poukładane na wielkim wózku.

- Dostaniesz je na dole, nie martw się. Trzeba je wszystkie przebrać - zaśmiała się.

W końcu nadszedł czas wypisu, podekscytowana biegałam po pokojach i żegnałam się z każdą kobietą po kolei. Wszystkie życzyły mi powodzenia. Pożegnałam się także z wszystkimi pielęgniarkami, salowymi i lekarzami. Poznałam tam wielu ludzi, dzięki którym w przyszłości nie miałam żalu o moje cierpienie do Kosowa, a tylko i wyłącznie do Rushita i jego rodziny.

Byłam zmęczona tym pobytem w szpitalu, marzyłam o prysznicu, czułam się zaniedbana i brzydka, ale jednocześnie szczęśliwa. Kiedy zesłam na dół, czekał na mnie... tylko Ramush. Podał mi rękę, uśmiechając się szeroko, wziął ode mnie torbę i kazał ustawić się w kolejce po dzieci. Nie musiałam pytać, żeby wiedzieć, że ojca mojego dziecka nie było. Nagle ktoś złapał mnie za ramię. Odwróciłam się w nadziei..., ale to tylko Nasife.

- Muszę zostać jeszcze u wujka, bo ciotka Sadbiere miała jakiś gości i nie mogła przyjechać.

- Poradzicie sobie z Sarandą, co?

Nie słuchałam co mówiła, nie słyszałam żadnego z jej pytań.

- Gdzie on jest?

- Chodź szybciej, wołają cię - pociągnęła mnie za rękaw.

Rzeczywiście kolejka posunęła się szybko, widziałam jak z tyłu za mężczyzną, który wydawał

papiery jakaś młodziutka dziewczyna w białym kitlu ubierała moją córeczkę. Wychodziło jej to niezdarnie, ale uśmiechała się do maleństwa i mówiła coś czule. Teściowa wzięła kwitki, dwa opakowania pudru w prezencie, a ja chwyciłam w ramiona dziecko. Zaraz włożyłam ją do nosidelka, kupionego na moje życzenie przez Ramusha. Na zewnątrz czekał Afrim i Fitim. Najstarszy syn Bajrama, w wieku Afrima, po dwóch latach spędzonych na obczyźnie wrócił do Kosowa.

- Gratuluję córki - podał mi dłoń.
- Dziękuję bardzo - odpowiedziałam.

Nasife pożegnała się z nami i pojechaliśmy do Carralluk. Im bliżej byliśmy domu, tym większy czułam nerwowy ucisk w żołądku. Tak bardzo chciałam, żeby czekała na mnie kochana rodzina, szczęśliwy ojciec maluszka i radość z naszego powrotu. A tymczasem...

Wysiadłam z samochodu, to było moje pierwsze dłuższe rozstanie z tamtym miejscem, odkąd przyjechałam do Kosowa. Na tarasie czekała już Saranda i Shyrete. Przywitały się ze mną serdecznie, zaciągnęły do salonu. Podeszłam najpierw do kołyski, żeby ucałować Lirima. Spał słodziutko.

- Jak się czuje?
- O wiele lepiej, ale nadal nie sypia w nocy.
- A ty, Shyrete, jak się miewasz? Co słyhać u Bakiego? Pracuje?

Moja szwagierka zarumieniła się i spojrzała znacząco na Sarandę. Ta jej skinęła głową. Coś chciały mi powiedzieć.

- W kwietniu będę mamą - wydusiła w końcu.
- Ojej - podskoczyłam do niej i objęłam mocno. - Tak się cieszę.

Wszystkiego najlepszego. A jak się czujesz? Dobrze?

Jeszcze kilka miesięcy temu Shyrete zadbana i zawsze piękna wzdygała się z obrzydzeniem na widok rozstępów na brzuchu Sarandy, współczuła jej, że nie może ubierać się w normalne sukienki. Los szybko zgotował jej to samo doświadczenie...

Saranda zrobiła kawę, kiedy wypiliśmy Burim zniknął gdzieś z Af-rimem i Fitimem, a i Ramush wycofał się dyskretnie. Shyrete przygotowała kąpiel dla dziewczynki. Trzeba było ją obudzić, cały czas spała.

- Ona tak zawsze. Potrafiłaby przespać całe noce i dnie. W ogóle nie wiem, że mam dziecko - zaśmiałam się. Mama Lirima westchnęła smutno, że nie pamięta, kiedy ostatni raz spała w nocy

- Rozbierz małą - poleciła Shyrete.

Zabrałam się do tego delikatnie. Nagusieńka wydawała się jeszcze drobniejsza, faktycznie kąpiel była niezbędna, bo na ciałku miała jeszcze ślady krwi. Obrzydliwe, do jakiego stopnia zaniedbywano higienę w szpitalu w Prisztinie. Mała leżała cichutko, widocznie podobało jej się to, ale niestety nie gustowała w kąpeli. Pokazała, na co stać jej małe płucka. Wpadłam w panikę, do tamtego momentu nie słyszałam jej tak płaczącej, łzy leciały mi ciurkiem po twarzy.

- Cichutko, moja maleńka córeczko - szeptałam, głaszcząc jej stopki i rękawem wycierając łzy - Już...Już....

Poprosiłam Shyrete, żeby skończyła, bo serce mi pękało. Ta tylko zaśmiała się i zaproponowała mi, abym poszła się wykapać. Pomysł był niezły, ale wolałam najpierw ubrać i nakarmić moją dzidzię. Poszłam na korytarz, żeby nie słyszeć rozpaczliwego płaczu. Za moment zawołała

mnie Saranda.

- Chcesz ja zawinąć w pieluchy, czy wolisz ubrać?

Odpowiedź była oczywista. Na samym początku mojej ciąży uprzedziłam, że nigdy nie pozwolę na męczenie dziecka w tak barbarzyński i starodawny sposób.

- I czego wyłaś? - Shyrete spojrzała na mnie z rozbawieniem.

To miał być dopiero początek, jeszcze przez dwa kolejne miesiące nie odważyłam się wykąpać własnego bobasa.

Kiedy dziewczynka już spała czyściutka i najedzona, zapytałam o Rushita. Podobno rzadko bywał w domu. Wracał tylko, żeby się przebrać, najeść i znowu gdzieś uciekał. Nie było go od dwóch dni, dlatego nawet nie wiedział, że miałam wrócić ze szpitala.

- Dokąd on chodzi? Czy siedzi w tej swojej knajpie?

Nie uzyskałam żadnej odpowiedzi. Saranda zmieniła temat, zaczęła opowiadać, jak się ucieszyli, że urodziłam.

- Sahit przyszedł z kałasznikowem i strzelał z tej okazji.

- Ale przecież strzela się tylko, jak urodzi się chłopiec - zdziwiłam się, ale zrobiło mi się bardzo miło.

- Nie tylko, sałwy są też dla dziewczynek. Są rodziny, dla których nie ma znaczenia, jakiej płci urodzi się dziecko. W Baice na przykład to Albesa, córka Hasana jest pupilkim i z nią liczą się wszyscy. Jest najbardziej rozpieszczana.

Chyba tylko ze względu na Shyrete powstrzymywała się od złośliwych uwag na temat rodziny swojego męża, ale nie musiała nic dodawać. Obie mieszkaliśmy z tymi ludźmi na co dzień. Poszłam do łazienki, chciałam się w końcu wykąpać.

- Kiedy wyłączą prąd? - upewniłam się, czy miałam jeszcze czas.

- Jest teraz redukcja cztery na dwa. Masz szczęście - zaśmiała się Saranda - przez kolejne trzy godziny mamy prąd.

Przyzwyczaiałam się już, że trzeba liczyć godziny, kiedy jest energia, a kiedy jej nie ma. Po wielu miesiącach życia w Kosowie było to dla mnie codziennością. W łazience czekała na mnie niemiła niespodzianka. Wanna lepiła się od brudu, wymagała wyszorowania.

- Podobno tak sobie beze mnie radzą - mruczałam wściekła myjąc wannę.

Rana po szyciu dawała się nieźle we znaki, ból bywał chwilami nieprzyjemny. Ale chyba najnieprzyjemniejszy i najbardziej bolący był fakt, że osoby, z którą powinnam dzielić radość z narodzin tego dziecka, nie było przy mnie. Ojca mojego dziecka nie było przy mnie wtedy, kiedy najbardziej tego potrzebowałam. Nie potrafiłam określić, co czułam, złość pomieszana z bezradnością, żal i smutek. Łzy, mieszając się z wodą, spływały mi po twarzy. Czułam kluskę w gardle, ale nie chciałam płakać, nie chciałam, żeby ktoś wiedział, że Rushit mimo wszystko był dla mnie nadal tak ważny...

Saranda zaparzyła mi rumianku, kazała podmywać się tym, żeby rana szybciej się zagoiła. Wykąpana, odświeżona i przebrana poczułam się o niebo lepiej. Właśnie, kiedy wychodziłam z łazienki, rozległo się pukanie do drzwi wejściowych. To kobiety z rodziny. Zona Sahita, Bukuria i Sadriego, szwagierka Shpresy, Minirja. Za nimi standardowo kilkoro obdartych dzieci, ale Saranda zatrzymała je już na progu i wyrzuciła na dwór.

- Iza, gratuluję córki - podawały mi kolejno dłonie i ścisnęły mocno. W prezencie dostałam ten słynny komplecik za pięć marek, nabierałam tego, zanim moja córeczka skończyła miesiąc,

kilka sztuk. W sumie popołudnie spędziłyśmy miło, a Rushita nadal nie było... W zasadzie miałam prawo siedzieć beczynnie. Shyrete, żeby tylko nie pomagać przy posiłku, kołysała Lirima, chociaż ten spał słodko. Saranda sama próbowała przygotować jakąś kolację, wstałam więc i zabrałam się do pracy. Pokroiłam pomidory i zaparzyłam herbatę. W międzyczasie wrócili mężczyźni, także ON.

- Witaj - skinął mi głową na przywitanie, nie zareagowałam, byłam obrażona
- Tam leży twoje dziecko - syknęłam zła - o ile ciebie to interesuje.

Podszedł zmieszany do nosidełka leżącego w kącie na materacu, rzucił okiem i... wyszedł. Patrzyłam za nim ogłupiała. Nie wierzyłam własnym oczom. Wybiegłam za nim.

- I to wszystko???
- A co? Miałem ją wziąć na ręce? Przecież jest mała...
- Ale wymówka! Boże, Rushit przecież ja widzę, że ty wcale nie interesujesz się tym maleństwem. Gdzie byłeś? Dlaczego nie przyjechałeś mnie odebrać? Dokąd idziesz teraz?

Otrzymałam tylko jedną odpowiedź:

- Umówiłem się, na razie.

I tyle go widziałam. W salonie czułam zaciekawione spojrzenia, ale starałam się zachowywać zupełnie naturalnie. W Kosowie kobiety śpią z niemowlakami przy zapalonym świetle. Saranda wytłumaczyła mi, że nie ma to nic wspólnego z żadną magią. Zwyczajnie boją się, że dziecku coś może się stać w nocy i one nawet nie będą wiedziały o tym, bo będzie ciemno. Trochę głupawa teoria, ale nawet nie spodziewałam się jakiegoś sensownego wyjaśnienia. Najgorzej bywało, kiedy nie było energii. Saranda masowo marnowała świece. Zostawiała je zapalone na całą noc i na nic były moje ostrzeżenia, że właśnie te świece to najgorsze ryzyko. Łatwo mogło dojść przecież do pożaru. Tym bardziej, że plastikowe butelki po napojach wypełnione do połowy wodą służyły jako świeczniki. W razie niedopilnowania świeczka, spalając się całkowicie, zapalała również główkę butli.

Lirim okazał się uciążliwym dzieckiem, ale bardzo szybko przekonałam się, że miał prawo być jak syrena przez całą noc i pół dnia. Saranda starodawnym sposobem nie ubierała go w ciuszki, tylko zawijała w pieluchy, dziecko kładło się na dwóch pieluszkach ułożonych w charakterystyczny sposób jedna na drugiej. Rączki musiały prawidłowo leżeć wzdłuż ciała. Maleństwo obwiązywano mocno, przypominało mumię.

- Na pewno ktoś go z czarował - osadziła Nasife. Myślałam, że szlag mnie trafi, znowu ta jej chora teoria.
- Trzeba odczytać czary, ubieraj małego, jedziemy do kobiety, która to umie. Iza, przynieś mi jeden z tych małych ręczników, które dajemy w prezencie kobietom. I jedną koszulkę.

To był kolejny z ich obyczajów. Każdej kobiecie, która przychodziła pogratulować niemowlaka, dawano przy wyjściu jakiś mały upominek. Najczęściej był to mały ręcznik, biała, prosta podkoszulka na ramiączkach, albo para cienkich skarpetek.

Zanim zdążyłam się zorientować Nasife i Saranda zapakowały Lirima w jakieś kocyki i pojechały z Ramusem.

Chwilami było mi trudno uwierzyć, że ci ludzie wchodzili w XXI wiek. Ich wiara w różne zabobony i magię przechodziła granice zdrowego rozsądku. Wrócili po godzinie. Teściowa, milcząc tajemniczo nasypała sobie do garści trochę zmielonej kawy i szczyptę soli. Przyglądałam się temu z zaciekawieniem. W międzyczasie Saranda położyła Lirima do kołyski, a jego babcia podeszła do dziecka i zaczęła przed jego twarzą wyprawiać dziwne rzeczy. Brała po szczypcie

mieszanki, którą miała w garści i rysowała w powietrzu kółka mruczając jakieś zaklęcia. Odkładała z powrotem, brała następną część, powtarzała to trzy razy. Mimo skupienia, nie mogłam zrozumieć, co mówiła. Lirim przestał płakać, usatysfakcjonowana babcia wrzuciła kawę i sól w ogień do pieca.

- Widzisz - powiedziała dumna do synowej - wiedziałam, żeby tam jechać; od razu przestał. A tu masz święte słowa, jedno zaszyj w skrawek materiału, trzeba będzie przypinać mu agrafką do ubranka, a drugie wsadź pod poduszkę w kołysce.

To mówiąc podała szczęśliwej matce chłopca dwie malusieńkie karteczki. Nie musiałam nawet pytać, żeby wiedzieć, że było tam kilka słów napisanych po arabsku. Bardziej wyglądało mi to na jakieś oszustwo, chęć zarobienia pieniędzy na głupocie takich prostych wieśniaków jak na przykład moja teściowa, niż na prawdziwe czary. Miałam wielką ochotę powiedzieć im, że przecież mały przestał płakać, bo zainteresował się wyczynami swojej babci, która wyczyniała nad nim śmieszne gesty, a nie dla tego, że zadziałała antymagia tej czarownicy. Ale nie uważałam za rozsądne spieranie się z matką Rushita i Saranda. Niech wierzą sobie w co chcą, jeśli chodzi o tę pierwszą to nic nie dziwiło mnie, ale przecież żona Kastriota pochodziła z inteligenckiej rodziny, sama też była wykształcona, uczyła się, a wierzyła w magię. Nie komentowałam tego.



Taki „tobolek” oddano mi, kiedy wychodziłam ze szpitala. Chwile potem moja córka została „oswobodzona”. Oburzenie rodziny było wielkie

KOSOWARE, DIAMANTE CZY LAURĘ

Moja dziewczynka rosła, piękniała w oczach, ale nadal nie miała imienia „na stałe”. Ze szpitala wyszła jako Kosoware. Imię spodobało mi się, chociaż musiałam brać pod uwagę również i to, że ona pojedzie do Polski, gdzie będzie w przyszłości miała kontakt z dziećmi, a te wiadomo są bezwzględne. Już sobie wyobrażałam, jak naśmiewają się z niej w przedszkolu, później w szkole. Spytałam Rushita, który zaczął okazywać coraz większe zainteresowanie swoją córką.

- Nie mam pojęcia, znajdź jakieś imię, a ja powiem ci, czy mi się podoba. Pamiętaj tylko, że musi to być imię godne muzułmańskiego dziecka.

No i miałam dylemat. Saranda przywiozła jednego dnia z Baicy książeczkę z albańskimi imionami. Wybrałam kilka, które bardzo mi się podobały: Drita, Yllka, Diamante.

- Zdecydowanie Diamante - stwierdził ojciec małej.

Tak miała się nazywać. Do czasu...

- Nawet mowy nie ma, żeby moja wnuczka tak dziwnie się nazywała - narzekał mój tata podczas którejś rozmowy telefonicznej.

- Ale zrozumiem, że musi mieć imię muzułmańskie. Mogę z nimi walczyć, ale i tak to ojciec dziecka ją zarejestruje, więc Kaşkë albo Başkë mogę wybić sobie z głowy - tłumaczyłam.

Ratunek przyszedł zupełnie przypadkowo... Tamtego dnia oglądałam z Nasife i Sarandą jakiś serial wenezuelski, chociaż jeszcze w Polsce gardziłam takimi filmami, to tam starałam się nie przepuścić żadnego odcinka. Nie byłam ciekawa fabuły filmu, ani tego, kto kogo kochał, albo kto kogo zdradzał, ale wreszcie miałam okazję chociaż popatrzeć na normalne, cywilizowane życie. Kiedy serial się skończył, przełączyłam na drugi kanał. I tam skończył się właśnie jakiś program. Patrząc bezmyślnie na migające imiona scenarzysty, reżysera i innych osób, zatrzymałam wzrok na imieniu Laura.

- Czy imię Laura jest spotykane wśród muzułmanów? - spytałam natychmiast.

- Tak, nawet dosyć często.

Żał mi było zmieniać Diamante na Laurę, ale chciałam uszanować zdanie moich rodziców, a poza tym rzeczywiście nie byłoby to miłym doświadczeniem dla dziecka, gdyby naśmiewano się z niego w szkole lub na podwórzu.

W ten sposób moja córeczka została Laurą już na stałe. Jedynie co do pisowni tego imienia zdarzały się dwie różne wersje, bo w przychodni w MaHszewie, skąd przysyłano co jakiś czas wezwania na szczepionkę pisano je Laurl, w pozostałych dokumentach była po prostu Laurą.

Jesień zaskoczyła nas tamtego roku. Chociaż nie było jeszcze zimno, to w powietrzu pachniało już złotymi liśćmi i suchą trawą. Dokładnie dziesięć dni po święcie zmarłych, którego oczywiście nie świętuje się w Kosowie, Saranda i Nasife powiedziały, że czas najwyższy zawieźć Lirima do kontroli. Lirima... Moja malutka dziewczynka miała niecały miesiąc, mimo to można było łatwo wyczuć, że była gorzej traktowana przez rodzinę Rushita. Nie było w tym winy jej, ja jednak nie widziałam żadnego sensu w dyskusowaniu z kimkolwiek na ten temat. Co mogłam wskórać. Liczyłam na to, że może kiedy dorośnie, to zmieni się to wszystko. Najważniejsze, że Rushit traktował ją coraz lepiej.

- Nie wiedziałem, co zrobić z takim małym dzieckiem - tłumaczył się bezradnie, kiedy wypominałam mu to po dłuższym czasie.

Rzeczywiście mężczyźni rzadko radzą sobie z niemowlakami, ale mógł się chociaż postarać... Tu nie usprawiedliwiał go nic.

Niepokoiliła mnie trochę jej główka, która była znacznie wydłużona, dlatego poprosiłam

Nasife, żeby zabrali mnie z sobą, a Rushitowi wyciągnęłam 5 euro z portfela. Pediatra przyjmował w Gllogovc, więc pół godziny trwała droga z Carralluk. Przez ten cały czas Laura spała jak aniołek, czego nie można było powiedzieć o Ltrimie.

- Czemu on tak płacze? - Ramush wyraźnie zaczął się denerwować.
- Na pewno ktoś rzucił na niego urok. Spójrzcie tylko na niego, piękny, ktoś zrobił to z zawiści.

Wiedziałam, że teściowa znowu winą obarczy jakieś czary, ale kiedy to mówiła, a zwłaszcza te ostatnie słowa miałam wrażenie, że spojrzała na mnie kątem oka. Ciarki przeszły mi po plecach, tego jeszcze mi brakowało, żeby posądzili mnie o czarną magię. O co ja miałam być zazdrosna, jeśli chodzi o małego?! Ze Saranda biedna nie miała absolutnie nic do powiedzenia w sprawie swojego własnego dziecka?! A im Lirim był starszy, tym było jej trudniej i tym częściej w domu wybuchały prawdziwe wojny.

- No. nasz Lirim jest całkiem zdrowy - uśmiechnął się doktor.

Był to niski i szczupły mężczyzna, który samym spojrzeniem i uśmiechem zaskarbiał sobie całkowitą sympatię rodziców i dzieciaków. Mina teściowej świadczyła ojej... rozczarowaniu.

- A ta mała dama ile ważyła po urodzeniu? - zapytał mnie podczas badania Laury.
- Dwa kilo dziewięćset - odpowiedziała Saranda, zanim zdążyłam otworzyć buzię.
- Niemożliwe, teraz ma cztery kilo siedemset! Ale z niej malutki grubasek - to mówiąc połaskotał małą po brzuszku - zaśmiała się bezgłośnie.

- A jej główka? - nie wytrzymałam, mimo że nie powinnam się odzywać - musiałam o to zapytać - przecież ma dziwny kształt.

- O! A mamusia skąd jest? - zainteresował się lekarz i przyjrzał mi się z zainteresowaniem.
- Niemka - padała odpowiedź.

Zmierzyłam Nasi te wściekłym wzrokiem, miałam ochotę wykrzyknąć jej prosto w twarz, że nie jestem żadną Niemką, ale rodowitą Polką, ale jaki to miało sens.

- A tata jest przystojny?

Zmieszałam się. bo nie wiedziałam do czego lekarz zmierzał.

- Tak...
- To ta mała panienczka będzie miała taką samą główkę jak on. Można ubrać dzieci i nie martwić się o nic, bo zdrowszych dzieci nie widziałem.

Przepisał Lirimowi na życzenie babci jakieś witaminki.

- Jedyne co mogę polecić temu chłopcu, to zmianę mleka...
- Więc jednak coś z nim nie tak - odetchnęła z ulgą teściowa. Miałam wrażenie, że to byłby dla niej prawdziwy skandal, zdrowe dziecko w rodzinie. Przecież cały urok w tym, żeby wszyscy żalowali tej „biednej” Nasife, jak to ciężko została przez los doświadczona... Obłuda prześcigała obłudę w tej kobiecie.

Wróciliśmy do domu, ja i Saranda szczęśliwe, nasza teściowa jak zwykle nie w sosie.

Z Rushitem moje stosunki poprawiły się od czasu narodzin Laury, jego knajpa splajtowała, znowu zaczął więcej czasu spędzać w domu. „W domu” znaczyło właściwie w sklepie, ale i to było już połową sukcesu. Nie zapomniałam jednak tego, co mi zrobił, nie zapomniałam mu żadnej z wyrządzonych mi krzywd... Nawet nie śmiałam mieć nadziei, że kiedyś moje marzenie o oddaniu Rushitowi wszystkiego z nawiązką ziści się, ale wcale nie musiałam czekać tak bardzo długo.

Po dwóch miesiącach przyszło zawiadomienie o szczepionce Laury i Lirima. Miało odbyć

się ono w przychodni koło szkoły w Carralluke.

- Gdzie jest ta przychodnia? Dlaczego za każdym razem prosiliśmy, żeby nas wozili do lekarza do Malishewa, podczas kiedy mamy go pod nosem?

Saranda zaśmiała się, że to nie taka prawdziwa przychodnia. Od czasu do czasu przyjeżdżał tam lekarz i robił właśnie szczepienia. W ciągu dnia siedziała tam młoda dziewczyna, która jedyne co potrafiła zrobić, to opatrunek. Blerim zawiózł nas tam po śniadaniu. W środku stało kilkanaście kobiet w chustkach i z zawiniątkami w rękach, niektóre miały starsze dzieci, które albo trzymały się kurczowo swoich mam za szyje, albo chowały za spódnice. Zaduch i nieprzyjemny zapach unosił się w powietrzu. Oczywiście nie było szans, żeby uniknąć spotkania kilku znajomych. Widziałam, jak niektóre baby specjalnie przeciskały się do Sarandy, żeby pogratulować jej syna, ale w rzeczywistości oglądały mnie z bliska ze wszystkich stron. Czułam się jak przybysz nie z tej ziemi, bawiło mnie to. Do tego Laura była ubrana i to całkiem pstrokato, inne dzieci były w zawiniątkach, a jeżeli miały ubranko, to proste w ciemnych barwach, często robione na drutach przez mamy lub babcie. Kątem oka wylapywałam ciekawskie spojrzenia, co chwilę wyląwiałam pojedyncze fragmenty rozmów:

- To ta Niemka Rushita... - szeptały między sobą.

- U nas w Polsce idzie to trochę sprawniej - powiedziałam niby do Sarandy, ale całkiem głośno.

Podziałało, głosy ucichły, spojrzenia były jawne. Zrobiłam furorę, bo zachowałam się głośno, powiedziałam coś w ich języku i do tego dowiedziały się „przez przypadek”, że jestem Polką z krwi i kości. Uśmiechnęłam się do siebie z satysfakcją i wtedy usłyszałam, że z gabinetu wywołano Laureę. Saranda podreptała za mną, kuląc się jak zbity pies.

- Tylko jedna może wejść - zganiła ją pielęgniarka i chciała zamknąć jej drzwi przed nosem.

- Ale ja nie rozumiem albańskiego, ona będzie tłumaczyć. To moja *kmiota*. - powiedziałam całkiem ładnym albańskim.

Nie miałam za bardzo pojęcia jak takie procedury wyglądają, dopiero moja mama przez telefon zapytała mnie, czy dzieci są badane przed zastrzykiem. Powiedziałam zgodnie z prawdą, że nie. Lekarz zwyczajnie wstrzyknął szczepionkę i po wszystkim.

- No to módl się, żeby nic się dziecku nie stało - postraszyła mnie – Bo jeśli maluszek jest chory, nie wolno pod żadnym pozorem go szczepić.

Nie był to, niestety, ostatni przykład zaniedbania przez lekarzy w Kosowie.

Bardzo szybko przekonałam się, że to wcale nie taka dobra sprawa mieć w Kosowie chłopca, Saranda nie miała żadnych praw, czasem Nasife przesadzała...

Tamtego dnia Lirim znowu płakał niemiłosiernie, zresztą nie było to nowością, miał już taki charakter. Był ogólnie płaczkowym dzieckiem. Jego nadgorliwa babcia posłała po starą kobiecinę ze wsi, która rzekomo знаła się na czarach. To, co zobaczyłam wstrząsnęło mną do głębi. Kobieta chuchała dzieciakowi w twarz, mówiła coś do niego szeptem, a kiedy ten nadal nie przestawał, czemu się nawet nie dziwię, bo staruszka była szpetna, zrobiła coś innego... Mianowicie rozłożyła na materacu prześcieradło, położyła Lirima na środku i obwinęła całkiem, zrobiła z niego... cukierek. Chwyciła za oba końce i zaczęła okręcać gwałtownie. Nie posądzałam jej o taką energię. Po kilku sekundach przestała kręcić i położyła zawiniątko do kołyski, rozpakowała, chłopiec leżał pokręcony na wszystkie strony, w takiej pozycji został przywiązany tradycyjnie szalem, żeby nie spadł i ukołysany przez matkę do snu. Patrzyłam na to z

przeżeniem w oczach. Takich obyczajów spodziewałabym się prędzej w jakiś zapomnianych przez cywilizację plemionach Afryki, nie w dawnej Jugosławii. Starucha została obdarowana przez teściową podkoszulkiem i parą skarpet i poszła sobie. Milczałam, nie wiedziałam, co powiedzieć. Wieczorem opowiedziałam to Rushitowi:

- Nie wtrącaj się do ich tradycji. Tak zostały wychowane, tak będą wychowywać.
- Ale przecież to nieludzkie - podniosłam głos zbulwersowana.
- Poczekaj aż zobaczysz jak będą podnosić komuś krtań - stwierdził - Wtedy dopiero oszalejesz, skoro ciebie takie coś denerwuje.
- Denerwuje??? Przecież to dziecko leżało w jakiejś dziwnej pozycji, ono nie mogło się ani odwrócić, ani ruszyć. Zarzuć sobie nogę na głowę i spróbuj zasnąć...

Na tym skończyła się nasza rozmowa. Po pięciu minutach słyszałam już tylko chrapanie. Nie zwróciłam uwagi na słowa Rushita o podnoszeniu krtani, a naprawdę miałam się w przyszłości przekonać, że praktykowano tam jeszcze brutalniejsze rzeczy.

NARODZINY... CIELAKA

Kolejne moje doświadczenie było również mało przyjemne, ale dawało więcej satysfakcji. Wieczorem, kiedy pozmywałam już szklanki po herbacie i zabierałam się po omacku (znowu nie było prądu) do ścielenia łóżek dla całej rodziniki, usłyszałam z podwórza jakiś dziwny odgłos.

Zawołałam Nasife.

- O, Allachu - krzyknęła i wybiegła na zewnątrz - chyba Walusza rodzi.
- Ojej - wyrwało mi się, byłam podniecona perspektywą zobaczenia małego cielaka i to wcale nie w telewizji. Ale to nie miało być tylko oglądanie potomka Waluszy...
- Iza. weź z sobą wiadro z ciepłą wodą. Sprawdź, powinna być jeszcze w kotle na piecu. I pospiesz się, idziesz ze mną. Diabli wzięli teraz gdzieś tych facetów.

Normalnie nie wolno w Kosowie pod żadnym pozorem przeklinać, wzywając diabła, bo ich zdaniem przychodzi do domu naprawdę i niszczy rodzinę. Kolejny przesąd, który dla Nasife i tak nie miał w tamtej chwili znaczenia. Przeżona poszłam za nią, byłam ciekawa, ale przecież nie wiedziałam, co robić. Zaczęłam żałować, że nie oglądałam w Polsce filmów, gdzie pokazywano weterynarzy w akcji. Szłam po ciemku do obory co chwilę potykając się o jakieś drewna i cegły... Nie widziałam kompletnie nic, księżyc był za chmurami, nigdy nie widziałam takich ciemności. A do tego wszędzie panowała martwa cisza. Tylko nawoływanie krowy i świerszcze zakłócały tę noc. Jedynym oświetleniem w oborze była lampa oliwna, krowa leżała na ziemi i męczyła się niesamowicie. Nagle zauważyłam wystający spod jej ogona zadek cielaka.

- Nasife, zobacz! - chwyciłam ją za rękaw gwałtownie, aż podskoczyła.
- No co? Cielak wychodzi - wzruszyła ramionami i podeszła bliżej.
- Moja Walusza - mówiła czule do krowy. - Dobra, kochana, dasz sobie radę. Jeszcze Walusza, jeszcze trochę...

Nie mogłam sobie przypomnieć, żeby takim tonem mówiła kiedykolwiek do człowieka, nawet do dzieci się nie zdarzało.

- Chodź, Iza. pomożemy jej wstać, lepiej urodzi.

Chwyciła krowę za rogi, ja poklepywałam ją po zadku i w ten sposób zmusiliśmy ją do

podniesienia się. Rzeczywiście poród zaczął przebiegać znacznie szybciej, widać było, jak jej ciężko, co chwila wydawała z siebie żałośnie brzmiące ryki, pełne cierpienia, kiwała łbem na wszystkie strony. Biła kopytami o ziemię.

- Jeszcze trochę, Walusza, jeszcze trochę - nawoływała Nasife ciągnąc cielaka powoli.

Rzeczywiście, jej cierpienie miało się ku końcowi, nie minęło nawet kilka minut, jak słychać było ciche plaśnięcie. To oślizgła masa na czterech, chudych i krzywych nogach wyleciała na ziemię. Krowa opadła z sił, położyła się na ziemi i zaczęła czule lizać małego. Miałam łzy w oczach. Przypominało to prawdziwy, ludzki poród, ból, cierpienie, którego nie da się opisać i na końcu ulga i szczęście. Nasife ocierała łokciem pot z czoła. Była zadowolona.

- Chłopiec czy dziewczynka? - musiałam wiedzieć - Chłopiec, nie widzisz siusiaka - zaśmiała się w odpowiedzi.

- To chyba dobrze, co? Wy wolicie bardziej chłopców.

- Ale nie u krowy, będzie na przyszłą zimę mięso, ale nie będzie mleka - westchnęła.

- No - zachichotałam. - Masz szczęście, że ona nie wie, jak sobie żartujesz teraz.

Jej spojrzenie mówiło jednak, że to nie były żarty.

- W tym roku ten pójdzie pod topór - wskazała leżącego w drugim końcu pod ścianą starszego cielaka. - A za rok ten. W międzyczasie Walusza urodzi znowu. Co rok nowy, ha ha...

Jakoś nie było mi do śmiechu. Jako nastolatka byłam przez 5 lat wegetarianką, zaczęłam znowu spożywać mięso, bo ciocia, która pracowała jako położna, przestraszyła mnie, że to może mieć w przyszłości zły wpływ na ciążę. Mimo to, starałam sobie nie wyobrażać, jaką część ciała i którego zwierzaka miałam na talerzu. A tu teściowa mówiła o prawdziwej rzeźni.

- Ale chyba nie tutaj?

- Tutaj, tutaj, jeszcze skórę będziesz ściągała z niego na sprzedaż - te żarty przestawały być na miejscu.

Zabrałyśmy lampę, wiadro i wróciłyśmy do domu. Wyobraźnia moja zadziałała natychmiast, przy każdym kroku miałam wrażenie, że chrzęszczą mi pod nogami kości zabitych na tamtym podwórku zwierzaków. Puściłam się biegiem, aż postawiłam nogę na schodach tarasu. Akurat włączono światło, miałyśmy więc możliwość umycia się, i to dokładnie, pod bieżącą wodą.

- A ile mleka będzie teraz - powiedziała Nasife, kiedy odpoczywałyśmy, po tym przeżyciu, w salonie.

- Ale dla cielaka - zaprotestowałam.

- Dla cielaka, dla cielaka - przedrzeźniała mnie. - A pić to się chce, co?

Już miałam zamiar wytknąć jej, kiedy to ja w ogóle piłam ostatnio mleko, ale przemilczałam.

Z pierwszego mleka, które jest żółtawe i ma gęstą konsystencję, przypomina trochę zsiadłe i jest słonawe Nasife zrobiła *perpeć*, czyli pite z twarogiem. Do jedzenia nie było chętnych, tylko ona i Ramush zajadali się tym ze smakiem. Spróbowałam i rzeczywiście nie było to takie rewelacyjne w smaku. Krowy z reguły po ocieleniu dają więcej mleka, jednak nasza Walusza postanowiła być wyjątkiem.

- Krowę po ocieleniu powinno się doić minimum trzy razy - tłumaczyła mi Saranda - Im częściej, tym więcej mleka będzie dawać.

Ale osoba zobowiązana do dojenia krowy i jednocześnie specjalistka od wynajdywania sobie różnych chorób leżała na materacu i jęczała wniebogłose, że tak źle się czuje i chyba nie da

radę pójść wydoić Waluszy. Kiedy z niczyjej strony nie widziała żadnego współczucia, podnosiła się i wzdychając głośno, szła do krowy.

- Może nauczę się doić. co? - zapytałam Sarandę nieśmiało.

Postukała się w czoło znacząco:

- Zwariowałaś, mało masz obowiązków, przecież, jeśli teściowa zobaczy, że umiesz doić, to masz kolejny obowiązek na karku. Ona już wtedy nigdy nie pójdzie do obory.

Miała rację, tak samo było z zamiataniem, chociaż i Saranda zareagowała identycznie, kiedy przekonała się, że świetnie sobie radzę w wielu pracach domowych. Tak więc Nasife zaniedbywała z lenistwa swój i tak skromny inwentarz i znowu mleko było czymś nieosiągalnym dla mnie. Tylko czasem zdarzyło mi się pod nieobecność teściowej wypić po kryjomu szklaneczkę. Bardzo szybko brak wapnia zaczął się odbijać na moim uzębieniu, brakowało tam również pasty do zębów. Zdarzało się, że tygodniami prosiłam o kupienie pasty do zębów. Dla rodziny Rushita, która nie przywiązywała takiej wagi do zdrowych zębów, brak pasty nie był żadnym problemem. Myłam wtedy zęby popiołem z pieca lub proszkiem do pieczenia chleba. Starałam się radzić sobie jakoś, chociaż nie raz doprowadzało mnie to do ataków złości. Jak dla każdego Europejczyka z normalnego i cywilizowanego kraju mycie rąk było dla mnie oczywistym łączeniem mydła i wody. Blerim razem ze swoją mamusią potrafił przy stole zwrócić mi uwagę, że nie umyłam rąk, zasiadając do posiłku. A ja wracałam właśnie z łazienki. Czułam się bezradna, usiłując im wytłumaczyć, że dopiero co umyłam ręce. Z czasem ich złośliwe zaczepki przestały mieć dla mnie znaczenie. Ale nie raz miałam okazję zrewanżować się, z czego korzystałam prawie zawsze... Przy stole panował zwyczaj, że osoba, która zaczynała dzielenie chleba, robiła to aż do zakończenia posiłku. Zdarzyło się, że Nasife jednego dnia miała problemy z żołądkiem, co po jej wyjściu z toalety dało się, niestety odczuć. Zaraz potem zasiedliśmy do śniadania.

- Powinnaś obciąć już paznokcie - zwróciła mi uwagę matka Rushita.

Było tu w zwyczaju, żeby paznokcie były bardzo króciutkie, nie uważałam tego za tak istotne, dla mnie najważniejsze, żeby były czyste. Złość wstrząsnęła mną, tym jednym zdaniem wyprowadziła mnie z równowagi. Tym razem postanowiłam odplacić pięknym za nadobne.

- Nasife, dzielisz chleb, czy umyłaś ręce mydłem?

- Oczywiście - oburzyła się.

- Ale przecież mydło jest na podwórzu przy kranie, nie ma prądu, tam myłam ręce i tam zostawiłam.

- Myłam szamponem - zrobiła się czerwona, nie wiadomo, czy ze złości, czy ze wstydu.

- Szamponu nie ma już od wczoraj...

Na tym zakończyła się nasza dyskusja. Ale poskutkowało, bo nigdy więcej nie usłyszałam z jej ust niczego złośliwego na temat higieny moich dłoni przy stole. Dalej myłam się mydłem i Nasife chyba poszła w moje ślady, bo nie raz sprawdzałam, że rzeczywiście po jej wyjściu z toalety mydło coraz częściej było mokre, czyli używane. Nie zawsze, ale coraz częściej...

WUJEK RAMADAN NIE ŻYJE

Kilka dni później przyszedł zwiastun nieszczęścia. Po śniadaniu ktoś zaczął wołać

Ramusha na podwórzu. Odstawił herbatę i wyszedł. Po kilku minutach wszedł smutny z głową zwieszoną na piersi. Chciał coś powiedzieć, ale było widać, że nie wiedział jak.

- Kto to był? - zapytała Nasife, w jej głosie dało się odczuć niepokój.

- Bedri z Drenovc. Najmłodszy syn wujka Ramadana, brata Nasife. Nie musiał kończyć, kiedy zwiesił głowę ponownie, wszyscy się domyślili reszty.

- Ramadan?!...

- Tak...

Blerim wstał natychmiast i wyłączył telewizor. Saranda uciszyła płaczącego Lirima, tylko ciche łkanie z kąta, gdzie siedziała Nasife przerywało tę nieznośną ciszę.

Wstała bez słowa i zaczęła się ubierać. Kazała Ramushowi przebrać się w czystą koszulę. Poleciała mi wyprasować jej *dimi*, które ubierała na specjalne okazje, czyli dwanaście metrów materiału. Nie uśmiechało mi się to, ale to nie był dobry moment na sprzeciw.

- Nie wiem, czy dziś wrócę. Mogą mnie zatrzymać, dlatego dajcie jutro Ramushowi jakies rzeczy dla mnie. Saranda przyjedziesz jutro z Ramusem, słyszysz? Iza, dbaj o dom. W południe napój krowę i uważaj na kury, żeby nie oddalały się, bo pogubią jajka. Trzeba je dobrze zamknąć za noc, bo inaczej psy je pozjadają.

Przytakiwałyśmy z Saranda. Trudno było uwierzyć, że ta trzeźwo myślącą kobieta właśnie dowiedziała się o śmierci brata. Blerim dostał polecenie, żeby wydoić krowę i pojechali. Przezornie zabrałam się za prasowanie przed czasem, bo nie wiadomo było, czy następnego dnia będzie prąd, tego typu rzeczy nigdy nie zostawiało się na później.

Dopiero po kolacji, na którą przygotowałyśmy z Saranda tradycyjnie paprykę i *lang*, usiadłyśmy przy herbacie i mogłam dowiedzieć się więcej o pogrzebach w Kosowie. Blerim i Afrim jak zwykle gdzieś poszli, a dzieci spały.

- Najlepiej jest, żeby człowiek umarł w Kosowie w ciągu dnia, na przykład rano. Wtedy jest szansa, że zostanie pochowany w ciągu kilku godzin. Innym razem zostaje na noc w domu i wtedy ktoś z rodziny musi przy nim czuwać.

Nie zadawałam żadnych pytań, po prostu pozwoliłam jej mówić.

- Jeśli umiera w dzień - Saranda ciągnęła dalej - to jakiś mężczyzna, sąsiad albo syn, kuzyn, ktokolwiek chodzi po okolicznych domach i zwołuje wszystkich mężczyzn. Spotykają się najczęściej w domu zmarłego.

- A jeśli będzie to kobieta? - nie wytrzymałam.

- Nie ważne, jakiej płci. Do kobiet nie należy chowanie zmarłego. Mężczyźni idą kopać grób, przychodzą po zwłoki, ktoś biegnie po duchownego i odbywa się pogrzeb. W tym czasie najbliższa rodzina zmarłego spotyka się u niego i siedzi tam przez tydzień. Przyjmują baby ze wsi, które przychodzą z kondolencjami.

- Ale jeśli ta rodzina chciałaby pobyć sama, przecież, jeśli komuś umiera jakaś bardzo bliska osoba, na przykład matka, to nie ma ochoty na żadne spotkania przy kawce.

- To nie są spotkania przy kawce - wyjaśniła mi Saranda, wiedziałam o co jej chodziło, ale i tak wydawało mi się to nieludzkie. Dlaczego nie zostawia tych biednych ludzi w spokoju?!

- Czyli Nasife będzie siedziała tam cały tydzień?

- Tak, bo nie wypada przecież zostawić cioci samej.

- A jeśli ona chciałaby pobyć sama?

Saranda, mimo że nie wypadało w czasie żałoby, to zaśmiała się cicho. Powiedziała, że

przypominam jej małe dziecko, któremu trzeba wszystko tłumaczyć kilka razy, a i tak niczego nie zrozumie.

- Do domu zmarłego nie wolno wejść kobiecie bez nakrycia głowy, czyli chustki. Jego najbliższa rodzina musi dostosować się do tego przez minimum rok.

Czyli synowe wujka Ramadana, mimo, że młode będą musiały biegać cały czas w chustkach.

- Ja jutro, jak pojedę, też będę musiała założyć coś na głowę. Ciebie zresztą też to czeka.

Spojrzałam na nią, jakby dała mi w twarz.

- Co???

- Jutro nie jedziesz, bo będzie dużo ludzi i będziesz się tam czuła nieswojo, ale potem musisz jechać, bo będzie wstyd dla Nasife, że jej synowa nie przyjechała.

Już wtedy wiedziałam, że za żadne skarby świata nie założę chustki na głowę.

- Jak ubieracie zmarłego? Na czarno?

- Nie, jest zawijany najczęściej w jakieś prześcieradło. Jeśli umarł na łóżku w swoim domu, to w to samo, na którym leżał.

Ramush przyjechał po Sarandę już z samego rana. Czekala na niego gotowa. Nie miałam pojęcia jak sobie tam poradzi z Lirimem. Kilka minut po ich wyjeździe krowa wróciła z pastwiska. Wlokła się ociężale, wymiona miała wielkie i na pewno nie było dla niej to przyjemne uczucie. Widać było, że męczyło ją to. Blerima nie było, jak zwykle wsiąkł gdzieś po śniadaniu. Zostałam sama i nie miałam pojęcia, co zrobić. Sama karmiłam Laurę piersią i wiedziałam jaki to potrafi być ból, kiedy zbiera się za dużo pokarmu. Nie namyślając się wiele, poszłam do domu po wiaderko, zajrzałam do córeczki, spała słodko i nic nie wskazywało na to, żeby miała się szybko obudzić. Przywiązałam krowę i poklepałam, mówiąc do niej czule:

- Walusza, dasz się wydoić, co? Kochana krówka....

„Kochana krówka” machnęła ogonem i podniosła lekko kopyto. Raczej nie wyglądała na zdenerwowaną, postanowiłam zaryzykować, w najgorszym przypadku mogła jedynie spróbować mnie kopnąć. Odwiązałam cielaka i puściłam go do matki, jego pyszczek przestawiałam kolejno do każdego wymienia, żeby zeszło trochę mleka. Pił łapczywie, żal mi było go odciągać, ale podobno za dużo mleka mogło mu zaszkodzić, chociaż mogła to być bezpodstawna teoria leniwej teściowej. Cielak był jeszcze młodzutki, ale niełatwo dał się odciągnąć od matki. W końcu mi się udało przywiązać go z powrotem do palika. Kucnęłam koło niej i delikatnie złapałam za wymię. Walusza machnęła ogonem zamasyście. - *Czctz* - powiedziałam podniesionym głosem. Nie miałam pojęcia co to oznaczało, ale Nasife mówiła tak za każdym razem.

Chwyciłam mocniej i zaciskając w dłoni wymię, ściągnęłam lekko w dół, chyba tak się to robiło. Zaczynałam żałować, że nie przyglądałam się nigdy dokładnie, w jaki sposób robiła to teściowa. Poleciało trochę mleka. Nie muszę chyba tłumaczyć, co przypominało mi to w dotyku, miękkie, ciepłe...Zaśmiałam się sama do siebie z moich głupich porównań. Jeszcze kilka razy i na dnie była mniej więcej jedna trzecia szklanki mleka. Dumna z siebie chciałam wydoić z Waluszy całe wiaderko, ale ona sama miała widocznie inne plany, bo podniosła gwałtownie kopyto.

- *Czczl* - tym razem nie przejęła się tym, bo znowu zrobiła niecierpliwy ruch nogą.

- Walusza, proszę, daj się wydoić, bo będziesz cierpiała. Zobaczysz - straszyla ją już po polsku, liczyłam na jej zdolności językowe.

Ale ona nie rozumiała ani po polsku, ani po albańsku. Stawała się coraz bardziej niecierpliwa, machała ogonem, wierzgała kopytami. W końcu przestraszyłam się nie na żarty,

stwierdziłam, że szklanka mleka nie jest warta, żeby oberwać od rozzłoszczonej krowy. Dałam sobie spokój i spuściłam cielaka, żeby wypić do końca. Szłam do domu dumnie dzierżąc w ręku wiaderko z odrobina mleka, ale mogłam już się pochwalić, że w swoim życiu doiłam krowę. Po kilku minutach wrócił Bierim, kiedy mu powiedziałam, że nie musi iść do Waluszy, bo jest już wydojona. Zrobił wielkie oczy:

- Sama ją wydoiłaś?
- A co to dla mnie?! - udałam ważną, czułam się, jakbym spełniła jakąś misję.

Tydzień bez pani domu był rewelacyjny, miałam okazję przekonać się, że to właśnie ona była miną, na którą się nadeptywało i następował wybuch.

Czas z małą Laurą leciał szybciej, niż oczekiwanie na nią. W połowie grudnia spadł śnieg, zupełnie niespodziewanie.

- Spójrz moja śliczna - podniosłam Laurkę do okna i pokazałam białe płatki.

Miałam wrażenie, że naprawdę ją to zainteresowało. Moja córeczka stała się dla mnie sensem mojego życia w Kosowie, była takim radosnym, wesołym dzieckiem. Przesypiała całe noce, w ciągu dnia potrafiła leżeć i gaworzyć sobie albo bawić się czymkolwiek, co dało jej się do ręki. Jednego dnia spytałam Nasife, czy oni kupują w ogóle dzieciom jakieś zabawki, grzechotki. Zaśmiała się tylko i powiedziała:

- Moje dzieci wychowały się bez tego i są normalne.

Tu akurat miałam odmienne zdanie...

- A poza tym Ramush nie kupi w życiu żadnych zabawek. Przecież wiesz, Iza, że nie mamy pieniędzy.

To akurat było totalną bzdurą. Kastriot regularnie przysyłał pieniądze, rentę Nasife, do tego dodawał czasem coś od siebie. Nie musieli płacić czynszu, nie mieli żadnych opłat, nawet za energię od czasu wojny nie przychodziły rachunki. Jedyne koszty to jedzenie, zresztą bardzo skromne i najczęściej to, co wyhodowali na własnej ziemi. Większą część dochodów rodziny pochłaniały papierosy i... lekarstwa Nasife, Sarandy i Lirima.

- Sarando, proszę, nie karm tego dzieciaka tabletkami od małego, jest malutki. Nie potrzebuje tego - prosiłam, ale na darmo.

- On jest chory.

- Na co? - chciałam wiedzieć - i tu milczała, nie było odpowiedzi, bo nie było też choroby Lirima.

Chłopiec był zdrowy, nic mu nie było. Płakał, bo taki już był, a poza tym nadal był zawijany w kołysce, co na pewno nie podobało mu się. Spał w ciągu dnia po kilka godzin, obudzony, nakarmiony, zaczynał popłakiwać z nudów, wówczas Saranda albo Nasife uważały, że jest zmęczony i bach... do kołyski.

- Weźcie go na ręce trochę, pobawcie się z nim - radziłam.
- Kiedy on jest zmęczony, zobaczysz zaraz zaśnie.

Kołysano go przez dwie, trzy godziny, w końcu wyczerpany płaczem zasypiał naprawdę.

- Widzisz, mówiłam, że mój synek był zmęczony.

Uśmiechałam się bez słowa, bo co mogłam powiedzieć?!

Po dwudziestym grudnia Kastriot zadzwonił, że dostanie urlop i przyjedzie przed Nowym Rokiem. Poprosiłam rodzinę, żeby przysłali mi przez niego list. Poczta w Kosowie nie funkcjonowała jak powinna. Na korespondencję czekało się długo, czasem nie dochodziła wcale.

Na kilka dni przed przyjazdem Kastriota odwiedziły nas trzy kobiety ze wsi, przyszły pogratulować Sarandzie i mi narodzin dzieci. Akurat była u nas Shyrete. Gdy zrobiłam kawę i podałam soki, wzięła mnie na stronę.

- Ta, która siedzi w środku ma też nusję z Polski.
- Jak to? - zrobiłam dosłownie wielkie oczy. Polka w tym kraju?!
- Ale ona jej nie akceptuje, nie jest taka jak ty. Nie nauczyła się języka, nie chce sprzątać, chodzi w krótkich spódniczkach i nie wstaje, jak przychodzi gość. Pracuje z ludźmi z misyjnej organizacji międzynarodowej. Rozmawia z innymi mężczyznami - dodała szeptem.
- Czyli zachowuje się jak normalny człowiek. - powiedziałam, ale Shyrete nie dosłyszała tego, bo ciągnęła dalej:

- Teraz patrzy cały czas na ciebie i pewnie zazdrości Nasife takiej *nusji*. Żyjemy z nimi niby dobrze, chociaż tak naprawdę nie lubimy się. Kiedy zaczęła się wojna, chcieliśmy od nich zadzwonić do Rushita i Kastriota do Niemiec, zażyczyli sobie 50 marek za dwie minuty rozmowy. Miałam jeszcze pieniądze, które dostałam od Bakiego. Ale całe 100 marek. Nie mieli jak rozmienić, a reszty nigdy nam nie oddali, w ten sposób zarobili stówę za nic.

- Ale solidarność ludzi w nieszczęściu - parsknęłam oburzona.
- To i tak nic, on nie pali, ale miał papierosy w lesie, tam gdzie koczowaliśmy i sprzedawał je pięć razy drożej niż w sklepie. Takich było wielu, ludzie zrobili majątek, zwłaszcza ci, którzy mieli sklepy.

Było to dla mnie niepojęte, jak można było zarabiać na ludzkim nieszczęściu?! Niestety, nieważne czy w czasie wojny, czy też po, takie sytuacje, gdzie brat wykorzystywał i oszukiwał brata, zdarzały się często. Chociaż zdarzali się i tacy, którzy odejmowali sobie od ust przysłowiowy ostatni kęs chleba, żeby się podzielić. Kobieta, ściskając moją dłoń na pożegnanie, powiedziała do Nasife, że mamy koniecznie przyjechać do nich w odwiedzinę. Wiedziałam już wtedy, że od tamtej chwili nie dam im spokoju, dopóki mnie tam nie zawiozą. Wieczorem po kolacji mężczyźni poszli do Bajrama. Dzieci zasnęły, a my, kobiety miałyśmy chwilę spokoju. Wykorzystałam to, żeby zapytać o ich pobyt w czasie wojny w lesie. Chętnie podjęły temat. Shyrete zaczęła opowiadać jako pierwsza:

- Już wiesz, w jaki sposób dowiedziałyśmy się, że zbliżają się Serbowie?!
- Tak - przypomniałam sobie - Ramush przysłał swoich żołnierzy.
- Właśnie. Ostrzeżono nas dosyć wcześnie i zdawaliśmy sobie sprawę, że to tylko kwestia czasu, kiedy ONI się zjawią, człowiek jednak próbuje żyć normalnie. Tylko Saranda była przezorna i zakopała w ogrodzie swoje całe złoto.
- Znalazłaś?
- Pewnie - odparła dumna z siebie Saranda.

Shyrete ciągnęła swoją opowieść. Nie mieli pojęcia, dokąd pójść. Kiedy natknęli się na blokadę, jaką utworzyła policja serbska na drodze, większość mężczyzn oddzieliła się od reszty. Blerim i Ajet też uciekli.

- A ci, którzy zostali, przeżyli? - chciałam znać każdy szczegół.
- Niektórzy... Prawie wszystkich zapakowali do ciężarówek i nikt ich już nie widział....

Dalej kończyła Saranda. Opowiedziała, że Serbowie zabierali złotą biżuterię. Gdy nie mogli ściągnąć pierścionka, to odcinali na żywca palce, zrywali kolczyki z uszu. Wybierali młode

dziewczyny z tłumu uciekinierów i na oczach innych ludzi gwałcili je, często zabijali potem. Była tam młoda kobieta, której pozwolili pójść dalej, jeśli zostawi swoje kilkumiesięczne dziecko w rowie.

- Jak to??? - krzyknęłam, aż kołyska ze śpiącym Uri me m zakolysała się lekko, na znak, że mały się poruszył.

- Powiedzieli, że jeśli nie zostawi, to zabiją ją i dziecko. Miała nadzieję, że wróci po nie i będzie jeszcze żyło.

- A żyło?

- Nie, miała namiot niedaleko nas, dlatego wiem, że jak udało jej się wrócić po maleństwo, znalazła je nieżywe. Było zimno, do tego bez jedzenia. Nie miało szans...

Łzy popłynęły mi po policzkach, byłam przecież matką, prawie czułam ból tamtej kobiety. Tak nie zrobiliby ludzie, nawet zwierzęta... To były potwory, bezduszne istoty, których syciło dogłębne cierpienie człowieka, im bardziej okaleczali jego duszę, tym bardziej czuli się pełni i spełnieni...

- Skurwysyny pierdolone - przeklełam sobie soczyście po polsku, miałam wielką chęć zrobić to we wszystkich możliwych językach świata. A najbardziej w tamtej chwili chciałabym spotkać takiego Serba na swojej drodze, wystarczyłyby mi gołe ręce.

Nie mogłam sobie wyobrazić, jak można wybaczyć. Nie rozumiałam, jak można podać dłoń innemu Serbowi. Dopiero po jakimś czasie przekonałam się, że manipulowano mną, w sposób tak prosty, a jednocześnie przebiegły. Nie przeszło mi przez myśl, że przecież nie każdy Serb był taki, ale rodzina Rushita nie pozwalała mi na logiczne myślenie, na obiektywne wnioski. Niemal każdego dnia wpajano mi, jak okrutni byli Serbowie, jak wiele nieszczęścia wyrządzili. Omotali moją psychikę do tego stopnia, że byłam gotowa iść protestować, żeby wypuszczono Remiego, największego podobno zbrodniarza w UCK, który zabił masę Serbów. Zaczynałam go uważać za bohatera. Przesiąkłam ich polityką, głupią, nielogiczną i bezmyślną... Kiedy pytano mnie do jakiej partii należałam, odpowiedź była zawsze taka sama:

- PDK (*Demokratyczna Partia Kosowa*), Rugowa chce znowu sprzedać Kosowo, nigdy nie będę z LDK (*Demokratyczny Związek Kosowa*)..

- Zdarzały się jednak i dobre zakończenia - podjęła temat Nasife. - Pamiętacie dziewczyny tę kobietę, która znalazła dzieci po trzech miesiącach?! Podczas ucieczki zapodziały jej się gdzieś, miała nadzieję, że są w jakimś innym traktorze, a kiedy dotarli do lasu okazało się, że ich wcale nie było. Przez cały ten czas ukrywały się w piwnicy. Dziewczynka trzy latka, chłopiec cztery. Jedli co popadło. Matka była przekonana, że nie żyją, a kiedy wróciła do wioski, znalazła swoje dzieci całe i zdrowe.

- Z Carralluk?

- Nie, to było w małej wiosce niedaleko Llaposhnik.

Potem dowiedziałam się jeszcze wielu szczegółów na temat ich pobytu w lesie. Ludzie radzili sobie jak mogli, niektórzy, co sprytniejsi zabrali ze sobą piece, mieli więc na czym gotować, nie zawsze jednak mieli co włożyć do garnka na tym piecu.

- Pamiętam, jak jeden facet przyniósł skądś cebulę, rozpętała się przez nią wojna - zaśmiała się Saranda, ale to nie był wesoły śmiech, raczej wymuszony... Te wspomnienia musiały boleć.

- Co jedliście?

- Najczęściej makaron, bo głównie to mieliśmy. Na początku jeszcze chleb, piekliśmy w piecu

sąsiada, ale mąka szybko się skończyła. Najgorzej było z wodą. Trzeba było iść bardzo daleko, płynął tam taki mały strumyczek. W jedną stronę godzina, jeszcze na miejscu często czekało się po kilka godzin na swoją kolej. Woda była na wagę złota, każda jej kropla.

- A teraz marnujecie ją na pranie dywanów - dodałam trochę złośliwy komentarz, ale nie mogłam tego przemilczeć, jak szybko zapomnieli o tym, że swego czasu nie mieli co pić, a tymczasem prali co kilka miesięcy dywany, bo... sąsiedzi też wyprali.

Saranda udawała, że nie słyszy, bo opowiadała dalej:

- Nasze obozowisko leżało w dolinie, na górze Serbowie mieli swoje oddziały. Byliśmy pod ciągłym ostrzałem, jeden z mężczyzn, który ocalał wcześniej, chciał przedostać się na „zewnątrz”, ale go zastrzelili.

Zapytałam, dlaczego Serbowie nie zeszli na dół i nie powybijali wszystkich, przecież w każdej chwili mogli to zrobić. Okazało się, że jednak nie, bo między obozowiskiem a policją serbską były jeszcze jednostki UCK. To dzięki nim przeżyli. Chociaż nie każdy miał takie szczęście. Ludzie umierali z wycieńczenia, chorób i z głodu.

- Raz zdarzyło się, że w namiocie przez całą noc krzyczała jakaś kobieta, nie wiedzieliśmy, co się stało, ale byliśmy już przyzwyczajeni. Rano, kiedy wyszłam z namiotu zobaczyłam przed namiotem dwa zawiniątka. Tamta kobieta w nocy urodziła bliźniaki, które zmarły, krótko potem i ona odeszła z tego świata...

Warunki były okropne, nie można było się umyć, nie było co jeść, a każda noc ze względu na zimno stawała się koszmarem. Tulili się do siebie, żeby chociaż w ten sposób się ogrzać. Marcowe noce potrafią być bardzo zimne.

Miałam dosyć tych historii, wiedziałam, że na pewno nie będę mogła spać spokojnie. Przed oczami miałam ten obóz, umierających ludzi i stojące na górze patrole Serbów, czekające na chwilę nieuwagi partyzantów albańskich, żeby otworzyć ogień. Chciałam jeszcze tylko usłyszeć, w jaki sposób dowiedzieli się o końcu wojny.

- Bardzo często latały nad nami śmigłowce wojskowe, dlatego czuliśmy, że coś się działo. Jeden z ludzi miał radio, w ten sposób dowiedzieliśmy się o wkroczeniu jednostek międzynarodowych KFOR do Kosowa i wycofywaniu się wojsk serbskich. Iza, nie widziałaś tych ludzi, jak się cieszyli, jaka to była radość. Zaczęliśmy pakować to, co każdy miał i wróciliśmy do naszych domów. Tam przykra niespodzianka, połowa to były ruiny. Szybko szczęście, które czuliśmy i radość, że przeżyliśmy zamieniły się w smutek. Chociaż i tak dobrze, że cokolwiek ocalało

- dokończyła Shyrete.- Byli tacy, którzy dalej spali pod gołym niebem.

Do akcji wkroczyły międzynarodowe instytucje charytatywne. Zjawili się również w Carralluk, rozdawali środki czystości, jedzenie, odzież, lekarstwa. Pomagali odbudowywać domy, szukać zaginionych. Chociaż wojna się skończyła, zamieszki nie ustały, zwłaszcza w Mitrowicy

- miście, które podzielone było mostem pomiędzy Serbię a Kosowo. Znajdowała się tam fabryka złota. Czasem zdarzały się jakieś protesty w stolicy, ale w Carralluk wszyscy skoncentrowali się na odbudowywaniu i doprowadzaniu do porządków swoich domostw. W czerwcu tego samego roku UCK podpisało porozumienie w sprawie demilitaryzacji, mimo to wiadomo było, że w prawie każdym domu znajdowała się broń. W telewizji coraz częściej podawano informacje, że właśnie zginął od kuli jakiś Albańczyk, którego podejrzewano o kontakty z Serbami w czasie wojny. Samosąd zbierał obfite żniwo... To byli przeważnie

pseudopartyzanci, którzy stwierdzili, że nie dla nich praca i normalne życie i ubzdurali sobie, że wojna to całkiem pożyteczna rzecz. Nieroby i sadyści, którzy niedługo potem utworzyli UCPmB, czyli Żołnierze Wyzwolenia Preshewa i Bujanowca. Organizacja nielegalna, którą w świecie określono jako terrorystyczną. Długo potem utworzono AKSh (Albańska Armia Narodowa). W mediach występowali zawsze zamaskowani, z bronią w ręku. Nie wyglądali na przyjaźnie nastawioną partyzantkę.

Kołyska z Lirimem poruszyła się i mały zaczął płakać przez sen. Oznaczało to koniec opowieści. Wstałam, powiedziałam „Dobranoc¹” i poszłam na górę. Laura spała słodko, miałam wrażenie, że uśmiecha się przez sen. Nasife i Saranda nie mogły zrozumieć, jak można zostawiać małe dziecko samo w innym pokoju. Odpowiedziały same sobie na to pytanie, kiedy Lirim zaczął poważnie chorować na płuca, a lekarz stwierdził, że winny był dym z papierosów, którym dzieciak oddychał przez całe dni. Ja nigdy nie kładłam spać mojej córeczki w salonie, nawet zimną spała w pokoju obok, mimo zimna. Ubierałam ją po prostu ciepło i spała sobie smacznie. I muszę przyznać, że wyszło jej to dosłownie na zdrowie. Całą noc męczyły mnie koszmary senne, szłam przez las, potykając się o ciała zamordowanych ludzi. Widziałam Serbów, gwałcących młode Albanki i podrzynających gardła starcom. Obudziłam się przed szóstą rano zrana potem, bałam się ponownie zasnąć, dlatego ubrałam się i zeszłam na dół umyć się i zacząć sprzątać. Rushit przebudził się i spojrzął na zegarek:

- Już wstałaś?

- Nie mogłam spać, miałam złe sny. Laura jeszcze śpi, zostawiam ją z tobą. Spijcie.

Spojrzał czule na naszą córeczkę, wtulił się delikatnie w jej malutki karczek i zasnął, uśmiechając się. W takich chwilach czułam, że jesteśmy rodziną: mama, tata i dziecko. Ale były one tak rzadkie, że zapominałam o nich szybko. Zdażyłam pozamiatać całe podwórze i odkurzyć salon, zanim wstała Saranda. Zrobiłyśmy sobie kawę i usiadłyśmy przed telewizorem. Emitowano akurat program „Mir mengjesi Kosovo” na RTK, ciekawostki ze świata i kraju. Ich kraj coraz większymi krokami zbliżał się do Europy, powoli zatracił swoje tradycje, by stać się miejscem, gdzie kasa była ponad wszystko. W niczym nie przypominał już Kosowa sprzed wojny, o którym opowiadała mi rodzina. Świat pomógł im, ale zażądał za to ceny, którą najciężej było zapłacić ludziom mieszkającym na wsi, trzymającym się tradycji, jak dziecko spódnicy matki. Tradycji, którą żyli na co dzień i od święta. Nie zawsze ułatwiała im ona życie, ale była dla nich rzeczą naturalną, nie mogli się jej wyrzec, byli dla niej gotowi umrzeć. Po południu między mną a Atrimem wywiązała się najpierw wymiana zdań, a potem sprzeczka. Chodziło o politykę w ich kraju. Zaślepieni wrogością i chęcią zemsty wobec Serbów, nie potrafili logicznie myśleć o tym, co tracą, a co zyskają napadając na kolejne, sąsiednie państwa. Partyzantka albańska chciała odbić miasta w Macedonii, w której przeważali Albańczycy. Zaczęły się walki, było coraz więcej ofiar, zginął młody chłopak z sąsiedztwa, który wypuścił się na wojnę. Blerim stwierdził, że też idzie walczyć. Zaczęła się poważna dyskusja, Ramush i Nasife usiłowali przekonać go, żeby został, a ten twardo stwierdził, że idzie i koniec. Jego matka zaczęła płakać, ojciec odpałał papierosa od papierosa. A ten siedział w kącie i uśmiechał się dumny. Nie mogłam patrzeć, jak bawił się ich kosztem i odezwałam się:

- Przecież on nigdzie nie pójdzie, chce tylko zwrócić na siebie uwagę - po czym dodałam z pogardą - Bohater od siedmiu boleści.

- Iza... - szepnęła ze złością Nasife, pociągając głośno nosem.

- No co? Nie widzicie, że on chce was tylko podenerwować.

Widziałam kątem oka, jak winowajca robił się coraz bardziej czerwony, wyglądał jakby miał zaraz eksplodować, zaległa cisza, zgasło światło. Saranda zerwała się, szukając po omacku lampy. Przez kilkanaście sekund usiłowaliśmy przyzwyczaić wzrok do ciemności, lampa nie dawała takiego światła jak trzy żarówki.

- Pójdę i to jutro!

- Pewnie - machnęłam ręką, po czym wstałam, żeby ponownie napełnić szklaneczkę Sarandy herbatą.

- A co ty możesz, wiedzieć o wojnie, dlaczego twierdzisz, że Blerim nie pójdzie na wojnę? - odezwał się milczący do tej pory Afrim.

- Bo tutaj jest mu ciężko wyprowadzić krowę na pastwisko, a co dopiero tułać się po lasach. Poza tym rodzina potrzebuje go tutaj - zmieniłam ton, nie chciałam wywołać wojny między Polską a Kosowem

- A co do wojny, to wiem dokładnie tyle co ty.

Nie wiedziałam co we mnie wstąpiło, wyraźnie szukałam starcia, wiedziałam, że może skończyć się to dla mnie źle, powiedzą Rushitowi, znowu będzie mnie bił albo zrobi awanturę. Ale nie mogłam się powstrzymać, Blerim był wprawdzie na miejscu, kiedy trwały walki. a kiedy oddalił się wraz z Ajetem od rodziny przez pierwsze dwa tygodnie jadł korzonki, trawę, spał pod gołym niebem, potem trafili jednak do jakiegoś domu, gdzie starowinka mieszkająca sama przyciągnęła ich pod swój dach. Tam przeczekali do wyzwolenia Kosowa przez KFOR. Śmierć nie zaglądała mu w oczy.

- Ja?! - Afrim z trudem łapał powietrze, wiedziałam, że gdyby mógł, to rzuciłby mną o ścianę, ale nie odważył się ze względu na ojca.

- Gdzie byłeś, kiedy twoja rodzina tułała się po lasach?! W pięknym mieszkaniu. Co robiłeś, kiedy męczyli się ich koczując w tragicznych warunkach?! Kupowałeś sobie ciuchy od 50 marek wzwyż, czym zresztą się chwalisz do dziś. A co robiłeś, kiedy oni przymierali głodem?! Jadałeś w drogich restauracjach. Podobno tęskniłeś za rodziną, ale nie pomyślałeś, żeby wrócić tu i walczyć o to miejsce. Przyjechałeś po fakcie i wymądrzasz się. Blerim może nie walczył, ale on miał na karku rodzinę, o którą musiał dbać. bo twój ojciec dowodził jednostką ludzi, którzy ginęli od kul. Pożyczyłeś od kolegi spodnie moro i udajesz bohatera. Ale nie tym sposobem, Afrim. Nazywacie mnie Serbką, jedną z nich, bo mój język jest słowiański, taki jak ich, ale ta ziemia pochłonęła już krew Polaków, którzy oddali swoje życie za was. Więc nie macie prawa tak do mnie mówić. Miłoszewicz jest potworem, ale on przynajmniej traktował swoją rodzinę po ludzku i na pewno nie skrzywdziłby nikogo z nich. A ty z Blerimem, bracia bijecie się o pilota do telewizora! - czułam, że tracę kontrolę nad sobą. Krzyczałam połykając łzy. - Walczyście o Kosowo, rozwieszacie wszędzie flagi i portrety Adema Jashara, a kombinujecie, jakby tu załatwić sobie jakieś lewe papiery, żeby wyjechać zagranicę. Za czasów Serbów, chociaż praca była i jakiś porządek, a co jest teraz?! Samosąd i samowolka. Dostaliście od świata palec, a łapiecie za całą rękę. Macie wolność, którą chcieliście, a sami napadacie na inne kraje. Nie potraficie myśleć, bo nawet nie zdajecie sobie sprawy, ile straciecie przez te walki w Macedonii, w oczach całego świata jesteście teraz terrorystami. Odwrócą się do was wszyscy plecami. Więc przestańcie w końcu myśleć o wojnach i karabinach, tylko idźcie do pracy i żyjcie jak normalni, cywilizowani ludzie. Nie bójcie się pracy we własnym domu, bo pracujecie dla siebie, na swoją korzyść. Piłka, którą kopiesz całymi dniami, nie da ci jeść, nie da ci jeść też spacerowanie po wiosce. Zabierz się za robotę i przestań zachowywać się, jakbyś był na wczasach. Nie żyj już

nadzieją, że ta twoja Christina z Niemczech przyśle ci wizę, tylko poszukaj sobie tutaj żony i tu załóż rodzinę.

Kiedy skończyłam nikt nie odzywał się przez dłuższą chwilę. Potem Afrim czuł, że musi ratować swój honor, bo powiedział, że Rushit dowie się o tym, jak ona się do nich odzywa. Wtedy Ramush zabrał głos:

- Nikt o niczym się nie dowie -powiedział stanowczo - ona ma rację. Ty o wojnie nie masz zielonego pojęcia, więc w ogóle nie zabieraj głosu.

Afrim poczuł się poniżony, ale bał się i szanował swojego ojca, więc zwiesił głowę i nie odezwał się ani słowem.

- A Blerim, jeśli chce iść, to jego decyzja. Krowę sprzedamy, nie będzie najwyżej mleka, bo kto ma się nią zajmować. A co do Izy, to tak długo, jak ona tu mieszka i pracuje na korzyść tego domu wymagam dla niej szacunku. Byłem w Polsce i to bardzo przyjazny kraj i z Serbią nie mają nic wspólnego, więc nie rozumiem waszych porównań i obelg.

Nawet nie wiedział, jaka byłam mu wdzięczna za te słowa. Czasem zdarzały się niesnaski między nami, ale bardzo rzadko. Był to jedyny człowiek, który zasługiwał na szacunek i któremu dużo zawdzięczam.

NADCHODZĄ ŚWIĘTA

Pewnego dnia zapadła decyzja: czas zabić cielaka, bo nie będzie mięsa na zimę. Zbuntowałam się, powiedziałam, że po moim trupie, ale nie poskutkowało to ani trochę. Nasife była nieugięta. Następnego dnia zaczęto przygotowania. Zabicie cielaka było w Kosowie, przynajmniej dla większości ludzi swego rodzaju rytuałem. Od rana nie miałam humoru, było mi przykro, wprawdzie to nie ten cielak miał pójść pod topór, przy którego porodzie pomagałam, ale jednak zwierzę. Serce krajało mi się, kiedy widziałam, jak teściowa zabijała koguta, płakałam, a tu chodziło o małego byka. Blerim poszedł do swoich wujków zaprosić ich na tę rzeź, wrócił z dziwnym, podłużnym przedmiotem w ręku. Usiadł na materacu, wyciągnął z kieszeni kawałek kamienia do ostrzenia noży i wyjął ze szmat cienki, ale widać było, że stabilny nóż, który bardziej przypominał szablę z krótką rękojeścią.

- Po co to? - zapytałam, chociaż mogłam się domyśleć.

- Na cielaka - odpowiedział uśmiechając się okrutnie.

Wyobraźnia zadziałała u mnie jak zwykle z podwójną siłą. Zdychający, wykrwawiający się cielak, litry lejącej się po podwórzu krwi, śmiejący się ze swojego barbarzyńskiego czynu ludzie...

- Iza, umyj czajnik, trzeba będzie podać herbatę dla gości - to Nasife wyrwała mnie z tych ponurych myśli.

- Gości? Kto przyjdzie?

- Nikt, będzie Bajram, Sahit, Sadri, Sejdi, może przyjdzie też sąsiad Ahmed. Po zabiciu cielaka trzeba będzie podać im obiad i herbatę.

No tak, morderstwo i jeszcze zapłata za to...

W południe zaczęło się. Na podwórzu zebrali się sami mężczyźni, biegało pełno chłopców, nawet kilkuletnich. Na samym środku odgarnięto śnieg, Blerim zrobił koło o średnicy trzech

metrów.

- To tutaj się to odbędzie - szepnęła Saranda za moimi plecami. - Lepiej chodź, bo zaraz wstanie Rushit i będzie nerwowy.

Chodziłam po pokoju tam i z powrotem, gryząc nerwowo paznokcie, w gardle miałam wielką kluchę:

- Nasife, może jednak zatrzymasz ich jeszcze?!

Pokręciła przecząco głową, paliła papierosa wdychając głęboko dym i zatrzymując go na kilkanaście sekund w płucach. Byłam pewna, że też przeżywała to, w końcu przyzwyczaiła się do tego zwierzęcia. Po kilku minutach nie wytrzymałam i poszłam do łazienki. Stałam przed umywalką patrząc na swoje odbicie w lustrze, nagle usłyszałam ryk idącego na rzeź. Podciągnęłam się wysoko do małego okienka, które wychodziło akurat na tę część podwórza. Wyjrzałam ostrożnie, to była kwestia kilkunastu sekund, Ramush wspólnie z innymi ciągnął na sznurze zapierającego się uparcie zwierzaka, związali mu tylne nogi, przewrócili na ziemię, związali mu też przednie nogi. Cielak, a właściwie był to już mały byczek, ryczał jakby przeczuwał, co za chwilę się stanie. Ale kilku silnych mężczyzn nie było dla niego rywalami, którym dałby radę. Szybko poddał się i czekał na szybki koniec. Widziałam jeszcze, jak Ramush podnosi nad głową tę „szablę” i bierze zamach. Krzyknęłam cicho i spadałam z sedesu, na którym stałam. Zaczęłam płakać i szlochać głośno. Kiedy wyszłam z łazienki, przed drzwiami natknęłam się na Rushita:

- Co tu robiłaś? - zapytał groźnie.

- A co można robić w toalecie - warknęłam i poszłam do pokoju.

- Kawę - krzyknął za mną.

- Sam sobie zrób - odpyskowałam po cichu.

- Widziałaś, tak? - zapytała Nasife.

Kiwnęłam głową. Powiedziała, że jestem uparta i nierozsądna. Na takie rzeczy nie wolno patrzeć, a już w ogóle nie wypada kobiecie. Nie odezwałam się ani słowem tylko zrobiłam kawę.

Całe szczęście, że nie zaangażowano mnie do dzielenia mięsa, już wcześniej zapowiedziałam, że nie dotknę tych zwłok, choćby mieli mnie samą zarznąć. Uwierzyli, że nie ma sensu mnie prosić i wszystko zrobili sami. Część mięsa przeznaczono na suczuk. Ramush zawiózł do Maliszewa skórę, którą sprzedał, a za zarobione pieniądze dał mięso do zmielenia rzeźnikowi w mieście. Saranda zabrała się za mycie i płukanie flaków, a wieczorem cała rodzina zaczęła upychać mięso w te flaki przy pomocy pożyczonej od sąsiadów maszynki. Trwało to trzy godziny, ale kielbas miało starczyć na co najmniej kilka tygodni. Blerim zbudował z drewna konstrukcję, którą postawiono nad piecem, na niej porozwieszano wieńce kielbasy. Przez najbliższy tydzień, dwa miała wysuszyć się porządnie. Starłam się nie pamiętać o tym niemiłym wydarzeniu i nawet nieźle mi to wychodziło, do czasu, kiedy Nasife poprosiła mnie o przyniesienie z piwnicy butelki oleju. Poszłam więc na dół niczego nieświadoma, a po otwarciu drzwi przekonałam się, że to miał być niesmaczny dowcip z jej strony. Pierwszą rzeczą, którą zobaczyłam była leżąca zaraz naprzeciwko wejścia czaszka cielaka z... wpatrzonymi we mnie oczami. Wrzasnęłam i wybiegłam stamtąd szybko.

- Aleja nie zrobiłam tego specjalnie, zapomniałam, naprawdę - zapewniała Nasife śmiejąc się przy tym, że taki tchórz ze mnie.

Nie wydawało mi się to śmieszne. Raczej głupie, ale Rushit i reszta rodzinki byli innego zdania. Nie dziwiło mnie to specjalnie, jednak w końcu mieli nieco odmienne poczucie

humoru, skoro pozwalali nawet kilkuletnim brzdącom uczestniczyć w rzezi. Miałam wiele razy okazję przekonać się, że ich sposób wychowywania dzieci był równie specyficzny, jak wiele innych rzeczy w ich kulturze.

Byłam chyba osobą, która najbardziej cieszyła się z przyjazdu Kastriota przed Wigilią. Nie chodziło mi tyle o niego, co o list, który miał mi przywieźć od rodziny. Na pocztę w Kosowie nie liczyłam, więc poprosiłam, żeby przysłali mi chociaż kilka słów, jakąś kartkę bożonarodzeniową, cokolwiek, co przypominałby mi ich na adres Kastriota w Niemczech. I rzeczywiście na kilka dni przed przyjazdem powiedział, że odebrał już jakiś list do mnie z Polski. W końcu doczekałam się. nadszedł dzień przyjazdu najstarszego z synów Nasife. Denerwowały mnie długie przywitania. Nigdy nie miałam nic przeciw wizytom Ajeta, ale kiedy przyląkł tamtego dnia, miałam ochotę zabić go wzrokiem. Przecież Kastriot nie otworzy swojej podróżnej torby tak długo, aż będą goście, bo to nie wypada. Zrobiłam kawę dla wszystkich i zaczęłam chodzić nerwowo po pokoju. Po kilkunastu minutach doczekałam się, wręczono mi białą kopertę. Drżącą ręką otworzyłam ją, wyjęłam dwie podwójne kartki zapisane drobno przez moją siostrę, w środku był... opłatek. W gardle stanęła mi wielka kluska, która odebrała mi cały dopływ powietrza, czułam, że nie mogłam oddychać. Nikt nie zrozumie, co znaczy dla Polaka na obczyźnie kawałek opłatka, nikt, kto nie przeżył tego sam. Oczy zaszyły mi łzami. Miałam przed sobą mgłę, nie mogłam przeczytać ani jednej literki, nie mogłam nawet poznać kształtu żadnego z wyrazów. Przymknęłam powieki i dwie olbrzymie krople spadły na papier rozmazując trochę słowa „Kochana Siostrzyczko i kochana Laurko moja”. Podniosłam głowę w obawie, że pewnie wszyscy tam zebrani patrzyli w tamtej chwili na mnie, ale oni byli zajęci dzieleniem tego, co znaleźli z walizkach Kastriota. Wymknęłam się więc po cichu z pokoju i usiadłam na schodach na korytarzu, płakałam na głos, całą duszą, czułam wyraźny ból serca, kiedy czytałam ten list, kiedy patrzyłam na kartkę świąteczną i dotykałam delikatnie opłatka. Moja rodzina prosiła, żebym podzieliła się opłatkiem w wigilijny wieczór z Laurą i pomyślała o nich. Marzyłam o tym, żeby zasnąć tego wieczoru i obudzić się dopiero po świętach, żeby nie czuć nawet na odległość, że oni tam siedzieli przy stole, przy którym stało wolne nakrycie. „...Będą dwa nakrycia, dla ciebie i dla naszej małej księżniczki...”, przeczytałam i rozplakałam się na dobre, ktoś wyszedł w tym czasie z pokoju, usłyszałam ciężkie kroki, po chwili nastąpiła cisza:

- Iza? Jesteś tam? - to Nasife.

Nie odezwałam się. Milczałam, nie miałam ochoty na żadne rozmowy z kimkolwiek. Chciałam zostać sama, ale widocznie nie było mi to dane, bo zaraz wrócił Rushit i kazał podać sobie kolację.

- Znowu ryczałaś? - warknął, był pijany. - Coś mi się wydaje, że zabronię tobie kontaktu z tymi ludźmi z Polski, skoro łazisz potem taka naburmuszona.

Nawet nie spojrzałam w jego stronę, to była zwykła prowokacja.

W wieczór wigilijny poprosiłam Sarandę, żeby dokończyła robienie herbaty za mnie. Powiedziałam wszystkim, że nie czuję się najlepiej i pójdę na górę. Wzięłam Laurę na ręce i wyszłam.

- Iza, poczekaj, mam coś dla ciebie - zawołała Nasife i zniknęła w swoim pokoju, po chwili wyszła, w rękę trzymała czekoladę, którą Kastriot przywiózł jej z Niemiec - To dla ciebie. Wesołych Świąt...

Poszłam na górę i otworzyłam czekoladę, na małej tacce położyłam opłatek i posadziłam sobie na kolanach Laurę.

- Córeczko, wiem, że jeszcze jesteś za mała, żeby cokolwiek rozumieć, ale to twoje pierwsze święta... - głos mi się załamał, zaczęłam płakać, a Laurka patrzyła na mnie swoimi niebieskimi oczkami zdziwiona.

Przełamalam opłatek i włożyłam jej kawałeczek do ust. Chyba jej zasmakowało, bo radośnie pomachała rączkami, prosząc o kolejny kawałek. Zanuciłam „Cichą noc” i kołysałam moją dziewczynkę tak długo, aż zasnęła, a ja myślami przeniosłam się do mojej rodziny, która w tamtej chwili najprawdopodobniej dzieliła się opłatkiem...

Dwa dni przed Nowym Rokiem spytałam Sarandę, czy oni w ogóle świętują. Nie mogłam sobie wyobrazić ich stukających się kieliszkami z szampanem.

- Dla nas Nowy Rok to duże święto - odpowiedziała – Kupujemy masę słodczy, suczuk, soki, napoje, dla mężczyzn piwo. Siedzimy wszyscy do północy, wtedy z reguły kobiety idą spać.

- A jak wygląda ten wieczór? Chyba nie tańczycie?! - zaśmiałam się

- Nie, chociaż niektórzy tańczą, jeśli mają ochotę. Iza tutaj jest tak jak u was: co rodzina, to inna tradycja. U nas jeśli jest prąd, to siedzimy oglądając telewizję, rozmawiamy sobie. Nasi mężczyźni idą do sąsiadów albo do rodziny, a inni przychodzą do nas w odwiedziny, posiedzą chwilę i idą dalej. Nowy Rok witany jest hucznie, chociaż bez petard. Kiedyś, jeszcze długo przed wojną, to zdarzało się, że ktoś miał jakieś sztuczne ognie. Za to groziły problemy ze strony policji serbskiej.

Nie mogłam się doczekać trzydziestego pierwszego grudnia. Jakież było moje zdziwienie, kiedy na dzień przed Sylwestrem Blerim i Afrim przytaszczyli skądś... choinkę. Kadri kupił w Maliszewie ozdoby, lampki, dwa kartony słodczy, owoce, napoje, skrzynkę piwa. Wyglądało na to, że faktycznie miała być wielka impreza. Ja i Saranda dostałyśmy do nadmuchania balony, było tego 30 sztuk, miały ozdobić cały salon. Na szczęście pomógł nam Ajet i Blerim. Zauważyłam, że same przygotowanie sprawiały wszystkim frajdę, byliśmy wtedy prawdziwą rodziną. Rushit pojawiał się sporadycznie, zresztą przyzwyczaiałam się już do tego, wręcz czułam się nieswojo, kiedy siedział w domu. Byliśmy dla siebie zupełnie obcy, jedyne, co nas łączyło to ten bardzo rzadki i pozbawiony uczuć seks. Nic więcej, nawet nasza córka nie zbliżyła nas ku sobie ani trochę. O tyle łatwiejsza była dla mnie decyzja o rozstaniu, wbrew pozorom nadal miałam zamiar odejść. Wbrew pozorom, bo sprawiałam wrażenie, że pogodziłam się ze swoim losem i faktem, że resztę życia spędzę jako *nusja*. A ja ciągle układałam w głowie plany, opracowywałam sposób, jak podejść Rushita najskuteczniej, sposób, w jaki wpłynąć na niego, żeby zmienił decyzję i pozwolił mi wyjechać. Walczyłam sama z sobą, kiedy musiałam zachowywać się normalnie, chociaż miałam ochotę plunąć mu w twarz, podrapać mu ją i patrzeć jak krew spływa po niej ciurkiem, za każdą krzywdę wyrządzoną mi, za każdy cios, za każde słowo, które raniło...

Żal za to przesiąkł mi już do wnętrza, pielęgnowałam go i miałam nadzieję, że w końcu przerodzi się w nienawiść, ale to nie było takie proste. Mimo wszystko nie potrafiłam zniechęcić Rushita, bardzo tego chciałam, ale nie miałam widocznego wpływu na swoje uczucia.

- Będziesz siedział z nami w Nowy Rok? - zapytałam go ostatniego dnia grudnia po obiedzie.

- Jasne, przecież to rodzinne święto - wzruszył ramionami, jakby było to zupełnie oczywistą rzeczą.

Miałam ochotę dodać, że Baj ram też jest świętem rodzinnym, ale darowałam sobie te złośliwość. Nie wiedziałam, czy cieszyć się, czy raczej żałować jego obecności tej nocy. Po obiedzie, który był u nas w domu drugim, ale zawsze ostatnim posiłkiem dnia, posprzątałyśmy z Sarandą, ja jeszcze podawałam herbatę, którą Nasife MUSIAŁA wypić, bo inaczej posiłek nie miałby przysłowiowej kropki nad „i”. Skończyło się na szczęście tylko na kilku szklaneczkach. Około dwudziestej pierwszej Nasife kazała nam się przebrać, spojrzałam na nią zdziwiona, nie mogąc zrozumieć jej polecenia.

- Jak to przebrać?! W co? Chyba nie w *dimil*- zartowałam sobie, ale jednocześnie bałam się, że okaże się to prawdą, że Nowy Rok w Kosowie będę witała w... *dimi*.

- Nie, zwyczajnie w jakąś elegancką sukienkę, umaluj się, uczesz i kwita.

„Kwita”... Łatwo mówić komuś, kto miał pełną szafę kreacji, do tego mój nieśmiertelny blond na głowie zamieniałam na inny odcień. Miała być wiśnia, a wyszedł różowy i to w kilku odcieniach. Farba ruskiej produkcji, nie oczekiwałam za te kilka groszy nie wiadomo jakiej jakości, ale miałam nadzieję, że chociaż kolor będzie się zgadzał. Afrim na mój widok ocenił całość jednym słowem:

- Fantazja - śmiał się, kiedy tylko pojawiałam się w zasięgu jego wzroku.

A mi nie było do śmiechu, podbierałam Rushitowi co dzień po kilka drobnych, żeby się nie domyślał, żeby uzbierać znowu na swój blond. No i nagle miałam zrobić się na bóstwo, niewykonalne. Zebrałam swoje półdługie włosy w kucyka, pomalowałam rzęsy, założyłam parę dzinsów, która należała oficjalnie do Afrima, ale nieoficjalnie nosił je każdy, kto dorwał się do nich pierwszy. Do tego sweterek z golfem i zesłałam na dół. Tak jak przypuszczałam, nie zrobiłam na nikim wrażenia. Nie to co Saranda, która zesłała po schodach dostojnym krokiem w długiej wieczorowej sukni i pełnym makijażu.

- Dlaczego jesteś taka uparta i nie chcesz wziąć czegoś ode mnie? - zapytała mierząc mnie od stóp do głów.

- Bo chciałam wyglądać... dramatyczniej - palnęłam bez namysłu i zaczęłam przygotowywać stół.

Rzeczywiście siedzieliśmy cały czas przed telewizorem, kanał RTK emitował jakiś program rozrywkowy na żywo. Kiedy zaczęto odliczanie ostatnich sekund tamtego roku, wzięłam Laurę na ręce i pocałowałam mocno. Łzy nabierały mi się pod powiekami, popłynęły po policzkach, wytarłam je szybko, żeby nie prowokować Rushita.

- Wszystkiego najlepszego moja córeczko w Nowym Roku - szepnęłam, patrząc w rozbawione oczka mojej maleńkiej.

Dobrze, że była za mała, żeby zapytać dlaczego płaczę. Nie potrafiłabym odpowiedzieć...

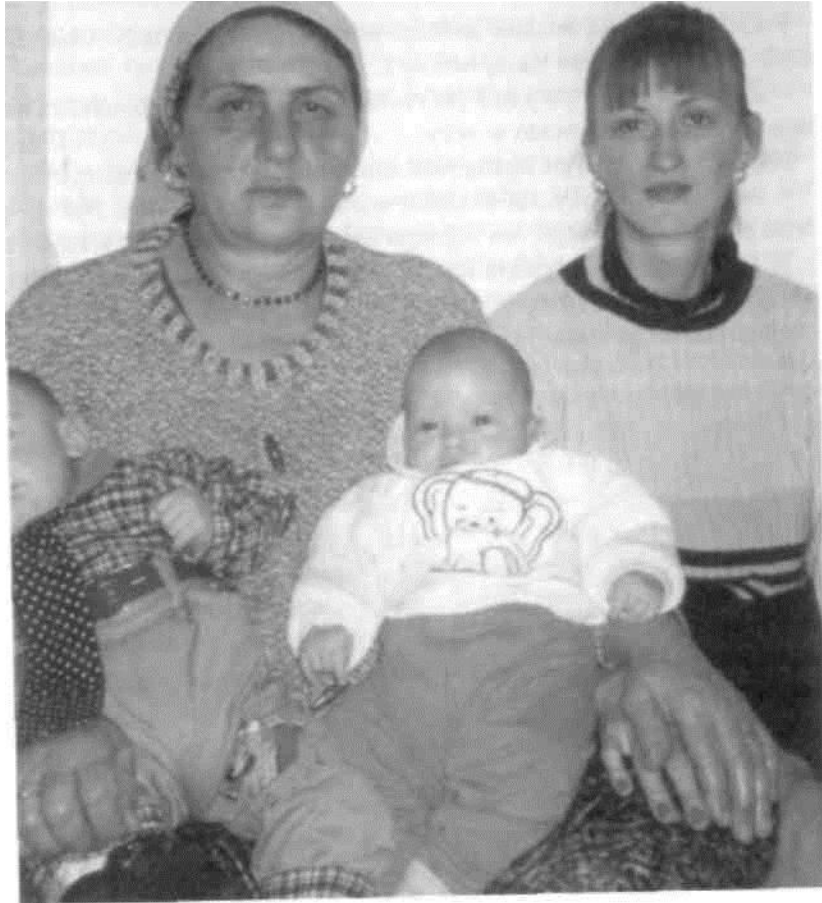
- Co jest? - zapytał Rushit - Znowu wyjesz?

- Nie, składałam życzenia Laurce.

Wziął ją ode mnie w ramiona i mocno przytulił. To były tak rzadkie chwile, ale czasem opłacało się czekać na nie. Nie potrzebowałam wtedy dużo, aby mieć swoją chwilę radości. Nie wolno mi było pić piwa, więc toast za Nowy Rok wzniosłam szklanką soku.

- Czego sobie życzysz w Nowym Roku - chciała wiedzieć moja „miłość”...

Przecież i tak nie miałam zamiaru powiedzieć mu prawdy. Chociaż nagle bardzo nabrałam takiej ochoty i...:



Nowy Rok witalam z „ukochaną” teściową.

- Żeby następnym Nowy Rok przywitać z moją rodziną - spojrzałam na niego prowokująco, prosto w oczy.

Nie bardzo wiedział jak zareagować, zmieszał się przez moment, zgubił...

- Ach, tak?! - wysyczał w końcu wściekły. - Zobaczmy. Nie spędzisz tam ani następnego, ani żadnego Sylwestra. Masz to jak w banku!

W tym momencie błysnęła lampa aparatu fotograficznego, to Afrim zrobił nam zdjęcie, świetnie ujął na nim pełen obłędnej złości wzrok swojego starszego brata. Ten zerwał się gwałtownie i wyszedł z pokoju, trzaskając drzwiami. Wszyscy zebrani, jak na znak spojrzeli na mnie najpierw zdziwieni, potem ich oczy zwięzły się jakby chcieli powiedzieć, że właśnie zepsułam im całą imprezę. Wtuliłam się w kąt i przytuliłam mocniej Laurę, odczekałam chwilę i poszłam na górę. Tam położyłam moją maleńką, a sama wtuliłam się w poduszkę i bardzo zapragnęłam móc przenieść się w czasie. Nawet nie wiem, kiedy zasnęłam, obudziło mnie gaworzenie Laurki, była ósma rano. Zauważyłam, że leżałam na łóżku w ubraniu. Miejsce obok mnie było puste, Rushit nie wrócił na noc. Zabrałam moją córeczkę i zesłam na dół. Salon był jeszcze pusty. Wszyscy spali. Zresztą odkąd był Kastriot Saranda nie fatygowała się nigdy przed ósmą na dół.



Nowy Rok witany - wydawałoby się - rodzinie. Chwilę później Rushit zostawił mnie tam samą.

Zima dawała się we znaki, śnieg sypał, w pokojach było zimno, a dni zdawały się coraz krótsze. W salonie paliło się w piecu, było tam niekiedy bardzo gorąco, ale w łazience rury zamarały. Sąsiedzi narzekali, że zamarły im studnie. Nas to nie dotyczyło, ale i to do czasu...

- Nie ma wody? - Saranda wyszła z łazienki z rękoma ociekającymi resztkami wody.

Światło motoru doprowadzającego wodę paliło się, więc powinna być. Zaraz zjawiał się „wszystkowiedzący” Blerim i zaczął majsterkować przy kranie, motorze, w końcu doszedł do wniosku, że trzeba najzwyczajniej w świecie sprawdzić źródło dopływu wody, czyli studnię. Na szczęście jaki by nie był, to czasem potrafił zabrać się za coś pożytecznego. Ubrał się ciepło i poszedł. Mróz trząskał na dworze, wrócił po kilku minutach, minę miał nietęgą.

- Zamarła studnia. Trzeba iść po Ajeta, niech pomoże mi rozpalić ognisko, trzeba też znaleźć jakieś szmaty, żeby otulić ten motor.

Cała akcja nie trwała długo, po godzinie mieliśmy znowu wodę. Zastanowiłam się wtedy ile szczęścia mają ci ludzie mieszkający w Polsce, nawet nie zdają sobie sprawy, że sytuacja sąsiadów „za miedzą” jest o wiele trudniejsza i gorsza. Po powrocie do kraju zaczęłam doceniać zalety życia w Polsce...

DZIKIE PSY

Pewnego dnia Ramush wrócił z wioski z okropną wiadomością:

- Stary Mahmut z drugiej części wsi znalazł zagryzionego dzieciaka, dzikie psy zjadły połowę jego wnętrzności.

Nasife wypadła zapalniczka z ręki, Saranda usiadła, a ja poczułam się nagle, jakbym brała udział w jakimś horrorze.

- Jak to? Przecież psy nie jadają ludzkiego mięsa - wyszeptałam zaszokowana.

- Nie jadają? - zaśmiał się nerwowo Ramush.- Może u was, bo mają pod dostatkiem żarcia na śmietnikach, ale tu jest trochę inaczej.

- Kogo on był, ten chłopak.

Tego rodzaju pytania również należało do tradycji tamtego miejsca, nigdy nie zapytano jakiegoś dzieciaka, jak się nazywasz, jakie jest twoje nazwisko, ale czyj on jest. Odpowiedź zawsze była taka sama. podawano imię i nazwisko ojca.

- Kogoś z dolnej części wioski. Wracał ze szkoły przez pola. Było jeszcze widno, Mahmut przechodził akurat tamtędy, zauważył sforę psów, około siedmiu, ośmiu. Widział, że były skupione wokół czegoś dużego. Wyraźnie żarły coś. Pomyślał, że pewnie dorwały jakiegoś cielaka, który może zerwał się i uciekł komuś, podszedł bliżej, a tam... leży ciało chłopaka. Zaczął krzyczeć na kundle i rzucać czym popadło. Kiedy uciekły dopiero wtedy z bliska zobaczył, co one z nim zrobiły. Zjadły mu całkiem uszy. nos i połowę wnętrzości. Wszystkie flaki miał na wierzchu. Stary chłop, który tyle na wojnie się naoglądał, płakał, kiedy to opowiadał. Chłopak miał siedem lat.

Zapadła cisza, nikt o nic nie pytał, nikt nie chciał nic więcej wiedzieć. Po tygodniu ponowna historia zdarzyła się w innej wiosce, niedaleko Suharek. W biały dzień psy napadły kobietą wracającą z miasta, szła blisko szosy, mimo to psy napadły ją i zagryzły na śmierć. Niedługo po tej wieści doszły nas słuchy, że jednostki KFOR dostały specjalne zlecenie wytepić wszystkie kundle w całym Kosowie. Miałam okazję przekonać się, że polecenie to wykonywali skrupulatnie, nawet czasem nadgorliwie...

Jechaliśmy akurat z Rushitem i Blerimem do Shyrete, zaprosiła nas na podwieczorek. Wyprowadziła się od swojej ciotki i Baki zbudował dwupokojową przybudówkę na podwórzu swojego ojca. Podczas jazdy Rushitowi skończyło się piwo, które pił przez całą drogę, trzymając je między nogami i jednocześnie prowadząc auto. Zajechaliśmy więc do przydrożnego sklepiku. Kiedy ruszaliśmy znowu, wyjechał przed nas mały samochód wojskowy, rozegrała się akcja, która trwała sekundy. Nagle auto z flagą holenderską i wielkim napisem KFOR zatrzymało się gwałtownie, nie zdążyłam zastanowić się dlaczego, kiedy jeden z żołnierzy wybiegł nam przed maskę, dając znak, że mamy się zatrzymać. W tym czasie drugi ukląkł na środku jezdni na jedno kolano i z karabinu, dużo mniejszego od kałasznikowa wycelował z stronę lasu znajdującego się z lewej strony drogi, odwróciłam głowę w tamtą stronę, na skraju tego lasu stał pies, oddalony o kilkanaście metrów, stał nie ruszając się wcale, jakby czekając na swój los, nie uciekał, stał i patrzył na oprawcę. Padł strzał, celny... W tej chwili zauważyłam kilkunastoletniego chłopaka, który biegł w kierunku zwierzaka wykrzykując coś. Nie zdążył dobiec, bo dwóch żołnierzy wrzuciło martwego zwierzaka do czarnego, plastikowego worka, potem do auta i odjechali szybko. Chłopak biegł za nimi płacząc i krzycząc głośno. Po kilku metrach przysiadł na skraju jezdni i spuścił głowę. Nie wiedziałam, co powiedzieć, nie byłam w stanie wydusić z siebie słowa, nie miałam do końca świadomości, czego byłam świadkiem. Pierwszy odezwał się Blerim:

- Żeby piekło ich pochłonęło za to, bydło!

- Co to było? - zapytałam w końcu zszokowana.

- Przecież zrobili nagonkę na psy, tak jak im kazano. Mają wytepić wszystkie.

- Ale ten pies należał do tego chłopca?! - zapytałam. - Jakim prawem to zrobili?! W swoim kraju dostaliby za to nieźle po tyłkach. A tu wolno im takie rzeczy robić bezkarnie. Źle wam było z Serbami, teraz macie jeszcze gorzej z obcymi.

Nie wiedziałam, co to wojna, ale powoli przekonywałam się, co to bezradność i bezprawie.

Przecież naprawdę tych ludzi czasem traktowano jak dzikich tubylców. Taka sytuacja nie mogłaby mieć miejsca w ojczyźnie tych żołnierzy, nie bezkarnie... Co mogło czuć kilkunastoletnie dziecko, kiedy patrzyło, jak zabijano jego zwierzaka. Być może w czasie wojny nie był świadkiem czegoś, co zraniłoby go bardziej, niż w tamtej chwili. Uczyłam się rzeczywistości, którą do tej pory oglądałam w wiadomościach w telewizji, nagle wszystko stawało się bliskie i niestety, realne.

Przez cały dzień siedziałam osowiała. Wieczorem szukałam zapalek w szufladzie pod piecem, moją uwagę przykuł zeszyt, który przekładano z miejsca na miejsce, ale nikt nie odważył się nigdy wyrwać z niego kartki, choćby nie było czym rozniecić ognia. Miał białą okładkę z charakterystycznym znakiem dwóch dłoni ochraniających człowieka, wieńcem i napisem „UNHCR” (*organizacja ds uchodźców*). Usiadłam na podłodze i otworzyłam go ciekawa. Niewyraźne, choć ładne pismo, litery jakby pisane w pośpiechu, na tyle, na ile znałam język przeczytałam pierwsze zdanie: „Przed wojną całe Kosowo było okupowane przez Serbów, wojna była konieczna, a zaczęła się od Drenicy, gdzie nasz bohater narodowy Adem Jashari oddał życie w imię wolności w Kosowie...”. Słowa pisane chaotycznie, ale prawdziwie oddające wojnę widzianą oczami dziewczyny, która tułała się z rodziną po lasach. Nawet nie wiem, kiedy doczytałam do końca. Całość nie była długa, ale wciągała i wyciskała łyzy wzruszenia... Zamknęłam zeszyt i jeszcze przez dłuższą chwilę siedziałam tak nieruchomo. Następnego dnia dowiedziałam się, że był to pamiętnik Shpresy. Zabrałam go na górę i schowałam. Wiedziałam, jaką wartość może mieć ten króciutki pamiętnik.

Chciałam dowiedzieć się jeszcze więcej na temat wojny w Kosowie. Konflikt ten fascynował mnie, chodziłam po ziemi, która nosiła ślady krwi, która tyle ciał ofiar ukrywa. Jediną osobą, która z radością udzieli mi wszelkich informacji był Ramush. Okazja nadarzyła się zaraz po śniadaniu, podczas picia herbaty.

- Kiedy właściwie powstała Armia Wyzwoleńcza Kosowa?

Ramush spojrział najpierw na mnie, potem roześmiał się w głos:

- Naprawdę ciekawska z ciebie osobka. Całe szczęście nie byłaś tutaj podczas wojny, bo pewnie poszłabyś do samego Miloszewicza zrobić wywiad. No, dobra, chcesz informacji?! Nie wiem, od czego zacząć -ale po chwili zaczął opowiadać.

- Historia konfliktu między nami a Serbami sięga daleko w przeszłość. Tylko za czasów, kiedy żył Tito, wszystkim było dobrze i każdemu było wszystko jedno, czy jest Serbem, czy Albańczykiem, wtedy byliśmy przede wszystkim Jugosłowianami. Pracowaliśmy i wiedzieliśmy też za co. Nikomu nie działa się krzywda. Tito dokonał cudów, bo staliśmy tak wysoko, prawie na równi z Niemcami, jeśli chodzi o status społeczny w Europie. Ale na każdego przychodzi koniec, no i zmarło się Josipowi w 1981 roku. Nie trwało długo, jak zaczęły się kłótnie, walki o to, do kogo te ziemie należą, kto powinien rządzić po jego śmierci.

Wtedy doszedł do władzy Miloszewicz, był tylko pionkiem, ale powiedział słowa, na które Serbowie tylko czekali: „Nikt was nie będzie bił”. Chcieliśmy być niepodległym państwem, mieć swój rząd, swoją armię, swoje problemy rozwiązywać sami, a Serbowie w miarę upływu czasu coraz bardziej ograniczali nasze prawa. W końcu Kosowo stało się niewolnikiem w rękach Belgradu. Wyrzucali naszych nauczycieli ze szkół lekarzy ze szpitali, urzędników z biur, zabroniono mowie po albańsku. Tego było za wiele i zaczęły się strajki. Miłosz był sprytny, bo uderzył w czuły punkt Serbów, od razu poczuli się jak naród uciśniony. Przecież to WY macie

prawo do tego miejsca", krzyczał do swoich rodaków. No i oni poczuli się pokrzywdzeni. Wówczas też prześladowania Albańczyków nabrały na sile.

- Adem w grobie się pewnie przewraca, kiedy widzi, co się tutaj dzieje... - powiedziałam cicho.

Ramush westchnął, przytaknął i ciągnął dalej:

- W zasadzie nie wiadomo, kiedy dokładnie powstała ta armia, bo zaczęło się od kilku przyjaciół Jasharów, potem po demonstracjach studentów w 198! roku wielu z nich wstąpiło do UCK.

SPOSÓB NA WYJAZD DO POLSKI

Moje życie koncentrowało się tylko i wyłącznie wokół wyjazdu. Nie wiedziałam, jak zacząć rozmowę z Rushitem na temat dokumentów naszej córki. Codziennie wspominałam mu o tym, nie dawałam spokoju. On groził i prosił, żebym się w końcu zamknęła. Nie miałam pomysłu, jak do niego dotrzeć. W końcu na pomysł wpadłam przez przypadek. Jak zwykle w niedzielę zadzwoniła mama. Zapytałam o samopoczucie całej rodzinie. Powiedziała, że wszystko dobrze, tylko ostatnio ojciec coś narzeka na serce, ale to nic poważnego. W tym momencie w mojej głowie zapaliła się lampka.

- Mamo. czy możesz coś dla mnie zrobić?! Wiem. że jutro idziesz do pracy, ale musisz do mnie zadzwonić, bardzo króciutko. Mam pewien plan.

- Nawet nie chcę wiedzieć jaki, byle tylko był skuteczny. Dobrze, zadzwonię jutro przez południem.

Czekałam na tę chwilę, jak na zbawienie. Miałam przed sobą prawdziwe wyzwanie aktorskie... Skoro żadne prośby, ani groźby nie pomagały, żeby się uwolnić postanowiłam znaleźć inny sposób. Chciałam odegrać prawdziwy dramat, udawać, że mój tata miał zawał i leży w szpitalu. Miałam wyrzuty sumienia, ale chwyciłam się każdego wyjścia z tej sytuacji, jak tonący brzytwy. Wieczorem modliłam się, żeby Bóg mi to wybaczył. W końcu nadeszła wielka chwila.

- Iza. telefon do ciebie - zawołała Nasife.

Wzięłam słuchawkę, robiąc przy tym bardzo zdziwiona minę:

- Kto to?

Ta wzruszyła ramionami.

- Tak słucham?

- Cześć, to ja - głos mamy. - Co teraz masz zamiar zrobić?

- Mamo. cokolwiek powiem, albo zrobię nie bierz sobie niczego do serca. To jest plan i gra warta Oscara - wytłumaczyłam krótko, po czym wzięłam głęboki wdech, powiodłam wzrokiem po pokoju, sprawdzając, czy jestem w centrum uwagi i krzyknęłam do telefonu:

- Co?? Jak to się stało?

Nie musiałam się wysilać, żeby zacząć płakać, wystarczyło, że pomyślałam o domu rodzinnym, a łzy goniły się po moich policzkach. Usiadłam, udając osłabienie. Nasife i Saranda podbiegły do mnie natychmiast.

Blerim spojrział na mnie zaskoczony. Nikt nie rozumiał, co krzyczałam, ale starałam się tak dobierać słowa, żeby były podobne do serbskich. Miałam nadzieję, że może choć trochę mnie

zrozumieją. Najbardziej jednak przerazili się samym zawroźzeniem. Ja dalej się darłam, płakałam, krzyczałam, aż w końcu odłożyłam słuchawkę i zaczęłam płakać na cały regulator. Gdyby wtedy był w pobliżu jakiś reżyser, to nie wiem, czy nie dostałabym jakieś propozycji aktorskiej.

- Iza, co się stało? Powiedz w końcu? Ktoś chory? - wstrząsano mną na zmianę.

- Mój tata... miał zawał i... leży w szpitalu... Może umrzeć... I znowu dawka lamentu i łez. Chyba musiało to wyglądać naprawdę tragicznie, bo Nasife posłała Blerima do sklepu po Rushita.

W międzyczasie wrócił Ramush. Kiedy rodzina była w komplecie zaczęła się dyskusja na temat moich dalszych losów.

- Trzeba pozwolić jej jechać - stwierdził Ramush.

Rushit podniósł gwałtownie głowę do góry. Wściekły spojrzał na mnie, siedzącą w kącie, zabeczaną i tulącą nieświadomą, przestraszoną Laurę.

- Po co?

- Jak to po co? Synu, nie bądź okrutny. Przecież jej ojciec jest chory.

Musi go zobaczyć...

- Jakby mniej pił, to pewnie nie doszłoby do tego. Wiadomo, że wszyscy Polacy chleją. Tego było trochę za wiele:

- Nie więcej od ciebie - powiedziała po cichu, ale tak, żeby to usłyszał.

Ten jakby na to czekał, doskoczył do mnie, chciał uderzyć, ale Laura zaczęła głośno płakać.

- Rushit, usiądź - teściowa podniosła głos. - A ty go nie prowokuj...

- A niech sobie jedzie - machnął ręką - na cholerę ona mi tu potrzebna.

- Tylko to ma być decyzja ostateczna. Już kilka razy słyszeliśmy to od ciebie - wtrącił się Afrim.

- Ja nie będę biegał z nią po urzędach. Załatwajcie to z nią sami.

Proszę bardzo. Macie moją zgodę.

Mówiąc to, wyszedł, trzasnęły za nim drzwi wyjściowe. Żeby było trochę dramatyczniej nie zjadłam tego wieczora kolacji. Przez głód nie mogłam spać całą noc, ale czułam wielką ulgę, że w końcu mi się udało.

Wolałam wprawdzie nie cieszyć się zawczasu, ale wszystko wskazywało na to, że wrócę do kraju. Kolejny dzień miał być dniem działania. Najpierw postanowiłam przeprowadzić poważną rozmowę z Rushitem. Po przebudzeniu przytuliłam się do niego mocno. Poruszył się i obudził. Udając, że tego nie zauważyłam powiedziałam po polsku, niby do siebie, że go kocham i chcę, żeby pojechał ze mną. Wiedziałam, że rozumiał. Odwrócił się do mnie i... mocno przytulił.

- OK, pojedę z tobą. - szepnął.

O, kurczę, takiej odpowiedzi się nie spodziewałam. Ale to nie miało dla mnie znaczenia. Mogła jechać ze mną nawet cała rodzina, żebym tylko mogła wyrwać się stamtąd.

Rushit, kiedy odbierał dowód osobisty, złożył wniosek o paszport. Następnego dnia pojechał dowiedzieć się, kiedy może go odebrać. Wrócił do domu dopiero późnym popołudniem, pod wpływem alkoholu. Usiadł w kącie i warknął, żeby mu dać coś do jedzenia. Całe szczęście Nasife wyręczyła mnie i zapytała o ten paszport.

- Jeszcze miesiąc mam czekać.

Fala gorąca oblała mnie, bałam się, że cała moja nadzieja legnie nagle w gruzach. Jeśli on nie

mógł jechać, istniało ryzyko, że mi również zabroni. Nie dawałam nic poznać po sobie.

- Niestety, pojedziesz sama. - zwrócił się do mnie.

Ile siły woli potrzeba w takiej chwili, żeby nie zacząć skakać z radości. Zwiesiłam głowę i gryzłam się w język, żeby nawet cień uśmiechu zadowolenia nie zagościł na mojej twarzy.

- Ale przyjedziesz do mnie?

Chciałam dobrze, ale chyba lepiej było nie odzywać się wcale, bo wściekły zapytał, jak długo mam zamiar tam siedzieć.

- Chyba zdajesz sobie sprawę, że jedziesz tylko maksymalnie na dwa tygodnie. Chyba, że ci nie starczą, co??

Szukał zaczepki, nie mogłam dać się sprowokować, dlatego przytaknęłam, że to w zupełności wystarczy. Byłam pewna, że to koniec problemów, ale one dopiero się zaczęły...

Dwa dni potem Rushit stwierdził, że w zasadzie to, czy pojedę zależy jeszcze od tego czym i jak. Zaczęłam walkę o dokumenty dla Laury. Udało mi się z czasem wyprosić, żeby mnie zawiózł do UNMIK-u (*jednostki specjalnej policji*) w Prisztinie. Niestety, nic nie miało być dla mnie za łatwe. Ciągle trafiałam na kłody, które los rzucał mi pod nogi. Kolejka do baraków, w których przyjmowali urzędnicy była długa.

Podeszłam z Rushitem i Afrimem do przodu, żeby dowiedzieć się, czy w ogóle mamy szansę tam coś załatwić, kiedy tłum poruszył się i usłyszeliśmy nawoływania:

- Niech wejdzie ta kobieta z dzieckiem, wpuście ją!

Nie wierzyłam własnym uszom. Wiedziałam doskonale, co krzyczałby taki „ogonek” w Polsce, niestety... Mało prawdopodobne, żeby kogokolwiek interesowało, że trzymałam na ręku półroczne dziecko, w dodatku śpiące. Strażnik wpuścił nas do środka.

- Po co stoją tutaj ci ludzie? - zapytałam Afrima.

- Paszporty i wizy.

No tak, najpierw walczyli o odzyskanie niepodległości, a kiedy wszystko było na najlepszej drodze, uciekali za granicę...

Laura przebudziła się, dała mi znać, że chce pić. Ciągle karmiłam ją piersią, ale nie wydawało mi się stosowne, robić to publicznie, dlatego dałam jej soczek w butelce. W baraku przy trzech biurkach siedziało troje ludzi, dwie kobiety i jeden ciemnoskóry mężczyzna, jak się później okazało Amerykanin. Wysłuchali z uwagą, na czym polegał nasz problem. Ich miny nie wróżyły nic dobrego i rzeczywiście...

- Niestety, nie możemy nic zrobić. Dziewczynka jest obywatelką tego kraju, wydajemy paszporty, ale to i tak pani nic nie da, bo ona nie przekroczy granicy. Polska nie wpuszcza do siebie na paszporty UNMIK-u.

- To co ja mam robić? - byłam bliska rozpacz.

Wzruszenie ramionami.

Rushit siedział w kącie i obserwował. Pewnie jedyne, co go interesowało, to czy czasem nie patrzyłam za często na tamtego faceta. Wyszliśmy stamtąd, dla mnie zaczął się okres oczekiwania na cud...

URODZINY LAURY

Zbliżały się pierwsze urodziny Laury i było mi coraz bardziej przykro, że będzie je świętować

bez mojej rodziny. Nie mogłam sobie wyobrazić pierwszych urodzin mojej córeczki bez najbliższych mi osób. Ale musiałam, a przynajmniej starałam się, bo tę rocznicę matka pamięta przez całe życie. Ponieważ Laura urodziła się o północy ciągle jeszcze była to sprawa dyskusyjna, czy data jej urodzin to jeszcze 15 października, czy już 16. W końcu poddałam się i dostosowałam do daty podanej przez urzędnika w Urzędzie, który wypisywał jej akt urodzenia. Pamiętałam, jaki chaos był już na tydzień przed urodzinami Lirima, o dziwo, o roczku Luli nie wspomniano ani słowem. Zaczynało mnie to niepokoić i postanowiłam domagać się tego sama, nie wprost, ale w delikatniejszy sposób...

- Nasife, czy mogłabym spróbować upiec tort na urodziny Luli?

Miałam nadzieję, że powie nie, bo z natury jestem antytalencie kulinarne.

- Jeszcze nie wiem, czy będziemy mieli pieniądze, ale postaramy się coś zrobić, chociaż jakieś ciasto, ale wtedy niech Saranda coś upiecze.

Postarają się?! Dla mnie oznaczało to, że Lula będzie bez urodzin. Poprosiłam Rushita, żeby zaczął kombinować jakieś pieniądze, bo przecież nasza córka musi mieć wyprawiony roczek.

- A skąd? - wzruszył ramionami i poszedł do... sklepu na piwo.

Łzy popłynęły mi po twarzy, żeby nikt tego nie widział poszłam na górę. Laura właśnie się przebudziła. Siedziała na łóżeczku. Kiedy weszłam do pokoju ucieszyła się na mój widok i wyciągnęła rączki. Nie wytrzymałam i tuląc ją mocno, rozplakałam się na dobre. Ona odsunęła się ode mnie troszkę i popatrzyła swoimi smutnymi oczkami. Wytarła mi łzy płynące ciurkiem po twarzy i... przytuliła się jeszcze mocniej. A ja płakałam w głos:

- Przepraszam, córeczko moja. przepraszam za to wszystko! Jestem najgorszą matką na świecie. Nie zasłużyłam sobie na takie szczęście jak ty...

Tak jak myślałam nie było żadnych gości na urodzinach mojego dziecka. Mieli wprowadzić przyjechać z Drenovc, Xhemilia i ciotka Sadbere, ale ktoś zjawił się u nich z niespodziewaną wizytą i w końcu zostaliśmy sami. Rushita nie było jak zwykle od rana. Ja nie liczyłam na nic, więc kiedy Saranda w południe zabrała się za pieczenie ciasta, a Nasife wyciągnęła kurczaka, który jadano przy szczególnych okazjach.

Zrobiło mi się bardzo miło. Ramush po wypiciu herbaty już rano poszedł do sklepu i wrócił z dwiema paczkami ciastek i butelką z napojem. Wczesnym popołudniem ubrałam Laurę w sukienkę i zasiedliśmy do stołu, ja, Saranda, Nasife i Ramush. Rushit wrócił do domu dopiero w nocy. Nigdy mu tego nie wybaczyłam. Ale to mi pomogło później, już w Polsce zrozumieć, żeby nie mieć skrupułów, jeśli chodzi o jego kontakty z Laurą. Na początku było mi przykro, kiedy pomyślałam, w jaki sposób świętowano roczek Lirima, ale szybko o tym zapomniałam, zwłaszcza, kiedy spojrzałam na szczęśliwą minę Luli. Saranda upiekła ciasto czekoladowe z polewą, na wierzchu napisała bitą śmietaną, która została jeszcze z urodzin Lirima: „*Me fal nje vjetori lindjes*”. Na samym środku postawiła świeczkę.



Roczek Lirima był dość hucznie obchodzony.

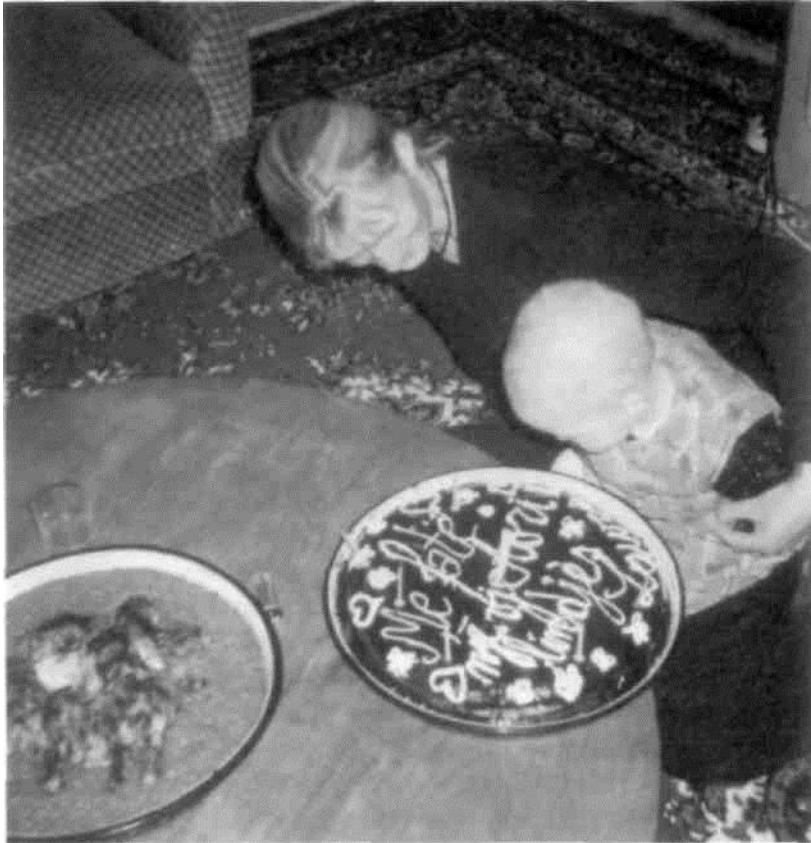
- No, maleńka, dmuchaj - powiedziałam do Laury po polsku, ale nie zrozumiała.

Powtórzyłam to samo po albańsku, spojrzała na mnie szczęśliwa, to była jej chwila i chyba to czuła, bo śmiała się całą buzią. Zdmuchnęła, udało się za pierwszym razem. Wszyscy zaczęli klaskać, mała wtórowała im śmiejąc się pełną buzią, a ja ocierałam łzy wzruszenia i bólu jednocześnie. Ten marnie zastawiony stół to było to, co mogłam ofiarować mojej córeczce na jej pierwsze w życiu urodzinki. Następnego dnia Ramush kupił jej w Malishewie komplecik do ubrania. A w niedzielę zadzwonili moi rodzice.

- Naucz ją polskiego - prosiła mama.

- Ja do niej mówię po polsku, ale ona rozumie bardzo mało. A mówić to wcale, tylko jakieś pojedyncze słowa po albańsku. Nie mam na to wpływu, mamuś. Też bym chciała zrobić z niej Polkę... - tłumaczyłam, byłam bezradna.

Nie mogłam przecież przyznać, że kiedy mówię do Laury cokolwiek w moim ojczystym języku, to Blerim krzyczał, że mówiłam po serbsku, a Rushit, jak miał zły humor to i uderzyć potrafił. Serce by jej pękło...



Smutne pierwsze urodziny Laurki. Byłyśmy samiutkie, ale mimo to szczęśliwe.

NOWA NADZIEJA

- Ta Polka, która wyszła za syna Jakupa straciła córkę - powiedziała jednego dnia Nasife do Sarandy.

- Jaka Polka?? - chciałam natychmiast wiedzieć.

- Przecież opowiadałyśmy tobie, była tu przed ślubem Shyrete.

Zacząłam sobie przypominać. Chwilami czułam się, jakbym siedziała na obczyźnie dobrych kilka lat, wizja zobaczenia prawdziwej Polki i porozmawiania z nią w ojczystym języku była dla mnie światełkiem w tunelu. Dwa dni prosiłam Rushita, żeby mi pozwolił jechać. W końcu zgodził się, ale tylko dlatego, że Nasife miała chęć odwiedzić tamtą rodzinę. Znali się przecież po sąsiedzku dobrych kilka lat. A moja teściowa uwielbiała chodzić z wizytą. Pojechaliliśmy więc razem z nią i jej mężem w gościnę. Trzy młode dziewczyny i mężczyzna w średnim wieku wyszli nam naprzeciw. Zastanawiałam się, która to Marzena. Okazało się, że żadna. Wprowadzono nas do salonu. Marzena przyszła kilka minut później. Nawet nie zdawała sobie sprawy z tego, że miałam ochotę rzucić się jej z radości na szyję. Rodaczka!! Prawdziwa Polka, z krwi i kości. Nie mogłam się na nią napatrzeć. Zaczęłyśmy rozmawiać po polsku, bo okazało się, że ona nie znała ani słowa po albańsku.

- Czemu nie nauczyłaś się języka? Byłoby ci łatwiej - przekonywałam ją.

- Nie chce mi się, nie jest potrzebny. I tak tu nie zostaniemy. Chcemy jechać z Nazmim do Niemiec i tam mieszkać. Nie podoba mi się tu.

Nasife przez cały czas świergotała, jaka to ze mnie pożyteczna *misja*. Miałam wrażenie, że chwaliła się mną. Teściowa Marzeny nie mogła się nadziwić, że wykonuję wszystkie prace, jak na prawdziwą pannę młodą przystało. A ja patrzyłam z podziwem na Marzenę i zastanawiałam się, jak jej się udało pozostać sobą. Zapytałam ją o to.

- Mam wsparcie w moim mężu, nikt nie ma prawa powiedzieć tu nawet złego słowa na mnie. Nawet z własną matką się pokłóci, jeśli ta jest dla mnie niemiła.

Po jakimś czasie postanowiłam zapytać Marzenę, czy wie w jaki sposób mogę wydostać się do kraju.

- Jakie dokumenty potrzebuje moja mała, żeby mogła stąd wyjechać?

- Nie wiem tak dokładnie. Musiałabyś pojechać do UNMIK-u.

Opowiedziałam jej, że już tam byłam i nic nie udało mi się załatwić.

- Mam! - doznała olśnienia - Znam jednego Polaka, nazywa się Jan i pracuje w UNMIK w Maliszewie. Wiesz, gdzie to jest?

- Jasne, w budynku obok policji.

- Zgadza się. Spotkaj się z nim i poproś o pomoc. Może znajdzie rozwiązanie.

Wszystko wydawało się takie proste z małym wyjątkiem...

- Ty chyba oszalałaś, jeśli myślisz, że puszczę cię do Maliszewa, żebyś ganiała za jakimiś polskimi frajerami. Za kogo ty mnie masz? Naiwnego palanta? Cały powiat będzie się ze mnie śmiał, że kobieta puszcza mi się na prawo i lewo.

Takich słów spodziewałam się od Rushita. Milczałam, wiedziałam, że chciał mnie sprowokować, żebym się odezwała, zaprzeczyła, cokolwiek. Miałam nadzieję, że jak tego nie zrobię, odczepi się, wyjdzie i da mi spokój, ale widocznie tak bardzo zależało mu na poniżeniu mnie, że nawet milczenie było dla niego pretekstem...

- Ty dziwko, ja wiem co kombinujesz - doskoczył do mnie i złapał za gardło, ściskając mocno - Nie będzie moja córka na ulicy spała w tej waszej cholernej Polsce. Zrozumiałaś?

Wyszarpnęłam się mu i spojrzałam śmiało w oczy. Uderzył mnie w twarz, w tym momencie zauważyłam za oknem pełnię księżyca, nie odezwałam się ani słowem, doskonale zdawałam sobie sprawę z tego, co może rozpętać pełnia w tamtym człowieku. Rushit zszedł na dół, kiedy trzasnęły drzwi wyjściowe poszłam do salonu, żeby pozmywać szklanki po herbacie. Miałam też cichą nadzieję, że wszyscy zobaczą mój zaczerwieniony policzek. Tak też się stało, mimo to nikt nie odważył się zapytać, co się stało, zresztą nikt nie musiał tego robić. To, co się stało, nie było niczym niezwykłym.

Dwa dni nie rozmawiałam z nim wcale. W końcu dopięłam swego.

- Masz się szykować - Saranda wpadła podniecona jednego dnia w południe do mojego pokoju.- Jedzicie do tego Polaka z Rushitem. Słyszałam jak Ramush rozmawiał z twoim mężem. Ten nic nie mówił, tylko głową kiwał. A Nasife powiedziała mu, że nie może przecież ciebie na siłę trzymać. Zaczęła mówić o godności, a on w końcu kazał mi przyjść do ciebie i powiedzieć, żebyś się ubrała, bo jedzicie.

Bałam się, czy to nie jakiś kolejny podstęp. Wrzuciłam na siebie byle co, ubrałam Laurę i zeszłam na dół. Bez słowa poszliśmy do samochodu i ruszyliśmy w kierunku Maliszewa. Nie zamieniliśmy z sobą ani słowa, dopiero kiedy wchodziliśmy do budynku, Rushit wysyczał, że jeśli zrobię jakkolwiek fałszywy ruch, powiem coś, co jemu się nie spodoba, to po mnie. Nic mnie nie uratuje.

- Pamiętaj, że ja świetnie znam serbski, a ten niewiele różni się od waszego - dodał przez

zęby.

Jan okazał się miłym panem w średnim wieku. Niestety nie potrafił mi w żaden sposób pomóc.

- Nie zdołałam nic. Musisz mieć dla córki papiery. Jedyne co mogę zrobić to znaleźć dla ciebie adres i numer telefonu ambasady polskiej w Macedonii. Skontaktuj się z nimi, muszą ci pomóc. Nie możesz wywieźć małej bez papierów, musi mieć dokumenty. Laura prawnie jest mieszkanką Kosowa.

Dał mi kartkę z adresem i numerem. Rushit przez cały ten czas siedział obok i bacznie przyglądał się nam. Teraz tylko miałam zadzwonić do konsulatu i dowiedzieć się, co robić dalej. Pozostała jeszcze kwestia zdobycia pieniędzy na telefon. Na Rushita i jego rodzinę nie miałam co liczyć. Przyszło mi nawet do głowy, żeby coś sprzedać, ale nie miałam nic wartościowego. Wówczas żałowałam, że nigdy nie lubiłam biżuterii, miałabym jakieś zabezpieczenie finansowe. Jedyne co mogłam zrobić, to wziąć Ramusha na litość. To był jedyny człowiek, który miał jakieś ludzkie uczucia w tamtej rodzinie. Każdą nadarzającą się okazję starałam się wykorzystać, dając mu do zrozumienia, jaka jestem nieszczęśliwa i jak bardzo chciałabym pojechać zobaczyć moją rodzinę w Polsce. Żał mu było mnie i moje marudzenie nie poszło na marne, któregoś dnia Ramush przekonał Nasife, że trzeba mi dać pieniądze na ten telefon.

- Ona żyć nam nie da - tłumaczył. - Niech zadzwoni i najwyżej przekona się, że nic nie uda się załatwić. Przynajmniej będzie spokój. Za zgodą Rushita zawiózł mnie do Maliszewa na pocztę. Dostyc szybko udało mi się dodzwonić. Trochę chaotycznie opisałam konsulowi moją historię. Słuchał uważnie w końcu poradził, żebym wysłała metrykę urodzenia Laury moim rodzicom w Polsce, oni powinni ją tam zameldować i potwierdzenie tego muszą odesłać do Kosowa. Następnie z tym kwitkiem i ojcem powinnam przyjechać do Macedonii, gdzie Laura zostanie tymczasowo wpisana do mojego paszportu.

- Ale ojciec dziecka nie może wjechać do Macedonii – powiedziałam zgodnie z prawdą.

Krótko przedtem Macedończycy mieli poważne konflikty z Albańczykami kosowskimi. Zaczęło się od wprowadzenia przez władze macedońskie zakazu wykładania w języku albańskim na uniwersytecie w Tetowie. Miasto to było w większości zamieszkane właśnie przez Albańczyków. Zaczęły się protesty i walki. Ginęli młodzi ludzie, żadna ze stron nie chciała popuścić. Kosowo w oczach całego świata z biednego, uciemzonego narodu nagle przeistoczyło się w ciemniźnicę. Macedonia wprowadziła zakaz przekraczania przez Albańczyków granicy. Potrzebowali specjalnego dokumentu lub... starego, jugosłowiańskiego paszportu, a ten posiadali tylko nieliczni. Najczęściej były one już nieważne. Tak więc mogłam jechać tam tylko sama.

- W takim razie proszę pójść do adwokata i niech w jego obecności pani mąż podpisze zgodę. Na tym dokumencie musi być pieczęć. Najlepiej, gdyby było to napisane w języku serbskim. Wielu adwokatów posługuje się też tym językiem. Niech pani się pospieszy z załatwianiem, sytuacja tutaj staje się niestabilna, nie wiadomo, czy nie wybuchnie wojna.

Tymi słowami zakończyliśmy rozmowę. Miałam przed sobą długą drogę, ale miałam dość siły, żeby ją przejść...

PROBLEMY Z WYJAZDEM

Pod koniec października udało mi się wysłać metrykę Laury do Polski. Codziennie czekałam na

wiadomość z domu, czy coś załatwili. Ale list nie dochodził do nich, za to po dwóch tygodniach wrócił z powrotem do... mnie. Wysłałam go jeszcze raz. Tym razem doszedł. Miesiąc później w końcu udało się, rodzice zameldowali moją córeczkę w Polsce. Wprawdzie było z tym trochę kłopotów, bo metrykę trzeba było przetłumaczyć. Tłumacza albańskiego nawet nie szukali, bo niemożliwością było znaleźć takiego w Polsce, na szczęście metryka napisana była jeszcze w języku serbskim. Po długich poszukiwaniach udało się mojej mamie znaleźć tłumacza w Sopocie. W sumie cała procedura trwała znowu dłuższy czas i w połowie listopada Laura została zameldowana w Urzędzie Stanu Cywilnego w Tczewie. Rodzicom zaproponowałam, żeby list wysłali do Kastriota, który i tak wybierał się do Kosowa, ale oni nie chcieli czekać, spieszyło im się, żeby zobaczyć swoją wnuczkę. Mama wysłała list natychmiast i wkrótce trzymałam dokumenty w ręku. Bardzo szybko zaskoczyła nas zima. Więc nie było mowy o żadnym wyjeździe do Skopje. Zbliżała się Gwiazdka, którą miałam nadzieję spędzić w domu, z rodziną, ale wiedziałam już na pewno, że będą to kolejne święta spędzone na obczyźnie. Było mi już wszystko jedno, żyłam tylko moim powrotem do Polski. Wyobrażałam sobie moje spotkanie z rodziną i przyjaciółmi po latach. Ciekawa byłam ich reakcji na Laurę i jej na zupełnie nowy świat, inne otoczenie, odmienne obyczaje i... wolność. Na Nowy Rok jak zwykle przyjechał Kastriot, jak zwykle zabito cielaka, ale tym razem nie panikowałam tak, jak poprzednio. Zauważyłam u siebie ogromną zmianę, stawałam się innym człowiekiem i wiedziałam, że jeśli nie uda mi się w porę opuścić Kosowa, to stanę się jedną z nich, zaczęłyby się wegetacja. Pod koniec stycznia pogoda pozwalała na ponowne rozpoczęcie kompletowania dokumentacji. Laura już od dłuższego czasu miała problemy ze zdrowiem. Kaszlała często, nie raz prosiłam Rushita, żeby zawieźć ją do lekarza, ale ignorował to.

- Lirim też kaszle i co? - tłumaczył. - Lekarz przepisze jej znowu jakieś lekarstwa, od których i tak nie będzie jej lepiej. Oni nie znają się na leczeniu dzieci.

Byłam na niego wściekła. Czulałam, że nic nie wskóram, dlatego jedyne co mi pozostało, to modlić się. Nie widziałam nawet sensu przypominać



Jedna z niewielu wspólnych fotografii Laury i jej ojca. Trudno uwierzyć, że to tylko pozory ojcowskiego uczucia.

mu on tym, że wystarczy, jak Lirim tylko raz kichnie i Nasife każe go wozić do prywatnego

pediatry w Glogovc. Rushit wiedział o tym doskonale, ale widocznie jego własna córka nie miała dla niego takiego znaczenia. W Kosowie dziewczynki nie były nic warte... Kaszel nie przechodził długo i kiedy przerodził się w prawdziwe ataki, postanowiłam coś zacząć robić.

- Jeśli nie zawieziecie Luli teraz do lekarza, możecie być pewni, że ubiorę ją, siebie i pójdę do Maliszewa na pieszo. Jestem matką i nie mogę patrzeć, jak moje maleństwo cierpi - stałam przed całą rodziną i mówiłam to łykając łzy.

- Wiem, że ona nie ma dla was takiego znaczenia, ale dla mnie jest wszystkim i dlatego nie chcę, żeby jej się coś stało.

Rushit zerwał się na równe nogi, wiedziałam co chciał zrobić, ale w porę się opanował. Nasife wyszła do drugiego pokoju i po chwili wróciła, wciskając mu do ręki banknot.

- Jedź - powiedziała.

Nie czekając na hasło, poszłam na górę się ubrać. Jak zwykle trzeba było czekać w kolejce. Rushit chodził nerwowo po korytarzu, kątem oka zerkając, czy czasem nie patrzę na jakiegoś mężczyznę albo któryś nie patrzy na mnie. Siedziałam na ławce obok dwóch bab i bawiłam się z Laurą. Jedna z tych kobiet przysłuchiwała się, kiedy mówiłam coś do Luli. Mimo, że były to albańskie słowa nie trzeba było być specjalnie zdolnym, żeby domyślić się, że byłam obcokrajowcem.

- Skąd jesteś, nusja? - zapytała mnie zniecka.

Spojrzałam na Rushita, nie wiedząc, czy mogę się odezwać. Skinął głową na znak, że mam odpowiedzieć.

- Z Polski.

- Naprawdę?! To daleko. A co tu robisz? Wyszłaś za męża? Pytania te wydawały mi się nie na miejscu, zwłaszcza z ust obcej kobiety. Ale odpowiedziałam.

- Mam męża, tam stoi - wskazałam Rushita.

- Kobiecie zrobiło się trochę głupio, bo uśmiechnęła się tylko i odwróciła głowę. Przecież nie wolno jej było rozmawiać z nieznanymi mężczyznami.

W końcu nadeszła moja kolej. Lekarz okazał się dobrym znajomym mojego męża. Ale kiedy ten na pytanie, co jest malej, zaczął odpowiadać dosyć chaotycznie, bo właściwie nie wiedział o tym nic, oprócz tego, że kaszle, przerwałam mu i ze szczegółami opowiedziałam wszystko.

- Proszę przygotować dziecko do badania.

Badaj ją dosyć długo, kiwając głową z niezadowoloną miną.

- Można ją ubrać - odparł po chwili, siadając za biurkiem. – Dziecko ma zmiany w płucach, trzeba ją zawieźć do szpitala. Wypiszę jej skierowanie. Na razie proszę podawać ten antybiotyk. Przepiszę jej jeszcze syrop na ten kaszelek i witaminy na wzmocnienie. Ale nie zaniedbywać malej.

Podał mi receptę i zwrócił się do Rushita:

- Skąd jest nusja?

- Z Niemiec. Rzuciłam mu znaczące spojrzenie, ale nie zareagował. Miałam dosyć grania jakiejś Niemki, byłam przecież Polką i to dumna ze swojego pochodzenia.

Tak jak myślałam, Laura do szpitala nie pojechała, Nasife i Saranda przekonywały mnie, że jeśli będę jej podawała regularnie leki, to niedługo nie będzie śladu po chorobie. Miałam jednak wrażenie, że nie zależało im tak bardzo, żeby mała wyzdrowiała. Zaczął się luty, pogoda robiła się coraz bardziej znośna. Jednego dnia Ramush przyjechał z miasta z... listem z domu. W kopercie

były dokumenty zameldowania Laury w Polsce. Skakałam z radości, rzuciłam się z rozbiegu Sarandzie na szyję.

- Szalona - zaśmiała się.

Nie mogłam doczekać się, kiedy wróci Rushit. Przyjechał po południu. Jak zwykle cały dzień spędził na graniu w karty i piciu piwa w pobliskim sklepie. Do domu przyznał go tylko głód. Kiedy zjadł, pokazałam mu dokumenty. Oglądał je bardzo długo w milczeniu. Nie mógł zrozumieć z tego ani słowa, wszystko było po polsku, ale on każdą kartkę przewracał po kilka razy. Nie mówił nic, a ja czekałam na chociaż jakikolwiek gest z jego strony. To było jak oczekiwanie na wyrok. W końcu oddał mi je do ręki, nadal nie odzywając się. Poprosił o kawę. Zrobiłam i usiadłam obok.

- I jak? - nie wytrzymałam.

- Co: jak?

- Jeszcze tylko trzeba by pojechać do adwokata w Maliszewie.

- Nie mam pieniędzy.

- Poproszę Ramusha.

- Jeśli ci da, to pojedziemy.

Odetchnęłam z ulgą. Zdobycie pieniędzy nie było wprawdzie takie łatwe, ale na pewno bardziej prawdopodobne niż zgoda Rushita na mój wyjazd. Tego samego dnia porozmawiałam z Ramusem. Powiedział, że kasę trzyma Nasife. Trzy dni zajęło mi namawianie jej, żeby sięgnęła do portfela. Używałam wszelkich argumentów. W końcu stałam się bezczelna:

- Dwa lata pracowałam dla was za przysłowiową kromkę chleba. Nigdy cię o nic nie prosiłam, nawet dla Laury, ale teraz przyszedł czas, kiedy mam szansę pojechać do rodziny, zobaczyć matkę i muszę was poprosić o pieniądze. Nie dostałam złota, pięknych sukien, prezentów jak każda *nusja*. Staralam się i robiłam wszystko, co w mojej mocy, żebyście byli ze mnie zadowoleni. Nasife wyobraź sobie, że nie widziałabyś Shyrete kilka lat. Gdyby była daleko od ciebie, urodziła dziecko, a ty dowiadywałabyś się tylko o niej przez telefon, w ciągu kilkuminutowych rozmów. Jeśli nie uda mi się pojechać, to oszaleję z tęsknoty i albo Rushit mnie zabije, albo ja sobie coś zrobię...

Po tych słowach teściowa zmiękła. Następnego dnia pojechałam z Rushitem do Maliszewa szukać adwokata. Najpierw udaliśmy się do urzędu. Jak każde miejsce publiczne w Kosowie i to było zaniedbane i brudne. Kilku starszych mężczyzn kręciło się po korytarzu. Przy ścianach stali młodzi, w przeciwieństwie do tych pierwszych ci byli elegancko, starannie ubrani. Byłam przekonana, że czekali na jakieś dokumenty, których potrzebowali, żeby wyjechać z kraju. Potwierdzało się dokładnie to, co powiedziałam kiedyś w złości Blerimowi. Walczyli o wolność i niezależność dla kraju, który opuszczali masowo. Pytanie: dlaczego?! Rushit nie spuszczał oka ze mnie, szłam za nim ze spuszczoną głową. Weszliśmy do jakiegoś pokoju. Tęgi mężczyzna, siedzący za biurkiem, na nasz widok zerwał się z miejsca.

- Rushit, gdzie się podziewasz, przyjacielu - uściskał go mocno, a mi podał rękę, nie mówiąc ani słowa.

- A trochę tu, trochę tam. Ale ciebie ostatnio nie widuję w Maliszewie za często.

- A wiesz, jak to jest - zaśmiał się urzędnik - Co cię sprowadza? To twoja *nusja*, tak?

Uśmiechnęłam się, ale widząc spojrzenie rzucone mi z boku natychmiast spuściłam wzrok. Rushit powiedział dokładnie w czym rzecz. Zapytał o dobrego adwokata.

- Podobno Murat zajmuje się teraz tym.
- Murat? Coś ty?! Jak on się do tego dostał?
- Studiował kiedyś prawo i teraz założył jakieś tam biuro.

Wy tłumaczył, gdzie dokładnie mamy szukać tego adwokata. Zdziwiłam się, że Rushit był tak znany w całym mieście, gdziekolwiek się nie udaliśmy miał swoich przyjaciół, kolegów. Bez trudu znaleźliśmy miejsce, gdzie przyjmował prawnik. Ale długo nie mogłam uwierzyć własnym oczom.

- To tu.
- Co?? - myślałam, że sobie ze mnie zażartowano,

Przy ulicy, niedaleko kiosku z kasetami stał mały... barak. W zasadzie wyglądało to jak przyczepa campingowa. Mógł mieć chociaż jakieś obskurne biuro, ale nie przyczepa... Otrząsnęłam się szybko i postanowiłam nie komentować pod żadnym pozorem ani tego „biura”, ani adwokata. Niech załatwi dla nas tylko to, co chciałam. W środku okazało się całkiem przytulnie. Przy ścianie stało biurko, zawalone po brzegi papierzyskami, przy nim grzejnik gazowy, a w kącie stolik z drukarką. Załatwianie sprawy zajęło nam dużo czasu, bo obaj panowie plotkowali jak stare baby na bazarze i po kilkunastu minutach miałam wrażenie, że Rushit zapomniał, po co przyszliśmy. W końcu zaczęłam się wiercić i podziałało. Cała procedura to było wypisanie przez niego na kartce zgody i przez adwokata pisma, że wszystko jest zgodne z prawem i autentyczne. Kilka podpisów, pieczętka i opłata dziesięć euro. Wysłałam stamtąd szczęśliwa, byłam coraz bliżej wyjazdu, a przynajmniej tak mi się wydawało, ale myliłam się. Czekała mnie jeszcze niezła batalia, zanim mogłam wyjechać z Kosowa. W miarę szybko poszło mi przekonanie Rashita, że mogłabym pojechać do Skopje w Macedonii. Straciłam już nadzieję, że mi się to kiedykolwiek uda. Próbowałam wszystkich sposobów. Kiedy zawodziły, sięgałam po nowe pomysły. Pewnego wieczoru wykapałam się, od Sarandy pożyczyłam perfumy i w najlepszej bieliźnie czekałam na Rushita w łóżku. Wrócił jak zwykle późną nocą.

- No, no, moja kobietka jest dzisiaj seksowna - wymamrotał i odrzucił kołdrę na bok.

Pochylił się nade mną i zaczął całować moje ciało. Czułam wstręt, nie mogłam się przemóc, żeby zaczęło mi to sprawiać choć trochę przyjemności. Ale zdawałam sobie sprawę, że być może od tego zależy moja przyszłość. Moja i Laury... Przemogłam się i odegrałam rolę namiętnej kochanki. Z trudem hamowałam odruchy wymiotne, kiedy Rushit leżał na mnie pijany, zionący alkoholem, papierosami, sapał i stękał. W końcu było po wszystkim i jak zwykle miałam nadzieję, że nie będzie żadnej ciąży. Rushit nie dbał o to absolutnie, a ja nie miałam możliwości zabezpieczenia się. Pozostawała tylko właśnie ta nadzieja... Przytuliłam się do niego i pocałowałam w policzek. Uśmiechnął się zadowolony. Miał przymknięte oczy, ale nie spał, nie wiedziałam jak zacząć, ale nie było sensu przeciągać tego dłużej.

- Wiesz kochanie, że chciałabym, żebyś miał te papiery i mógł pojechać z nami do Polski.

Otworzył oczy i patrzył w sufit. Serce zaczęło mu bić szybciej. Denerwował się, a ja bałam się potwornie takich sytuacji.

- Nawet nie wiesz, jak bardzo chciałabym pokazać cię u mnie w mieście. Dziewczyny oszalałyby z zazdrości. Co dzień kazałabym chodzić ci w tej białej koszuli. Wyglądasz w niej extra.

Klepałam byle co, sama gubiłam się już w tym, jak mu to powiedzieć. On milczał. Nie odezwał się ani słowem. Gdy skończyłam, czekając na jego reakcję, on odwrócił się do mnie plecami, zdmuchnął świecę i zasnął. Połowę nocy przeplakałam, najgorsze było to udawanie, granie ciągle

kogoś. Marzyłam o tym, żeby mu powiedzieć prosto w oczy, że się nim brzydzę, że nigdy nie będzie tak jak dawniej. Pragnęłam, żeby dał mi spokój, wypuścił do domu i zniknął z mojego życia raz na zawsze. Ale nie mogłam, wszystko, co udało mi się do tamtej pory osiągnąć poszłoby na marne. Musiałam czekać i modlić się. Dwa dni później, kiedy nikt nawet nie wspominał o moim wyjeździe do Macedonii, postanowiłam rozpocząć strajk głodowy. Rano przygotowałam jak zwykle śniadanie

i usiadłam w kącie.

- Iza, czemu nie siadasz do posiłku? - zapytał Ramush
- Nie chcę, nie jestem głodna.
- Co ona znowu wymyśliła - warknął Blerim zły i jadł dalej, nie zwracając na mnie uwagi.
- Siadaj, wstanie Rushit i będzie zły. Po co ci kolejna awantura? - prosiła Nasife
- Nie chcę, jeśli to całe bieganie i załatwianie moich spraw, pieniądze wydane na benzynę i na adwokata mają iść na marne, to moje zdrowie niech nikogo nie obchodzi.
- I nie będzie - mruknął Blerim.
- Zamknij się - huknął na niego ojciec i zwrócił się do mnie. - Nie chcesz, nie jedz, ale wiedz, że w ten sposób nic nie zyskasz. A być może tylko pogorszysz sprawę.

Nakarmiłam Laurę, łagodna papryka skończyła się już, więc *lang* był zrobiony na ostrej, dosyć częsta sytuacja. Tam nie brano dzieci pod uwagę. Dałam jej chleba moczonego w jogurcie, który zrobiła Nasife i modliłam się w duchu, żeby w najbliższym czasie moja córka miała jedzenia pod dostatkiem. Bez jedzenia wytrzymałam dwa dni, a „strajk” zламаłam tylko dlatego, że Saranda postraszyła mnie, że z braku jedzenia mogę nie mieć pokarmu dla Laury.

- Tak w czasie wojny kobiety nie miały czym nakarmić dzieci - mówiła. - One były bez jedzenia, więc nie miały już potem więcej mleka w piersi.

Mimo, że Laura mogła już jeść z dorosłymi, to nie zawsze miała co. Karmiłam ją nadal, mając świadomość, że przynajmniej tyle mogę jej dać. Saranda przekonała mnie, tego samego wieczora zasiadłam do kolacji. Nasife odetchnęła z ulgą:

- Zmądrzała.

WYPRAWA DO MACEDONII

Fakt, że nie jadałam, trzymano w wielkiej tajemnicy przed Rushitem, nikt nie chciał kolejnej kłótni w domu. A ja sama przecież nie mogłam pójść do niego, żeby się pożalić. Zresztą robiłam to w celu przekonania jego rodziny, że jestem gotowa pójść na całość, jeśli nie wyjadę do Polski. Nie wiem, kto z nim rozmawiał, ani co mu powiedział, w każdym razie dwunastego lutego Nasife oświadczyła, że jadę następnego dnia do Skopje. Radość moja nie miała granic.

- Czy on się zgodził? - upewniłam się
- Tak, ale pojedziesz z Afrimem i Ramushem. Oni będą czekać przed granicą, a ty do konsulatu będziesz musiała jechać taksówką, sama.

Nie przerażało mnie już nic, z trudem panowałam nad sobą, żeby nie zacząć skakać do sufitu. Laura musiała zostać w domu.

- Tak będzie lepiej, zaopiekuję się nią razem z Sarandą – tłumaczyła teściowa - Przecież nie wiadomo, ile czasu zajmie ci załatwianie spraw w konsulacie, a wiesz, że ona nie może

przekroczyć granicy jest Albanką.

To ostatnie słowo powiedziała z naciskiem jakby chciała mi o tym przypomnieć. To miało być pierwsze rozstanie z moją córką. Ale musiałam przez to przejść. Wyjeżdżaliśmy następnego dnia rano. Rushitowi podziękowałam i obiecałam, że nie pożałuje tej decyzji, nie odpowiedział nic. Nie rozmawiał ze mną. Dopiero, gdy wsiadałam do samochodu podszedł do mnie:

- Jeden twój fałszywy krok i nie tylko nie pojedziesz do Polski, ale zabiję cię. Zrozumiałaś? Albo każę im ciebie tam zostawić i zatrzymam Laurę.

Kiwnęłam głową, że tak, i ugryzłam się w język, żeby nie palnąć czegoś głupiego. Wystarczyło tylko słowo z jego ust, żeby Ramush nigdzie mnie nie zawoził. Mój los leżał w rękach Rushita. Saranda stała z Laurą przed domem. Mała płakała i wyciągała rączki, żebym ją wzięła. Serce mi pękało. Poprosiłam Sarandę, żeby weszła z nią do środka.

- Nie martw się, będą dbała o nią jak o własne dziecko – krzyknęła jeszcze.

Nie umiałam już powstrzymać łez, dlatego z ulgą wsiadłam do samochodu, gdzie mogłam płakać nie prowokując ojca Laury. Saranda bardzo lubiła małą, sama bardzo chciała mieć córeczkę, dlatego byłam spokojna. Ale ta rozłąka była dla mnie bardzo bolesna. Pogoda dopisywała i Kosowo wypiękniało, mimo śladów zimy, która jeszcze walczyła resztkami sił z topniejącym błyskawicznie w promieniach słońca śniegiem. Przejeżdżaliśmy obok Prisztiny, żalowałam, że nie przez jej centrum, bardzo lubiłam to miasto. Potem kierowaliśmy się na Ferizaj. Domy, które mijaliśmy przy drogach były zupełnie inne, ale pamiętałam jeszcze z Klini, że tak właśnie budowali Serbowie. Zapytałam Ramusha, wyjaśnił mi, że rzeczywiście w obrębie Ferizaj mieszkało bardzo dużo Serbów. Kolejne miasto, jakie mijaliśmy to Kaczanik. Wtedy nie przyszło mi do głowy, że mój los zagna mnie i do tamtego miejsca i to tam właśnie spędzę ostatnie godziny swojego pobytu w Kosowie... Po czterech godzinach jazdy dotarliśmy do granicy z Macedonią. Ramush kazał mi i Afrimowi zostać w aucie, a sam poszedł rozeznac się trochę w sytuacji. Sądził, że może jednak uda się mu przekroczyć granicę. Wrócił po niecałej godzinie. Z nerwów dostałam wypieków, serce waliło mi jak oszałałe. Gestem dał mi do zrozumienia, że mam wysiąść.

- Posłuchaj, nie dam rady pojechać z tobą. Ale znalazłem zaufanego człowieka, to Albańczyk, mieszka w Macedonii, jeździ taksówką, zawiezie cię do ambasady, poczeka z tobą i przywiezie cię tutaj z powrotem. Nie masz się o co obawiać, zapłaciłem mu dosyć kasy, żeby się postarał. Dałem mu połowę, żeby mieć pewność, że się wywiąże. Resztę dostanie po powrocie.

Zauważyłam niskiego, tłuściutkiego faceta w średnim wieku, kierującego się w naszą stronę. Uśmiechał się, cały czas pokazując zepsute zęby. Zamienił z Ramusem jeszcze kilka słów na stronie i kazał mi pójść za sobą.

- Idź z nim i nie bój się.

Bóg mi świadkiem, jak bardzo bałam się w tamtej chwili, ale posłusznie poszłam. Taksówką okazała się stara, zżarta do połowy przez rdzę czerwona łada. Wskazał mi miejsce obok kierowcy. Jeszcze raz obejrzałam się za Ramusem, stał przy aucie paląc papierosa i patrząc w naszym kierunku. Skinął mi głową na znak, że mam wsiadać do łady. Podjechaliśmy do granicy, zanim podszedł do nas celnik, taksówkarz powiedział, że mam trochę wyluzować, bo coś im podpadnie i mogą nas zatrzymać. Wypuściłam powietrze wstrzymywane ze strachu w piersi i przyjąłam normalny wyraz twarzy.

- Daj paszport - wyciągnął rękę, przez chwilę wahałam się, chyba to zauważył, bo dodał: - Przecież nie potrzebują twojego paszportu. Nie zjem go, bo nie jestem głodny.

Zaśmiałam się mimo woli.

- Tak lepiej - usłyszałam.

Podjechaliśmy do okienka, celnik wyszedł na zewnątrz, spojrzął w podane mu dokumenty, przy moim oglądaniu każdą kartkę, kilka razy obejrzał zdjęcie, porównując je z rzeczywistością. Zapytał o coś taksówkarza, nie był to język albański, ale zrozumiałam, że chciał wiedzieć, dokąd jadę. Tamten odpowiedział mu zgodnie z prawdą, że do konsulatu. W końcu gestem kazał jechać dalej. Odetchnęłam z ulgą. Wjeżdżając do Macedonii zastanawiałam się, gdzie tam mógł kryć się Shkup (*Skopje*), skoro dookoła otaczały nas tylko góry, a miasto było podobno tylko kilkanaście minut drogi od granicy. Ale nie minęło dużo czasu, kiedy oczom naszym ukazało się miasto. Minęliśmy tablicę, która informowała, że właśnie wjechaliśmy do stolicy Macedonii. Kręciłam głową na wszystkie strony, nie mogąc wyjść z podziwu i zdziwienia, że widzę sklepy, kina, muzea, tak jak w Polsce. Po ulicy mknęły samochody, niekiedy nowiutkie mercedesy, BMW, audi, drogi przecinały tramwaje i autobusy, pocziwe ikarusy. Taksówkarz spojrzął na kartkę z wypisanym adresem konsulatu i wzruszył ramionami. Domyśliłam się, że nie miał pojęcia, gdzie była ta ulica. Zatrzymał auto przy przystanku autobusowym i zapytał jakiegoś dziadka o dalszą drogę. Ciekawość zjadała mnie od środka, w końcu zapytałam, w jakim języku rozmawia z innymi ludźmi. Odpowiedział, że w języku macedońskim, bo publiczne posługiwanie się językiem albańskim byłoby samobójstwem.

Wjechaliśmy w uliczkę, przy której mieściło się pełno kamienic. Zaczęliśmy szukać numeru, gdzie mieścił się konsulat. Z oddali zauważyłam niemiecką flagę. Pomyślałam, że może niedaleko będzie i polska flaga. Udało się, znaleźliśmy. Taksówkarz zaparkował ładę i poszedł ze mną. Kto może sobie wyobrazić, co się czuje na widok flagi ojczystej po latach i kiedy nadzieja na zobaczenie kraju była znikoma. Łza zakręciła mi się w oku, nie potrafiłam nawet ukryć wzruszenia. Przed budynkiem stała jedna para w średnim wieku i starsza kobieta. Konsulat otwierano za 20 minut. Stałam pod ścianą budynku i patrzyłam szczęśliwa na biało-czerwone kolory łopoczące nad moją głową. Z radością chłonełam każde słowo, wypowiedane przez mężczyznę i kobietę stojących przede mną, którzy prowadzili dyskusję, nie zdając sobie sprawy, jakie to miało dla mnie znaczenie. Poza kilkoma słowami zamienianymi z rodziną podczas rzadkich i krótkich rozmów telefonicznych, już od trzech lat nie słyszałam języka ojczystego. Rok spędzony w Niemczech i dwa w Kosowie. Dokładnie następnego dnia, w Dzień Zakochanych mijały równe dwa lata, od kiedy pierwszy raz wjechałam do Kosowa. Strasznie zapragnęłam porozmawiać trochę po polsku. Starsza kobieta zapytała stojące obok małżeństwo, czy jeszcze ktoś stał przed nimi, upewniłam się więc, że to Polka. Kiedy spojrzała na mnie uśmiechnęłam się do niej najmilej jak umiałam, podziękowała, bo zaczęła ze mną rozmowę.

- Polka? - zapytała

- Tak, jestem z Polski. Przyjechałam tu z Kosowa.

No i rozgadałyśmy się na dobre. Okazało się, że tamta miła pani mieszka w Macedonii już ponad dwadzieścia lat.

- Mój mąż przyjechał tu ćwierć wieku temu do pracy, był kierownikiem na budowie. Kiedy pięć lat później zmarł, postanowiłam tu zostać, nie miałam do czego wracać w Polsce - opowiadała. - Teraz tu jest moja ojczyzna, tutaj czuję się jak u siebie w domu i nawet nie tęsknię za Polską.

Zazdrościłam jej, że tak łatwo potrafiła osiedlić się na obczyźnie. Zaśmiała się, gdy jej o tym powiedziałam.

- Mam tu pełną swobodę, założyłam rodzaj organizacji, która zrzesza samych Polaków, przyjmujemy nawet naszych rodaków z KFOR, ostatnio byli u nas nawet na Wigilii. Mam tu przyjaciół, rodzinę, porządną emeryturę, stworzyłam tutaj sobie kawałek Polski. Nie może mi tu być źle.

Przyznałam jej rację, gdybym ja miała choć odrobinę jej wolności, pewnie nie wyjeżdżałabym z Kosowa, pokochałam tamten kraj, ale nie w tamtej rodzinie, nie z tamtym człowiekiem... Drzwi od konsulatu otworzyły się, taksówkarz wlaź zaraz za mną, jego tupet zaczął mnie irytować, ale nie miałam zamiaru kłócić się z nim. Musiałam czekać na swoją kolej. Małżeństwo szybko załatwiło swoje sprawy, ale starsza kobieta miała chyba sporo do omówienia, bo siedziała w środku prawie pół godziny, wychodząc podała mi rękę i życzyła powodzenia. Podeszłam z bijącym sercem do okienka.

- Dzień dobry, moje nazwisko Chojnacka - zaczęłam, ale konsul, młody i bardzo przystojny, choć niski wzrostem mężczyzna, przerwał mi uśmiechając się szeroko.

- Witam, czekałem na panią. To ze mną pani rozmawiała. Cieszę się, że udało się pani wszystko pomyślnie załatwić. Proszę podać mi dokumenty.

Zabrał wszystko, łącznie z paszportem moim i Rushita, i zniknął w głębi. Wrócił po pięciu minutach.

- Czy ma pani jakieś dinary?

- Nie - odparłam zgodnie z prawdą, Ramush dał mi na wszelki wypadek 20 euro, ale nie wymieniałam ich na granicy.

- Ja muszę wszystkie dokumenty skserować, niech pani w tym czasie pójdzie do kantoru i rozmieni euro, potrzebnych będzie 380 dinarów na opłatę za wpis. Kto to? - wskazał na mojego towarzysza.

- Taksówkarz, miał mnie tu przywieźć i odwieźć z powrotem do granicy.

Konsul zaczął z nim rozmawiać, nie rozumiałam wprawdzie ani słowa, ale domyśliłam się z gestów, że taksówkarz dostał instrukcję, gdzie ma szukać najbliższego kantoru. Poszliśmy, tak bardzo nie mogłam się doczekać, że prawie biegłam zostawiając otyłego taksówkarza w tyle. Kantor był tuż za rogiem, kiedy wróciliśmy, konsul pobrał opłatę, wystawił kwitek i podał mi dokumenty.

- To tyle. Już gotowe.

Na wierzchu leżał mój paszport, otworzyłam go drżącymi rękoma.

W rubryce, w której wpisuje się dzieci widniały dane Laury. Jej imię, nazwisko, płeć i data urodzenia, na dole pieczętka konsulatu w Skopje. Nie mogłam uwierzyć, oczy zaszyły mi łzami, popatrzałam z niedowierzaniem na konsula.

- To już? Już mogę jechać do domu? - wyszeptalam, bliska płaczu.

- Tak, życzę pani dużo szczęścia i powodzenia. Niech pani pozdrowi Polskę ode mnie - uśmiechnął się.

Podziękowałam i wyszłam, taksówkarz wyleciał za mną.

- Pokaże pani - poprosił, bez słowa podałam mu paszport, nawet on nie denerwował mnie już. Spojrzał, pokiwał głową i oddał.

Złapałam swoją „zdobycz” mocno oburącz i wsiałam do samochodu. Byłam coraz bliżej domu, rodziny. Dojechaliśmy do granicy, kiedy byłam już pewna, że nic nie może stanąć mi na przeszkodzie okazało się, jak bardzo się myliłam. Celnik obejrzał sobie dokładnie mój paszport

i kazał zjechać na bok. Taksówkarz zaniepokoił się, ja w pierwszym momencie pomyślałam o biednej Laurze, która na mnie czekała.

- Czego oni chcą? - zapytałam kierowcę.

Wzruszył ramionami, wysiadł z auta i podszedł do dwóch mundurowych stojących nieopodal. Coś im tłumaczył, gestykulował i wrócił z kwaśną miną. Czekaliśmy jeszcze 10 minut. Mężczyzna, który zabrał mój paszport, cały czas był w środku jakiegoś budynku. Szlag mnie trafiał, nie miałam pojęcia, co mogę zrobić, co mi wypada, a co nie. Po kilku minutach z budynku wyszło czterech policjantów, dwóch starszych, łatwo było się domyśleć, że to przełożeni. Wysiadłam i ruszyłam w ich stronę. Słyszałam za sobą krzyk mojego „anioła stróża”:

- Dokąd idziesz? Udawałam, że nie słyszałam.

- Entschuldigung - zaczęłam po niemiecku, żeby zwrócić na siebie uwagę, dalej ciągnęłam po albańsku - Jeden z celników zabrał mój paszport i wszedł do tego budynku, nie wytłumaczył, w jakim celu, ani jak długo to potrwa. Nie mam czasu, żeby spędzić tutaj cały dzień, więc bardzo proszę o wyjaśnienie tej sprawy.

Po takim czasie odważyłam się rozmawiać z obcymi mężczyznami i to w taki sposób, gdyby mnie Rushit tam widział... Z pewnością nie dojechałabym już do Polski.

- Zaraz dowiemy się o co chodzi - odezwał się najstarszy z panów, posłał młodszego do budynku. Tamten zaraz wrócił z moim paszportem, coś powiedział po cichu do swojego przełożonego, ten przyjrzał mi się badawczo.

- Czy ma pani oprócz tego jeszcze jakiś dokument?

- Tak - wyciągnęłam z plecaka dowód osobisty, miałam paszport, a dowód zabrałam zupełnie przez przypadek, po prostu zapomniałam wyciągnąć go z torby, kiedy przyjechałam z Niemiec. I to moje szczęście...

Policjant obejrzał dokładnie dowód, kilka razy porównywał moje zdjęcie z rzeczywistością, po czym oddał mi mówiąc, żebym koniecznie albo zapuściła włosy, tak jak miałam wcześniej, albo wymieniła paszport, bo folia się odkleja i dlatego jego autentyczność poddana była w wątpliwość. Ramush czekał już zaniepokojony, opowiedziałam mu, dlaczego tak długo to trwało. Rozliczyli się z taksówkarzem i ruszyliśmy w drogę powrotną. W sumie jakieś kilkadziesiąt razy otwierałam mój paszport, żeby przekonać się, że dane Laury nie zniknęły, ciągle nie wierzyłam własnym oczom.

Rushit obejrzał paszport, odrzucił go na bok i zażądał kawy. Nie powiedział na ten temat ani słowa. Widziałam, że nie był zadowolony, nie chciałam go prowokować tak długo, jak nie będę miała w ręku biletu. Wieczorem zadzwoniła moja mama:

- I co? Masz?

- Tak, byłam dziś w Macedonii.

- Dobrze, czyli teraz najważniejsze to znaleźć ci jakieś połączenie.

Będę szukała...

Sama w międzyczasie starałam się przekonać Rushita, że musi być możliwość mojego taniego i bezpiecznego powrotu do Polski.

- Myślę, że w Maliszewie w biurze podróży będą wiedzieli o jakimś połączeniu - nalegałam.

- Nie chcę o tym nawet słyszeć, poza tym nie mam teraz do tego głowy, porozmawiamy później - Rushit machnął lekceważąco ręką i wyszedł.

Najgorsze jest uczucie bezradności, kiedy wydaje się człowiekowi, że nic nie może zrobić.

Kiedy rozkłada ręce i myśli: „To koniec”. A wcale tak nie musi być. Wysłałam na podwórze, pogoda była śliczna. Spojrzałam w niebo i zastanowiłam się, dlaczego nie jest ono takie błękitne w Polsce, a może tylko mi się tak wydawało. Tam nie miało to dla mnie znaczenia. Nienawidziłam Rushita za to, że zmarnował mi jakąś część mojego życia, ale w takich chwilach byłam mu wdzięczna, nauczył mnie nieświadomie innego życia, nauczył mnie szanować i doceniać wolność, dopiero dzięki niemu zrozumiałam, jak łatwo można ją stracić...

Tęskniłam bardzo za Polską, ale wiedziałam, że tak samo będę tęskniła za Kosowem, za ogrodem, w którym podlewałam pomidory, to były te minuty, kiedy byłam sama i rozkoszowałam się każdą z nich... Będzie mi brakowało nawet tych ludzi, którymi niekiedy pogardzałam, czasem nawet potrafiłam ich nienawidzić. Ale to właśnie życie wśród nich nauczyło mnie bycia twardą, a przede wszystkim nauczyło mnie, że nie należy tracić nadziei, nigdy... Bo nawet, gdy wydaje się, że jej nie ma, to ona sama da o sobie znać. Tak było w moim przypadku.

- Posłuchaj, jest połączenie - moja mama była bardzo podniecona, usiadłam w kącie i chłonełam każde jej słowo. - Więc tak, do Wiednia masz samolot, a stamtąd pociąg bezpośredni do Warszawy. Przelot jest bardzo tani. Przeczekałabyś cały dzień w Austrii, rozmawiałam z ciotką Bożeną, powiedziała, że z chęcią tam do ciebie przyjedzie. Poczekaj z tobą, wsadzi cię w pociąg, a na miejscu my już cię odbierzemy.

- Dobra, porozmawiam z Rushitem.

A to nie było wcale takie łatwe. Jednak w końcu pod naciskiem swojej rodziny, która miała dość moich wybryków, które musieli znosić regularnie. Rushit się zgodził. Było trochę problemu z pieniędzmi, bo teściowa bardzo je lubiła i niechętnie rozstawała się z nimi. Każdy grosz skrupulatnie wyliczała. Dla niej wydatek w postaci kilkuset euro był bardzo bolesny. Zaczęłam więc swoje standardowe przedstawienia, to znaczy płacz, tęsknota i tym podobne.

W końcu dopięłam swego i Bóg mi świadkiem, że dopiero siedząc w samolocie uwierzyłam, że naprawdę wracam do domu.

- Iza, pamiętaj, obiecałaś, że niedługo wrócisz. Jedziesz tylko na wakacje - przypominała mi teściowa.

- Wiem przecież - mówiłam żegnając się pospiesznie ze wszystkimi.

- Wiem, że już nie wrócisz - szepnęła mi Saranda do ucha, kiedy ją przytuliłam na pożegnanie.

Uśmiechnęłam się tylko do niej. Jedyna, która mnie tam rozumiała. Obiecałam sobie, że zmuszę się do kilku łez, ale nie było takiej potrzeby. One poleciały same... Było mi smutno. Z jednej strony cieszyłam się, że wracam do rodziny, z drugiej myślałam, że przyzwyczałam się do tamtych ludzi i zżyłam z każdym metrem tamtej ziemi i każdą cegłą tamtego domu. Długo machałam im z auta na pożegnanie. Staralam się zapamiętać każdy szczegół tamtego miejsca, nie sądziłam, że niedługo będę znowu stąpała po tamtej ziemi...

Rushit poszedł ze mną aż do odprawy. Nie wzruszałam się specjalnie tym rozstaniem z nim. Dopiero, kiedy mocno przytulił Laurę na pożegnanie, a ona wołała za nim, gdy odchodził, łzy popłynęły mi po policzkach. Żalowałam, że nie miałam w samolocie miejsca przy oknie, bo bardzo chciałam zobaczyć Kosowo po raz, wtedy wydawało mi się, ostatni. Podróż minęła mi szybko. W Wiedniu czekała na mnie ciocia. Rzuciłyśmy się sobie z głośnym płaczem na szyję.

Dopiero, kiedy się napłakałyśmy, przyjrzała mi się uważnie:

- Jezu, Iza, jak ty wyglądasz?

Szczerze mówiąc, nie zastanawiałam się nad tym jak wyglądałam. Jeszcze w Kosowie czułam

się brzydka, zaniedbana, stara, zniszczona. Nie zdziwiła mnie jej uwaga.

- Co oni z tobą zrobili?! - miała łzy w oczach.

Faktycznie przy wzroście 180 cm ważyłam jakieś 55 kilo, miałam zepsute zęby, zniszczone, zaniedbane włosy, z kilkucentymetrowymi odrostami i byle jakie ubranie na sobie. Laurze szybko spodobało się życie poza dotychczasowym domem, od cioci dostała lalkę i wózek - spacerówkę, w którym zaraz się usadowiła i kazała wozić. Wyglądała na szczęśliwą. Była tak oszołomiona tą zmianą, że w pociągu prawie cały czas spała. Kiedy przekroczyliśmy polską granicę, popłakałam się ze wzruszenia. W Warszawie miał czekać na mnie mój tata. Wsiadłam z bijącym sercem, rozglądałam się na boki, ale nikogo nie było, kiedy już miałam zamiar wpaść w panikę, podszedł do nas jakiś mężczyzna, przykucnął przy Laurze i wziął ją mocno w ramiona. Poznałam mojego tatę. Dopiero po dłuższej chwili wstał i przywitał się ze mną. Wydał mi się o wiele starszy niż był, kiedy wyjeżdżałam z Polski. Przez całą drogę, mimo okropnego zmęczenia, nie mogłam zasnąć. Na tylnym siedzeniu leżała przygotowana dla nas paczka.

- To mama dała jakieś jedzenie na drogę. Dla Laury i dla ciebie.

Wyszukałam tam bułki z szynką. Rozpakowałam jedną z nich, powąchałam, przyjrzałam się, potem zamknęłam oczy i ugryzłam. Nie zrozumie tego nikt, kto nie był na obczyźnie, kto przez tak długi czas nie widział polskiego chleba. W ogóle nie sądziłam, że powrót do ojczyzny będzie takim przeżyciem.

POLSKA RZECZYWISTOŚĆ

Przecież ludzie bywają na obczyźnie całe lata, a ja wracałam już po trzech... Ale widocznie nie było istotne, po jakim czasie, ale z jaką nadzieją wraca człowiek do domu. Patrzyłam na migające za oknem nowe sklepy, wybudowane w tak krótkim czasie bloki mieszkalne. Nie mogłam wyjść z podziwu, ale jednocześnie czułam się obco. Przez ułamek sekundy zatęskniłam za Kosowem.

- O, idzie Łukasz z Michałem - mój tata wskazał młodego chłopaka pchającego wózek dziecięcy.

- Jak to? - odwróciłam się gwałtownie za przechodzącym. Przecież Łukasz, mój najmłodszy brat, był dużo niższy i miał nadwagę, a tamten to był chudy jak patyk, prawie dwumetrowy chłopak.

No, wiele się pozmieniało...

I to wszystko stało się bez mojego udziału. Wsiadłam pospiesznie z auta i rzuciłam się Łukaszowi na szyję, płacząc w głos. Nie obchodziło mnie, że ludzie przechodzili obok, przyglądając się nam z niesmakiem i ciekawością. Nawet nie zdawali sobie sprawy, jaka byłam wówczas szczęśliwa. Wzięłam Lulę na ręce i niemal pobiegłam przywitać się z resztą rodziny. Weszłam do klatki i miałam wielką ochotę zadzwonić do wszystkich drzwi, żeby uściskać sąsiadów. W mieszkaniu nie zmieniło się wiele, tylko meble w kuchni były nowe. Weszłam po cichu, żeby zrobić niespodziankę. Z powodzeniem, bo mama pochylała się nad piekarnikiem. Kiedy mnie zobaczyła, najpierw zastygła w bezruchu, potem przytuliła mnie mocno. Kiedy naściskałyśmy się i napłakałyśmy, kucnęła przy mojej córce.

- Cześć Laurko, to ja, twoja babcia. Ale ty jesteś śliczna. - mówiąc to przytuliła ją delikatnie.

Laura spojrziała na mnie pytająco.

- To babcia - powiedziałam jej po albańsku.
- Ona bardzo słabo rozumie po polsku, a mówić nie potrafi wcale - uprzedziłam moją mamę, bo wiedziałam, że chciała o to zapytać

Nie było nawet mowy o spaniu, mimo ogromnego zmęczenia, byłam zbyt podniecona. Co chwilę dzwonił ktoś z rodziny, żeby się przywitać. To była pierwsza noc, którą przespałam naprawdę swobodnie. Nie czekałam na trzaśnięcie drzwiami wejściowymi i awantury Rushita. Następnego ranka obudziła mnie Laura, łapiąc za mój nos. Najpierw otworzyłam oczy przerażona, że zasnęłam, dopiero kiedy zobaczyłam sufit mojego pokoju, położyłam głowę na poduszkę i zamknęłam oczy ponownie. Nie musiałam się spieszyć, nie musiałam biec na podwórze zamiatać i nikt nie krzyczał, że chce kawy, bo już umył twarz. Nie musiałam sprawdzać, czy jest prąd i zastanawiać się, kiedy go wyłączyć. Jednym słowem byłam w domu... Drzwi do pokoju otworzyły się po cichu i zajrzała mama. Uśmiechnęła się szeroko:



Parę godzin po powrocie do Polski. Laura po raz pierwszy zobaczyła dziadków. Na zdjęciu z babcią, która zadbała o garderobę mojej córeczki.

- Śpij jeszcze. O, kto to już wstał?! Pójdiesz z babcią, zrobimy kakao - podeszła do Laury, która może nie bardzo zrozumiała o co chodzi, ale było jej wszystko jedno, chciała po prostu wyjść z pościeli i pobiegać po nowym miejscu.

Wyciągnęła rączki i śmiejąc się głośno, dała się wynieść bez słowa protestu z pokoju. Odwróciłam się na drugi bok i zasnęłam ponownie. Kiedy przebudziłam się ponownie, zegar wskazywał już dziewiątą. Czułam się dziwnie, bo od dwóch lat nie wstawałam tak późno. Przeciągnęłam się i poszłam do kuchni, zastanawiając się, co porabia moja córka i jak radzą sobie dziadkowie z obcojęzyczną wnusią. Jak się okazało, szło im całkiem nieźle. Laura siedziała u mojego taty na kolanach, już ubrana.

Bawiła się całkiem dobrze, mimo że dziadek nie rozumiał, że właśnie prosiła go o przyniesienie lalki.

- Będę musiał na stare lata jeszcze języków obcych się uczyć i to jeszcze takich -jęknął przerażony, ale i rozbawiony rozgadaną wnuczką.

Kolejne dni minęły na przyjmowaniu gości. Było miło, dawno nie czułam się tak dobrze, ale powoli zaczynały pojawiać się problemy dnia codziennego. Laura załatwiała się jeszcze w pieluszki, tetrowych raczej nie używałam w Polsce, bo nie było warunków, żeby je prać i gotować. Pojawiła się kwestia pieniędzy, a w zasadzie ich braku. Zaczęłam rozglądać się za jakąś pracą dla siebie. Okazało się to jednak bardzo trudne...

- Pracę znajdziesz z czasem, ale co zrobisz z dzieckiem? – pytała mama.
- Oddam do żłobka.
- Nie ma u nas żłobków, najbliższy jest w Gdańsku. Musisz pomyśleć o niani.

To też nie było proste, jak się szybko przekonałam, bo nianie cenily się dość wysoko. Okazało się, że musiałabym zarobić spore pieniądze, żeby było mnie stać na opiekunkę dla mojego dziecka. Chodziłam do poszczególnych przedszkoli z nadzieją, że może uda mi się zapisać małą do któregoś z nich. Jednak wszędzie przeszkodą był fakt, że dziecko nie korzystało samodzielnie z nocniczka, trzeba było je przewijać i w rezultacie wymówką był wiek Laury. Wróciłam do domu zrezygnowana i bez nadziei, że jakoś mi się to wszystko ułoży. Do tego trzeba było zarejestrować małą do lekarza, czyli przedtem musiałam zgłosić się do Urzędu Pracy. Oczywiście wiązało się to ze staniem w kolejkach i walką z urzędami...

- Jak to dziecko ma na nazwisko? - standardowe pytanie każdego, kto spisywał dane Laury
- Jak to się pisze? Proszę pokazać dowód.

Kiedy tłumaczyłam, że nie jest wpisana do mojego dowodu, zaczął się szereg pytań: „A czemu? A jak? A co?” Na początku bawiły mnie zaskoczone miny ludzi, kiedy odpowiadałam, że miejsce urodzenia dziecka to Prisztina w Kosowie. Ale zaczynało mnie to już powoli denerwować, bo każdy chciał wiedzieć, dlaczego tam pojechałam, zadawano masę pytań. Niecierpliwiły mnie te ciągłe wizyty w urzędach, w których stało się w kolejkach, właściwie nie wiedząc po co. W końcu udało mi się zarejestrować i poszłam z Lula do lekarza. Tam kolejny problem: na co Laura była szczepiona w Kosowie. Szczerze mówiąc, nie miałam pojęcia. Na szczęście posiadałam książkę z wpisanymi przez tamtejszego lekarza szczepionkami. Po jakimś czasie Lula powiedziała pierwsze słowo po polsku: babcia. Ja starałam się uczyć ją przede wszystkim rozumieć po polsku, bo nie wiedziałam już jak reagować na gapiących się ludzi, kiedy idąc ulicą, wołałam za Lula: „*Jlajde, o ti qik*”. Język nie przypominał w zasadzie żadnego, który byłby im znany. Dwa tygodnie po moim powrocie mój tata znalazł mi pracę w restauracji, w której jeździł jako kierowca. Miałam tam... sprzedawać lody. Zaczął się maj, a więc sezon na lody w pełni. Pozostał problem, co zrobić z małą. Na szczęście moja mama miała kilkudniowy urlop. Sprawa została jednak rozwiązana tylko na krótki czas. Później jakiś czas Laurą zajęła się szwagierka mojej koleżanki, młodziutka uczennica gimnazjum. Tak więc opiekę niani miałam zapewnioną do końca czerwca. Laura nie była przyzwyczajona do rozstań ze mną, przecież przez cały czas w Kosowie byłam blisko niej. Więc każdego dnia było to okropne przeżycie dla mnie i dla niej. Patrzyłam z łzami w oczach, jak niania zabierała ją płaczącą, serce mnie bolało, kiedy wyciągała w moją stronę błagalnie rączki, żebym ją zabrała z powrotem. Zaczęło się dla mnie psychiczne piekło. Nie zarabiałam wiele, sprzedając lody, a większość zarobionych pieniędzy oddawałam ojcu, który już ustanowił stawkę za życie u nich, za pozostałe pieniądze opłacałam nianię. Coraz częściej zaczynałam żałować, że wyjechałam z Kosowa. Nie podobało mi się takie życie. Gorycz, która kipiała we mnie każdego dnia, w końcu wylała się ze zdwojoną siłą... Zbliżał się koniec czerwca, czas najwyższy, żeby znaleźć nową opiekunkę,

poprzedniej zaczął się miesiąc praktyki, więc nie mogła sprawować opieki nad Lula, bo nie miała czasu. Na szczęście w miarę szybko udało mi się znaleźć nową nianię. Córka mojej klientki, której jednego dnia zwierzyłam się z mojego problemu, zaopiekowała się Laurą. Płaciłam jej za godzinę, a więc musiałam jakoś dostosować jej płacę do moich zarobków, najczęściej więc przyprawiała małą do mnie i ta siedziała ze mną jeszcze przez kilka godzin. Szybko przekonałam się, że musiałam liczyć tylko na siebie... Dziewczyna, która opiekowała się moim dzieckiem, była bardzo miła, ale przywoziła Lulę przeważnie głodną, brudną i zmęczoną. Kiedy pytałam, odpowiadała, że Lula jadła i spała. Szlag mnie trafił, kiedy jednego dnia okazało się, że Lulka miała bardzo odparzoną pupkę z powodu niezmienionego pampersa. Tego było za wiele. Kolejną opiekunką została córka jednej z pań, która pracowała w tej restauracji. Tym razem mała była zadbana, mimo że nadal musiałam wracać do domu na piechotę, bo nie było mnie stać na bilety. Kiedy po kilku tygodniach szef restauracji powiedział, że sezon na lody się kończy, to z jednej strony odetchnęłam z ulgą, że skończyło się codzienne marznięcie na ulicy od 9 do 19, pod koniec lata dni były już bardzo chłodne. Z drugiej jednak strony wiedziałam, że właśnie zostaję bezrobotną. W międzyczasie udałam się do opieki społecznej. Przyznano mi dwie pomoce, jednorazową w postaci 60 złotych, a drugą była paczka żywnościowa. Tyle miało mi do zaoferowania państwo, za którym tak bardzo tęskniłam i którego tak bardzo broniłam, gdziekolwiek akurat się znajdowałam. Z czasem jednak okazało się, że nie jestem do końca bezrobotna, bo miałam zapewnioną pracę w restauracji, w kuchni. Płaca nie była zawrotną sumą, ale miałam przynajmniej stałą stawkę, niezależną od tego, ile lodów sprzedawałam. Nieważna była pogoda. Nie mogło się zdarzyć, że nie zarobię ani grosza, jak to bywało, kiedy sprzedawałam lody w deszczowe dni i wracałam do domu bez złotówki. Szybko jednak okazało się, że cieszyłam się za wcześnie, bo byłam pracownicą „na telefon”, czyli tylko wtedy, kiedy był ruch. Zdarzało się to raz, góra do trzech razy w tygodniu. Byłam na skraju wyczerpania nerwowego. W tym czasie Rushit, zaczął dzwonić i coraz częściej domagał się mojego powrotu. Przecież obiecałam mu, że wrócę, w przeciwnym razie nigdy nie zgodziłby się na ten wyjazd. Na początku był zdenerwowany, pytał, gdzie przebywam, co robię, że nigdy nie może się do mnie dodzwonić. Kiedy mówiłam mu, że pracuję, wyśmiał mnie mówiąc, że doskonale wie, że aż taka głupia nie jestem.

Mój pobyt w domu jednak przeciągał się i Rushit zaczął mi wierzyć, że nie chcę wrócić, zmienił strategię:

- Iza, proszę cię, nie rób głupstw. Laura ma mieć matkę, chcesz ją osierocić? - mówił łagodnie, ale przez zęby, jak to miał w zwyczaju, kiedy był bardzo zły.

- Nie robię żadnych głupstw, Rushit, bardzo mnie skrzywdziłeś. Ty i twoja rodzina, ja nie chcę wracać. Jest mi tu dobrze, Laura jest szczęśliwa.

Kłamałam, nie było mi dobrze. Coraz częściej słyszałam od mojego ojca, że jest im ciężko nadal mi pomagać. Wierzyłam mu. Chodziłam, gdzie się tylko dało za pracę. Było kilka propozycji, ale z reguły od rana do bardzo późna, a gdzie ja miałam znaleźć opiekunkę na taki czas?! Coraz częściej kołatała mi w głowie myśl, żeby wrócić... Walczyłam z tym, ciągle wierzyłam, że będzie lepiej, że w końcu los się do mnie uśmiechnie. Ale bez skutku... Pewnego dnia Rushit powiedział, że ma wizę i chciałby pojechać do Niemiec, ale nie może, zanim ja nie wrócę. Musiał odsiedzieć wyrok, pozostały mu trzy miesiące, tylko wtedy mógłby pozostać w Niemczech legalnie.

- Iza, w końcu będzie lepiej. Będę miał pracę, będę przysyłał pieniądze. Zabiorę Blerima do

siebie, nie będzie już ciebie męczył. A potem zacznę działać, żeby jak najszybciej się wyrobić i sprowadzić tam Was, czyli moją prawdziwą rodzinę...

Na początku nie wierzyłam mu, przecież już nie raz mnie okłamał, ale z czasem wszystko to, co mówił zaczynało mieć sens. Rushit mógł rzeczywiście dostać w końcu tę wizę, o którą starał się długi czas przed moim powrotem do Polski. Mimo wszystko uparcie odmawiałam powrotu do Kosowa. Nie dawałam się przekonać, rany były jeszcze zbyt świeże... Któregoś dnia dał mi do telefonu Sarandę. Powiedziała, że może mi przysiąc na swojego syna, że rzeczywiście Rushit ma wizę i chce wyjechać. Zbliżał się szósty miesiąc mojego pobytu w ojczyźnie, wrzesień. Myśl, że Rushit rzeczywiście może wyjechać do Niemiec, żeby poukładać swoje sprawy nie dawała mi spokoju. Coraz częściej rozważałam powrót do Kosowa. Zrozpaczona brakiem pracy i faktem, że byłam zdana tylko na siebie, powiedziałam rodzicom, że chyba jednak tam wrócę. Nie mam innego wyjścia.

- Oszalałaś?? Tyle zrobiliśmy dla ciebie, żebyś tu wróciła, a ty chcesz tak po prostu jechać tam znowu?? - mówiła moja mama.

- Mamo, jesteście w stanie utrzymać mnie i Laurę? Wiesz przecież, że nie.

Reakcja mojego ojca nie była dla mnie zaskoczeniem. Nasze stosunki rzadko bywały normalne, ze względu na podobne charakterki, tym razem też mieliśmy odmienne zdanie:

- Jeśli wyjedziesz, to nie chcę cię znać - groził mi.

- Ale ja muszę.

- Rób jak chcesz...

Doszło do ostrej wymiany zdań i awantury, przestałam panować nad sobą, nad tym, co mówiłam:

- Nie pomagacie mi, nie zajmujecie się Laurą!

- Bo ona ciągle za tobą płacze!

- To nie jest argument! - krzyczałam. - Nie daliście jej szansy, żeby was bliżej poznała.

Widziałam, jak twarz mojego ojca robiła się coraz bardziej czerwona. A mimo to ciągnęłam dalej, w końcu ze łzami w oczach wyrzuciłam z siebie:

- W Kosowie było mi lepiej!

A najgorsze było, że właśnie w tej chwili tak myślałam. Jakby ktoś wymazał z mojej pamięci wszystkie przykre wspomnienia, albo wrzucił na dno, przykrywając tylko tymi dobrymi. Nie pamiętałam zapracowanych dni, ale te momenty, kiedy kobiety zostawały same w domu i robiło się weselej, swobodniej. Zapomniałam, jak niewiele miała Laura, jak źle traktowała ją rodzina jej ojca. Pamiętałam za to, jak przychodziły dziewczynki z sąsiedztwa i zabierały ją ze sobą do szkoły, jako maskotkę na zajęcia. Jak przez mgłę widziałam jej zapłakaną buzię, za to bardzo wyraźna była jej roześmiana twarzyczka podczas zabaw z Lirimem.

- To sobie jedź, skoro tam było ci lepiej.

Gdyby mój ojciec wiedział, że to właśnie te słowa zaważyły na mojej decyzji, pewnie wolałby ugryźć się w język, ale jednak zostały one powiedziane. Zareagowałam dokładnie tak, jak zawsze, czyli podniosłam rękawicę, podjęłam wyzwanie:

- I pojedę!

POWRÓT DO KOSOWA

Odwrociłam się na piecie i pobiegłam do pokoju. Wieczorem zadzwonił Rushit. Powiedziałam mu, że wracam i zaczęłam szukać możliwości powrotu do Kosowa. Bóg mi świadkiem, że w tamtej chwili wydało mi się to jedynym wyjściem z tej całej sytuacji. Nie miałam siły walczyć, szukać dalej, brakowało mi czyjegoes wsparcia. W rodzinie nikt nie domyślał się, że robię to poważnie, ojciec nadal nie rozmawiał ze mną, ja też go unikałam. Dzwoniłam najpierw do organizacji, o których wiedziałam, że niosły pomoc po zakończeniu wojny w Kosowie. Ale odpowiedź była jasna:

- Nie ma tam już wojny, nasza misja zakończyła się, proszę pani. Kiedy pracowałam, sprzedając lody, zaprzyjaźniłam się z dziewczyną, która pracowała w butiku obok. Na imię miała Kasia. To właśnie ona wspierała mnie podczas ostatnich dni pobytu w Polsce. Wspólnie z Kasią poszłyśmy do kafejki internetowej i znalazłyśmy biuro turystyczne, które organizowało tanie wycieczki do Chorwacji.

- Rezerwuj i nie zastanawiaj się, przecież przyjadę po ciebie. Jutro przyślę ci pieniądze do Western Union. Wracaj szybko, bo już się bardzo tęskniłem. - mówił Rushit ciepłym głosem.

Całymi dniami snułam się jak cień po domu. Z nadzieją, że ojciec zacznie mnie prosić, nalegać, żebym została, że nagle zdarzy się jakiś cud i znajdę pracę, dobrze płatną, dobrą nianię dla Luli. Czekałam na cokolwiek, żeby nie wyjeżdżać, ale nic się nie wydarzyło, wszystko wskazywało na to, że mój wyjazd będzie nieuchronny. Pozostało mi tylko modlić się, żeby chociaż tam, w Kosowie jakoś się ułożyło. Rushit zgodnie z obietnicą, powinien jechać do Niemiec i znaleźć tam pracę, żeby szybko sprowadzić swoich dwóch braci. Życie bez nich wydawało się całkiem znośne, może nawet przyjemne. W końcu nadszedł dzień wyjazdu. Musiałam dojechać pociągiem na drugi koniec Polski, do Krakowa,. Stamtąd jechał autokar do Chorwacji. Pożegnałam się z mamą, a ojciec popatrzył na mnie i poszedł do pokoju. Nie pożegnaliśmy się, ja jeszcze miałam nadzieję, że każe mi się cofnąć, nie wygłupiać, że nagle zadzwoni telefon z propozycją pracy. Laura była szczęśliwa i podniecona perspektywą podróży. Była godzina dziesiąta wieczór. Na dworzec odprowadziło mnie rodzeństwo, cała trójka. Płakaliśmy wszyscy, tylko Laura nie bardzo wiedziała, dlaczego wujkowie i ciocia tak mocno ściskali ją na pożegnanie, na wszelki wypadek śmiała się szeroko do każdego z nich.

- Kocham was, będę tęskniła - wołałam przez okno pociągu, machając im ręką, kiedy wagony szarpnęły.

Asia zdjęła w pośpiechu z palca obrączkę i podała mi ją:

- To na pamiątkę, żebyś nie zapomniała, że nas masz. Będziemy czekać. Opiekuj się Laurą, bo teraz ma tylko ciebie! - te ostatnie słowa musiała już wykrzyzczyć, żebym je usłyszała.

W przedziale siedziało młode małżeństwo, które baczenie obserwowało tę całą ceremonię pożegnania. Nie miałam zamiaru ukrywać łez, dlatego nie chcąc robić z siebie widowiska wyjaśniłam krótko:

- Przepraszam, ale wyjeżdżam na długo i dość daleko, dlatego tak czule żegnałam się z moim rodzeństwem.

Kobieta uśmiechnęła się ze zrozumieniem, a mężczyzna zagadał:

- A można wiedzieć dokąd pani jedzie?

No i tak zaczęła się rozmowa. Oczywiście wzbudziłam ich szczere zainteresowanie

opowiadaniami o Kosowie, o obyczajach tam panujących i wojnie. Podróż minęła bardzo przyjemnie i szybko. Nie miałam czasu na rozmyślanie. Laura jak zwykle zignorowała całe otoczenie, przesypiając do samego końca naszą drogę. Nad ranem dotarliśmy do Krakowa. Niestety okazało się, że pociąg miał ponad godzinę spóźnienia. Gdyby autokar odjechał według planu, to dalszą drogę miałabym z głowy, bo nie miałam szans, żeby zdążyć. Mężczyzna z przedziału pomógł mi szybko zanieść walizki do taksówki.

- Niech się pani nie martwi. Zdążymy, jeśli nam odjedzie, to złapiemy go w trasie - pocieszał taksówkarz.

Później się okazało, że słono sobie policzył za te słowa pocieszenia, ale dla mnie było najważniejsze, że kilka minut później siedziałam w autokarze, który miał mnie zawieźć prosto do Chorwacji.

- Laura nie zaczepiaj tego pana, proszę - usiłowałam ściągnąć moją córkę, która uwieszona na oparciu fotela co chwilę bawiła się z siedzącym przed nami młodym mężczyzną w „a-ku-ku”.

- Niech pani jej nie broni, mój mąż uwielbia dzieci - powiedziała ze śmiechem jego żona.

To była cudowna podróż. Laura szybko oswoiła się z pasażerami. Biegała po całym autokarze, co chwilę wracała z jakimś batonikiem, czekoladką albo cukierkami.

- Jakie to kochane dziecko - zachwycano się nią.

- A dokąd pani właściwie jedzie?- zapytała młoda kobieta, która podróżowała w towarzystwie starszej, upozorowanej na turystkę pani

- Do Kosowa. Mam tam rodzinę.

- Naprawdę? - i znowu wielkie oczy ze zdziwienia i tysiące pytań. Kto by wtedy pomyślał, że ta pani, poznana w autokarze, będzie później moją najbliższą przyjaciółką.

- Kobiety na tył autokaru! - krzyknęła nagle jedna z pasażerek - faceci do przodu - to mówiąc wyciągnęła z torby śliwownicę.

W czasie tamtej podróży poznałam wielu wspaniałych ludzi, między innymi właśnie Renatę, której dużo zawdzięczam.

- Wie pani o tym, że Serbowie słusznie walczyli o swoje ziemie - zagadnął mnie podczas postoju chłopak, który przez całą drogę nie zamienił z nikim ani słowa, tylko czytał książkę.

Wyczułam w jego głosie zaczepkę.

- Tak? A dlaczego pan tak sądzi?

- Bo naukowo już udowodniono, że te ziemie należały do Słowian, czyli Serbów.

- Jasne, tereny Polski też nie zawsze należały do Polski, a jednak żyje nam się tam całkiem nieźle i nie myślimy ich oddawać - wycodziłam przez zęby.

Żałowałam, że nie miałam takiego przygotowania, jeśli chodzi o historię tamtych terenów. Obiecałam sobie, że jak tylko pojedę raz do kraju, zabieram się za czytanie literatury dotyczącej historii Kosowa, Jugosławii i Albanii. Tymczasem jedyne, co mogłam powiedzieć:

- Czy pan słyszał o wojnie w Kosowie?

- Oczywiście, byłem na bieżąco z wiadomościami.

- Z telewizji, prawda?

- Taaa... - odpowiedział niepewnie przeczuwając, że do czegoś zmierzam.

- Wiadomości? - parsknęłam teatralnym śmiechem, patrząc na ludzi, którzy zebrali się wokół nas - To w takim razie guzik pan wie o wojnie. Ja nie przeżyłam jej osobiście, ale miałam kontakt z

tymi, którzy przez to piekło przeszli. To ja nasłuchiłam się, jak żyli w lasach, marząc o tak zwykłej dla nas rzeczy, jak ciepła pościel i ciepły posiłek. To mi opowiadano ze szczegółami, jak pomysłowo Serbowie mordowali Albańczyków. To ja widziałam zapłakane oczy matek, które mówiąc mi o śmierci swoich synów i mężów, jeszcze raz przechodziły przez ten psychiczny terror. Więc niech pan nie mówi, że wie cokolwiek o tej wojnie.

Chłopak wysiadł w Bośni. Nie żegnany ani jednym sympatycznym spojrzeniem. Przez resztę drogi wypytywano mnie o tradycje w Kosowie. Opowiadałam chętnie, czując tym samym jak to miejsce stało się bliskie memu sercu. Dobry humor straciliśmy szybko, już przejeżdżając przez miasta Bośni. Nie trudno było wyobrazić sobie biegających po ulicach między zbombardowanymi budynkami żołnierzy - oprawców. Smutny widok potęgowały zaniedbane dzieci, starsi ludzie snujący się ze smutnymi twarzami, rozglądający się, jakby czegoś lub kogoś szukali.

- Ile zła potrafił wyrządzić jeden człowiek - skomentowała Renata pstrykając dookoła fotki.

- Popatrz - wskazała palcem - to największy cmentarz ofiar wojny. Słyszałaś o masakrze w Srebrenicy?

Oczywiście, kto nie słyszał o tamtej rzezi. 11 lipca 1995 roku Serbowie dokonali tam prawdziwej masakry, mordując prawie osiem tysięcy muzułmańskich mężczyzn. Tamtego dnia bośniackie oddziały zostały poinformowane, że mają się wycofać, bo lada chwila nadlecą samoloty NATO i będą bombardować serbskie pozycje. Nie nadleciały, nie wiadomo dlaczego. Wiadomo jednak, że Serbowie umiejętnie wykorzystali ten moment i wkroczyli do bezbronno miasta, gdzie zrobili szybką selekcję: kobiety, dzieci i starcy na jedną stronę, a mężczyźni na drugą... Z tej drugiej nie przeżył nikt...

Niestety Renata musiała wysiąść wcześniej, więc do Krku dojechałam tylko z wesołą panią „od śliwowicy”. Powymieniałyśmy się numerami telefonów. Moja przyjaciółka obiecała, że przyjedzie do mnie do Kosowa w odwiedziny. Nie było więc dla mnie zaskoczeniem, kiedy kilka dni później zadzwoniła, że właśnie jest w Prisztinie i pytała jak dojechać do mojej wioski. Spędziła u mnie dwa dni. Autokar kończył kurs przed luksusowym hotelem w Krk. Prawie wszyscy pasażerowie rozeszli się w swoje strony, a Rushita nie było. Usiadłam na walizkach i czekałam, mijały minuty i nic... Znalazłam się z małym dzieckiem w obcym kraju, bez pieniędzy i znajomych. Zaczęłam się bać... Wtedy nadeszła znajoma z podróży, która umiliła nam drogę śliwowicą.

- Zameldowaliśmy się już w hotelu, a mój mąż mówi, że jeszcze tu siedzisz. Nie przyjechał nikt po ciebie?

- Właśnie nie.. Nie wiem co się stało. Zaczynam się niepokoić, bo przecież autokar miał spóźnienie, więc może już tu był i pojechał gdzieś. Nie mam jak zadzwonić.

- Może przejdziemy się na pocztę - zaproponowała kobieta.

- W zasadzie to dobry pomysł.

Jej mąż został z Laurą i walizkami przed hotelem, a my poszłyśmy. Niestety nie mogłam się dodzwonić na komórkę do Rushita, abonent nieosiągalny.

- Nie martw się, w razie czego zostaniesz tu z nami w hotelu. Będziemy razem spać, a po dziesięciu dniach wrócimy do Polski.



Drugie u rodziny Laury w Kosowie, po powrocie z Polski. Osobiście upiekłam jej ciasta wg przepisów przywiezionych z domu.

Dzięki tym słowom poczułam się bezpieczna, zaczynałam wierzyć, że to jakieś przeznaczenie, że nie przyjechał. Od początku nie byłam w pełni przekonana do swojej decyzji o powrocie do Kosowa. Jednak widocznie los nie chciał mnie oszczędzić, bo moje „przeznaczenie” stało przed hotelem i czekało na mnie. Na jego widok serce zaczęło mi mocniej bić i na pewno nie było to ze szczęścia... Gdybym mogła wówczas cofnąć czas... Mimo że ładnie ubrany, Rushit stał się jeszcze mniej atrakcyjny niż był przed moim wyjazdem do ojczyzny. Roztył się, jego dawniej śniada twarz zaczęła przybierać czerwony kolor, typowy dla ludzi nadużywających alkoholu. Kiedy przytulił mnie na przywitaniu, poczułam odór, był pijany. Tylko Laura wyraźnie ucieszyła się, kiedy go zobaczyła. Na miejsce dojechaliśmy późnym wieczorem, wszyscy spali, oprócz Ramusha i Nasife, których nasz widok wyraźnie ucieszył. Zaraz pobiegłam na górę, żeby zobaczyć Sarandę i chłopców, stęskniłam się za tymi maluchami. Następnego dnia przestałam już być gościem i wróciłam do obowiązków *misji*. Laura bawiła się z dziećmi, jak gdyby nigdy stamtąd nie wyjeżdżała. Zaczynałam się gubić, już nie wiedziałam, gdzie tak naprawdę jest jej miejsce i gdzie była szczęśliwa i zaczęłam wierzyć, że chyba właśnie w Kosowie Laura czuła się najpewniej.

Plany Rushita odnośnie wyjazdu do Niemiec pozostawały nadal tylko planami, na jego wyraźne życzenie. Dopiero w październiku doszły do skutku. Miałam tym samym żyć w spokoju, ale myliłam się. Blerim postarał się, żebym tego spokoju nie miała. Traktował mnie i Laurę podle, dokuczał nam na każdym kroku.

- Serbka cholerna - syczał z zaciśniętymi z nienawiści zębami. Przyjmowałam to wszystko z coraz większym dystansem, stałam się nieczuła na jego obelgi. Przez kolejne miesiące znowu myślałam o tym, jak uciec. Rushit przyjeżdżał co dwa, trzy miesiące. Powtarzała się wówczas historia Kastriota i Sarandy, z tą małą różnicą, że Rushit nigdy nie siedział w domu. Potrafił tego samego dnia, kiedy przyleciał, wyjść z domu i wrócić po wielu godzinach, najczęściej późno w nocy. Ostatni pobyt Rushita był niecały miesiąc przed moją ucieczką. To wtedy widziałam go po raz ostatni. Jak zwykle rodzinka skoncentrowała się na walizkach rozdzielając „łupy”. Nasife

co jakiś czas podsuwała mi jakąś czekoladkę lub drobiazg, który przywiózł dla Laury. Siedziałam na kanapie i oglądałam program telewizyjny, zupełnie ignorując otoczenie. W pewnym momencie, siedzący w studio telewizyjnym policjant, wyciągnął w stronę kamery fotografię. To był jeden z niewielu widoków, które prześladowały mnie przez długi czas. Zdjęcie przedstawiało serbskiego policjanta, który pozował uśmiechnięty, w okularach przeciwsłonecznych, przed nim klęczał nastoletni chłopak w samych slipach, głowa zwisała mu bezwładnie, z podcinanej właśnie w tym momencie przez erba szyi ciekła krew.

- Serbowie często robili sobie takie zdjęcia, prawda? - spytała pani redaktor przedstawiciela władzy.

- Tak, dlatego, jeśli ktokolwiek znalazł u siebie takowe, prosimy o ich dostarczenie na posterunek, pomoże nam to wielu zbrodniarzy postawić przed sądem.

Jeszcze raz zbliżenie fotki, czułam jak łyzy zbierają mi się pod powiekami, spojrzałam na siedzących nad walizkami, nikt nie zwracał na mnie uwagi, wyłapałam tylko spojrzenie Rexhepa. Uważne, znaczące, smutne, jakby chciał powiedzieć „To wszystko prawda, nie zły film”. Po raz kolejny zdałam sobie sprawę, że stałam się częścią Kosowa, zupełnie nieświadomie. Potwierdzało się to jeszcze bardzo długo, bo będąc już w Polsce, zawsze stawałam w obronie tego kraju; podczas różnych dyskusji, a nawet na forum internetowym. Tęsknota za Kosowem na zawsze we mnie została. Kochałam je i nienawidziłam za wszystkie krzywdy, jakich tam doznałam. Byłam jednocześnie bardzo wdzięczna za pewne cechy, które zostały mi tam wpojone, za wszystko, czego się nauczyłam. Kilkudniowy pobyt Rushita dobiegał końca. Jak zwykle, nie miałam kiedy porozmawiać z nim o swoim wyjeździe do Niemiec, zbył mnie:

- Oj, Iza, jak będzie na to czas, to przyjedziesz. Na razie siedź tu, gdzie twoje miejsce.

PLAN UCIECZKI Z KOSOWA

Zrozumiałam bardzo szybko, że ten czas nie nadejdzie jeszcze przez bardzo wiele miesięcy, może nawet lat. A za swoje miejsce uważałam kraj, w którym byłam wolnym człowiekiem. Po jego wyjeździe na dobre zaczęłam przygotowywać plan ucieczki. Nie liczyłam na jego zgodę, musiałam zdać się tylko na siebie. Renata, z którą szczęśliwie udało mi się zachować kontakt telefoniczny znalazła dla mnie numer telefonu konsula polskiego w Belgradzie, na którego pomoc mogłam w razie czego liczyć.

- Nie wiem, jak ci pomóc - mówiła smutnym głosem przez telefon.

- Poradzę sobie, w końcu niezły twarzą ze mnie - usiłowałam żartować, ale nie było łatwo, bo ciągle przeszkadzała mi ta wielka kluska w gardle.

Całymi dniami snułam się po podwórzu myśląc intensywnie. Aż jednego dnia wpadłam na, wydawałoby się, genialny plan. Przy starej bramie, przez którą wyprowadzano krowy stała taczka, przeniosłam wzrok na ruiny starego domu i... już wiedziałam. Spakowałam się bardzo dokładnie w ciągu kilku godzin. Następnego dnia Nasife pojechała z Sarandą do miasta, chciała jej kupić sukienkę. Normalnie, to klóciłabym się, że przecież skoro pracuję tak samo ciężko, to dlaczego nie należy mi się nic, ale nie tym razem. Miałam inne sprawy na głowie. W domu został ze mną Blerim, niby pod pretekstem, żeby uspić Albina, ale wiedziałam, że miał mnie pilnować. Nie ukrywali się zresztą z tym, że byłam więźniem, który lada chwila,

pod ich nieuwagę może zbiec. Siedzieliśmy w salonie milcząc jak zwykle i patrząc bezmyślnie na telewizor. Właściwie nie sądziłam, że tak szybko znajdzie się okazja, do wykonania części mojego planu. Kiedy Blerim przysnął, bujając małego w kołysce, poszłam na górę, bardzo szybko wy taszczyłam z mojego pokoju ciężką walizkę i zaniósłam do starego domu. Tam przykryłam ją czerwoną folią, w razie gdyby jednak komuś przypomniało się, że musi po coś tam iść. Pech chciał, że podczas tego bieganina z walizkami przyszła sąsiadka pytać o Nasife. Spojrzała podejrzliwie na walizki, potem na mnie.

- Zanoszę do starego domu, nie ma już gdzie tych walizek trzymać - wytłumaczyłam.

Poszła sobie, a ja dobiegłam do taczki i zaprowadziłam ją pod starą bramę. Wchodząc do domu z wieszaka na korytarzu ściągnęłam czapkę z daszkiem Blerima i zaniósłam do pokoju.

Mój plan był prosty, nad ranem miałam wyjść z domu ubrana jak chłopak, położyć walizki na taczce, zakryć czymś, posadzić na tym Lulę i przejść ponad kilometr przez wioskę prosto do szosy, stamtąd udać się do policji w Maliszewie. Nie wierzyłam, że może się tak idealnie udać, ale nie miałam już nic do stracenia, nie wierzyłam już, że uda mi się stamtąd wyjechać w normalny sposób. Chwilami starałam się brać tę sytuację na dystans, czułam się jak bohaterka jakiegoś filmu sensacyjnego. Miałam jednak o wiele więcej do stracenia, niż aktorzy... Zdawałam sobie sprawę, że jeśli ucieczka nie powiedzie się, to powiadomią Rushita, on wróci do Kosowa, zabierze mi Laurę, a mnie wygna do Polski, albo zrobi to, co mi obiecywał wiele razy - zabije mnie. Nie mogłam sobie wyobrazić życia bez mojej córki. Dlatego wiedziałam, że musi się udać. Plan wydawał się zapięty na ostatni guzik, jednak coś mnie powstrzymało.

W tym momencie muszę zapomnieć o lojalności wobec czytających tę historię. W ucieczce pomogli mi ludzie, dla których byłoby bardzo niebezpieczne, gdyby Rushit i jego rodzina się o tym dowiedzieli. W Kosowie panuje niepisane prawo, które zabrania się mieszać komukolwiek w sprawy damsko-męskie. Mężczyzna jest jedyną osobą, który ma prawo do decydowania o swojej kobiecie. Dlatego ze względu na bezpieczeństwo tych ludzi, muszę od razu przejść do dnia, w którym Ramush przyniósł mi telefon do pokoju.

- Twoja rodzina, chyba dzwoni jakaś kobieta.

- Tak, słucham?

- Iza, powiem tylko krótko, że jutro rano po ósmej przyjedzie do was policja, zostaniesz deportowana. Ale nie martw się, wszystko jest nagrane. Staraj się dzięki nim dostać do policji polskiej w Mitrovicy. Oni ci pomogą.

- A jak zabiorą mi Laurę?

- Jedynie Rushit ma prawo ja zatrzymać. Pod żadnym pozorem nie możesz tam zostać, błagaj ich choćby na kolanach, nie daj rodzinie zyskać na czasie, bo zawiadomią Rushita. On w ciągu kilku godzin przyleci samolotem i zabierze ci Laurę, ma do tego oficjalnie prawo. Zobaczmy się niedługo...

Koniec rozmowy. Pozostało mi przy taszczyć te walizki z powrotem. Na szczęście mężczyźni po zjedzonym obiedzie wyszli na ulicę, a Saran-da z Nasife poszły doić krowę. Była to błyskawiczna akcja. Strach i podniecenie jutrzejszym dniem spowodowało, że biegłam przez podwórze z walizkami o sporej wadze, jakbym nosiła torby plastikowe z kilogramem ziemniaków. Wieczorem nie mogłam zasnąć z przejęcia. Jakim wysiłkiem było dla mnie zachowywanie się zupełnie naturalne, podczas kiedy miałam ochotę skakać i krzyczeć z

radości, że wreszcie wracam do domu.

Wstałam wcześniej niż zwykle, kiedy chciałam otworzyć na oścież drzwi wejściowe okazało się, że nadal są zamykane na klucz, a klucz wyciągany. Ale nie byłam już o to zła. Z radością parzyłam dla wszystkich poranną kawę. Nawet polewałam Blerimowi wodę na tarasie do mycia twarzy. Pozamiatałam potem podwórze i zabrałam się za robienie śniadania. Laura bawiła się z chłopcami na podwórzu. Co chwilę zerkałam na zegarek, którego mała wskazówka była na ósemce, a duża wskazówka oddalała się coraz bardziej od dwunastki. Zaczęłam się niepokoić, o wpół do dziewiętej dostrzegłam małe zamieszanie na zewnątrz.

- Policja - Afrim wbiegł do domu - Czego oni chcą?

- Może Rushitowi coś się stało? - Nasife załamała ręce, po czym krzyknęła: - Kuku, przecież broń na górze! A oni pewnie kontrolować będą.

Blerim pobiegł szybko schować karabin gdzieś. Reszta wyszła z domu. Ja nadal stałam przy kuchence, nie chciałam wzbudzać podejrzeń. Za chwilę zawołał mnie Ramush, każąc przynieść paszport. Poszłam posłusznie do pokoju i przyniosłam dokumenty. Na zewnątrz siedziała policja: mężczyzna w niemieckim mundurze, jeden Amerykanin, albańska policjantka i policjant. Z boku stała młoda, śliczna dziewczyna, prawdopodobnie tłumaczka. Ramush spojrzał na mnie z wyrzutem i zalem. Domyślał się, że ich wizyta nie była przypadkowa.

- Jak pani się nazywa - zapytał Albańczyk. Dziewczyna zaczęła tłumaczyć na angielski.

- Możemy rozmawiać po albańsku - powiedziałam ku zaskoczeniu przedstawicieli władzy.

- Umie nasz język? - zapytała policjantka Ramusha.

Wszyscy spojrzeli zaskoczeni na Ramusha, ten potwierdził, nie kryjąc dumy, że znam ten język całkiem dobrze.

- Więc od kiedy pani tu jest?

- Rok - odpowiedziałam zgodnie z prawdą, wiedząc do czego zmierzają, plan był taki, że miałam zostać rzekomo deportowana za brak wizy.

A wie pani, że po trzech miesiącach musi pani być albo zameldowana w urzędzie, albo posiadać wizę? Pani takiej nie ma w paszporcie, zameldowana też nie jest, sprawdzaliśmy.

- To moja wina - wtrącił Ramush - powinienem to zrobić..

- Gdzie jest pani mąż?

- W Niemczech.

- Co tam robi? I gdzie mieszka?

Nie widziałam twarzy Nasife, ale wydawało mi się, że słyszę jej błagalne myśli, żeby nic nie mówić. Nie wiadomo było, jakie wiadomości mogłyby mu zaszkodzić. Nie miałam zamiaru go pogrążyć, dlatego powiedziałam, że nie wiem, gdzie dokładnie jest, bo jechał do przyjaciela, którego adresu nie znam. Nasife odetchnęła z ulgą.

- Nie zna pani miejsca pobytu własnego mężczyzny? - zapytała z niedowierzaniem albańska policjantka.

- Nie, nie mówił mi, jaki jest tam adres.

- A dzwoni?

- Tak, regularnie.

Czułam jak ręce zaczynają mi drżeć, nie wiedziałam, do czego zmierzają, przecież mieli mnie

zwyczajnie stamtąd zabrać. Amerykanin nachylił się do tłumaczki i coś powiedział po cichu, ta skinęła głową i zapytała po albańsku:

- Czy przebywa pani tu dobrowolnie? Czy jest pani trzymana siłą? Spojrzałam na Ramusha, zwiesił głowę. Najchętniej powiedziałabym im całą prawdę, nie mogłam jednak tego zrobić Ramushowi. Człowiek, który przez całe życie żył uczciwie, nie przeżyłby, gdybym posądziła jego rodzinę o przetrzymywanie mnie wbrew woli. Poza tym musiałam być ostrożna, bo istniało ryzyko, że mnie nie zabiorą ze sobą, a oczerniając kogokolwiek z nich, podpisałabym na siebie wyrok. Wiedziałam, do czego są zdolni.

- Dobrowolnie; nikt mnie nie trzyma tu siłą.

Patrzyłam na każdego z nich po kolei, tak błędząc wzrokiem po twarzach zauważyłam zaciekawione spojrzenie policjanta niemieckiego i nagle olśniło mnie. Więc nie wszyscy z nich byli wtajemniczeni, stąd te pytania.

- I w każdej chwili może pani stąd wyjść, jest pani wolna? - upewniała się policjantka.

- Tak... - starałam się ze wszystkich sił, żeby nie zabrzmiało to wiarygodnie.

Dałam Niemcowi ledwo widoczny znak oczami, w duchu modliłam się, żeby zrozumiał, że nie mogę swobodnie rozmawiać. Chyba domyślił się, bo zapytał mnie w swoim języku:

- Jest pani pewna, że tak jest?

- T-tak... - odpowiedziałam i spuściłam wzrok, nie miałam szans, ale widocznie ktoś z góry czuwał nad całą tą akcją, bo w tym momencie Afrim odezwał się po niemiecku:

- Iza, powiedz panu, że przecież nikt ciebie tu nie krzywdzi.

Dumny spojrzał na tłumaczkę. Idiota, nawet nie wiedział, jak mi pomógł chcąc zaimponować dziewczynie. Policjant wstał, mówiąc głośno:

- Pana nikt o zdanie nie pyta, a pani pozwoli ze mną, porozmawiamy sobie na osobności.

Mijając Blerima, wiedziałam, że jego jedynym życzeniem w tamtej chwili, było mieć możliwość zabijania wzrokiem. Patrzył na mnie spode łba, miał zaciśnięte zęby i ruszała mu się szczeka. Wiedziałam, jak bardzo był zły.

- Czemu pani nie przyzna się, że nie może wyjechać - zapytał mnie Niemiec już na osobności.

- Bo mnie zabiją, jeśli mnie nie zabierzecie, to jutro mnie tu nie będzie - miałam łzy w oczach.

- Jeszcze dziś zadzwonią po Rushita, wsiądzie do samolotu i sam wykona wyrok. Wicie przecież jacy oni są, to Albańczycy.

- To co mamy z tobą zrobić?

- Nie wiem, cokolwiek, tylko mnie tu nie zostawiajcie. Zawieźcie mnie na posterunek, potem do Mitro vicy, tam jest polska policja, pomogą mi. Oni tutaj zabiorą mi dziecko, proszę....

Mężczyzna zawołał Amerykanina, przez chwilę rozmawiali przy mnie ściszym, głosem, słyszałam tylko, jak niemiecki policjant prosił, żeby mnie stamtąd wywieźć.

- W Maliszewie jest Dom Samotnej Matki, może tam chociaż na jakiś czas, a potem zobaczymy. Chce pani tam jechać, dopóki czegoś nie postanowimy? - zapytał mnie.

Kiwnęłam głową, że tak. Gdziekolwiek, tylko z dala od tamtego miejsca.

- No, dobrze, niech pani idzie po swoje rzeczy.

Nawet nie wiedział, jaką miałam ochotę rzucić się mu na szyję i uściskać z wdzięczności. Podeszłam do Lulki i wzięłam ją na rękę

- Chodź, słońce, jedziemy do domu.

- Domu? - zapytała zdziwiona.

Lirim zaprotestował, podniosłam go na ręce i przytuliłam mocno.

- A gdzie Lula idzie? - zapytał.

- Do domu - szepnęłam przez łyzy szczęścia.

- Iza, a ty dokąd? Gdzie ją zabieracie? Co z dzieckiem? - pytał Ramush.

- Musimy zabrać ją do Maliszewa, żeby wyjaśnić kilka spraw, potem zostanie odesłana do kraju.

- Jak to, Iza, przecież nie chcesz jechać, prawda? - spojrzał na mnie, w jego oczach widziałam nieklamany smutek, on naprawdę martwił się, było mi przykro.

- Muszę... - powiedziałam cicho i pobiegałam na górę, mijając rozpaczającą aktorsko Nasife.

- Sprawdźcie jej walizki, czy czegoś nie ukradła - syknął przez zęby Blerim, Niemiec spojrzał na mnie ze zrozumieniem, na pewno świetnie zaczął rozumieć moją decyzję.

- Zabieramy ją do Maliszewa - powiedział Niemiec do Ramusha.

- Jak to??

- Iza, dokąd jedziesz? - Nasife biegła za mną po schodach, kiedy szłam po walizki.

- Muszę jechać z nimi. Nie mam wizy - tłumaczyłam wykorzystując całą siłę woli, żeby nie śmiać się w głos z radości.

Przebrałam niczego nie rozumiejącą Laurę i siebie, i zaczęłam znosić walizki. Zupełnie ignorowałam płaczącą głośno Nasife. Bałam się, że coś może się zmienić, że jednak mnie nie zabiorą, dlatego chciałam jak najszybciej pożegnać się i jechać do miasta, gdzie miałam być już całkiem bezpieczna.

- Iza, daj znać, jak dojedziesz. I pomyśl czasem o nas – Saranda uściskała mnie mocno, czułam, jak jej łyzy spływają po mojej szyi.

Przytuliłam ją i obiecałam, że na pewno nigdy jej nie zapomnę. Ucałowałam dzieci i podałam rękę Afrimowi, do Blerima powiedziałam zwykle „do widzenia”, uważałam, że to w zupełności wystarczy. Całe pożegnanie nie było dla mnie smutnym przeżyciem, chciałam wracać do Polski, wtedy to było najważniejsze, ale kiedy Ramush podszedł do nas, kiedy już siedzieliśmy w aucie nerwy mi puściły. Patrzyłam na dorosłego mężczyznę, który płakał, żegnając się z Laurą. Trzymał ją długo w ramionach i nawet nie krył łez. Zrobiło mi się przykro. Podałam mu rękę, którą uścisnął bardzo mocno, prosząc, bym utrzymała z nimi kontakt.

- Wiem, że tak musiało być. Rushit nie wiedział, co traci, teraz to zrozumie, ale jest za późno. Daj mi znać, jak dojedziesz, żebym się nie martwił i życzę powodzenia. Pamiętaj, że Laura jest mieszkanką Kosowa i ma w sobie muzułmańską krew, jej ziemia jest tutaj. Niech sama zadecyduje potem, co z nią zrobi. A ty zawsze jesteś tu mile widziana.

Patrzyłam za nim, kiedy samochód ruszył, widziałam jak łyzy goniły się po jego twarzy. Wielki człowiek, którego nie przestałam nigdy podziwiać, mądry i odważny.

W Maliszewie zaprowadzono nas na komisariat. Przesłuchano mnie, spisano jakieś zeznania. Podobno formalności, ale zaskoczyły mnie pytania, w których koniecznie chciano się dowiedzieć, czy słyszałam o organizacji AKSh i czy wiem, kto w wiosce ma ukrytą broń.

- Nie, nie mam pojęcia. O AKSh słyszałam tylko w wiadomościach, a broni nie ma chyba już nikt.

Niemiecki policjant nie wierzył mi chyba za bardzo, ale nie pytał dalej.

- Chodź na kawę - zaproponowała mi policjantka. - Tak w ogóle, to nazywam się Sevdie.

Po pół godzinie komendant, bardzo miły Koreańczyk zabrał nas na śniadanie do pobliskiego

baru.

- Nie można myśleć, jak się jest głodnym - zaśmiał się - a my musimy dziś dużo wymyślić. Jak wrócimy, to zadzwoni pani do komendanta jednostki polskiej. Gdzieś mamy ten numer.

Pierwszy raz szłam ulicami Maliszewa, nie patrząc w dół, miałam wysoko podniesioną głowę, bez strachu patrzyłam w witryny sklepowe. Ogólnie to wzbudziłam niemałą sensację wśród mijających nas ludzi, ale tym razem nie przejęłam się tym wcale, byłam szczęśliwa. Laura nie bardzo rozumiała jeszcze, co się dzieje, ale podobało jej się, kiedy co chwilę jakiś policjant przychodził do pokoju, w którym czekałyśmy z jakimś batonikiem, soczkiem i owocami. Dostała kredki i malowała beztrzesko.

- Możemy zatrzymać jej rysunki na pamiątkę? - zapytała Sevdie.

- Jasne.

Potem okazało się, że ktoś miał aparat i zrobiłyśmy sobie zdjęcia pamiątkowe. Po chwili znajomy policjant niemiecki zawołał mnie do pokoju komendanta. Podano mi telefon i wystukano numer.

- Tak, słucham?

Poprosiłam o połączenie z komendantem. W skrócie opowiedziałam mu moją historię.

- Co mamy z panią zrobić? - zapytał bezradnie.

- Może zawieźcie mnie do tego konsula w Belgradzie.

- Zaraz kogoś wyślę po panią, proszę dać mi jeszcze komendanta. Ten słuchał przez chwilę uważnie. Po chwili odezwał się mówiąc, że zawiozą mnie, nie ma problemu.

- Po co macie przyjeżdżać, skoro my możemy przywieźć dziewczynę z dzieckiem. Zaraz wyjadą.

Zadanie przypadło Amerykaninowi i Niemcowi, a Sevdie pojechała na ochotnika.

Mój pobyt w bazie policji polskiej w Kosowie wspominam jako wyjątkowy. Dostałam własny pokój z klimatyzacją.

- Może pani zadzwonić do domu, żeby powiadomić rodziców, że jest pani bezpieczna. Mogą się martwić - powiedział komendant, kiedy rozpakowałam już swoje rzeczy - Tylko pod żadnym pozorem niech pani nie mówi gdzie jest, ON już może tam być...

Świetnie zdawałam sobie z tego sprawę, wiedziałam do czego był zdolny i wiedziałam również, że już nie miał nic do stracenia. Rushit mógł zabić, żeby ratować swoją dumę...

Wśród ponad stu pięćdziesięciu policjantów były tylko cztery kobiety: księgowa, pielęgniarka, pani doktor i pani Asia, psycholog. Pod jej opieką znalazłam się już następnego dnia. Od tamtego czasu zmieniałam swoje podejście do psychologów. W naszą długą rozmowę włożyła wiele serca. Dostała się w głąb mojej duszy i pomogła mi się dźwignąć, już po dwóch naszych spotkaniach szłam przez bazę policji z głową uniesioną wysoko, a nie jak zwykle z opuszczoną wstydliwie i ze strachem dławiącym piersi.. Bardzo szybko odzyskałam zaufanie do ludzi, którzy mnie otaczali. Z Albańczykiem, który nadzorował tam pracę sprzątaczek prowadziłam długie rozmowy na temat religii, szybko uwierzyłam, że to nie islam doprowadzał tamtych ludzi do obłądki, ale ich zacofanie, brak kontaktu ze światem zewnętrznym i głupota. Za każdym razem, kiedy wchodziłam na stołówkę, byłam miło witana. Kucharz dawał Laurze jakiś słodki dodatek, to czekoladkę, to jogurt albo owoce. Policjanci też ją rozpieszczali, nawet najmniej sympatyczny, uważany przez swoich kolegów za aroganckiego gburę, przyniósł jednego dnia małej polską czekoladę. Trzeciego dnia wezwał mnie komendant.

- Jutro polscy żołnierze jadą autokarem na urlop do kraju, rozmawiałem z ich dowódcą, twierdzi, że bez problemu zabiorą panią ze sobą. Chyba, że woli pani poczekać jeszcze kilka dni i jechać z policjantami.

Miałam dylemat, bo mimo że wśród tamtych ludzi czułam się naprawdę wspaniale, to tęskniłam już za krajem, dlatego zdecydowałam się, że pojedę z żołnierzami.

- Dobrze, w południe zawieziemy panią do nich.

Po południu siedziałam z panią Asią i pozostałymi kobietami na ławeczce przed barakiem. Część mężczyzn wybierała się właśnie do miasta, ubrani na czarno poustawiali się w szeregach i kiedy wszyscy byli gotowi, ruszyli przez plac. Patrzyłam na nich jak zaczarowana, kilkunastu wysokich, dobrze zbudowanych mężczyzn maszerowało tak, że miałam wrażenie jakby ziemia drżała. Laura przerażona schowała się za mną i trzymając się kurczowo mojej nogi zerkała trwożnie. A ja poczułam się cholernie dumna, że naszą Polskę za granicą reprezentują tacy mężczyźni. Następnego dnia spakowana czekałam na hasło, że ruszamy do Kacanek, gdzie stacjonowało Wojsko Polskie. Nagle ktoś zapukał do drzwi, do pokoju wszedł zastępca dowódcy.

- Pani Izo, my tutaj zebraliśmy trochę pieniędzy, żeby pani nie wracała do Polski z pustymi rękoma. To niewiele, ale zawsze coś. Mamy nadzieję, że się przyda. - To mówiąc, podał mi plastikową tackę wypełnioną pieniędzmi, były tam euro, dolary i polskie złotówki.

- Dziękuję - wykrztusiłam wzruszona - Ale przecież nie trzeba... Uśmiechnął się szeroko i wyszedł zostawiając mnie zaskoczoną.

Pobiegałam do pani Asi, zapukałam do drzwi.

- Proszę!

- Pani Asiu... - zaczęłam czując, że w gardle rośnie mi wielka klucha, która utrudniała mi mówienie - Ja... to... Ja dostałam te pieniądze teraz i...

Wybuchłam donośnym płaczem, pani psycholog przytuliła mnie mocno i sama się popłakała. Stałyśmy tak przez długi czas. Brakowało mi słów... Tyle dobra spotkało mnie wówczas ze strony rodaków, że nie zamieniłabym Polski na najbogatszy kraj na świecie. Okazało się, że policjanci zebrali niemałą kwotę, za którą żyłam w kraju jeszcze przez dwa miesiące zanim znalazłam pracę. Kiedy poszłam szukać bawiącej się na dworze Laury, zawołał mnie kucharz ze stołówki, poczciwy Albańczyk.

- Chcę pani kogoś przedstawić - powiedział i zaciągnął mnie w stronę niskiej, otyłej kobiety, o najsympatyczniejszym uśmiechu jaki w życiu widziałam, obok niej stał kilkuletni chłopiec ładząco podobny do matki.

- To moja żona - kucharz przedstawił ją - Chciała panią poznać i coś podarować.

Kobieta wyciągnęła rękę z siatką plastikową wypełnioną po brzegi.

- To kilka drobiazgów, takie tam rzeczy dla dziewczynki - mówiła, nie przestając się uśmiechać.

„Takie tam” to był nowiutki dres, kilka bluzeczek, para nowych tenisówek i słodycze. Nie wiedziałam, jak jej podziękować. W Polsce pewnie rzuciłabym się jej na szyję, ale przecież nie wypadało tego robić w Kosowie. Podałam jej w podziękowaniu dłoń i kilka razy powtórzyłam „Dziękuję”. Pożegnałam się z wszystkimi, z panią Asią szczególnie gorąco, polubiłam tę kobietę i byłam jej wdzięczna za pomoc, jakiej mi udzieliła. Dzięki niej podniosłam głowę do góry. Byłam gotowa psychicznie na powrót do kraju, do normalności...

Dwóch mężczyzn zabrało moje bagaże i zanieśli do auta, miałam jechać opancerzonym samochodem, dla bezpieczeństwa. Komendant wołał być ostrożny i nie ryzykować odbicia mnie przez przyjaciół Rushita. Ale kiedy zobaczyłam, że razem z nami rusza jeszcze jeden pojazd z policjantami w pełnym rynsztunku, poczułam się co najmniej dziwnie. Usiadłyśmy z Laurą z tyłu, kierowcą był Leon, najpotężniejszy mężczyzna, jakiego widziałam. Podobno podczas demonstracji rozkładał ramiona i cofał cały tłum. Ale jednocześnie pamiętam go jako człowieka o wielkim sercu, po uszy zakochanego w swojej żonie. Obok niego siedział komendant, pan Darek. W rękę trzymał przygotowaną broń. Co chwilę rozglądał się na boki. Drugie auto z policjantami jechało za nami, czasem wyprzedzało i znowu się cofało. Czulałam się jak prezydent pod ochroną. Ale również się bałam. Wiedziałam, że Rushit nie miał nic do stracenia i może zrobić coś strasznego. I nawet, jeśli nie wiedział, że byłam jeszcze w Kosowie, to pewnie już czekał na mnie w Polsce. Czulałam, że to nie koniec moich problemów z nim...

Tak bardzo jak zachwycona byłam profesjonalizmem Polaków z bazy polskiej policji, tak bardzo rozczarowali mnie żołnierze polscy. W jednostce wzbudziłam niemałe zainteresowanie, czego młodzi ludzie nie potrafili ukryć. Dostałam do dyspozycji mały barak, gdzie stało świeżo posłane łóżko, mały stolik z kawą, słodyczami i napojami.

- Tu możesz odpocząć - powiedział Leon i wniósł walizki do środka - Za jakieś trzy godziny ruszacie do Polski.

„Do Polski”... to były słowa, na które czekałam tyle czasu i czasem już bez cienia nadziei. A teraz jechałam tam, DO POLSKI. Nalałam sobie filiżankę kawy i sięgnęłam po leżące obok łóżka gazety. Po kilkunastu minutach Laura zaczęła się nudzić.

- Mamo, siusiu - powiedziała kręcąc się po całym pokoju.

Nie bardzo wiedziałam, gdzie znajdowały się tam toalety. Ale nie mogłam ryzykować, bo Laura nie używała już pieluszek. Otworzyłam więc drzwi i... natknęłam się na stojącego przed barakiem żołnierza.

- Ee.. przepraszam... Gdzie są tu toalety?

- Zaprowadzę panią - powiedział, a ja posłusznie poszłam za nim. Kiedy wychodziłam, zauważyłam, że chłopak stał tam czekając na mnie; miałam ochronę. Z niecierpliwością patrzyłam na zegarek, nie mogąc się doczekać wyjazdu, szczerze mówiąc też zaczynało mi się nudzić. Kiedy już z nudów zaczęłam chodzić po pokoju, śpiewając Luli, ktoś zapukał do drzwi.

- Komendant wojska zaprasza cię na mały poczęstunek, Iza – Leon wziął małą na ręce i puścił do mnie oczko. - Chodź, bo tam lody czekają.

Z miłą chęcią wybrałam się do kantyny, która mieściła się w małym lasku na skraju jednostki. Był niesamowity upał, a to miejsce było idealne. Przy stole siedział komendant wojska, jeszcze jakiś młody wojskowy, który okazał się dowódcą ukraińskiej jednostki sąsiadującej z Polakami. Pan Darek przedstawił mnie:

- To jest właśnie pani Iza, nasza „turystka”, która wraca z wami do Polski.

Mężczyźni wstali i podali mi dłoń, przedstawiając się.

- Słyszałem, że wybiera się pani na lody do naszej ojczyzny - zaśmiał się dowódca wojska polskiego.

- Rzeczywiście, lato się kończy, a ja jeszcze lodów nie jadłam.

- Myślę, że to się da załatwić - to mówiąc, skinął na młodego żołnierza stojącego nieopodal, coś mu powiedział po cichu i kazał się odmeldować.

Po chwili na stole stały termosy z kawą, herbatą, zimne napoje, ciasta, ciasteczka, pełno

słodyczy i pucharki z lodami. Laura aż zapiszczała z radości. Nabrała sobie pełne rączki cukierków, posmakowała lody i pobiegła bawić się do pobliskich okopów. Była taka szczęśliwa... czas w towarzystwie minął szybciej. Po godzinie do kantyny przysła dziewczyna o bardzo długich włosach i sympatycznym uśmiechu.

- To pani Agnieszka, nasza tłumaczka serbskiego. Pojedźcie panie razem, bo pani Agnieszka opuszcza nas na dwa tygodnie.

- Nie opuszczam - dziewczyna uśmiechnęła się szeroko. - Jadę w końcu odwiedzić męża, ani się pan obejrzy, jak będę z powrotem.

- I jak ja sobie bez tej kobiety poradzę?!

Mężczyźni zaśmiali się, a ja już wiedziałam, że polubię tę Agnieszkę. Około osiemnastej podstawiono autokar.

- Zarządziłem, żeby żołnierze przyszli później, najpierw panie znajdą sobie jakieś wygodne miejsca, potem wpuszczę tę hołotę.

Pożegnałam się z komendantem policji, Leonem, dziękując im za wszystko, co dla mnie zrobili. Obaj wyjątkowo długo ściskali Laurę, a pan Darek po pożegnaniu szybko wysiadł z autokaru. Mała siedziała w oknie i machała niestrudzenie rączką. Wiedziałam, że to ostatni raz. kiedy ich widzę. Z jednej strony byłam podniecona moim powrotem do domu, z drugiej miałam świadomość, że zacznie się nowe życie dla mnie. pełne wyzwań i samodzielnego działania. W Kosowie należała do mnie praca w domu, a w Polsce musiałam zacząć działać, żeby stanąć na nogach, usamodzielnic się. Byłam jednak na to gotowa. Kiedy autokar ruszył, poczułam nerwowy skurcz w żołądku, czy oprócz obowiązków będzie mnie czekało życie w strachu, czy Rushit da mi spokój, jaką cenę zapłacę za tę ucieczkę?! Ściemniało się już powoli, kiedy zbliżyliśmy się do granicy serbskiej.

- Pamiętaj Iza, jesteś tłumaczką z jednostki, a w Kosowie byłaś z dzieckiem. Najgorsze, że ona ma to samo nazwisko, co ten polityk, który tak nienawidzi Serbów - zmartwiła się, ale dodała, że wszystko będzie dobrze.

Wyjęłam paszport, który na granicy zabrał serbski celnik. I nastąpiła chwila oczekiwania. Minęło pół godziny, a paszportów jeszcze nie zwrócono. Żołnierze zaczęli się wiercić i szeptać między sobą, że coś się musiało stać. Czułam, że ciarki przechodzą mi po plecach, serce waliło mi jak oszalałe, w duchu zaczęłam się modlić.

- Idę zobaczyć, co się stało - Agnieszka nie wytrzymała napięcia. Przez okno widziałam, jak wchodzi do kantorka i rozmawia z Serbami, jeden z nich gestykulował żywo, w ręku miał jakiś paszport. Ich rozmowa przedłużała się w nieskończoność, zaczęłam obawiać się, że to może mieć ze mną związek i nie myliłam się... Agnieszka wróciła po dłuższym czasie, ale wyraźnie szczęśliwa.

- OK, jedziemy dalej

- Co się stało? - zapytałam. - Dlaczego nie chcieli nas puścić dalej?

- Chodziło o Laurę - odparła. - Nie chcieli jej puścić, bo ma nazwisko i obywatelstwo albańskie. W końcu zadzwoniłam do konsula polskiego w Belgradzie, który potwierdził, że jesteś tłumaczką. To nasz człowiek, bardzo często pomagał Polakom.

- Wiem o kogo chodzi, znam go - wyznałam. - To właśnie do niego miałam się zwrócić, gdyby policja polska mnie nie przyjęła.

- Jak chciałaś to zrobić?

- Dostać się do Serbii i do konsulatu. W Kosowie nie ma polskiego urzędu, kompletnie nikogo, kto mógłby mi pomóc.

- Przecież Serbowie zabiliby ciebie i dziecko - Agnieszkę przeraził mój pomysł - Laura ma na nazwisko Thaci, wiesz, że nie miałybyście szansy przejść nawet przez granicę. Boże, całe szczęście nie musiałaś tak uciekać.

Teraz wiem, że rzeczywiście „Dzięki Bogu”... Dopiero po czasie zdałam sobie sprawę z tego, ile miałam szczęścia, że tak to wszystko się zakończyło.

Po powrocie do kraju wszystko zaczęło mi się układać pomyślnie. Po niedługim czasie znalazłam pracę w firmie, w której pracuję do chwili obecnej. Ciężko zmienić pracę, kiedy ma się pracodawców, na których wsparcie mogłam zawsze liczyć i zgrany zespół współpracowników. Robię to, co lubię, a im większy chaos na moim biurku, tym lepiej się czuję. Po roku udało mi się wyprowadzić od rodziców. Mieszkam z córcią, rudym psem i rudym kotem. Zaczęłam doceniać to, co straciłam na czas pobytu w Kosowie - WOLNOŚĆ. Mogę decydować o swoim życiu sama, układać je tak, żeby być szczęśliwą. Mogę wychodzić z podniesioną głową i pisać scenariusz na swoje życie. Starannie dobrałam sobie najlepsze przyjaciółki, które zawsze mnie wspierają. Kaśka i Olcia, które są jedną z głównych przyczyn powstawania kolejnej książki. Tym razem bardziej optymistycznej.

Laura jest dużą dziewczynką, dosłownie dużą... W wieku osiem i pół roku ma ponad 140 cm wzrostu, blond loczki na główce i śliczne, niebieskie oczka. Długo nie wspominała swojej rodziny z Kosowa. Chwilami miałam wrażenie, że zapomniała. Ale myliłam się... Przyszedł czas, kiedy będzie chciała wiedzieć więcej, a ja będę zmuszona odpowiedzieć jej na wiele pytań. Jestem nadgorliwą mamą, trochę dlatego, że nie pozbyłam się strachu, że kiedyś Rushit stanie przed moimi drzwiami i powie, że miejsce Laury jest w Kosowie. Jak do tej pory moje obawy są bezpodstawne, ale ten strach siedzi gdzieś głęboko, we mnie... I pozostanie pewnie na wiele lat.

Gdy tak patrzę na moją córcię, to zastanawiam się, czy kiedyś przekroczy granicę Kosowa. Czy za kilkanaście lat usłyszę w telefonie jej głosik: „Mamo, jestem w drodze do Kosowa” tak, jak usłyszała to moja mama... Na razie moim jedynym zmartwieniem jest wychować ją na dobrego, tolerancyjnego i uczciwego człowieka.

Ludzie, którzy poznali moją historię z reguły chcą wiedzieć, czy mam kontakt z Rushitem, z rodziną w Kosowie. Krótco po powrocie do Polski dzwonił często. Na przemian, to prosił, to groził, żeby wróciła. Ale tym razem nie poskutkowały żadne argumenty. Z czasem dał mi spokój, a ja starałam się zapomnieć o przykrych chwilach. I jak na razie udaje mi się to... Mam kontakt z Sarandą, która w końcu pojechała na stałe do Niemiec. Moim pierwszym pytaniem, które jej zadałam było, czy podoba jej się w Niemczech, tamte obyczaje itd. Zaśmiała się i powiedziała, że bardzo, bo w końcu może publicznie przytulić się do swojego męża. Afrim i Blerim ożenili się w końcu, a ja nieraz myślę o tych młodych, niczemu nie świadomych dziewczynach.

Mam ogromną nadzieję, że moje doświadczenia pomogą wielu młodym kobietom zrozumieć, na czym tak naprawdę polega związek. Kiedy kończy się miłość, a zaczyna uzależnienie od drugiej osoby. Czy warto trwać w toksycznych związkach, kiedy tak naprawdę zasługujemy na prawdziwe, szczere uczucie i szczęście?!



Ja i Laura po powrocie do Polski zaczęłyśmy nowe życie. Obie na swój sposób doświadczona, nauczyłyśmy się od nowa śmiać i cieszyć się życiem (2008).